KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

4 (16) 1997

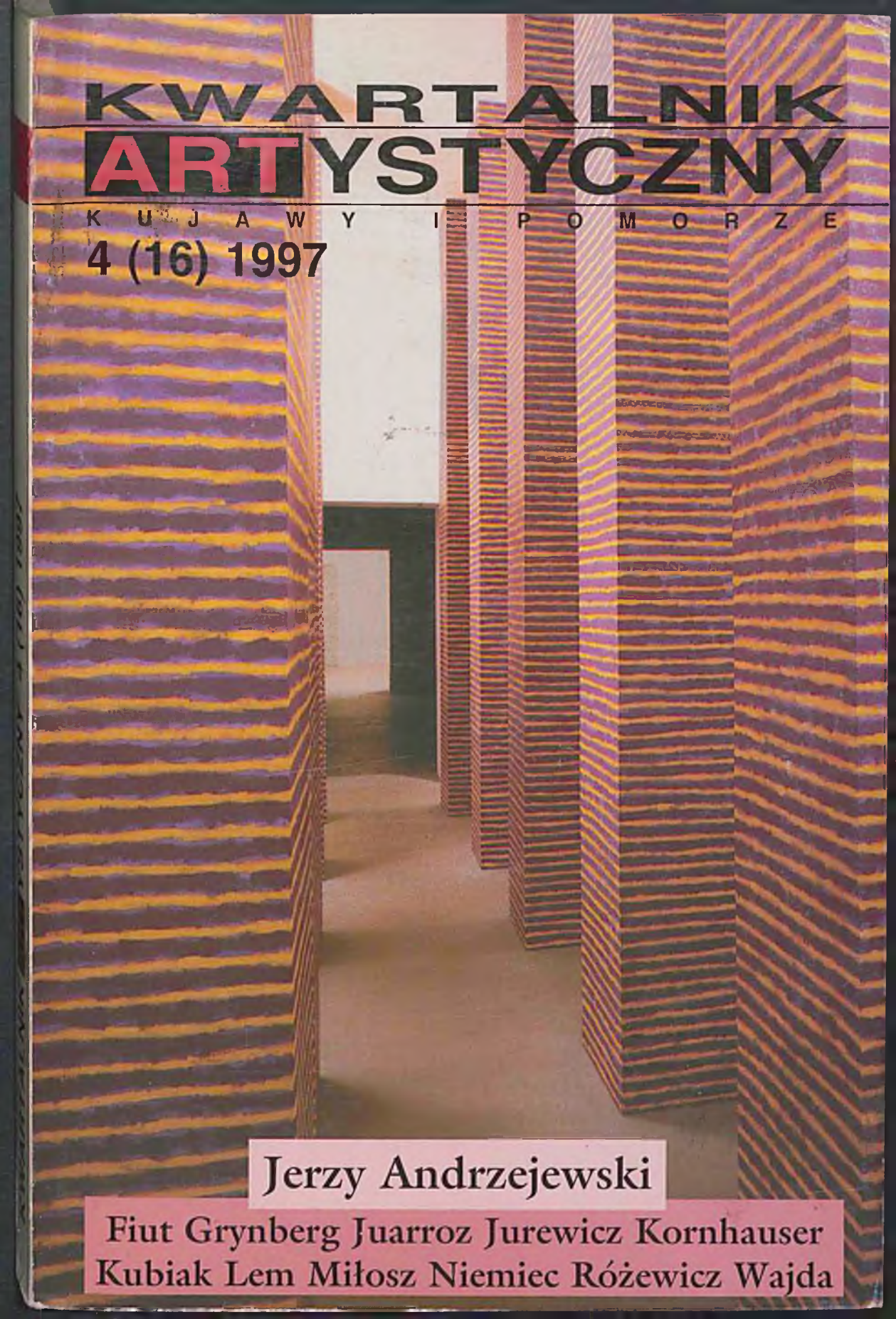

Jerzy Andrzejewski

Fiut Grynberg Juarroz Jurewicz Kornhauser
Kubiak Lem Miłosz Niemiec Różewicz Wajda

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:
JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK,
STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI (redaktor naczelny)
GRZEGORZ MUSIAŁ (z-ca redaktora naczelnego)
GRZEGORZ KALINOWSKI (sekretarz redakcji)

Wydawca:
Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
Miejski Ośrodek Kultury w Bydgoszczy

UWAGA! *Nowy adres redakcji:*
ul. Ikara 12, 85-314 Bydgoszcz
tel./fax (0-52) 373 27 18, tel. (0-52) 378 66 66
Internet: „Kwartalnik Artystyczny" www.wok.bydgoszcz.pl
E-Mail: wok@cps.pl
Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

Na I i IV str. okładki: Leon Tarasewicz „25 filarów regularnie ustawionych"

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego" serdecznie dziękuje za pomoc finansową w wydaniu numeru 4/1997 Ministerstwu Kultury i Sztuki, Wydziałowi Kultury, Sportu i Turystyki UW w Bydgoszczy oraz Wydziałowi Kultury i Sportu UM w Bydgoszczy.

Spis rzeczy

Trzy wiersze
STANISŁAW LEM Trzy wiersze / 3

Poezja
MACIEJ NIEMIEC (Kropelko) / 10 Świat widzialny / 10
Tancerka małej śmierci / 11 (Szukam twoich oczu) / 12 (Popołudnie) / 13
(Spójrz oto, ci) / 14 (Nieskończony) / 15
ROBERTO JUARROZ Choroba / 142 (Czasem) / 142 (Na górze) / 143
(Kiedyś znajdę) / 143 (Brzegi błękitu) / 144 (Chodzę już tylko) / 145
(Mógłbym zapomnieć) / 145
GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA Magdalena / 156
(lato) / 157 (na powiekach) / 157 (Amazonki) / 158 (na dłoni popielate) / 158
(zapach kiszonej kapusty) / 159
TOMASZ RÓŻYCKI 1883 rok, długa podróż na południe / 166 Vaterland / 167
Entropia / 167 Magia / 168

Po co piszę
FLORIAN ŚMIEJA *** / 8
MACIEJ NIEMIEC *** / 9

Proza, esej
JERZY ANDRZEJEWSKI Noc / 17 Każdy albo nikt / 63 Młodość / 67
Elegia / 69 Rzecz, która ma być opowiedziana / 71 Heliogabal / 79
ALEKSANDER JUREWICZ Ciążenie i wiatr / 160
ANDRZEJ FIETT Głosa do „Nocy" / 56
ANNA SYNORADZKA Historia jednego tytułu / 58 Historia jednego kłamstwa / 60
MADELINE G. LEVINE Niejednorodność moralnego oburzenia wyrażonego
przez Jerzego Andrzejewskiego w „Wielkim Tygodniu" / 119
DARIUSZ NOWACKI Non consummatum? / 132

Wspomnienie
IRENA SZYMAŃSKA Mój przyjaciel Jerzy / 82

Głosy i głosy
ALEKSANDER FIUT Kilka myśli o Andrzejewskim. / 102
HENRYK GRYNBERG Ironia historii. / 105
JAROSŁAW KLEJNOCKI Trzy uwagi. / 105
JULIAN KORNHAUSER *** / 106
RYSZARD MATUSZEWSKI Garść wspomnień o Jerzym Andrzejewskim. / 108
CZESŁAW MIŁOSZ *** / 115
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI *** / 115
ANDRZEJ WAJDA *** / 118

Rozmowa
„ŚWIAT TO PRZYPOWIEŚĆ..." – Z Zygmuntem Kubiakiem
rozmawia Grzegorz Kalinowski / 148

Teatr
ARTUR PRZYBYSŁAWSKI Teatr wewnętrzny / 169

Plastyka
ŁUKASZ KIEPUSZEWSKI Horyzont / 173

Prezentacje
JERZY OLEK Przywoływanie nie-obecnego / 177
TADEUSZ RÓŻEWICZ Wymiar iluzji / 184

Varia
MICHAŁ GŁOWIŃSKI Szkice podróżne (I) / 190
JULIAN KORNHAUSER Post scriptum (7) / 197
GRZEGORZ MUSIAŁ Dziennik z Iowa (XII) / 200
LESZEK SZARUGA Tym czasem (10) / 210
MAREK ADAMIEC Przeglądamy... malarstwo włoskie / 217

Recenzje
MIROSŁAW DZIEŃ Czesław Miłosz *piesek* prawie teologiczny. Zamyślenia millenarystyczne / 223
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Miłosz czyta Miłosza... / 234
JAN WOLSKI „Wieczność w krótkim trwaniu" / 235
JAN WOLSKI „Język dotyka niekiedy prawdy" / 238
LESZEK SZARUGA W zwolnionym tempie / 240
EWA PIECHOCKA W promieniu złego oka / 243
JAROSŁAW KLEJNOCKI Tylko popiół, a jednak... / 245
WACŁAW LEWANDOWSKI Niełatwo być księdzem – jeszcze trudniej grzesznikiem / 247
MARIAN SZARMACH Listy Tadeusza Zielińskiego do Stefana Srebrnego / 250

Noty o książkach / 253

Dnia 26 października 1997 r. zmarła we Wrocławiu w wieku 55 lat

ś.p. Elżbieta Czerska

do 1995 r. dyrektor Wydziału Kultury i Sportu Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Założyciel „Kwartalnika Artystycznego" w 1993 r. i przez następne lata jego niezawodny Opiekun i Przyjaciel. Jej wyjazd z Bydgoszczy odczuliśmy jako niepowetowaną stratę. Łączymy się w żałobie z Jej bliskimi.

Niech odpoczywa w pokoju.

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego"

TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny" nr 3/15/1997) prezentujemy wybór Stanisława Lema. Kolejna odpowiedź w następnym numerze. (red.)

Stanisław Lem

* * *

Wymieniam trzy wiersze, metodą łapu-capu wybrane z mieszaniny, której pełna jest moja pamięć. Porządek, w jakim je nazywam, jest zupełnie przypadkowy i nie ma żadnego znaczenia. Są to teksty następujące:

Czesław Miłosz

Do Jonathana Swifta

Do ciebie zwracam się, dziekanie,
Prosząc o dobre rady twoje.
Na tak nieczęste powitanie
Żadną się chlubą nie przystroję.

Widzę ocean zielonkawy,
Jak pianą bije w brzeg skalisty
I w białych palcach tej oprawy
Szmaragdem połyskują wyspy.

Mieni się kamień fioletowy
Ponad Irlandią torfowiska
I w domach pod hukaniem sowy
Rynka w kominie kaszą pryska.

Srebro wyszycia, błysk peruki
I gęsie pióro mapę kryśli
Dla pouczenia i dla sztuki
Zawsze nie w tej, co sądzą, myśli.

Według tej mapy, znak po znaku,
Mój okręt odnajdywał skróty.
Zwiedziłem ziemie Brodbingnagu
I nie minąłem wysp Laputy.

Poznałem także plemię Jahu,
Co wielbi własne ekskrementy,
Żyjący w niewolniczym strachu
Donosicielski lud wyklęty.

Życie się moje przełamało
Na fazy najzupełniej różne,
Solą burz morskich w serce wiało,
Lecz nie jest jeszcze całkiem próżne.

Niepojętego zaślepienia
Na oczych nie nosiłem wstążki.
I szczera wściekłość opromienia
Moje rozliczne obowiązki.

Ty możesz wskazać mi, dziekanie,
Jak się ten płyn przedziwny stwarza,
Że prócz inkaustu pozostaje
Coś więcej na dnie kałamarza.

Daj mi sekrety swego wieku,
Abym nie krzywił się obleśnie
Jak ci, co prawią o człowieku
I tylko cicho skomlą we śnie.

Odbity w lustrze Xsiążę raczy
Chcieć pochwał swoich rymopisów
I kupry chylą w tył dworacy
Rzędami Whigów i Torysów.

Xsiążę, dziekanie, zwykle błądzi,
Choć za nim racja jest i siła.
Prztyczek ze sławy go wytrąci
I w piekło kartoteki zsyła.

Trwalszy twój dom pod krzykiem sowy,
Gdzie noc irlandzkie sypie deszcze,
Niż grymas książąt marmurowy
I drzewka lauru przypochlebcze.

Dotychczas mówią twoje usta:
Rzecz ludzka nie jest zakończona.
Kto dziejów doskonałość uzna,
Bezbronną śmiercią niechaj skona.

Odwagi, synu. Bierz okręty,
Na linach śmieszną flotę prowadź
I mrówczych mocarstw dawne błędy
Obszarom chmur daj kamienować.

Dopóki niebo jest i ziemia
Dla nowych Miast gotuj przystanie.
Poza tym nie ma wybaczenia.

Będę się starać, mój dziekanie.

Washington D.C., 1947

Czesław Miłosz

Konstanty Ildefons Gałczyński

Podróż do Arabii szczęśliwej

Pąsowe wstążki bicza wiatr rozwiał przelotny
i niebo jest gwiazd pełne jak Afryka ptaków,
konie noga za nogą, koła – jako-tako,
a woźnica pijany i bardzo samotny.

Kareta to muzyka, to pudło muzyki,
noc naokół karety to jest szczęścia dużo;
zaraz księżyc przeleci wielką srebrną burzą
i w rowach zakołują świetliki, ogniki.

Jadą w karecie piękni, ramiona oparli
na poduszkach pachnących – o, nocy jedyna!
Śpiewa szafir i droga, i każda godzina...
A oni nic nie wiedzą, bo oni umarli.

Konstanty Ildefons Gałczyński

Wiersz, jakim Miłosz zwraca się do Swifta, jest jak gdyby kontaminacją mego stosunku do świata. Natomiast dziwadło Gałczyńskiego zauroczyło mnie swoją kapryśnością, a zwłaszcza ostatnimi słowy „...bo oni umarli", ponieważ zachodzi wykonana tym jedynym zwrotem poetycko wstrząsająca zmiana tonacji w nagłą powagę.

Moim trzecim wierszem musi być wiersz Leśmiana. Nie wiem, czy sprawia to szczególna moja skłonność, czy bardziej trywialny fakt, że nad tym wierszem rozmyślałem, pisząc „Lekcję literatury" dla Wydawnictwa Literackiego, w której to lekcji, już prawie wydanej, dałem prym wierszowi pod tytułem „Gad".

Bolesław Leśmian

Gad

Miriamowi

Szła z mlekiem w piersi w zielony sad,
Aż ją w olszynie zaskoczył gad.

Skrętami dławił, ująwszy w pół,
Od stóp do głowy pieścił i truł.

Uczył ją wspólnym namdlewać snem,
Pierś głaskać w dłonie porwanym łbem,

I od rozkoszy, trwalszej nad zgon,
Syczeć i wić się, i drgać, jak on.

Już me zwyczaje miłosne znasz,
Zwól, że przybiorę królewską twarz.

Skarby dam tobie z podmorskich den,
Zacznie się jawa – skończy się sen!

Nie zrzucaj łuski, nie zmieniaj lic!
Nic mi nie trzeba i nic brak nic.

Lubię, gdy żądłem równasz mi brwi
I z wargi nadmiar wysysasz krwi,

I gdy się wijesz wzdłuż moich nóg,
Łbem uderzając o łoża próg.

Piersi ci chylę, jak z mlekiem dzban!
Nie żądam skarbów, nie pragnę zmian.

Słodka mi śliny wężowa treść –
Bądź nadal gadem i truj, i pieść!

Bolesław Leśmian

Bardzo trudno pochwalić to, co najważniejsze w tym utworze, być może chodzi o jego zwięzłość.

Stanisław Lem

PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny" nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2 /10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3 /11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Kozioł (nr 4 /12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze. (red.)

Florian Śmieja

* * *

Pytanie brzmi trochę jak nagana. Tak mógłby spytać surowy rodzic. Zamiast robić coś bardzo konkretnego i intratnego, ślęczy się nad papierami i książkami. Sprawa niejasna, niepraktyczna i mało licująca z ambicją. Raczej wstydliwa.

Po co piszę?

Pewnie mam predyspozycje do szukania samotności, do notowania własnego echa w labiryncie świata. Myślę, że jest to próba poznania otoczenia i siebie. To kontemplacja, szukanie zewnętrznego znaku dla intymnych głosów, na zatrzymanie tego, co ulotne.

To także uciążliwe nabywanie mowy, szukanie słów, bo zawsze były trudne i nie przychodziły same.

To ulubiony nawyk mówienia do siebie, lek na samotność, jej zamawianie. Jakiś potrzebny egzorcyzm. Łagodzenie tęsknoty.

Nigdy nie marzyłem o tym, by być tylko pisarzem i niczym więcej. Pisanie mi towarzyszy od lat, współgra z pedagogiką. Jest próbą obecności tam, gdzie powinno być moje miejsce, w mateczniku spraw najbliższych i splątaniu witalnych korzeni.

Pisanie jest dla mnie przekraczaniem granic, szczególnie w przekładach, udział w biegu, w którym samo uczestniczenie jest ważne.

Oczywiście, jest to jakiś przymus i pociąg. Czyżby ukryta potrzeba epatowania i komunikowania? Zajmuje bez reszty i jest odtrutką na nudę. Jest to zajęcie pozwalające mi salwować się przed hałaśliwymi spędami wesołków.

Nie przebywam wśród swoich, dlatego odczuwam brak drugiego człowieka, stąd pisanie przychodzi mi trudniej, zresztą to, co piszę, nie znajduje odbiorców.

Piszę więc, bo muszę. Nie staram się iść za żadną modą czy wskazaniami krytyków. Będąc sobą, już wygrałem. Oczywiście, rzecz w tym, by być sobą wybitnie, ale to niewielu się udaje. Niemniej wszystkim wolno dążyć do godnego celu.

Jeżeli piszę od kilkudziesięciu lat, świadczy to o wytrwałości, uporze, pasji, potrzebie, może manii. Ale widocznie jest to czynność organiczna.

Florian Śmieja

Maciej Niemiec

* * *

Otrzymałem Państwa pytanie, nieco obcesowo sformułowane, w czasie kiedy sam je sobie stawiam i nie znajduję prostej odpowiedzi. Rozumiem, że pytanie dotyczy raczej wierszy niż np. scenariuszy filmowych czy recenzji, tu odpowiedź jest prosta, można ją ustawić na gruncie profesjonalnym: bo ktoś to u mnie zamówił lub ja sam uważam, że należy to zrobić. Moje własne pytanie wobec wierszy brzmi zresztą: dlaczego piszę i jakąś formą odpowiedzi jest to, że coraz częściej nie piszę, nie zapisuję wierszy, które się myślą, pozwalam im się zapomnieć. To jest jakaś forma odpowiedzi. Niekiedy je jednak zapisuję, i to też jest jakaś forma odpowiedzi.

Pytanie – po co, jest bardzo konkretne. Zwykle coś robi się po to, by uzyskać określony skutek. Zapala się piec po to, żeby zagrzać wodę. Telefonuje się, żeby omówić sprawy lub powiedzieć coś konkretnego komuś określonemu. Nie widzę w pisaniu takiej prostej relacji warunkowej. Wiersz pisze się po to, by go ukończyć, uzyskać wypowiedź, do której w każdym poszczególnym przypadku nie można, nie chce się już nic dodać ani nic ująć. Ekspresja być może nie wymaga uzasadnienia. Niekiedy zapala się piec tylko po to, żeby zobaczyć ogień. Niekiedy się telefonuje po to, żeby usłyszeć głos przyjaciela albo kochanej kobiety. Niekiedy się pisze.

Maciej Niemiec

Maciej Niemiec

Fot. Béatrice

KROPELKO, słona i słodka
pomiędzy mną i nią

jesteś

na jej skórze
na moim języku

czyja jesteś

20 V 1996

Świat widzialny

w tej chwili z rzeczy tego świata
jest blisko tylko lewa stopa szczupła śniada

wystaje z pościeli która okrywa ciebie świat
widzialny otwiera się gdy oczy są zamieszkane

niestety jest ciemno to się nazywa czas
ale światło dotyku zawsze teraźniejsze

trzymam cię za kostkę nie ma wiedzy między nami
stopa śpi jej suchą podeszwę przykładam do czoła

jest chłodna to napięcie w kostce ledwie wyczuwalne
bo pierwszy krok na tej ziemi musi być ostatnim

Maciej Niemiec, ur. 1953 w Warszawie. Opublikował pięć tomów wierszy, ostatnio „Ulica Wód" (A5, Poznań 1996), oraz w przekładach na francuski: „Blancheur parisienne" (Luxembourg 1995, przeł. Krystyna Jocz) i „Angle de prise" (Paris 1997, przeł. Fernand Cambon). Nagroda Fundacji Kościelskich (Genewa 1994), nagroda Karla Dedeciusa (Łódź 1996). Mieszka w Boulogne pod Paryżem. (red.)

na drugi brak miejsca zresztą jeszcze nikt
nie odchodzi niekiedy wystarczy punkt

oparcia żeby krzyknąć ziemia i krzyknąłbym
lecz nie chcę cię obudzić stopo śpij ziemia

jest daleko oczy się zobaczą gdy powróci światło
będzie znów teraźniejszość którą zniszczy czas

30 VI 1996

Tancerka małej śmierci

Tej nocy gdy powrócisz do siebie, do tego właściwego
miejsca, które by istnieć wreszcie pojedna się z czasem,
rzeczy obrócą się przeciw tobie: drzwi ugryzą cię w dłoń
a to co spadnie z pieca, czuwającego w porankach trwogi
kiedy świat dygoce a śnieżna kula słońca wytacza się
ponad rzekę z pieca snu, który wypala nagie obrazy by trwały
w tym innym, ufnym świetle
wiedzy, byś musiał ją tracić i słyszeć, jak śpiewa gwóźdź
wbity dawno temu w twardą deskę nad drzwiami i jak metal
i sznur wzywają twoją ranę, tej nocy gdy zobaczysz twarz
syna, odległą i niemą, a słowa będą z tobą, wszystkie
które, zamiast mówić tak, nie, jak wskazuje Pismo, chciałeś
bezrozumnie posiąść, kiedy to spadnie i zobaczysz rozsypane
litery i popiół papierów
niech ona tam będzie, tancerka małej śmierci, niech tańczy
małą śmierć na okularze pamięci, aż jej żywa rana
otworzy tę pamięć, gdzie trwa co nie daje się zapamiętać.

25 IX 1996

SZUKAM TWOICH OCZU w moim lustrze
i odnajduję w tych uporczywych źrenicach
płynne soczewki, które pozwalają widzieć
poprzez to co jest teraz, tutaj, poprzez lustro

Widzieć, widzieć: piosenka niewidomych;
zamykam oczy i dotykam swojej twarzy
by lepiej pamiętać twoją.

Widzę poprzez twój dotyk:
nie są takie same.

Próbuję zrozumieć kim byłem wczoraj
by wiedzieć kim będę dzisiaj,
jak wtedy gdy mieszkałem w dwóch miastach
i rozmyślałem w pociągu, czy wracam czy wyjeżdżam.

Dzisiaj też nie wiem, gdzie mieszka
ta tożsamość, która
się rozpada na dwoje.

Wiem kim byłaś tej nocy
ale kim będziesz w południe nie wiem.

Śnią się sny i nic nie jest umocowane, ale
pomiędzy mną i tobą
poza obrazami, które widzimy i którym
próbujemy wierzyć i zaprzeczać

w naszych nieeuklidesowych wiecznościach
jest coś, co widzą rzeczywiste oczy,

nawet jeśli nie to samo:
nagie jak wnętrza dłoni twarze.

Zasłona iluzji, jak dym, jak pragnienie,
i wewnątrz niej to niezaprzeczalne.

Czego szukamy pod ubraniami, pod skórą,
na co się otwiera odtwarzane rozdarcie?

I zdarza się znowu to właśnie:
koniec jest początkiem i powraca światło,
które przychodzi skądinąd, przez
okno, przez drzwi, w świetle się rozróżnia

a nasze oślepiające
światło cofa się na chwilę, ale
pozostaje nasze i powraca wtedy,
powraca nawet przeciw światłu.

15 II 1997

POPOŁUDNIE kiedy na ciebie czekam
a słońce świeci w okno zachodniego pokoju
i przez korytarz dociera do wschodniego
później w zachodnim przesuwa się w stronę łóżka
i przestaje świecić na korytarz
ale wciąż każda rzecz pozostaje doskonale widoczna

kiedy na ciebie czekam i kiedy
telefonujesz że przyjdziesz później, przed siódmą
i mówię ci szkoda mi tego światła
bez ciebie i później kiedy
przychodzisz i wszystko inne staje się niewidoczne

bo patrzę ci w oczy i światło jest
wewnątrz splata się wokół kręgosłupa
jak lina słońca która rozwija się
by opisać pełne koło

zaczyna się noc i wschodzi słońce
komunikowane staje się komunią ciało żywym pokarmem
koło zamyka się w nas jak punkt
który nie ma zewnątrz

jeszcze jest ty i jest ja
ale wewnątrz gwiazdy która implouje
i oddychasz piękniej niż inna mogłaby śpiewać
z otworów ciała tylko oczy i uszy pozostają otwarte
ale z innymi zmysłami stają się jednym
który ogarnia całość lecz nie siebie a później

na mojej twarzy twoje włosy są żywe i ciężkie
po drugiej stronie na brzegu jakiegoś oceanu
jest jedno ciało miłości zamknięte w sobie
jak urodzone dziecko już oddychające zwykłym powietrzem

pierwsze słowa są w innym języku ani twoim ani moim
w naszym tajemnym zwierzęcym języku a później
trzeba się odnaleźć osobno
odnaleźć osobno by powrócić razem

8 III 1997

SPÓJRZ OTO, CI którzy się kochają
W swojej nocy
I rozpaczy bo odnaleźli wszystko a nadal muszą szukać

Spójrz na nas tak jak gdybyś była
Bogiem bo jesteś
Nim tak jak ja

Wtedy gdy wszystko inne się rozpada
I nawet rozkosz staje się czymś innym
Na co nie ma nazwy

I jednak wszystko powraca
Nic się nie rozpada
Każda rzecz powraca na swoje miejsce

I zaczyna istnieć tym bardziej
Że nie istniała

Spójrz na to
Tym spojrzeniem
Które znów rozróżnia ale widzi całość

21 III 1997

NIESKOŃCZONY jak ty
dotyk, który powraca
i odnajduje, co już było.

Co już było, jest nowe, bo to ty.
To się dokonuje i goją się rany.
Szuka najbardziej okrężnej drogi

bo to czego szuka jest tu wszędzie
a gdy odnajduje droga wciąż istnieje.
Było tak i znów jest inaczej.

Ciało ukochanej jest nieskończone
jak płynąca woda, ujście jest źródłem
i źródło w nim powraca a dłonie

zanurzone w wodzie
która nieustannie płynie, bez formy
ale wszystkie wypełnia albo obejmuje

(być tak to nie być już sobą, być sobą
i tobą razem a później zejść czy upaść tam
gdzie jest się jedynym, czy tam można pozostać

przecież urodzić się to być oddzielonym, to
utracić wewnętrzne oczy by zobaczyć
świat, istnieć to potwierdzać różnicę)

i dłonie wreszcie cofają się, by tylko dotykać,
tylko powierzchni, szkła i metalu, szklanki, zapalniczki
a woda mówi, że nie, to nigdy nie było możliwe.

Ciało ukochanej jest nieskończenie teraźniejsze
i na nim dotyk traci czas
na zawsze, które nie trwa już za chwilę.

Mówię dotyk a myślę o zgodzie na to
by istnieć bez maski, mówię nieskończony
a myślę o tym, co jest granicą.

19 X 1996 / 12 VI 1997

Maciej Niemiec

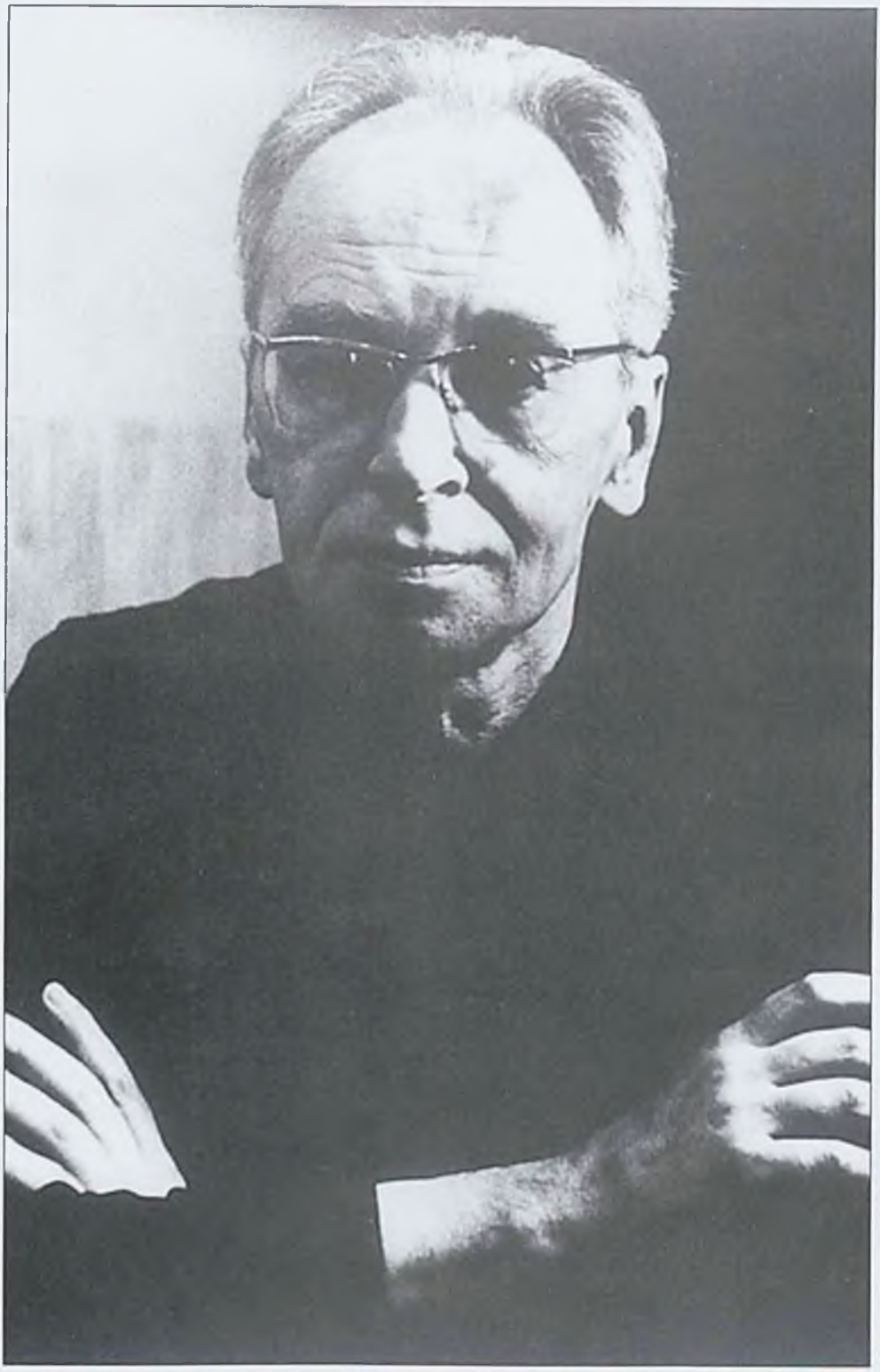

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Jerzy Andrzejewski

Noc

Ciszą, która łudziła, że jest głąb nocy, targnął nagle krótki dzwonek. Maria kończyła właśnie zmywanie talerzy po kolacji. Zaskoczona niespodziewanym dźwiękiem, spojrzała odruchem pierwszego niepokoju na zegarek: było parę minut po jedenastej. Natychmiast pomyślała: Gestapo, rewizja, papiery, których po powrocie do domu nie zdążyła była przeczytać i zniszczyć, Antoni... Uczuła, że blednie.

Mijając korytarzyk, pomiędzy kuchnią i przedpokojem, zatrzymała się i głęboko odetchnęła. Zapaliła światło. W mieszkaniu była cisza. Antoni zajęty pracą w dalszym pokoju, nie powinien był słyszeć dzwonka. To dobrze – pomyślała. I gdy położyła rękę na klamce i odsunęła zatrzask, była spokojna, pewna swoich ruchów i głosu.

W mroku klatki schodowej stał nieznajomy mężczyzna. Oświetlonego jasnością z przedpokoju ogarnęła szybkim spojrzeniem: był średniego wzrostu, szczupły, w długich butach i w skórzanej kurtce, w ręku trzymał małą walizkę.

Spytał półgłosem:

– Pani Sułowska?

Miał głos niski, trochę chropawy.

– Tak – odpowiedziała.

Nieznajomy uchylił czapkę.

– Przychodzę od Romana.

Cofnęła się, aby wpuścić gościa do środka. Gdy zamknął za sobą drzwi, mogła mu się lepiej przyjrzeć. Wyglądał młodo, był szatynem o twarzy pociągłej i rysach, które swoją zwartość i trochę pochmurną czarniawość wyraźnie wzięły z kresów wschodnich. Jego skórzana kurtka była wilgotna od deszczu.

– Od Romana?

Była zdziwiona, ponieważ z człowiekiem, którego znała pod tym imieniem, rozstała się przed paru zaledwie godzinami.

– Anna? – upewnił się mężczyzna.

– Tak.

– Więc zgadza się. Roman kazał panią zawiadomić, że Władek został aresztowany.

W pierwszej chwili nie zorientowała się o kogo chodzi.

– Władek, Władek... – powtórzyła machinalnie.

Naraz jasne oczy Marii pociemniały, cała jej twarz się zmieniła, jakby cień na nią padł.

– Niemożliwe – szepnęła.

Mężczyzna milczał. Lecz gdy poszukała jego spojrzenia, łudząc się, że wyczyta w nim zaprzeczenie lub wyjaśnienie, iż chodzi o kogoś, kto naprawdę nazywa się Władek, zrozumiała, że o omyłce nie może być mowy.

Spytała z wysiłkiem:

– Kiedy?

– Dzisiaj rano, ale Roman dopiero przed godziną się dowiedział, to pech prawdziwy. Dlatego tak późno przychodzę.

– Znaleźli co?

– Raczej tak.

Zawahał się, krótko i dodał:

Rewizja trwała parę godzin, bardzo była drobiazgowa.

– Ale pewnego nic nie wiadomo?

– Tylko tyle, że Władek miał dzisiaj doręczyć Romanowi większy materiał prasowy.

Wiedziała o tym. Rozstając się wczoraj wieczorem, Staś mówił, że w nocy musi napisać artykuł do najbliższego numeru „Płomieni". Jeszcze nie mogła tego wszystkiego ogarnąć, nie umiała przyjąć, że został aresztowany ktoś tak bliską przyjaźnią z nią i z Antonim złączony, tak ufny w swoje szczęście, tak nie wierzący w możliwość jakiegokolwiek niebezpieczeństwa dla siebie.

Poczuła zmęczenie po całym dniu różnych spraw, spotkań, biegania po mieście w chłodną jesienną słotę. Machinalnie przysiadła na niskim taborecie. O niczym nie myślała.

– Roman... – usłyszała naraz nad sobą niski głos.

Podniosła głowę. Zapomniała na chwilę, że nie jest sama.

– Przepraszam – szepnęła – ale to taka niespodziewana wiadomość.

I teraz dopiero zdała sobie sprawę, że aresztowanie Stasia, to nie tylko jej przeżycie osobiste, lecz również groźne uderzenie w ważny ośrodek organizacji.

– Były już inne aresztowania? – spytała.

– Na razie nie. Ale należy ich oczekiwać.

– Z Ryszarda, to jest z Władka, niczego nie wydobędą.

Mężczyzna wzruszył lekko ramionami.

– Tego nigdy nie można wiedzieć na pewno. W każdym razie powinna pani wziąć pod uwagę i tę groźną ewentualność.

– Tak, to jasne, wiem.

I jak zawsze, gdy niebezpieczeństwo ukazywało się jej wiadome i w bliskości, odzyskała spokój.

– Sądzi pan, że już dzisiaj może coś grozić?

– Raczej nie. Roman też tak samo sądzi. Ale poza tym Roman prosił, żebyście państwo nie zwlekając zmienili jednak miejsce zamieszkania.

– Wyjechać?

– To nie. Przynajmniej na razie nie. Roman uważa, że pani obecność w Warszawie jest właśnie teraz potrzebna.

Zaległo milczenie.

– To wszystko – odezwał się po chwili mężczyzna.

Maria spojrzała na godzinę i podniosła na niego oczy.

– Co pan teraz zrobi ze sobą? Już po jedenastej.

Młody człowiek uśmiechnął się.

– Mam przepustkę, jestem lekarzem.

Gdy wyszedł, została przy drzwiach. Słychać było kroki cichnące coraz niżej, potem trzaśnięcie bramy. I naraz cisza stała się bardzo głęboka. Pomyślała o Sta-

siu i o jego pierwszej nocy w więzieniu, nocy dręczącego badania. Wzdrygnęła się. Targnął nią strach przed fizycznym bólem i uczuła grozę tak okrutną, jakby to ją za chwilę miało doświadczyć i zmiażdżyć owo cierpienie niewiadome, nie dające się objąć umysłem. Strzępkami wspomnień, spadły na nią wszystkie niezliczone wieści wybiegające spoza murów więziennych o nocach niewypowiedzianych męczarni, o ludziach bitych i torturowanych, i konaniach nikomu nieznanych, na zawsze pozostawianych milczeniu ostatniej godziny.

Wsparła się o ścianę i obie dłonie przycisnęła do skroni. Nie myślała o Stasiu. Myślała o owej niewiadomej, jaką jest kres ludzkiej wytrzymałości. Co się wtedy przeżywa i myśli? Kim się wtedy jest? Czy można zachować pełną świadomość i wolę, czy też w pewnej chwili człowiek też choćby najsilniejszy, staje się nędznym, wyjącym strzępkiem ciała? Jaki ból miażdży wolę i zmusza do zdrady? Czy można wytrwać w milczeniu do końca, być przytomnym i milczeć? Co ja bym wtedy robiła? – myślała. Czy mogłabym milczeć? Czy byłabym zdolna, gdyby to miało mnie ocalić, wydać Antoniego? A Antoni?

Wyprostowała się i już spokojnym ruchem odgarnęła z czoła włosy. Niespodziewanie wplątały się jej w pamięć wiersze, które ostatnimi dniami Antoni ciągle, aż do znużenia powtarzał: „Szczęśliwy, kto wstawszy, gdy ciemno, nie dotknął liry swojej nadaremno".

Przeszła do kuchni. Pozostało tam parę talerzy do zmycia. Szybko je spłukała, wytarła i postawiła, gdzie należało. Potem nalała zimnej herbaty dla Antoniego. Po drodze wstąpiła do łazienki. Spojrzawszy w lustro z ulgą stwierdziła, że na jej twarzy nie ma śladu wzruszenia lub niepokoju. Nie znać też było po niej zmęczenia. Nie czuła go już zresztą. Wystarczała świadomość, że i ją i Antoniego czeka trudna noc bezsenna, aby znalazła w sobie potrzebne siły. Wiedziała, że w obecnej sytuacji musi powziąć decyzję za siebie i za męża. Zatem wyjazd Antoniego? I chociaż nawet w przybliżeniu nie zdawała sobie sprawy, jak całą rzecz powinna Antoniemu przedstawić i jak go przekonywać, aby usłuchał jej rad, natychmiast oswoiła się z myślą, że na pewien czas tryb ich wspólnego życia musi ulec zasadniczej zmianie. To było na razie najważniejsze.

W pokoju był mrok, tylko przy oknach rozświetlony nikłym odblaskiem zaciemnionych ulicznych latarń. Z głębi, niemal o krok za szybami, przybliżone nocą piętrzyły się wysoko rude zgliszcza domu, kruche strzępy kamiennych wiązań wsparte pustymi czeluściami o czarne niebo. Miasto zamarło, była cisza. Daleko zazgrzytał zapóźniony tramwaj i ścichł. Potem prześlizgnął się szelest auta po wilgotnym asfalcie.

Zsunąwszy zasłony na oknach, zapaliła małą lampkę zaczepioną o półkę z książkami przy tapczanie. Z pokoju obok docierał odgłos kroków Antoniego. Chodził tam i z powrotem swoim zwykłym krokiem nierównym i poszarpanym, co chwilę się zatrzymywał i na nowo podejmował uparte krążenie. Papiery, które należało zniszczyć, wsunęła była, wróciwszy do domu, pomiędzy książki. Było ich sporo, a biorąc pod uwagę możliwości rewizji – za dużo o każdy. Zmięła je teraz w garści, potem z torebki porzuconej na stole wyjęła podręczny notes. Przerzuciła kartki: same adresy.

Z tym wszystkim poszła do pieca. Po zapałki musiała wrócić do kuchni. Nagle wydało się jej, że słychać dobijanie się do bramy. Wstrzymała oddech. Rzeczywi-

ście gdzieś niedaleko rozbrzmiewało gwałtowne targanie klamki. W ciszy i w ciemnościach dźwięk ten wydawał się ogromnym łomotem. Uchyliła lufcik. Ogarnęło ją powietrze chłodne, przesycone wilgocią. Mżył drobny deszcz. Od razu się zorientowała, że ktoś się rzeczywiście dobija do kamienicy, lecz sąsiedniej.

Natrętny dźwięk podążał za nią i do pokoju. Tam słychać go było nawet lepiej, bo okna wychodziły na ulicę.

Zmusiła się jednak, żeby się nie wsłuchiwać w te odgłosy. Uklękła przy piecu. Odkręciła drzwiczki i płomień szybko począł ogarniać papiery. Wrzucała je jeden po drugim, przedzierając arkusze, aby łatwiej płonęły.

Akurat zamierzała cisnąć do paleniska kilka nowych stronic, gdy usłyszała za sobą skrzypnięcie drzwi. Odwróciła głowę. Na progu stał Antoni. Był bez marynarki, w koszuli rozpiętej na szyi, potargany, zmięty i blady, jakby oderwał się od ciężkiej pracy fizycznej. Blask ognia musiał go zaskoczyć, bo przymrużył zmęczone oczy. Chwilę tak stał milcząc. Wreszcie się odezwał:

– Co robisz?

Roześmiała się.

– Nie widzisz? Porządki.

Zgarnęła pozostałe na podłodze broszury i razem z notesem szybko wrzuciła do pieca. Zapóźnionemu przechodniowi otworzono na koniec bramę, bo hałas ścichł. Płonący papier syczał i szeleścił. Odblask ognia podobny przyśpieszonemu oddechowi drżał lekko wśród smug i cieni pokoju.

Antoni, plecami wsparłszy się o drzwi, patrzył na buzujący ogień. Ciągle mrużył powieki i w ogóle całym sobą wyrażał całkowitą nieprzytomność. Marii nie trzeba było słów, aby się domyśliła, że chce jej coś powiedzieć, zwierzyć jakieś sprawy zasadnicze, lecz jak zwykle, nie wie jak i od czego zacząć. Zanim zdążyła mu dopomóc, spytał obojętnie:

– Ktoś dzwonił przed chwilą?

Ogień już dogasał. Maria pochyliła twarz nad żarem.

– Owszem dzwonił – powiedziała spokojnie.

– Kto?

– Pani Wrońska zachodziła, żeby pożyczyć aspirynę dla ich małego.

– Aspirynę?

I po chwili:

– Nie kładziesz się?

– Niedługo. A ty?

– Ja? – zdziwił się, jakby go spytano o coś zdumiewającego. – Czy ja wiem?

– Chciałeś herbatę, stoi na stole.

– Na stole? – mruknął tym samym tonem. – Po co?

I cofnął się do swego pokoju, zamykając drzwi. Poprzez szelest dopalających się papierów słyszała, jak odsunął krzesło i usiadł. Lecz zaraz wstał i znów zaczął krążyć po pokoju.

Począwszy od owego chodzenia w kółko, a skończywszy na nieprzytomnych oczach wszystko wskazywało, że Antoni z zapamiętaniem pogrąża się w jedno ze swoich najdotkliwszych załamań. Zajęty własnymi przeżyciami, dręczony mglistą wizją, któ-

rą daremnie usiłował wyrazić słowami, głuchł wówczas i ślepł na wszystko. I naraz rozmowa, jaką musiała z nim wkrótce odbyć, wydała się Marii trudem, któremu – zwątpiła – czy zdoła podołać. Wiedziała zresztą, że daremne byłyby tu wszelkie przewidywania i z góry podjęte decyzje, co i jak powiedzieć. Wszystkie najważniejsze rozmowy z Antonim zawsze wynikały niejako przypadkowo, z treści, które do ostatniej chwili bywały niewiadome, ujawniające się nieoczekiwanie i według praw rzadko dających się z góry przewidzieć. I nagle ogarnął ją niepokój o Antoniego.

Wielokrotnie i sama i w rozmowach z Ryszardem zastanawiała się, jak bardzo swoją pracą konspiracyjną naraża na niebezpieczeństwo męża. Lecz dopiero teraz, gdy to niebezpieczeństwo po raz pierwszy stanęło tak blisko, zdała sobie z niego w pełni sprawę. Jak łatwo ostatecznie Antoni mógł zostać wplątany w śledztwo. A gdyby dostał się do obozu koncentracyjnego, tam umarł i wraz z nim przepadło bezpowrotnie to wszystko, co mógł jeszcze dokonać, napisać? Taka możliwość wydała się jej straszna.

Mrok tymczasem objął palenisko. Ciągle było słychać kroki Antoniego. Niedaleko, na Krakowskim Przedmieściu u świętej Anny, zegar wybił pół do dwunastej. Maria podniosła się z podłogi, zamknęła piec i zabrała się do słania tapczanu. Układając poduszki i kołdry pomyślała, że to ostatnia noc z Antonim w domu. Na jak długo? A jeśli na zawsze? Nie, nie, nie myśleć o tym! – otrząsnęła się. – Nie dać się złym myślom, wszystko musi być dobrze, nic się nie może stać... I natychmiast sobie przypomniała, że te same słowa słyszała ostatnio wielokrotnie w ustach Ryszarda. Mówił jej z charakterystycznym dla siebie, nieco chełpliwym akcentem w głosie, śmiejąc się, tak bezgranicznie bezpieczny w swojej ufności, że nic złego nie może mu się przydarzyć. I gdy stała pochylona nad tapczanem, z kołdrą w ramionach, nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo Antoni i jej uczucie dla niego ważne są w jej życiu. Miała swoje cele, ambicje i pragnienia, lecz dopiero świadomość, że Antoni jest, myśli, pracuje i żyje obok, dopiero ta pewność nadawała wszystkiemu w jej życiu sens głębszy, pełniejszy niejako i doskonalszy. I czas, który miała teraz spędzić bez Antoniego, napełnił ją lękiem i zwątpieniem, jak mu podoła, jak go zdoła przeżyć.

W pokoju osiadł swąd spalenizny, więc nim przeszła do łazienki otworzyła okno. Gdy wróciła, u Antoniego było cicho. Zawahała się, czy wejść. Jednak przy drzwiach rozmyśliła się. Wydało się jej, że jeśli rozmowa się odwlecze – będzie łatwiejsza.

Oknem ciągnął chłodny powiew. Ciągle mżył drobny, mglisty deszczyk. Gdzieś daleko rozległy się dwa krótkie wystrzały, zaturkotał ciężarowy samochód. I zaległa cisza. Wtem za rogiem zadźwięczały podkute żołnierskie buty. Hans! – krzyknął ostry głos. Odpowiedział śmiech. Słychać było także głos kobiecy. Znowu przejechała ciężarówka. Żołnierze zatrzymali się nieopodal i prowadzili z kobietą głośną rozmowę. Silniejsze podmuchy wiatru uderzały o parapet cienko się rozpryskującymi kroplami. W zgliszczach naprzeciw, wysoko w ciemnościach zawieszony, łopotał strzęp blachy. Aż nagle, wszystko ścichło. Chwilę jeszcze było słychać oddalające się kroki żołnierzy, a potem cisza zaległa tak głęboka, jaka nigdy przed tym, przed wojną, w mieście nie bywała. Niespodziewanie, znów się jej przypomniały owe wiersze: „Szczęśliwy, kto wstawszy, gdy ciemno, nie dotknie liry swojej nadaremno..." Co to znaczy wstać, gdy ciemno? A liry nadaremnie nie dotknąć?

Leżała już, gdy cicho odemknąwszy drzwi wszedł Antoni. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

– Nie śpisz jeszcze? – spytał wreszcie.

Niepewnym wzrokiem rozejrzał się po pokoju, jakby się nagle znalazł w obcym miejscu. I znowu wrócił spojrzeniem do Marii. Światło lampy delikatnie cieniowało zarys jej drobnej twarzy, kładąc szczególnie miękki odblask na jasne włosy.

– Senna?

– Ani trochę. A ty?

– Ja? – zdumiał się. – Owszem chciałbym zasnąć, ale pewnie nie zasnę.

Maria przewróciła się na bok i dłoń wsunęła pod policzek, żeby lepiej Antoniego widzieć.

– Połóż się, stojąc na pewno nie zaśniesz.

Antoni blado się uśmiechnął i podszedł bliżej, po czym ciężko, trochę jakby z rezygnacją, przysiadł na brzegu tapczana. Chociaż zwrócony był do Marii profilem, mogła mu się teraz uważniej przyjrzeć. Rzeczywiście źle wyglądał. Cienie pod oczami podkreślały bladość jego chudej, nieregularnej twarzy i gdy tak siedział przygarbiony, wpatrując się spod opuszczonych powiek w jakiś niewiadomy punkt na posadzce, wyglądał na człowieka śmiertelnie znużonego. Coś mu najwidoczniej dolegało. Czymś się dręczył. Ponieważ nie chciała jednak pytaniami przyspieszać rozmowy, zaległo dłuższe milczenie. Wreszcie, nie mogąc tego znieść dłużej, odezwała się cicho:

– Połóż się Antoni.

– Dobrze – odpowiedział.

Ale nie podniósł się. Sięgnął natomiast po papierosa, potem spojrzał w stronę zaciemnionych okien.

– Przyjemnie, że taka cisza, nie?

– Nie lubię tej ciszy – szepnęła.

– Dlaczego? Cisza jest zawsze dobra.

I nie czekając na odpowiedź spytał:

– Pamiętasz ostatnie nasze popołudnie przed wyjazdem z Kazimierza?

Od razu ujrzała willę, w której latem przed samą wojną mieszkali: ogród gęstymi cieniami rozłożony wśród wzgórz, dojrzały spokój i ciszę sierpniowego popołudnia.

– Pamiętam.

– A tego grajka?

– Z harmonią?

– Tak.

– Oczywiście, że pamiętam. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Czy ja wiem? Tak jakoś...

Urwał i odgarnął z czoła włosy.

– Wiesz...

– No co?

– Myślałem ostatnio sporo o różnych sprawach.

– Smutnych?

– Przeciwnie.

– Więc?

– Myślałem o tak zwanej sztuce. Wiersz, obraz, muzyka, to wiesz...

– I dlatego ci smutno?

– Czy ja wiem, czy to jest smutek? Bo wszystko, co jest piękne, prawdziwe ukazuje mi moją małość, mój nieporadny bełkot, nieudane próby. Czuję się tak, jakbym stał przed jakąś zasłoną i nie mógł dojrzeć tego, co jest poza nią. Tylko domyślam się, usiłuję odgadnąć... Wiesz, myślę, że jest we mnie jakaś skaza, jakiś brak. Wydaje mi się, a chwilami jestem tego nawet pewien, że jeśli mi się od tak dawna nic nie udaje, to wina leży we mnie, w jakimś braku mojego charakteru, coś we mnie jest nie w porządku. Czasem wiem nawet, co to jest.

– Wiesz?

– Tłumaczyć wszystko warunkami zewnętrznymi, wojną, skomplikowaniem rzeczywistości i tak dalej, to do niczego nie prowadzi i niczego nie wyjaśnia, a w najlepszym razie wyjaśnia bardzo niewiele. Każdy czas jest trudny. Nam się zdaje, że to co przeżywamy teraz, to w swojej grozie, w nasileniu najciemniejszych sił życia, że cały ten zamęt jest czymś zupełnie wyjątkowym. Pewnie, jako układ zdarzeń jest wyjątkowym i takich zdarzeń nigdy jeszcze nie było. Ale zasadnicze elementy są te same. I świat wewnętrzny człowieka razem z jego nienawiściami, nadziejami i pragnieniami jest także ten sam, co sto lat temu i tysiąc. A wiesz? – objął Marię przelotnym spojrzeniem. – Coraz silniej utrwala się we mnie przekonanie, że cały ciężar spraw tego świata, od najważniejszych aż po splot najbłahszych tworzących codzienne życie, leży nie w rzeczywistości, w tym co się dzieje, lecz w nas samych, jak my się do tej rzeczywistości odnosimy, co ona z nas wydobywa, co jej przeciwstawiamy i jak jej ulegamy. Trudnymi czasami, warunkami, można wytłumaczyć, usprawiedliwić wszystko, a jednocześnie nic. To jest bzdura. Przechylił głowę i skierował na Marię pytające spojrzenie.

– Nie uważasz, że tak jest?

Zawahała się.

– Czy ja wiem? Może... Nie sądzisz jednak, że w takim podejściu do człowieka jest coś... nie wiem dobrze, jak to nazwać...

– Bezwzględność?

– W każdym razie jakaś nieczułość, nie wiem, czy mnie rozumiesz?

Pochylił głowę i zamyślił się.

– Rozumiem.

– Gdy pomyśli się o tylu ludziach tak beznadziejnie bezradnych wobec życia, które ich gniecie i niszczy, o tych wszystkich dręczonych ponad ich siły...

– To co? Więc są dręczeni, krzywdzeni i niszczeni! Zawsze tak było. Każdego to może spotkać, mnie, ciebie, każdego. Ale jak człowiek reaguje na to wszystko, o to chodzi. Tak samo jest z powodzeniem, szczęściem, każdy to inaczej przyjmuje. I właśnie decydujące jest jak się to przyjmuje.

– A jeśli to staje się ponad siły i łamie?

– Co łamie? – spytał, jakby chciał odwlec odpowiedź.

– Nieszczęścia, straty, zawody, co chcesz. Albo... – zawahała się – po prostu zwyczajny fizyczny ból, który jest ponad wytrzymałość człowieka.

– Cóż ma ból do rzeczy?

– Ma. Mógłbyś z całą pewnością powiedzieć, że gdyby cię poddano torturom, nie załamałbyś się?

Antoni zastanowił się.

– Nie, nie mógłbym. Bardzo możliwe, że bym się załamał.

– Więc widzisz.

– Cóż z tego? Gdybym się załamał, to byłaby moja wina, moje tchórzostwo.

Maria usiadła na łóżku.

– Antoni! Siebie możesz tak osądzać, ale jakim prawem innych? To jest...

– Znów nieczułość? – uśmiechnął się ironicznie.

– Żebyś wiedział. Jakim prawem można tak patrzeć na wszystko z wysoka, z jakiegoś wspaniałego oddalenia, zupełnie jak na widowisko?

– A czy to nie jest widowisko?

Zamilkli. Antoni gniótł w popielniczce papierosa.

– Zresztą może masz rację. Często przychwytuję się, że w moim stosunku do ludzi jest coś nie w porządku. Jest w nim właściwie wszystko prócz miłości. Tej nie umiem z siebie wykrzesać, może nie chcę, czy ja wiem? Chociaż czasami ogarnia mnie wątpliwość, czy w ogóle miłość jest mi dostępna. Umiem ją odczuwać, owszem, ale jakby poza sobą. A pomiędzy mną a ludźmi zawsze istnieje jakaś zapora, dystans, podział żyjących na mnie samego z jednej strony i całą resztę z drugiej. To właśnie nazywam brakiem miłości. I wiesz, co to jest? Oto, gdy przypatruje się moim czynom choćby dobrym, gdy szukam w sobie elementarnej siły, która mną kieruje, wówczas wśród wielu uczuć i instynktów często sprzecznych i chaotycznych, nie znajduję jednego: nie odczuwam solidarności z ludzkim plemieniem. Jest we mnie jakiś szczególny egoizm, który dopuszcza, a nawet skłania mnie niekiedy do czynienia dobrego. Być zwyczajnym egoistą, to jest proste. Ale ja nim nie jestem. Pragnę czynić dobrze i wiem, że nieraz to czynię. Lecz zawsze zdaję sobie sprawę, że wszystkim moim dobrym uczynkom brakuje czegoś, jakby ci to powiedzieć... brakuje mi pełnego światła. Tak, to jest to! Myślę czasem, że ja po prostu ludźmi gardzę. I rzeczywiście, chociaż się nad nimi lituję, wydają mi się nieraz czeredą zwierząt, którą można tylko pogardzać. Gorzej, niż zwierząt. Zwierzęta są dobre i wierne, można je kochać. A to są ludzie, tylko ludzie.

– A ty wśród nich?

– Cóż ja?

Cofnął się w głąb tapczana i wygodniej się ułożył w pozycji wpół leżącej, głowę wsparłszy o kolana Marii.

– Przy tobie się uspokajam.

Błądził oczami po suficie.

– Nawet to, co ci przed chwilą mówiłem, wydaje mi się mniej dręczące, jakby mniej prawdziwe.

Maria lekko dotknęła jego włosów.

– To może niedobrze?

– Czemu?

Samochód ciężarowy zadudnił w głębi ulicy. Gdy mijał dom, zadrżały leciutko szyby.

– Czemu niedobrze?

– Drugi człowiek, to bardzo niepewne lekarstwo.

– Ty jesteś pewne! – powiedział z głębokim przekonaniem.

Oparła dłoń o jego czoło.

– Ty na pewno jesteś dla mnie lekarstwem – powtórzył. – Ale czy ja nim jestem dla ciebie, w to wątpię.

– Ach, Antoni, nie licytujmy się.

Uniósł głowę.

– Nie wierzysz?

– Ależ wierzę, że ty wierzysz w to teraz.

– Teraz?

– Wydaje mi się jednak, że się mylisz.

Usiadł nagle i powiedział rozdrażnionym tonem:

– Chyba, że wolisz, abym się mylił, tak? W takim razie...

– Mam wrażenie, że dla ciebie prawdziwym lekarstwem jest twoja praca.

– To ty się mylisz. Nie jestem aż takim egoistą.

– To nie jest egoizm, Antoni, wcale tak nie myślę. To jest twoja największa siła.

– Obojętność na wszystko? Dziękuję ci za taką siłę.

– Dlaczego obojętność? Chciałam tylko powiedzieć, że twoja twórczość jest dla ciebie najważniejsza. I tak powinno być.

– Nie jestem tego pewien.

Podniósł się nachmurzony i zapaliwszy papierosa począł chodzić po pokoju. Wtem zatrzymał się.

– Ja wiem, że tak jest, jak ty mówisz.

– A widzisz.

– Tylko to jest właśnie ta skaza o której ci wspomniałem, właśnie to!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Cóż ty opowiadasz, Antoni! Że twoja twórczość jest dla ciebie najważniejsza?

– Ach, twórczość, twórczość. Jeżeli jeszcze powiesz o sztuce przez wielkie es, o powołaniu artysty...

– Sam przed chwilą mówiłeś tak o sztuce.

Spojrzał na nią ze złością.

– Łapiesz mnie za słowa! Więc mówiłem, i co z tego? Wcale się nie zapieram, owszem, myślę tak.

– Więc?

– I wcale nie chcę oceniać, czy podobne podejście do sztuki jest złe, czy dobre. Może nawet bardzo dobre i cenne u jakiegoś iksa czy igreka. Ale u mnie płynie ono z braku mojego charakteru, wszystko jedno, jak się ten brak nazwie: pychą, egoizmem, czy tchórzostwem. Jest ten brak, to wystarczy! To są wielkie słowa o wielkości sztuki i tak dalej. I być może nie, nawet na pewno są ludzie, u których wielkość dla tych słów płynie z wielkości. Mają prawo. Ale, gdy ja nimi myślę, to mnie wyjaławia i pustoszy. Dlatego tak myślę i żyję, bo milczy we mnie jakiś głos, rozumiesz? Milczy,

albo go też wcale nie ma, nie wiem co gorsze? Pamiętasz, jak to jest u Czechowicza: mieć chmurę i nie mieć gromu... Przecież ja dobrze czuję, że we wszystkim co piszę, nie ma ani prawdziwej wielkości, ani szerokiego oddechu. Wszystko jest nijakie, niedorozwinięte i mdłe. Ach, słuchaj Mario! – oparł się o półkę z książkami i pochylił nad leżącą – gdybyś ty mogła widzieć, jak nienawidzę czasem tych swoich wierszyków, tych słów z talentem układanych, dobrze brzmiących i z tym wszystkim tak straszliwie pustych, jednowymiarowych, nie ukazujących nic z tego, co jest prawdziwą prawdą życia! Mówię ci, że to zupełnie tak, jakbym stał przed jakąś zasłoną i nie mógł poza nią przeniknąć, a jednocześnie wiedział, że od tego zależy wszystko. Czasami tylko ukazuje mi się mglisty kształt tego, co jest po tamtej stronie i to jest chyba jeszcze straszniejsze, bo wtedy się widzi i to, co mogłoby być osiągalne i własną bezsilność. Cóż z tego, że mnie chwalono, rozsławiono? To bzdura, bzdura! Ja jeden wiem, co moja poezja jest warta, nawet ty mnie nie przekonasz.

– Nie chcę cię przekonywać – szepnęła.

Wyprostował się i uśmiechnął gorzko.

– Bo uważasz to wszystko za histerię, tak?

I odszedł pod okno.

– Nie – dobiegł go spokojny głos Marii – wcale nie uważam tego za histerię. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że nie po raz pierwszy mówisz źle o swoich wierszach, prawda? Różne już miewałeś wątpliwości.

– Miewałem, i cóż z tego? Mówiłem źle, potem mówiłem dobrze, to mi w niczym teraz nie pomaga.

Stał przy oknie i uchyliwszy cokolwiek firankę spoglądał w mrok ulicy.

– Tak niejasno zresztą mówisz o tym braku swojego charakteru – odezwała się Maria.

– Niejasno?

Zaległo milczenie.

– Antoni! – zawołała wreszcie.

Nie ruszył się.

– Antoni!

– Co? – mruknął.

– Co ty tam robisz? Chodź tutaj. Słyszysz?

Zaszeleściła firanka i Antoni wyłonił się z mroku.

– Usiądź.

Zawahał się, lecz usłuchał. Przysunęła się wtedy do niego i objęła ramieniem.

– Antoni...

– Co?

– Co ci dolega?

Milczał. Głowę miał pochyloną, więc nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy.

– Antoni! – szepnęła z wyrzutem.

Naraz gwałtownym ruchem zwrócił się ku niej i tuż przy sobie ujrzała jego twarz pobladłą ze wzruszenia, skupioną, oczy szeroko rozwarte i pociemniałe.

– No, Antoni...

– Kocham cię bardzo – szepnął.

Objął ją oburącz, przyciągnął ku sobie i czołem wsparł się o jej ramię.

– Kocham cię – powtórzył i tym razem akcent tłumionej rozpaczy drgnął w jego głosie.

– Ale coś ci dolega przecież?

– Przy tobie nic.

– A gdy mnie nie ma?

– Jesteś.

– To teraz.

– Jesteś.

Nie ruszył się. Tylko ramiona mocniej zacisnął. Czuła pulsowanie jego serca tak blisko, jakby w niej ono biło. Oddech Antoniego przenikał ją ciepłem.

Wtem rozległ się w ciszy warkot nadjeżdżającego auta. Zgrzytnęły hamulce i samochód zatrzymał się gdzieś bardzo blisko. Maria drgnęła.

– Co ci się stało?

– Nic.

Nieznacznie, żeby nie poruszyć wspartego o jej ramię Antoniego przechyliła głowę i nadsłuchiwała. Słychać było koło domu kilka męskich głosów. Nie mogła jednak rozróżnić czy mówią po polsku czy po niemiecku.

– Wiesz? – odezwał się Antoni – zaproponowano mi wczoraj dość odpowiedzialną misję.

Minęła chwila.

– Słyszysz? Mario!

Teraz wyraźnie dobiegły z ulicy słowa niemieckie. Spytała machinalnie:

– Mówiłeś co?

– Zasypiałaś?

– Ależ nie!

– Powiedziałem, że wczoraj zaproponowano mi pewne dość odpowiedzialne zadanie.

– Tobie?

Podniósł głowę.

– Uważasz, że mnie nie można traktować poważnie?

– Ależ Antoni, co za głupstwa! Zwyczajnie się spytałam.

Auto odjechało.

– Kto ci proponował? Co to jest, interes jaki?

– Można to i tak nazwać.

– Jaki?

– Jaki? zastanowił się i zamilkł.

Maria czekała chwilę, wreszcie spytała:

– Więc nie wiem właściwie, chcesz mi powiedzieć czy nie?

– Owszem. Ale dlaczego się irytujesz?

Omal się nie roześmiała.

– Antoni! Ja się irytuję?

– Przecież nie ja.

– No dobrze. Więc co to jest?

Wypuścił ją z objęcia i wrócił do poprzedniej pozycji.
– Wyjazd do Berlina.
– Ty, do Berlina?
– Tak, cóż wielkiego? Za pomyślne załatwienie pewnej sprawy dostałbym sto dolarów.
– Od kogo?
– Są tacy. Ale to nieważne.
– Idioci!
– Dlaczego idioci? Cóż to za stawianie kwestii? To sprawa zupełnie serio, dostałbym paszport, oczywiście na inne nazwisko, znam niemiecki…
– I co miałeś zrobić?
– Co miałem zrobić? Właściwie prawie nic.
– Wyobrażam sobie.
– Przespacerować się pod wskazany adres i odebrać większą sumę pieniędzy, to wszystko.
Zapalił nowego papierosa.
– Mam nadzieję, że się nie zgodziłeś?
– Uważasz, że się nie nadaję do podobnych rzeczy, tak?
– Przecież to wariactwo, Antoni, zastanów się! Zdajesz sobie sprawę, czym to grozi w razie wpadnięcia?
Wzruszył ramionami.
– Nic by mi się nie stało.
– To żaden argument.
– A jeśli nawet…
– Chodzi ci o zarobek?
– Ależ nie! Pieniądze, które bym przywiózł, są ważne.
– Co odpowiedziałeś tym ludziom?
– Co odpowiedziałem?
– Coś przecież musiałeś im powiedzieć?
– Oczywiście.
– Więc?
– Nic stanowczego, ani tak ani nie. I to właśnie, ta niemożność natychmiastowej decyzji…
– Masz ochotę jechać?
– Ochotę? Nie wiem, czy to jest właściwe w tym wypadku określenie.
– Więc nie masz?
Zawahał się.
– Nie, nie mam. Ale właśnie dlatego powinienem pojechać.
– Dlaczego? Zastanów się, po co ten przymus. Antoni!
– Uważasz, że powinno się robić tylko to, na co ma się ochotę?
– Nie, wiesz, że tak nigdy nie myślałam i nie myślę. Dziwię się nawet, że tak mówisz. Sądzę, jednak że nie ma najmniejszego sensu zmuszać się do zrobienia czegoś, do czego się nie ma danych.

– Ach, więc to!

– Kim są?

– Nie wiem.

– Antoni!

– I jeśli mam być szczery, nic a nic mnie to nie obchodzi.

– Nie przyjdzie ci do głowy ubiegać się o mistrzostwo w biegu na sto metrów, prawda?

– Widzisz więc, że miałem słuszność, bo o to ci chodzi, że się nie nadaję. Stu innych może to zrobić, może narażać swoje życie, tylko nie ja!

Maria zmieszała się.

Ależ, Antoni, jak ty to dziwnie pojmujesz?

– Zwyczajnie, tak jak jest.

– Wcale nie.

– Więc może powiesz, że nie uważasz mnie za tchórza stworzonego do wiecznego dekowania się? Przecież myślisz tak. Jestem pewien, że w głębi duszy, może nawet sobie nie uświadamiając tego, pogardzasz mną. Musisz pogardzać.

– Rozdrażniasz się, Antoni.

– To nie jest odpowiedź. Powiedz po prostu: nie pogardzasz mną?

– Jeśli nie przestaniesz zadawać niedorzecznych pytań, to obawiam się, że rzeczywiście będziesz miał rację.

– To wykręty! Jakież to są niedorzeczne pytania? Wyciągam prosty wniosek z twoich własnych słów.

– Więc co, uważasz może, że powinnam cię namawiać do tego wyjazdu, tak? Bo tylko czekam, kiedy oświadczysz, że to dzięki mnie zdecydowałeś się jechać.

Antoni poczerwieniał lekko i odwrócił głowę.

– Nie obawiaj się, nie powiem tego. Ale gdybyś mnie ceniła, to wiedząc, że tu chodzi o sprawę naprawdę ważną, musiałabyś powiedzieć: jedź! A twój protest, to tylko oszczędzanie mnie, bo ty wiesz, że ja jechać nie chcę, że mam tysiące różnych zahamowań, zresztą co tu mówić o zahamowaniach? po prostu boję się, i ty to dobrze wiesz i starasz uspokoić mnie, żebym był usprawiedliwiony przed samym sobą. To jest litowanie się nade mną, najgorsze co może być, ordynarna litość!

Zatrzymał się przy stole i wyjął z kieszeni papierosa. Dwie zapałki wyciągnął po kolei wypalone, trzecia złamała mu się w palcach, rzucił więc pudełko na podłogę i przeszedł do swego pokoju. Słyszała, że w ciemnościach potrącił krzesło, jakaś książka spadła na ziemię. Wreszcie znalazł zapałki, zapalił papierosa i przycichł.

Maria uczuła chłód. Naciągnęła kołdrę na plecy, owinęła się nią aż po brodę i podkuliwszy pod siebie nogi oparła się o ścianę. Czekała dłuższą chwilę. Wreszcie zawołała:

– Antoni!

Stanął w drzwiach nachmurzony, nieomal wrogi.

– Zdaje się, że najlepiej zrobisz, jeżeli położysz się.

– Dobrze – zgodził się z nieoczekiwaną uległością.

Uspokojona położyła się. Tymczasem Antoni dopalając papierosa począł się krę-

cić po pokoju. Wreszcie usiadł na krześle i zabrał się do zdejmowania butów.

– Jak myślisz – odezwał się – może okno odemknąć na chwilę, bardzo tu nadymione.

– Otwórz – zgodziła się.

Poszedł w skarpetkach i rozsunął firanki.

– Wiesz, przestało padać, wygląda tak, jakby się miało wypogodzić.

Chłodne powietrze październikowej nocy wdarło się do pokoju.

– Nie stój w oknie – powiedziała Maria – zaziębisz się.

– Nie zaziębię się. Naprawdę gwiazdy zaczynają przeświytywać, wiesz? Wyobrażasz sobie, jak pięknie musi być teraz na wsi?

– Antoni, proszę cię, nie stój w oknie.

Usłuchał tym razem. Otworzył szafę i począł szukać swoich rzeczy. Po chwili dobiegł Marię zakłopotany głos.

Słuchaj, nie wiesz, gdzie są moje pantofle?

– Myślę, że tam gdzie je rano położyłeś.

– Tu je położyłem, jak zawsze. I jest tylko jeden.

– Pewnie drugi gdzie indziej rzuciłeś.

– Ależ co znowu! Przecież dobrze pamiętam, że oba położyłem razem. Może ty go gdzieś zarzuciłaś?

– Poszukaj dobrze. Jeżeli nie ma go w łazience, albo pod twoim biurkiem, to na pewno jest w szafie.

Ukląkł na podłodze i wetknął głowę do środka.

– Jest! – stwierdził wreszcie spomiędzy ubrań i sukien.

– A pyjama?

– Jest, jest, nie kpij sobie ze mnie.

– Nic podobnego. Nie chcę cię jednak martwić, ale wczoraj znalazłam twoje spodnie pyjamowe za tapczanem.

– Za tapczanem? To niemożliwe!

– Ale prawdziwe.

– A prawda! Rano, kiedy ty już wyszłaś, ktoś dzwonił, tu było jeszcze niepoprzątane... nie zimno ci?

– Trochę, dość chyba tego wietrzenia?

Zamknął okno i chwilę jeszcze przy nim stał.

– Jutro na pewno będzie ładnie – powiedział spoglądając na niebo. – O Boże, kiedyż nareszcie człowiek będzie znowu wolny!

I zaczął się rozbierać. Spodnie rzucił na jedno krzesło, koszulę na drugie, skarpetki cisnął pod stół. Marię zaniepokoiły te odgłosy bezładu.

– Antoni, jutro znowu niczego nie będziesz mógł znaleźć.

Roześmiał się bardzo pogodnie.

– Znajdę, nie bój się!

Na koniec stanął przy tapczanie.

– Śpiąca?

Przezwyciężyła się, aby ukryć zmęczenie, jakie ją ogarnęło.

– Nie, ale niech tu już będzie spokój, dobrze?
– Spokój? – A czy teraz nie ma spokoju?
– Będzie większy, jak przestaniesz się kręcić.
– I tak nie zasnę.

Przeszedł do łazienki zostawiając drzwi pootwierane, więc krzątanina jego i szmer wody docierały do pokoju. Maria przymknęła powieki i leżała bez ruchu, zewnętrznym skupieniem usiłując różnym i zmąconym myślom przywrócić spokój. Monotonny plusk wody szumiał pod jej powiekami. Aż nagle stała się w nim melodia owej harmonii z dawnego popołudnia w Kazimierzu. Spokój. Rudawe liście pod niebem niebieskim. Powietrze bardzo przejrzyste. Czerwone jarzębiny. Złotawe smugi blasku słonecznego. Cisza. Podniosła powieki. Świecznik w górze ciemniał brązem ramion, pomiędzy delikatnymi rzeźbieniami lśniły kruche odblaski światła.

Z łazienki dobiegł silniejszy plusk wody. To Antoni brał prysznic. Słyszała jego szybkie ruchy, uderzenia dłoni po ciele, tupot nóg. Ogarnęło ją znużenie bezczynnym wyczekiwaniem. Zapragnęła, aby Antoni już był tu wreszcie, żeby leżał obok niej nie dalej, niż na wyciągnięcie ramienia.

Niespodziewanie szybko był gotów. Stanął we drzwiach nagi do pasa, wycierając twarz.

– Nie zasnęłaś?
– Nie.
– Musiałem, wiesz, wziąć prysznic, inaczej całkiem bym oklapnął.

Wycierał ramiona i spoglądał na Marię z uśmiechem człowieka, któremu nic zdaje się nie brakować do szczęścia.

– Nie marudź – powiedziała.
– Już!

Wrócił do łazienki i prawie natychmiast, naciągając po drodze kurtkę pyjamową, zjawił się z powrotem.

– Nie zostawiłeś światła?
– Nie.

Szybko wsunął się pod kołdrę.

– Gasić?
– Zgaś.

Zaległa ciemność. Leżeli w milczeniu i w bliskości, która wkrótce zrównała ich oddechy. W pewnej chwili Maria poczuła, że Antoni szuka jej dłoni. Znalazłszy, zamknął w swojej.

Szepnął:

– Nie gniewasz się?

Odpowiedziała lekkim poruszeniem ręki. Znowu zaległo milczenie.

– Zasypiasz?
– Nie.

Zwrócił głowę w jej stronę, lecz chociaż leżała tak blisko, iż oddech jej czuł na policzku, ledwie mógł dostrzec zarys twarzy. Tylko włosy Marii rozjaśniały cokolwiek ciemności.

– O czym myślisz?
– Tak o różnych rzeczach.
– Cały dzień cię dzisiaj nie widziałem. Nie wróciłaś po biurze.
– Przecież mówiłam ci rano, że mam różne sprawy do załatwienia.
– Wiem, ale tak myślałem. Cały dzień siedziałem w domu, wyszedłem tylko na obiad i zaraz wróciłem. Zazdrosny jestem o te twoje sprawy.
Roześmiała się.
– Nie ma o co! Odebrałam twój zimowy kapelusz z pralni, kupiłam kilo słoniny, godzinę prawie stałam w kolejce, żeby wysłać list... a wiesz, co widziałam na placu Małachowskiego, wiesz, tam gdzie są książki w bramie tego spalonego domu?
– Nie?
– Pierwsze wydanie „Pana Tadeusza"
– Nie? Za ile?
– Dziesięć złotych, pomyśl, mniej niż kilo słoniny.
– O Boże! I nie kupiłaś?
– Nie miałam z sobą więcej pieniędzy.
– Jak myślisz, jutro to jeszcze będzie?
– Jutro? Chyba...
– Pobiegnę z samego rana. I ładny egzemplarz?
– Ładny, oprawny w półskórek.
Westchnął z głębokim żalem. I po chwili:
– Pamiętasz to?

Ach! czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że dzisiaj znajdą to serdeczne słowo,
Które rozczula rozpacz marmorową,
Które z serc wieko podejmie kamienne...

Nagle urwał. W ciszy, wysoko w ciemnościach, rozbrzmiał śpiew niemieckiego oddziału. Rósł silnymi głosami, słychać było ciężki rytm maszerujących. Jedne głosy prowadziły melodię, inne ją wspierały i tak ta piosenka zwycięska, samotna i obca mijała nad miastem, cichnąc powoli, aż wreszcie przepadła, jak gdyby wniknęła w ziemię.
Antoni silniej ścisnął dłoń Marii. Oswoili się z ciemnością, lecz twarzy swoich nie mogli dojrzeć. Zegar daleko uderzył raz jeden.
– Pół do pierwszej – szepnął Antoni. – A może pierwsza? Widziałaś dzisiaj Ryszarda?
Ponieważ nie odpowiedziała, wydało mu się że zasnęła.
– Mario!
– Ryszarda? Nie, nie widziałam.
– Może zachorował, jak myślisz?
Wsparł się na ramieniu i pochylił nad Marią.
– Przeszkadzam ci zasnąć tym gadaniem, tak?

– Nie, Antoni, nie chce mi się spać.

Musnął wargami jej czoło i brwi. Powieki miała przymknięte.

– Smutna?

– Nie, Antoni.

– Przecież widzę.

– Nic nie możesz widzieć po ciemku.

– Ale czuję. Nie oszukasz mnie. Coś ci dolega. I to z mego powodu, tak? Powiedz...

– Nie, Antoni, nie z twojego powodu.

– Więc co?

Objął leżącą i twarz przycisnął do jej policzka. Poczuła teraz całą sobą bliskość jego ciała chłodnego od niedawnej kąpieli i przez chwilę zapragnęła o wszystkim zapomnieć i tylko poddać się bezpieczeństwu, jakie niosły jej ramiona Antoniego, jego wargi jeszcze pachnące wodą, on cały.

– Mario! – szepnął.

– Co?

– Co ci jest?

– Wiesz o czym przed chwilą pomyślałam?

– No?

– Że najlepiej zrobiłby ci teraz wyjazd.

– Do Berlina?

– Ależ nie, co za głupstwa! Gdzieś na wieś.

– Na wieś? Na jaką wieś?

– Po co tu masz właściwe siedzieć? Zmiana otoczenia na pewno dobrze by ci zrobiła. Mógłbyś jechać choćby jutro.

– Ale gdzie? I za co? Nie, to nie ma sensu. Teraz na wieś? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Dlaczego nie ma sensu? Pieniądze się jeszcze znajdą, zresztą można się tanio urządzić, a tu się też wydaje. A gdzie? Choćby do Piotra do Kazimierza. Na pewno teraz u niego pusto. Pamiętasz, jak jesienią jest pięknie w Kazimierzu?

Antoni milczał.

– Nie, to nie ma sensu! – mruknął wreszcie. – Gdybyśmy razem pojechali, to co innego.

– Co za dzieciństwo, Antoni! Wiesz, że ja nie mogę wyjechać.

– No właśnie! Nie widzę więc powodów, dlaczego ty musisz się męczyć w biurze, a ja używać przyjemności.

– Możesz tam pracować.

– Ech, taka praca!

– Pamiętasz, jak każdy wyjazd dobrze ci robił? Już w pociągu zaczynałeś lepiej myśleć.

Antoni odsunął się i położył się na wznak.

– Złudzenia! – Wszystkie moje wyjazdy, to były ucieczki przed samym sobą, usprawiedliwione ucieczki nic więcej. Nowe wrażenia, nowi ludzie, to bzdura wszystko!

Maria nie ustępowała.

– Sam nie wierzysz temu co mówisz.

– Wierzę.

– Ale na wsi chciałbyś być, choćby w Kazimierzu?

– Czy ja wiem? Może. Ale co z tego?

– Więc jedź. U Piotra będzie ci na pewno dobrze.

– Piotr siedzi pewnie teraz nad tym swoim projektem polichromii, więc nie będziecie sobie przeszkadzać.

– Skąd ci to wszystko przyszło do głowy? - zastanowił się Antoni.

– Nie wiesz, że niespodziewane projekty są zawsze najlepsze?

– Z tego wniosek, że powinienem się zdecydować na Berlin.

– Antoni, ja poważnie mówię!

– Ja też.

Zamilkli i wzajemna uraza przedłużała ciszę. Wreszcie odezwał się Antoni:

– Owszem, przyznaję ci, że chętnie znalazłbym się na wsi, choćby w Kazimierzu. I Piotrem też bym się ucieszył.

– A widzisz.

– Bardzo możliwe, że takie wyrwanie się z Warszawy dobrze by mi zrobiło. Chociaż tak się wydaje teraz, gdy tam nie jestem, a gdybym tam już siedział, to jeszcze nie wiadomo, jakby to było. Ale nie, to bzdura! I zresztą nie mogę wyjechać.

– Dlaczego?

– Bo tak się różne sprawy składają.

Nie spytała jakie. Leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Antoni wsparłszy się na łokciu spoglądał na Marię w milczeniu. Daremnie usiłował przeniknąć mrok i odnaleźć jej rysy.

– Nie masz już dosyć tego gadania?

Chciała odpowiedzieć, lecz głos uwiązał jej w krtani. Szepnęła coś niewyraźnie.

– Bo widzisz – zaczął z wahaniem – chciałem ci coś powiedzieć, na samym początku chciałem to zrobić, tylko tak się jakoś nie składało... chciałem ci wyjaśnić...

Sięgnął po papierośnicę leżącą na półce z książkami i zapalił papierosa:

– Widzisz, ja o tych sprawach bardzo dużo ostatnio myślałem...

Urwał i głęboko zaciągnął się dymem. Cisza przedłużała się. Wreszcie podjął znowu:

– Zrozum! – głos jego drgnął żywszym akcentem – że jeżeli wielokrotnie miewałem różne zastrzeżenia wobec mojego pisania, to było to, co innego niż teraz, zupełnie co innego. Wtedy przed wojną nigdy by mi do głowy nie przyszło kwestjonować samej ważności pisania, nie tylko mojej osobistej, ale i społecznej. A wiesz, kiedy po raz pierwszy odczułem nieważność moich słów, ich zupełną bezużyteczność? Pamiętasz wieczór ósmego września, kiedy mijaliśmy Pilawę i natknęliśmy się na trupy porwane na strzępy koło przejazdu kolejowego, a potem we wsi była obława na jakiegoś szpiega czy dywersanta? Ale to nie to! Zaraz potem mieliśmy przeciąć trakt lubelski, pamiętasz?

– Pamiętam – szepnęła.

– Tłum ludzi w kurzu, wozy, samochody, wojsko... pamiętasz, jaki piękny był wieczór? Wiesz, wtedy wobec tego stada ludzi, którzy porzucili swoje domy i wlekli się nie wiadomo gdzie, zrozumiałem, jak mało znaczy najpiękniejsze dzieło sztuki, jak to nic, nic nie znaczy. Pamiętasz, jak koło Okrzei dogonił nasz wóz półobłąkany żołnierz i opowiadał o oblężeniu Brześcia? A ten wieczór w Rudnie, kiedy staliśmy w tłumie pod plebanią oczekując komunikatów i Warszawa po raz pierwszy się nie odezwała? Widzisz, właśnie takie jakieś drobne zdarzenia wyrwane spośród całego zamętu i zabłąkania uświadamiały mi piekielną grozę tego, co się dzieje i że ja, młody i zdrowy mężczyzna, jestem tylko widzem plączącym się po drogach, głupim cywilem ratującym własną skórę, gdy ginie tylu młodych i tak samo jak ja życia spragnionych. Pamiętasz na drodze do Włodawy tych kilku sztubaków wlokących się w skwarze z karabinami? I cóż z tego, że tysiące ludzi było w takim samym położeniu jak ja? Powiedz sama, co to znaczy? I co słowo, co tu słowo znaczy? Powiedz, jakie można znaleźć słowa i co im z siebie dać, gdy się chociaż raz jeden w życiu nie dzieliło z ludźmi trudnego obowiązku? Co znaczą moje przeżycia i moje problemy wobec zwykłego, prostego spełnienia obowiązku? Ja mogę przeżywać wszystko, co mi się podoba, a sumienie? ach sumienie, inteligentnego człowieka zawsze jakoś sobie poradzi, żeby nie było zbyt ciężko. Sumienie, odpowiedzialność osobistą, to wszystko można obejść i powiedz, kto tego nie robi? Wszyscy się załgają, z tą tylko różnicą, że im kto jest inteligentniejszy tym lepiej to robi aż sam się wreszcie gubi i przestaje rozeznawać, gdzie się kończy prawda a zaczyna fałsz.

– Ale ja ciebie męczę?

– Nie. Mów...

Sięgnął po nowego papierosa.

– Cóż jeszcze mówić, to wszystko właściwie! Wierz mi, Mario – pochylił się nad leżącą – że to wszystko, co ja piszę, to naprawdę jest złe, karykaturalnie wykrzywione, musiałem do tego dojść. Mówię ci, gdy ludzie którzy żyją na tej samej ziemi, ci i ja, idą bronić kraju swoimi życiami, gdy rozstrzeliwani są najlepsi, a tysiące giną i dogorywają po więzieniach i po obozach, słuchaj Mario wówczas choćby na najmniejszym odcinku nie dzieli się wspólnego losu i niebezpieczeństwa – nie podobna pisać, aby każde słowo nie dźwięczało blagą, koturnem, po prostu fałszem! Ja już nawet nie myślę o patriotyzmie, tu chodzi o coś jeszcze głębszego, o wiele głębszego. Czy nie myślisz, że podnieść na polu bitwy rannego towarzysza i z narażeniem własnego życia wziąć go na ramiona, albo w obozie podzielić się z obcym człowiekiem ostatnim ochłapem jedzenia, odstąpić mu, gdy marznie swoją ciepłą rzecz, to znaczy o wiele więcej, niż najmądrzejsze rozważania we własnym pokoju, gdzie jest ci ciepło i gdzie ci nic nie grozi? Powiedz...

– Dzisiaj wszędzie i każdemu coś grozi. Czy można te rzeczy porównywać, Antoni? – szepnęła.

– Trzeba. Powiedziałem ci, że gardzę ludźmi. I rzeczywiście gardzę nimi.

Ale czy ta moja pogarda, moje głupie poczucie, że jestem jak gdyby ponad nimi, niemal z innej ulepiony gliny, czy to nie z tego płynie, że ja z ludźmi nie

dzieliłem i nie dzielę żadnego obowiązku, któryby wymagał ode mnie trudnej zapłaty? Zrozum, ja rzeczywiście kocham sztukę ponad wszystko i ona dla mnie najwięcej znaczy i dla niej chcę żyć. Ale zdaję sobie sprawę, że to o wiele za mało ją kochać i aby w sobie odnaleźć jej prawdziwy sens i dobrze jej służyć trzeba być człowiekiem, trzeba właśnie w sobie odnaleźć, nie wiem jak to nazwać, miłość, mądrość, pokorę, nie wiem, ale trzeba odnaleźć w sobie to coś jedynego, co niczym prócz własnego życia nie da się ożywić, niczym sfałszować ani wymędrkować. Tego się nie wymyśli, to musi być. Trzeba, aby mi wierzono, że kiedy powiem miłość, to to jest miłość, i gdy powiem odpowiedzialność jest to odpowiedzialność, którą gotów jestem potwierdzić życiem, moja odpowiedzialność, mojego istnienia, mojej prawdy, mojego stosunku do człowieka.

Siedział z brodą wspartą o podkurczone kolana i żarzący się ogień papierosa ukazywał Marii jego profil, wysoką linię czoła, skroń, której pulsowanie żył nadawało niebieskawy, prawie przezroczysty cień, ciemne brwi i ostry zarys policzka. Gdy papieros przygasł, zacierał się i ten kontur.

– A pisanie? – spytała cicho.

– Cóż pisanie?

– Czy nie narażasz się swoim pisaniem, czy to też nie jest odpowiedzialność?

Antoni Milczał.

– Pomyśl, Antoni.

– To nie jest to samo. To jest także odpowiedzialność, wiem, ale odpowiedzialność zupełnie inna. Życia nie narażam, niebezpieczeństwa, które innych dotykają, mnie nie grożą.

– Myślisz, że życie jest taką ceną?

– Jest.

Cisza. Gdzieś bardzo wysoko głucho zadudnił samolot.

Maria:

– Więc co chcesz robić?

– Należeć do czegoś, służyć, być potrzebnym teraz, zaraz, i sobą a nie książką, która może być dobra albo nic nie warta i która dopiero po latach może coś znaczyć, albo i nic.

– Niecierpliwość, Antoni!

– Nie tylko niecierpliwość. Czy nie rozumiesz, że życie żąda od ludzi różnych rzeczy i trzeba na jego wezwanie odpowiadać?

– Rozumiem.

– Więc dlaczego oburzyłaś się na mój wyjazd do Berlina? Zresztą nie upieram się przy tym, może rzeczywiście to nie dla mnie, ale coś przecież mogę robić, mogę być w czymś pożytecznym, nie?

I ciągnął dalej:

– Już nieraz chciałem porozmawiać o tych sprawach ze Stasiem. Jestem przekonany, że taki człowiek jak on na pewno nie siedzi bezczynnie i nie poprzestaje na pracy w tym swoim zakładzie monterskim, nie myślisz?

Nic nie odpowiedziała. Antoni wsparłszy głowę o kolana też milczał.

Po chwili:

– Wiesz, pić mi się strasznie chce, musieliśmy na kolację zjeść coś słonego.

– Jest herbata na stole.

Westchnął, że trzeba się będzie podnieść. Ale wstał. Przez chwilę szukał po omacku pantofli, wreszcie poszedł boso. Brzęknęła szklanka.

– Słodzona?

– Tak.

– Może ty chcesz?

– Nie dziękuję.

Wypił duszkiem. Przeciągnął się i ziewnął.

– Znowu tu nadymione. Ale już chyba nie wietrzyć, jak myślisz?

Wrócił na tapczan.

– Trzeba spać, co?

Położył się i wyciągnął dłoń w kierunku Marii. Natrafił na pustkę.

– Gdzie ty jesteś? – zaniepokoił się.

– Tutaj – dobiegł go głos Marii bardzo bliski, lecz jednocześnie tak dziwnie, obco brzmiący, jak gdyby dotarł z bardzo daleka.

– Wiesz, to straszne! – począł mówić pospiesznie – wydało mi się przez chwilę, że ciebie nie ma, że nagle znikłaś. To okropne było. Dlaczego nie leżysz.

Poszukał jej w ciemnościach i znalazł tuż obok siebie opartą o ścianę. Natrafił na dłoń, była zziębnięta i bezwładna.

– Mario!

– Słuchaj, Antoni – głos jej brzmiał już naturalnie – nie wiesz jeszcze pewnie...

– Czego nie wiem?

– Oczywiście, że nie wiesz, ale Ryszard...

– Co Ryszard?

– Został aresztowany.

Antoni drgnął.

– Staś? Jak to, kiedy? Co ty mówisz?

– Dzisiaj rano, u siebie.

Dłoń jego zsunęła się z ręki Marii.

– To straszne.

Po chwili:

– Ale dlaczego? Może to jakaś omyłka? Należał do czegoś?

– Tak.

– To straszne – powtórzył.

Nagle ocknął się.

– I wiesz to od dawna i nic mi nie powiedziałaś?

Milczała.

– Mario! Dlaczego?

– Niedawno dowiedziałam się.

– Jak to niedawno?

– Przed godziną jakąś zawiadomiono mnie.

– Ciebie zawiadomiono? Kto?
– Ten dzwonek...
– Więc to nie była Wrońska po aspirynę?
– Nie.
– Skłamałaś?
– Ach, Antoni – powiedziała zmęczym głosem – po co te wielkie słowa? Nie zrobiłam tego dla swojej przyjemności. Może byłoby mi lżej od razu pobiec do ciebie i wszystko powiedzieć.
– Oszczędzasz mnie?
– Masz mi to za złe?
– Ależ nie! Tylko potwierdza się to, co już mówiłem o twoim istotnym stosunku do mnie. Uważasz mnie za tak słaby charakter, za taką szmatę...
Przerwała mu:
– To wstyd Antoni, że my w tej chwili tak ze sobą rozmawiamy.
Natychmiast się opanował.
– Przepraszam cię. Ale dlaczego...
– Pozwól, wszystko ci powiem. Jeżeli...
– Zaraz, zaraz, słuchaj, ten twój projekt mojego wyjazdu natychmiast i to wszystko... czy i ty?
– Tak.
– W związku ze Stasiem?
– Tak.
– Grozi ci coś?
Nie wiem Antoni, może tak, może nie, ale raczej tak. W każdym razie nie mogę tu pozostać w mieszkaniu. I ty także, to jasne. Staś był ze mną w najbliższym kontakcie organizacyjnym. Zrozum, to wszystko stało się tak niespodziewanie. Nie wiem, co Staś przechowywał u siebie, co u niego znaleziono, jak potoczy się śledztwo...
– Antoni, nie utrudniaj mi tych chwil, są i tak dość trudne.
– Więc co chcesz, żebym zrobił?
– Wyjechał, zaraz z samego rana wyjechał. Musisz wyjechać.
– A ty?
– Ja muszę zostać. Przynajmniej na razie.
– I rzeczywiście chcesz, żebym wyjechał? Sam?
– Antoni, musisz, powinieneś... ja tylko dlatego nie wyjeżdżam, że nie mogę. Ale tutaj też nie będę mieszkać.
– Antoni...
– Czy myślisz, że Staś nie wyjdzie z tego?
– Nie wiem.
– A gdyby ciebie złapano?
– Nie wiem, Antoni. Skąd to mogę wiedzieć?
– W każdym razie nie przypuszczasz, aby zwolniono cię po paru godzinach i jeszcze przeproszono za omyłkę?
– Nie wiem, Antoni, nic nie wiem, nie przypuszczam, po co mam o tym

myśleć?

Antoni sięgnął po papierosa. W błysku zapałki ujrzała jego twarz zmienioną. I zaraz zaległa ciemność.

– Antoni...

Milczał.

– Antoni, zrozum to wszystko.

– Aż za dobrze rozumiem.

– I co?

– Chcesz wiedzieć? Czuję się tak, jakby mi dano w pysk.

– Antoni!

– Tak, nie mogłaś wyraźniej i dotkliwiej dać mi do zrozumienia, że jestem tchórz.

– Och, Antoni! – przecież ty ciągle myślisz o sobie.

– Wiem, nie umiem widać inaczej, po co mam udawać? Dopiero teraz zrozumiałem, że ty mnie nie kochasz, nie możesz kochać.

– Zwariowałeś, Antoni?

– Przeciwnie, właśnie teraz widzę jasno.

– Nic nie widzisz, mówisz jak ślepy i głuchy.

Zamilkli. Bardzo wysoko, uwięziony wśród nieruchomych ciemności, kołował warkot samolotu.

– Powiedz sama, czy miłość nie wyraża się i w tym, że się jest zawsze gotowym dzielić ciężkie chwile i niebezpieczeństwa? Więcej nawet niż radość? Czy nie musi się być wtedy razem, powiedz?

– Po cóż my mamy o miłości mówić, Antoni? – powiedziała cicho. – Wszystko jest takie jasne i proste, tylko ty nie chcesz zrozumieć.

Znowu zamilkli. Marii wydało się, że cała rozmowa ciągnie się od tak dawna, iż wkrótce musi dnieć. Spojrzała w stronę okien. Noc trwała niezmienna.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdybym wyjechał i z tobą stało by się coś tutaj, gdybyś...

– Nic mi się nie stanie.

– Skąd wiesz, sama mówiłaś...

– Nie wiem, ale wierzę, że jeżeli mam jeszcze coś w życiu zrobić, to zrobię to. Zostając w Warszawie w niczym mi nie pomożesz.

– Będę przy tobie.

– Antoni, to na pewno pierwszy raz w życiu i myślę, że ostatni, kiedy lżej byłoby mi być bez ciebie.

Wsparł się czołem o kolana i siedział tak bez ruchu dłuższą chwilę.

Wreszcie spytał:

– Czy Staś był bardzo zaangażowany w tę robotę?

– Bardzo.

– Dużo wie?

– Dużo. Ach, Antoni, żebyś ty chciał zrozumieć, jak bardzo tym wszystkim, czym się teraz męczysz, zdradzasz siebie!

– Ja, siebie?

– Ty! Mówiłeś o odpowiedzialności, a nie chcesz zdać sobie sprawy, że twoje prawdziwe sprzeniewierzenie się, to nie tamto, lecz właśnie, że w ten sposób myślisz.

– Zlituj się, przecież ja nie jestem tylko pisarzem, jak można tak? To straszne, co ty mówisz! Jestem także człowiekiem takim samym, jak każdy inny, jak Staś, jak tysiące innych!

– Wcale nie takim samym. I dlaczego chcesz się upodabniać do innych, dlaczego inni mają być dla ciebie wzorem?

– Ależ to nie jest upodobnianie się! To zwykły instynkt, sumienie, nazywaj to jak chcesz. Ani staram się, ani chcę być taki sam, jak ktoś drugi, ale przecież ludzi musi coś łączyć, musi między nimi istnieć jakaś solidarność, jakiś wspólny obowiązek, nie?

– Antoni, Antoni, każdy człowiek ma inny obowiązek, czy nie mówiliśmy o tym wiele razy? I dlaczego ty masz podejmować to samo, co Staś?

– Bo to naraża, za to się płaci!

– Za wszystko się płaci.

– Tak, ale to jest wiara, że istnieje prawda i sprawiedliwość, które przerastają i moje życie i życia innych, to jest wierność czemuś, co jest większe ode mnie, od każdego człowieka pojedynczego. I to jest... – zaciął się – to jest nareszcie wyjście poza siebie, poza swoje odosobnienie, poza swoją samotność!

Cisza. Po chwili Maria:

– Jak ty się odsłaniasz sam nawet o tym nie wiedząc!

– Ja?

– Ty. Pomyśl czy te twoje pragnienia, to nie jest tak, jakbyś chciał skoczyć w nieznane, w świat wydający ci się bohaterskim? Czy to nie jest u ciebie chęć ujrzenia siebie w nowych dekoracjach, ten twój niepokój, twoja niezdolność rezygnowania i wybierania i jeszcze trochę pychy, żeby nigdy nie pozostać w tyle za drugimi i we wszystkim wykazać się?

– Może... A jednak ty sama...

– Ja to co innego, moje życie ma zupełnie inny sens, niż twoje, nie jestem twórcą.

– Ach to!

– To duża różnica. Mówisz o konieczności dzielenia obowiązków z innymi ludźmi. A czy nie bywa czasami trudniej zrozumieć i przyjąć, że właśnie pewnego trudu podjąć się nie może, że nie jest dla nas i tylko możemy go pragnąć, lecz nigdy dokonać, jeśli nie ma nimi rządzić ślepy instynkt, pomyśl? I żyć z tą świadomością, lecz bez goryczy, Antoni, tylko rozumiejąc, że każde ludzkie istnienie posiada inny sens i inną wielkość i małość...

– Godzić się biernie na swoją małość?

– Może raczej wiedzieć, że się jest także i małym, pamiętać o tym.

– Dobrowolnie brnąć w cierpiętnictwo?

– Dlaczego? Trzeba tylko zrozumieć, że nie można wszystkiego. I zrozumieć, co się może, a czego się nie może. Chciałbyś wszystko móc?

– Wiem, że to możliwe.

– Więc dlaczego szarpiesz się i męczysz, że nie jesteś człowiekiem czynu? Dlaczego odrzucasz i lekceważysz właśnie to, co jest w tobie czynnego, swoją pracę?

Myślisz, że będziesz lepiej pisał naginając swoje życie do warunków, które nie są dla ciebie?

– Trzeba próbować. Mówić z góry, że to albo tamto jest nie dla mnie, w ten sposób można się od wszystkiego uchylić.

– Ach, Antoni, wiesz przecież doskonale, że takie życie o jakim myślisz, jest nie dla ciebie. Czy widzisz siebie na jakimś wózku przewożącego wśród worków kartofli granaty i rewolwery, narażającego się ciągle na niebezpieczeństwo, mieszkającego raz tu, raz gdzie indziej, albo kolportującego bibułę, która nic cię nie będzie obchodzić? Oszukujesz się, i po co?

Długo Milczał. Wreszcie podniósł głowę i szepnął:

– Może dlatego, że chciałbym być inny.

– Kto z nas, Antoni, nie chciałby być innym, niż jest?

– To mało chcieć.

– I co? Wiem, że to czasem przełamuje nasze słabości...

– A widzisz.

– Ale czy o wiele częściej to niezadowolenie z siebie, to ściganie pragnieniami jakiegoś mglistego drugiego ja nie płynie ze słabości raczej, niż z siły?. Czy nie trawi nas często bunt przeciw sobie dlatego, że nie chcemy ocenić własnych możliwości i nic nie czyniąc wolimy łudzić się, że gdyby nadarzyły się odpowiednie warunki moglibyśmy góry przenosić?

Antoni położył się i dłonie splótł pod głową.

– Gdyby to było takie proste, jak ty mówisz! Poznać siebie, ocenić i trzymać się już na całe życie tej wiadomej, choćby była mała i płaska. Widzieć wielkość innych, lecz samemu powiedzieć sobie raz na zawsze: to nie dla mnie. I nie pragnąć tego, nie cierpieć, że się jest ułomnym. Ach, Mario! każ ślepemu nie tęsknić za niebem pogodnym, za zielenią łąk, za wszystkim pięknem, które jest dane innym, lecz odjęte jemu. To są słowa, Mario, może mądre: ale tą mądrością, która jest jakby za wyniosła, za wysoka dla ludzi i dlatego już prawie bezużyteczna. Można wiedzieć, że tak jest, lecz jak się z tym pogodzić? Cóż z tego, że wiem, iż każdemu dane jest co innego, albo że nie ma człowieka, który by nie posiadał jakiejś wartości, choćby najniklejszej i której nie mógłby rozwinąć. Ach, i wolna wola, zrozumieć swoje przeznaczenie i wypełnić je! Pamiętasz ten wiersz z psalmu: położyłeś granicę, której nie przekroczą... I cóż, to można wiedzieć, ale ta wiedza ani cię uspokoi, ani rozgrzeszy. Będzie cię tak samo męczyło to twoje, jak ty mówisz drugie ja i będziesz tak samo tęskniła za wszystkim, czego tobie brak a co ci się wydaje godnym posiadania, zupełnie tak samo, jakbyś nie znała dla siebie żadnych granic i ufała, że osiągniesz wszystko co tylko pragniesz. Może nawet z taką wiarą lżej żyć? Buntujesz się wtedy przeciw światu, przeciw ludziom, sobie, przeciw wszystkiemu, chcesz cały świat urządzić na nowo, szukasz, depczesz, pomyśl, Mario, mierz siłę na zamiary! A to zostajesz tylko sam na sam z tą nieubłaganą mądrością, która twoim czynom kładzie granicę, lecz tym dotkliwiej ukazuje wszystkie inne czyny tobie niedostępne. Możesz nie tęsknić straszliwie? I gdy o tym myślisz, może cię nie męczyć bunt, że tak jest?

– Bunt? – szepnęła. – Może smutek?

– Może... ale jaki? To tak łatwo powiedzieć: smutek.

Umilkli. Antoni wyciągnął rękę.

– Połóż się – powiedział prosząco.

Usłuchała i chwilę leżeli w ciszy, oddechy ich znowu łączył jeden rytm.

– Zmarzłaś, prawda?

– Trochę.

Położył rękę na jej dłoni.

– Wiem, że wiele rzeczy jest nie dla mnie i gdybym się na nie porwał, to byłoby to może zdradą, o której mówiłaś.

– A widzisz.

– Tak, ale nie czyniąc tego, odczuwam zdradę taką samą, zapewniam cię, że taką samą, Mario, tylko w stosunku do czego innego. Właśnie wobec tego, co jest nie dla mnie. I chyba nie uspokoiłaby mnie nawet świadomość, że najlepiej, jak tylko potrafię, robię to, co do mnie należy.

– Mario!

– Co?

– Czy nie myślisz, że właściwie każdy wybór pozostawia w naszym sumieniu wyrzut zaniedbania? Że dochowując wierności jednemu, zdradzamy równocześnie drugie?

– Zdradzamy?

– Może nie nasz los, bo go i tak wypełniamy. Ale to coś, co bywa czasem bardzo mgliste i jak sen nieuchwytne, a czasem tak piękne, Mario, tak straszliwie, nadludzko piękne, że jeśli się ma prawo do czegokolwiek gorąco tęsknić, to chyba o łaskę częstego obcowania z tym pięknem, które nigdy się nie stanie naszym życiem tutaj.

Po chwili:

– Lecz wiesz, wydaje mi się czasem, bardzo rzadko zdarza się taka chwila, bo to jest krótka chwila, niemal błysk, otóż ogarnia mnie wtedy pewność prawie nieomylna, że gdybym mimo wszystko, rozumiesz?, mimo wszystko, na nic się nie oglądając zdobył się na taki czyn, który jest nie dla mnie, przeżyłbym szczęście, oczyszczenie, nie wiem jak to nazwać, w każdym razie przeżyłbym coś, co można przeżyć w życiu tylko raz jeden i chyba przekreślając cały swój los. Rozumiesz, zdradzić siebie dla tego piękna, ale wtedy może już nie ma żadnej zdrady?

Silniej ścisnął rękę Marii, jakby jej dłoń dopomagała mu lepiej ujrzeć ową głębię kryjącą wśród splątanych ciemności przejmującą wizję ostatecznego zwycięstwa.

– Wtedy na pewno nie ma zdrady – powtórzył.

I zamilkł. Po dłuższej przerwie:

– A czasem cały świat, ludzie, ja sam, dzień codzienny, wszystko wydaje mi się tak proste, jutro tak zdumiewająco jasne, jakbym to nie ja podążał ku niewiadomej przyszłości, lecz ten przyszły czas, znany i bliski, wybiegał mi na przeciw. Ty, własny kąt gdzieś na wsi, praca, dobre książki, muzyka, przyjaciele... rano móc wyjść przed dom, wieczory długich rozmów i wiesz, jak się tak myśli, to wydaje się, że nawet wśród odosobnienia, odszedłszy od spraw, które dzisiaj są takie a ju-

tro inne, można przecież słyszeć wszystkie głosy świata.

– Może lepiej nawet – powiedziała półgłosem Maria.

– Lecz cóż to jest? Wieża z kości słoniowej!

Maria:

– Wszystko zależy kto w niej mieszka. Słuchaj, Antoni, czy z tym spokojem tam w tej wieży nie jest tak, jak z muszlą, która spoczywając na dnie oceanu szumi jego głosami?

– Może. Myśli się wtedy: czemu ulegać sprawom codziennych dni, choćby najważniejszym, gdy nie ma wśród nich takiej ważnej, która by mogła trwać niezmiennie? Czemu ulegać chwili, gdy wszystko zmienia swoje kształty i tylko jeden człowiek, tylko jego osobowość zachowuje ten sam kształt? Patrz, weszliśmy w drugi zaledwie rok wojny, a ile się już stało od września, ile się w nas samych odmieniło i jak już inaczej odczuwamy tamte pierwsze dnie. Za rok inaczej będziemy patrzyć na to co jest teraz, a za pięć lat, wyobrażasz sobie, jak za pięć lat wszystko to będzie dalekie?

Znów po chwili:

– Lecz któż mi powie, czy rojąc sobie takie życie nie ulegam pokusie życia najłatwiejszego? Tak łatwo w dół równać tę granicę własnych możliwości! Może rzeczywiście powinienem tak żyć, a może to tylko mój egoizm i moje tchórzostwo podszeptują mi to pragnienie?

Maria bardzo cicho:

– Czy nie myślisz, że nie nasze błędy są najważniejsze, bo te popełniamy zawsze, lecz nasz stosunek do nich? I że ten stosunek nas kształtuje i albo poniża, albo podnosi?

– Może. Wiesz, wydaje mi się czasem, że twórczość, to jest właściwie pamiętanie swojego życia, coś jak gdyby rachunek sumienia, niemożność przejścia do porządku dziennego nad złem, które się nosi w sobie, nad czynami, które się popełniło i nad innymi, których się nie podjęło...

Milczał chwilę. Aż nagle przysunął się do Marii i objął ją.

– Mario!

– Co?

– Boję się o ciebie, gdyby miało ci się coś stać...

Jego głos ściszony wzruszeniem przejął ją i poruszył silniej, niż wszystko co dotychczas było mówione. Przytuliła się do Antoniego.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie mów tak – szepnął – zdaje mi się czasem, że taka ufność przyciąga nieszczęście.

– Przeciwnie, Antoni, odgania je, zobaczysz.

– A Staś? też tak mówił...

Milczała. Po chwili Antoni:

– Gdzież ty się podziejesz?

– U Hani choćby, to najmniejszy kłopot.

– A biuro?

– Przepadnie, trudno.
– To nieważne, ale...
– Zresztą wszystko się wyjaśni po kilu dniach, możliwe, że i ja także wyjadę.
– A zaraz?
– Nie mogę, Antoni, naprawdę nie mogę.

[w oryginale brak jednej karty maszynopisu – przypis red.]

Po chwili:
– Nie jestem w tym wypadku zależna od siebie, przecież wolałabym być z tobą.
– Więc jednak zmuszasz się, a pamiętasz co przed chwilą mówiłaś?
– Podjęłam się tego, Antoni.
– I ani słowem mi o tym wszystkim nie wspomniałaś – powiedział ze smutnym wyrzutem Antoni – przecież ja bym ci nie przeszkadzał.
– Wiem.
– Więc dlaczego?
– Wydawało mi się, że tak będzie lepiej dla ciebie.
– Dla mnie!
– Dla mnie także – dodała pospiesznie. – Myślisz, że o sobie nie myślałam, że nie mówiłam z tobą o wielu rzeczach także i ze względu na siebie?
– Trudno w to uwierzyć.
– Ach, Antoni, żebyś ty wiedział, co w takich czasach jak teraz, kiedy dokoła tyle jest zła, nikczemności i tyle cierpienia, żebyś wiedział, co to znaczy móc wracać do domu, w którym jest ktoś bliski żyjący nie tylko drożyzną, wiadomościami politycznymi i aresztowaniami, ktoś dla kogo te wartości, którymi żyliśmy, nadal są wartościami. Nie, nie mów Antoni, że to nic nie znaczy, to jest bardzo wiele ocaleć w takich jak nasze czasach miłość piękna. Czasami zdawało mi się, że już nie podołam temu wszystkiemu, trudno, Antoni, być teraz człowiekiem. I ty nie wiesz nawet, ile tobie zawdzięczam, że żyję, że mam wiarę w przyszłość i wierzę w wartości ludzkie...

Umilkła. Antoni oparł czoło o jej policzek.
– Nie może mi się w głowie pomieścić, że jutro o tej prze nie będziemy razem i Staś...

Objęła Antoniego ramionami i całą sobą poszukała jego ciała.
– Potem znów będziemy razem.
– Kiedy?

Po chwili:
– Zrozum, przy tobie jest bezpieczeństwo, spokój.
– We mnie też nie ma spokoju, Antoni – szepnęła.
– Ale go dajesz. Jesteś mądrzejsza ode mnie, lepsza, godzisz mnie z życiem i czynisz mnie wartościowszym, niżbym potrafił być sam.
– To pierwszy raz Antoni, kiedy nie mogę być przy tobie.
– Wiem.

Dłuższy czas leżeli bez słowa. Wreszcie Maria odezwała się:

– Wiesz, tak się fatalnie złożyło, że masz jedną tylko czystą koszulę, jutro miałam właśnie dać do prania.

– To nic, głupstwo!

– Będziesz musiał zabrać brudne. Pamiętaj żebyś oddał je Józefowej zaraz jak przyjedziesz do Piotra.

– Dobrze.

Po pewnym czasie Maria:

– Myślę, że lepiej będzie, jeżeli weźmiesz palto zimowe.

– Za gorąco jeszcze chyba, nie?

– Ale jeżeli wypadnie ci posiedzieć tam dłużej? Ranki są bardzo chłodne, wieczory też. Możesz wziąć na rękę.

Antoni milczał. Naraz szepnął:

– Jak ci serce bije.

– To moje? – zdziwiła się. – Myślałam, że to u ciebie.

– Może i u ciebie i u mnie.

Znowu zamilkli. Ogarnięci ramionami leżeli bez ruchu, a spokój ich ciał zdawał się podobnym uciszeniem nasycać noc, w której ciemnych obszarach trwali samotni. Wtem wydało się Marii, że tuż obok słyszy cichy szept Antoniego: jakoż szczęśliwy, kto wstawszy gdy ciemno... Otworzyła oczy.

– Mówiłeś coś?

Głowa Antoniego przytulona do jej policzka poruszyła się zaprzeczeniem. Jakoż szczęśliwy, kto wstawszy rano, gdy ciemno, nie dotknął liry swojej nadaremno... I jak gdyby przez te słowa przypłynęło tajemnicze tchnienie, wydało się Marii, że ciemność od dna aż po wysokość dalekiego nieba zadrżała. Lecz trwało to chwilę i noc znów zastygła.

Głos Antoniego już cokolwiek ścmiony sennością:

– Wiesz wydaje mi się w tej chwili, że tylko my dwoje istniejemy, ty i ja, twoje ramiona, które czuję na szyji i na plecach, twój policzek... twój oddech, a tamto wszystko to jest nieprawdziwe, tego nie ma, to jest tylko sen...

Uśmiechnęła się.

– Ty już zasypiasz?

– Nie – zaprzeczył bardzo sennie.

I spytał:

– Która to może być godzina, chyba zaraz ranek?

– Zobacz. Ale zaświecić trzeba.

– Dobrze.

Upłynęła dłuższa chwila i Marii wydało się, że Antoni już zasnął. Niespodziewanie odezwał się:

– Już patrzę.

Podniósł rękę i znalazłszy po omacku lampę przekręcił kontakt. Chwilę nie ruszał się, jakby niespodziewana jasność odebrała mu siły. Wreszcie uniósł się trochę i spojrzał na zegarek.

–Druga dochodzi, za szesnaście.

Chciał zgasić, gdy wzrok jego padł na Marię. Zatrzymał się.

– Zgaś Antoni – poprosiła mrużąc oczy.

– Już, chwileczkę tylko, pozwól mi choć spojrzeć na siebie... wyglądasz teraz zupełnie jak mała madonna z tymi włosami rozsypanymi. Skąd ty bierzesz tyle jasności?

– Nie pleć głupstw! – przerwała mu. – I gaś.

Zgasił. Mrok objął ich jeszcze ciemniejszy, niż przed chwilą. Antoni nie mógł znaleźć swojego miejsca.

– Wiesz, ręce mi się pomyliły – poskarżył się. – Było tak dobrze...

Wreszcie znowu znaleźli się przy sobie.

– Wygodnie ci? – spytał.

– Tak.

Wróciła poprzednia cisza. Maria:

– Druga godzina, to wcześnie jeszcze, myślałam, że już o wiele później. Pociąg do Lublina odchodzi coś o szóstej z minutami, nie pamiętasz?

– Zdaje się.

– Musiałbyś wyjść zaraz po piątej.

– A ty?

– Ja też, nic tu nie mam do roboty.

Antoni:

– Wiesz, ciągle nie mogę uwierzyć w to wszystko.

– Staraj się zasnąć, mamy przynajmniej dwie godziny czasu.

Poczuła na policzku drgnięcie jego warg. Odruchowo przycisnęła go mocniej do siebie.

– Śpij...

– A ty?

– Ja też zasnę.

– Senna?

– Trochę.

Zamknęła oczy, lecz senności nie czuła wcale. Znużenie tylko. Oddech Antoniego przenikał jej policzek ciepłym coraz bardziej równym i spokojnym. Naraz Antoni poruszył się.

– Pamiętasz ten wieczór?

Maria czekała chwilę.

– Jaki wieczór?

– Ten na połoninie, kiedy nas zmierzch złapał niespodziewanie.

– Pamiętam.

– A pastucha grającego na supiłce?

– Także.

– Pamiętasz, spaliśmy w szałasie tak samo blisko siebie, jak teraz... było zimno i gwiazdy było widać przez poszycie szałasu...

Mówił coraz wolniej i niewyraźniej.

– I cisza taka...

Ucichł. Oddychał chwilę snem i znowu szepnął:

– Wiesz co?

– No?

– Jednak tęsknota, to jest wszystko na ziemi.

Teraz zasnął rzeczywiście. Maria myślała: Najlepiej, jeżeli Antoni zabierze średnią, brązową walizkę, wystarczy chyba na jego rzeczy, palto zimowe weźmie na rękę, jak to dobrze, że wykupiłam ten kapelusz zimowy, mógłby przepaść... chustki do nosa są jeszcze czyste, buty tylko przydałoby się podzelować, Antoni na pewno nie będzie o tym pamiętać i do końca pozdziera obcasy... dozorcę trzeba będzie uprzedzić, aby w razie czego mówił, że Antoni wyjechał przed tygodniem...

Antoni poruszył się, westchnął, lecz spał dalej. Leżała bez ruchu, żeby go nie zbudzić i pod powiekami układała sobie kolejność wszystkiego, co z rana będzie musiała zrobić. Obeszła w myśli mieszkanie, zebrała rzeczy jakie oboje powinni wziąć z sobą, zmartwiła się, gdy dotarła do śniadania, że nie ma chleba, bo ostatni kawałek zjedli na kolację. Wreszcie stanęła przy chwili, kiedy Antoni już ubrany i z walizką gotowy będzie go wyjścia. Nie myśleć o tym! – szarpnął nią instynkt samozachowawczy. Lecz zanim, poszukując myśli o którą mogłaby się zaczepić, znalazła taką, uczuła całą sobą, niemal jak ból fizyczny, grozę tej bliskiej chwili i strach przed tym, co będzie później. Opuścić to miasto, daleko poza sobą zostawić złowrogie widmo Pawiaka i Alei Szucha, porzucić wszystko, całą robotę podziemną, mroki konspiracji, wysiłki często niewspółmierne do celów i cele nieraz niewarte wysiłków i ofiar, skończyć z podwójnym życiem i imieniem, odejść od tego świata zaludnionego upiorami dawnej niewoli. Oto znowu, niby zjawy po raz wtóry powtarzające swoje ciemne istnienie, skrzypią i straszą cienie narodowych męczeństw, znowu dzwonią znane łańcuchy, mury więzień jakby czas cofały, a słowo ojczyzna jeszcze raz wlecze za sobą gorycz nienawiści i łzy cierpiętnictwa. Duszno, powietrza brak! Po latach legenda, lecz cóż legenda wie o dniach, którymi się żywi i z których wyrasta? Czy wyniesie na wyniosły brzeg cokolwiek z odmętu samotnych ludzkich zwątpień i cierpień? Warto więc – myślała – tak życie swoje plątać, wikłać ponad siły, ryzykować wszystkim, co tutaj jest najbliższe i niezbędne? I zatęskniła za spokojem kazimierzowskich uliczek i domków wśród rdzawych wzgórz jesieni, za rankami, gdy pod niebem jak rosa czystym, ponad wodą różową i między gęstowiem żółciejących wiklin, dymią białe mgły, za dniami, którym sens nadają słońce i deszcz, wiatr, obłoki wysokie, noc bezpieczna, sen w bliskich ramionach, drobne zwykłe sprawy. Wydało się jej, że nic nie jest warte i godne, aby dobrowolnie wyrzekać się tego spokoju. Lecz myśląc tak wiedziała niemal równocześnie i z nieomylną pewnością, że z Antonim nie wyjedzie i wszystko, co raz podjęła, doprowadzi do końca. Czuła w sobie tą świadomość niezachwianą, choć istniejącą w niej poza wszelkim rozumowaniem i nawet jak gdyby wbrew jej woli. Nie była potrzebą, obowiązkiem, ani radością przezwyciężenia, lecz niszcząc wszystko, co wydawało się spokojem, niosła przecież uspokojenie. Niczego nie rozwiązywała i może tylko bardzo mgliście, w odblasku ledwie dostrzegalnym, ukazywała jakiś wyższy sens wszystkich spraw, porządek, który trwa według praw nie dających się objąć, ani wyrazić ludzkim rozumowaniem, lecz złączonych z nim tajemniczym pokrewieństwem. I chociaż nic o tym ładzie nie wiedziała, głos, który w niej istniał jak melodia

dobrze znana lecz wymykająca się utrwaleniu, ten głos na pewno obecny i niewyrażalny, zdawał się potwierdzać ów ład, a także wyrażać zgodę z nim.

Mijał czas. Maria o niczym nie myślała. Jeszcze jakieś różne wspomnienia przez nią przepływały i cichły, czasem dobiegający z ulicy odgłos kroków samotnego przechodnia przywracał czujność, ranek, który stał tak nieopodal wydawał się bardzo odległy. Ciepło bliskiego ciała ogarniało ją spokojem, oddech śpiącego równy i prawie bezgłośny zdawał się napełniać ciemność łagodnym rytmem. Antoni obrócił się przez sen bardziej na bok i teraz ugniatał ją trochę sobą. Znajdowała w tym ciężarze błogosławieństwo, a w ramionach mocno ją obejmujących obronę. Czasem, gdy traciła świadomość bliskości Antoniego i wydawało się jej nagle, że jest sama w nieznanym i obcym miejscu, otwierała oczy, aby lepiej usłyszeć żyjący przy jej boku oddech. Wolne falowanie piersi Antoniego odprowadzało ją znowu w ciemność. I dalej mijał czas.

Gdy tak raz, przymus sobie zadając, podniosła ociężałe powieki, ujrzała, że w pokoju szarzeje. Natychmiast wytrzeźwiała i sięgnęła po zegarek. Nachyliwszy się mogła nie zapalając światła dojrzeć godzinę: było parę minut po wpół do piątej. Przeraziła się, że tak późno. Usiadła jeszcze trochę odurzona sennością i teraz dopiero spostrzegła, że gdy się najwidoczniej zdrzemnęła, Antoni odsunął się cokolwiek. Leżał zwrócony do niej twarzą, z głową zsuniętą prawie całkiem z poduszki, wspartą na własnym ramieniu.

– Antoni! – szepnęła.

Ale spał mocno. Nie poruszył się wówczas nawet, gdy potrąciła go schodząc pośpiesznie z tapczana. W pokoju kleiła się mdła i smutna szarość. Maria była pewna, że na dworze jest słota. Rozsunąwszy firanki ujrzała w powietrzu pierwszego brzasku świeżość bardzo pogodną, ulicę białą, jeszcze pustą, a nad fioletowymi zgliszczami domu niebo sinawe i bez chmur. Wróciła do Antoniego i zdecydowała, że musi go natychmiast zbudzić.

– Antoni! – zawołała głośno.

Poruszyła go za ramię. Odpowiedział niewyraźnym mruczeniem.

– Antoni, wstawaj, piąta dochodzi!

Otworzył oczy, lecz nie poruszył się.

– Słyszysz? Antoni!

– Słyszę.

– Wstawaj zaraz, okropnie zaspaliśmy, niedługo piąta.

– Dobrze – zgodził się.

Jednak wołała nie wychodzić z pokoju zostawiając go leżącego.

– Wstań, bo znowu zaśniesz.

– Dobrze – mruknął.

– Ale przecież ty zasypiasz, Antoni!

– O Boże! – jęknął – jak ty mnie męczysz.

Podniósł się na koniec i usiadł jeszcze całkiem półprzytomny, nachmurzony. Maria nie ustępowała.

– Najdalej za pół godziny musisz wyjść.

Spojrzał na nią nie bardzo się orientując o co chodzi.
– Dobrze – powiedział machinalnie.
I nagle ożywił się.
– Wiesz, śnił mi się bardzo dziwny krajobraz...
– Antoni, na miłość boską, nie zaczynaj teraz opowiadać snów!
– Dlaczego? – zdziwił się. – I właściwie to nie był wcale krajobraz, tylko wiersz.
Odruchowo zainteresowała się.
– Pamiętasz go?
– Niezupełnie, ale przypomnę sobie. Wiesz, taki krajobraz cały niebieskawy i wszystko tam miało swoje odbicia, tak jakby było zanurzone w przezroczystej wodzie, to bardzo piękne było.
Podparł głowę dłońmi i znowu przymknął oczy. Maria nie mogła zajmować się nim dłużej.
– Będziesz się ubierał?
– Będę.
Wychodząc jeszcze we drzwiach przypomniała.
– Tylko nie połóż się z powrotem, błagam cię.
Gdy wkrótce wróciła umyta, z walizką, którą zaraz miała zacząć pakować, Antoniego nie było. Zajrzała do pokoju obok. Stał tam przy półce z książkami, odwrócony plecami, jeszcze w pyjamie. Wydało się jej, że w ręku trzyma książkę.
– Antoni! – zawołała – nie czytaj przecież teraz.
Odwrócił głowę.
– Nie czytam wcale.
– Idź umyj się.
– Dobrze, chcę tylko wróżbę znaleźć.
Na to zbrakło jej argumentów. Zresztą i sama była przywiązana do zwyczaju, że przed każdym ważniejszym zdarzeniem w ich życiu Antoni sięgał na chybił trafił po jakąś książkę i odczytywał pierwsze zdanie jakie znalazł.
Powiedziała tylko:
– Ale nie szukaj za długo.
– Dobrze.
Wróciwszy do pierwszego pokoju zajęła się pakowaniem. Tymczasem Antoni stał z zamkniętymi oczami przed biblioteką i nie mógł zdecydować, w którą stronę skierować wybór. Rozkład książek znał na pamięć. Najwyższe półki zajmowali dawni pocci. Zawahał się pomiędzy Kochanowskim i Trembeckim, jednocześnie pomyślał o Morsztynie i autorze „Roksolanek". Cztery tomy Karpińskiego przypomniały mi: Jeden mój nieprzyjaciel nigdy nieuśpiony i jako do potrzeby zawsze uzbrojony, czuwa na mnie... Niżej stali romantycy. Już chciał sięgnąć po Mickiewicza, potem po Krasińskiego i zatrzymał się. Norwida nie było tutaj, leżał na biurku. Jeszcze niżej różne esseje, rozprawy krytyczne, historyczne monografie. Dłoń jego natrafiła na grube tomy: pisma Ojców Kościoła. Może zdać się na Ewangelię? – pomyślał. Nowy Testament stał zaraz przy Ojcach, pomiędzy traktatami św. Cypriana i „Życiem" Teresy z Avila. Sięgnął już po niewielki tomik, lecz w ostatniej chwili roz-

myślił się. Po co tam szukać? Zatrzymał się przy ulubionych pisarzach: Pascal, Stedhal, Conrad. Jeszcze raz wrócił do Mickiewicza i wreszcie znużony jałowością poszukiwań wyciągnął rękę w kierunku półki i współczesnymi poezjami. Cienkie tomiki najlepiej zapewniały nieświadomość wyboru. Wyjął pierwszą z brzegu.

Otworzył oczy i drgnął. Trzymał w ręku Nowy Testament.

– Mario! – zawołał.

– Co? – odpowiedziała z drugiego pokoju.

– Słuchaj, brałaś może ostatnio do czytania Ewangelię?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno, Antoni. Bo co?

– Nie, nic.

– Znalazłeś już?

Stał niezdecydowany, czy zajrzeć do środka. Jednocześnie usiłował przypomnieć sobie, czy nie brał wczoraj z półki Ewangelii. Był jednak pewien, że od dawna do niej nie zaglądał. Wreszcie otworzył książkę w miejscu, o które oparł się jego palec. Musiał pochylić się, żeby w szarości rozróżnić litery. Przeczytał: „...i dał jednemu pięć talentów, a drugiemu dwa, a trzeciemu jeden, każdemu wedle jego zdolności".

Postawił książkę na miejscu i przeszedł do pierwszego pokoju. Marię zasłaniały drzwi otwartej szafy.

– I co znalazłeś? – spytała.

– Znalazłem.

– I cóż?

Milczał.

– Co znalazłeś?

– Z przypowieści o talentach...

Maria wychyliła się zza szafy.

– Co ty mówisz, to bardzo dziwne, nie?

– Dziwne? – mruknął. Czy ja wiem? Przypowieść uczy, że otrzymane talenty należy podwajać...

I z powrotem cofnął się do siebie. Słyszała jak kręci się po pokoju powłócząc pantoflami. Chwilę stał przy oknie, potem doszedł do niej szmer otwieranych szuflad biurka i szelest papierów. Skończyła pakować bieliznę, więc zajrzała do Antoniego przez drzwi.

Antoni, nachylony nad wysuniętymi szufladami, wyjmował stamtąd różne świstki, karteluszki, jedne rzucał z powrotem, inne odkładał na bok na biurku.

W pewnym momencie zainteresował go jakiś rękopis i zaczął czytać. Tak go to pochłonęło, że nie zauważył nawet obecności Marii. Zawahała się chwilę nim zdołała przezwyciężyć się i przypomnieć mu, że czas biegnie.

– Antoni, zaraz będzie śniadanie.

Natychmiast odłożył kartkę i szybko począł przeglądać pozostałe.

– Już, zaraz kończę. Która godzina?

– Piąta dochodzi, za cztery.

Rzeczywiście było bardzo późno, lecz pomyślała, że to może i lepiej, jeśli w tym wypadku wszystko tak się stłoczyło na ostatnią chwilę. Wśród pośpiechu i mnóstwa różnych drobiazgów nie było przynajmniej czasu na myślenie o rozstaniu. I tylko przelotnie, gdy Antoni przeszedł do łazienki, ogarnął Marię żal, że już tak niewiele tych chwil ostatnich.

Odnaleźli się dopiero przy śniadaniu. Jak zwykle jedli w kuchni, przysunąwszy niskie stołki do okiennego parapetu. Maria rozlała na talerze owsiankę.

– Wiesz, ani kawałka chleba nie ma, wszystko wczoraj zjedliśmy.

Antoni natychmiast zabrał się do jedzenia.

– Głupstwo? Która godzina?

Budzik stał obok.

– Kwadrans po piątej.

Maria nie czuła głodu i jadła tylko przez wzgląd na Antoniego. Dzień tymczasem stawał się powoli i choć okno kuchni wychodziło na północ, szarość półmroku pomiędzy ścianami zrzedła i delikatna jasność napływała ze dworu. Dopiero teraz Maria mogła przyjrzeć się Antoniemu. Siedział do niej profilem, pochylony nad talerzem i jadł szybko, jak zawsze niedbale. Chociaż świeżo umyty, wyglądał źle. Był blady, pod oczami miał ciemne cienie, koło warg grymas znużenia. Gdy po raz pierwszy ogarnęła go uważnym spojrzeniem, doznała dziwnego wrażenia, że siedzi obok niej ktoś nieomal obcy i nieznany. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że od wczorajszego wieczoru w wyrazie twarzy Antoniego zaszła jakaś zmiana. Nie umiała określić na czym polegała, lecz że istniała – tego była pewna.

Oboje jedli w milczeniu. Wśród ciszy słychać było, jak dozorca zamiata podwórko. Dom jeszcze spał.

W pewnej chwili Antoni, jakby wyczuł na sobie wzrok Marii, spojrzał za okno. Uśmiechnął się, ale żałośnie jakoś i z przymusem.

– Widzisz, pogoda – powiedział.

Poszła za jego spojrzeniem. Szerokie okno kuchenne otwierało się na niebo ponad dachami, jasne przejrzystą niebieskością poranków późnej jesieni.

– Ale chłodno musi być.

– Cóż chcesz, połowa października. Pamiętasz, w zeszłym roku padał o tej porze pierwszy śnieg.

Uczepiła się tego wątku wspomnień.

– Chodzić wolno było do siódmej.

– Z początku do piątej tylko – dorzucił Antoni.

– A wieczory pamiętasz? Ulice bez światła, co krok to dom grożący zawaleniem, chodziło się jezdnią...

– A te furmanki zastępujące tramwaje w pierwszych tygodnich po zdjęciu oblężenia, pamiętasz, jak się na nie wdrapywaliśmy?

Maria ukradkiem spojrzała na godzinę. Antoni ożywił się nagle.

– Na pewno będą teraz ładne dnie!

Skinęła tylko głową. Z trudem zmuszała się do jedzenia, skurcz gardła sprawiał jej ból przy każdym przełknięciu.

– Ciekawy jestem – zainteresował się Antoni – jak wygląda ten projekt polichromii Piotra. Wyobrażam sobie ilu świętych i aniołów tam wpakuje.

Odsunął pusty już talerz i podparłszy dłonią głowę patrzył w okno.

– Będziesz głodny – powiedziała Maria – nic więcej nie ma w domu.

– Głupstwo! Najadłem się. Ale dlaczego ty nie jesz?

– Jem, jem – pochyliła się nad talerzem.

Po chwili:

– Ile masz pieniędzy, Antoni?

Zajrzał do portfela.

– Niewiele, dwadzieścia, trzydzieści złotych... niecałe pięćdziesiąt. Szkoda tego „Pana Tadeusza"!

– Trzysta ci wystarczy narazie, prawda? – spytała Maria.

– Wystarczy. A ty?

– Ja jeszcze mam.

– To resztka z twojego pierścionka, tak?

– Tak. Pomyśl, jak to dobrze, że go sprzedaliśmy na wiosnę, teraz nawet połowy nie dostalibyśmy.

Zalęgła cisza. Na ulicy zaturkotał pierwszy tramwaj. Równocześnie, jedną ogarnięci myślą, spojrzeli na godzinę: dochodziło pół do szóstej. Oczy ich spotkały się i natychmiast rozeszły. Antoni począł błądzić wzrokiem po niebie. Ponad szarym dachem zalśnił różowawy blask. Wróble ćwierkały za oknem.

Maria poruszyła się.

– To chyba...

– Zapakowałaś te papiery z biurka? – spytał Antoni.

– Zapakowałam. Bierzesz z sobą jakieś książki?

– Nie.

Chciała coś jeszcze powiedzieć o rzeczach, które pakowała, lecz czuła, że przy pierwszym słowie rozpłakałaby się. Wstała więc i szybko przeszła do pokoju. Zamknąwszy walizkę machinalnie przełożyła ją z krzesła na stół. Gdy przypomniała sobie o trzystu złotych, z powrotem postawiła walizkę na krześle i otworzywszy szafę wyjęła pieniądze. Przeliczyła. Były same dwudziestki. Pomyliła się. Przeliczyła drugi raz. I z walizką i z paltem zimowym przeszła do przedpokoju.

Antoni stał w drzwiach od kuchni. W świetle, które stamtąd padało, rozjaśniając półmrok, zobaczyła jego twarz zmienioną i poszarzałą. I w tej jednej chwili zrozumiała nagle, co ją niedawno tak obco uderzyło w wyglądzie Antoniego: zestarzał się. To odkrycie wstrząsnęło nią. I naraz wszystko, co Antoni przeżył minionej nocy i co przeżywa teraz stało się dla niej przejmująco wyraziste i jasne. Ujrzała go naraz takim, jakim dotąd istniał dla niej tylko w swoich wierszach, ten Antoni prawdziwy i samotny. Antoni najbardziej kochany, niby duch bezcielesny żyjący wśród słów, których ostatecznej prawdy nigdy nie wyrażały żadne inne jego słowa, choćby najszczersze i wypowiedzenia prawdy spragnione. W tym niespodziewanym przejrzeniu było szczęście ogromne i wstrząsające, natężeniem bólu sięgające aż poza świadomość, taką bowiem bywa radość, która przytłacza

nas, gdy raz jeden dojrzymy w człowieku kochanym to wszystko niewyrażalne, co w nim kochamy wiecznym niedosytem i nigdy niezaspokojoną tęsknotą.

Wpatrując się w żonę szepnął:

– Mario!

W głosie jego drgnęły rozpacz i błaganie, a także nieśmiały akcent nadziei. Zrozumiała o co mu chodzi. I jednocześnie uświadomiła sobie, że tą nigdy niepowtarzalną, jedyną chwilę miłości przeżywa się samotnie.

– Mario! – powtórzył głośniej.

Skinęła głową.

– Nie mogę, Antoni.

Zdumiała się własnymi słowami, iż naraz wszystko stało się tak nieodwołalne. Powiedziała:

– Masz pieniądze, bo zapomnisz.

Schował je do kieszeni.

– Lepiej do portfelu włóż, Antoni – poradziła – jeszcze zgubisz.

Zrobił to. Potem zdjął z wieszaka płaszcz i szybko na siebie naciągnął. Maria jeszcze raz ujrzała przy sobie twarz Antoniego, lecz zamazaną już półmrokiem. Wziął od niej walizkę i futro.

– Będziesz pisać?

Skinęła głową, że tak.

– Zaraz dzisiaj jeszcze?

– Tak, na pewno. Idź już, spóźnisz się.

Pocałował ją w policzek niezręcznie jakoś, wargami, które były chłodne i zacięte. I wyszedł.

Maria wróciła do pokoju i stanęła przy oknie. Biała ulica. Pierwsi przechodnie. Powoli człapie dorożka z drzemiącym na koźle dorożkarzem. Kobieta w czerwonym kapelusiku i z małym pekińczykiem na smyczy. Przeszła bardzo spiesząc się. Mężczyzna z tłomokiem na plecach... Zaniepokoiła się, że Antoniego długo nie widać. Wreszcie ujrzała go. Przechodził jezdnią na ukos. Wyglądał na bardzo obciążonego z walizą w jednej i z futrem w drugiej ręce.

Otworzyła okno. Przy chodniku Antoni zatrzymał się i spojrzał w górę. Z wysokości czwartego piętra widziała tylko jego sylwetkę. Zauważyła, że zawahał się, czy iść dalej. Wychyliła się więc oknem i na migi pokazała mu na zegarek. Poszedł. Widziała go chwilę tylko, zaraz zniknął za rogiem spalonego domu.

Tramwaj zazgrzytał. Znowu zjawiła się pani z pieskiem i tym samym drobnym kroczkiem przeszła pospiesznie. Pekińczyk ledwie za nią podążał na swych krótkich łapkach. Na rogu zatrzymało się trzech młodych robotników w niebieskich bluzach. Niebo wysokie. Powietrze świeże i przejrzyste. Poczuła chłód. Zamknęła okno.

Tapczan z rozrzuconą w nieładzie pościelą raził w pustce, jaka stała się nagle dookoła. Uprzątnęła więc to wszystko. Potem zabrała się do pakowania swoich drobiazgów. Zabierała rzeczy tylko najpotrzebniejsze. Szło jej to powoli i niesładnie. Po niektóre drobiazgi z łazienki musiała kilkakrotnie wracać. Wreszcie uczuła takie znużenie, iż cały wyjazd Antoniego, rozstanie, wszystko to poczęło się jej wy-

dawać przedwczesne i niepotrzebne. Ogarnęła ją pokusa, aby położyć się i zasnąć. Do czego spieszyć się? I z tego niezdecydowania nie umiała wybrnąć. Na koniec nałożyła płaszcz i kapelusz i ciągle nie wiedziała, co uczynić: wyjść czy zostać.

Wtem rozległ się silny dzwonek. Pomyślała: Antoni! Biegnąc do drzwi zdecydowała, że jeśli zawrócił znak to nieomylny, aby jechali razem. Ogarnęła ją radość i wdzięczność dla Antoniego, że wrócił. Otworzyła.

W niebieskawym półcieniu stało trzech mężczyzn: dwóch mundurowych gestapowców i jeden cywil. Ten ujrzawszy ją ubraną do wyjścia porozumiewawczo spojrzał na swoich towarzyszów. Wszedł pierwszy potrąciwszy stojącą we drzwiach.

Spytał dobrym polskim akcentem: – Maria Sułowska?

– Tak – odpowiedziała zwyczajnie.

Jeden z umundurowanych, młody blondyn o jasnych, dziecinnie patrzących oczach, zwrócił się do niej grzecznie po niemiecku.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– A, nie rozumie... – powtórzył.

I pytająco spojrzał na towarzysza. Obaj robili wrażenie zakłopotanych, zwłaszcza ten drugi, starszy mężczyzna o wyrazistej twarzy intelektualisty. Tymczasem cywil, pchnąwszy przed siebie Marię, przeszedł do pokoju. Tamci podążyli za nią. Rozglądali się dokoła trochę bezradnie i z widoczną przykrością. Za to cywil, barczysty, bardzo silny z wyglądu mężczyzna, wykazywał ogromną ruchliwość. Dostrzegłszy spakowaną walizkę z tryumfem wskazał ją towarzyszom.

– Pani miała zamiar wyjechać? – spojrzał na Marię z ukosa.

Zrozumiała, że wszelkie zaprzeczenie jest bezcelowe.

– Tak – odpowiedziała.

– Gdzie?

– Pod Radom.

– Po co?

– Mam tam krewnych.

– A dlaczego dziś właśnie?

– Dostałam urlop.

Już wpadłam – pomyślała – przecież mogą to sprawdzić, po co ja to mówię? Cywil skrzywił się pogardliwie.

– Urlop? – spytał.

– Tak.

– Kłamiesz! – krzyknął naraz z pasją.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie dał jej dojść do słowa.

– Urlop, tak? No my ci damy urlop...

– Nie rozumiem – powiedziała spokojnie.

Cywil poczerwieniał.

– Milczeć! – wrzasnął uderzając pięścią w stół. – Raus!

Odsunęła się trochę na bok. Czuła w sobie coraz większy spokój. Spokój i trzeźwość, które ją samą zdumiały. Boże! – pomyślała tylko przelotnie – jak strasznie Staś musiał się męczyć...

Cywil spojrzał na drzwi otwarte do drugiego pokoju.
– Jest tam kto?
Serce jej trochę mocniej zabiło.
– Nikogo.
– A mąż? Pani żonata, tak?
– Tak.
– Gdzie jest?
– Na wsi.

Nic na to nie powiedział. Zaczęła się rewizja. Kazano Marii zostać w pierwszym pokoju, a cywil z młodszym z mundurowców przeszli do sąsiedniego. Drugi gestapowiec został przy niej. Podsunął jej krzesło. Usiadła.

Spoza drzwi dobiegał głos cywila ostry i gardłowy. Nagle rozległ się łoskot wyrzucanych z półek książek. Maria drgnęła odruchowo i spojrzała na stojącego obok niej Niemca. Patrzył w okno. Rumieniec pociemniał jego twarz.

Z powrotem pochyliła głowę. Wróble ćwierkały na dworze, jak gdyby była wiosna. Złotawy smużek światła drgnął na posadzce. Więc to koniec, to już koniec, tak to się odbywa? A potem? O Antoni, Antoni! Targnął nią cierpki, gorzki żal i niepokój o dnie, których już nie ujrzy. O życie Antoniego, o jego przyszłość. Jak będziesz żył Antoni? Przebacz moją zdradę. Boże, daj mu siłę i czystość i dobrą samotność. Wsparła to błaganie wszystką swoją miłością, żarliwie, z nadzieją i ostatkiem jasności, której broniła w sercu przed ostatecznym a nieuniknionym mrokiem. Antoni, Antoni, co będzie z tobą? Czy zostanie po tobie choć jeden wiersz, kilka słów chociaż, które tobą będąc niosłyby w sobie łaskę wieczności?

Jerzy Andrzejewski

Wnętrze mieszkania Jerzego Andrzejewskiego *Fot. Archiwum „K.A."*

Andrzej Fiett

Glosa do „Nocy"

Autorski maszynopis „Nocy" Jerzego Andrzejewskiego dowodzi, że gromadzenie rękopisów literackich jest istotne nie tylko ze względu na możliwość publikacji tekstów z różnych powodów nie wydanych za życia autora, ale iż z uwagi na wgląd w ewolucję świadomości, warsztatu literackiego, nawet „technologii" pisania. Powstały w 1941 roku maszynopis nosi na sobie ślady późniejszej, intensywnej pracy nad tekstem w postaci bardzo licznych poprawek, dopisków i przekreśleń, w tym usuwających obszerne fragmenty opowiadania.

Najwcześniejsza warstwa poprawek pochodzi z okresu bezpośrednio po powstaniu maszynopisu i ma charakter korektorski. Są one bardzo drobne i nieliczne, sporządzone piórem, czarnym atramentem. Nie wnoszą nic istotnego do treści opowiadania, natomiast ich autorstwo może być istotne dla poznania genezy utworu. Otóż sądzę, że poprawek tych dokonała żona pisarza, Maria Andrzejewska, choć ze względu na ich szczupłość nie można być tego pewnym. Oznaczałoby to, że Maria dobrze znała treść „Nocy", niewykluczone, że to ona właśnie przepisała opowiadanie na maszynie, być może miała też istotniejszy wpływ na kształt i zawartość utworu. Wzmacnia to teorię, że poglądy wyrażone w czasie rozmowy małżeństwa, wypełniającej niemal całą treść „Nocy", w dużym stopniu odzwierciedlają poglądy i rozterki Andrzejewskiego w tym okresie, a sama rozmowa stanowi być może odbicie autentycznych dyskusji autora z żoną, która zresztą dała imię bohaterce opowiadania.

Poprawki najliczniejsze dokonane zostały przez samego Andrzejewskiego piórem, niebieskim atramentem. Są wśród nich takie, które pozwalają precyzyjnie określić czas ich powstania, te mianowicie, polegające na zastąpieniu form „pan", „pani" zwrotami „towarzysz", „towarzyszka". Wskazuje to jednoznacznie na przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych jako na okres bardzo intensywnej pracy Andrzejewskiego nad formą „Nocy". Utwór ten nie wszedł, jak wiemy, do wydanego w 1945 roku tomu opowiadań okupacyjnych, zatytułowanego „Noc" i – paradoksalnie – pozbawionego opowiadania tytułowego. Zarysowują się tu dwie możliwości: pierwsza, że autor nisko swoje dzieło ocenił i uznał, że w tej postaci nie powinno wchodzić do tomu; druga, bardziej według mnie prawdopodobna, że w momencie komponowania tomu „Noc" Andrzejewski nie dysponował maszynopisem opowiadania. Archiwum „przedpowstaniowe" pisarza nie ocalało, dlatego przypuszczam, że maszynopis „Nocy" jeszcze przed sierpniem 1944 roku został komuś przekazany, a w panującym „zaraz po wojnie" rozgardiaszu nie zdążył jeszcze wrócić do autora. Trzymając się tej hipotezy można założyć, że po odzyskaniu „Nocy" Andrzejewski uznał tekst za wart obróbki redaktorskiej i opublikowania, może – ale

to już czysta spekulacja – w nowym wydaniu tomu „Noc" z 1954 roku. W każdym razie praca nad tekstem polegała na bardzo głębokim przeredagowaniu treści opowiadania, wprowadzeniu licznych poprawek stylistycznych, rezygnacji z obszernych fragmentów (choć ten z kart 9-10 został później przywrócony). Znaki umieszczone na marginesach kart 13, 21, 39 i 41 mogą sugerować zamiar uzupełnienia tekstu fragmentami, które być może powstały, ale nie zachowały się, bądź istnieją, ale nie zostały dotąd rozpoznane jako wstawki do „Nocy". Od karty 22 poprawki stają się coraz mniej liczne, zaś od karty 41 nie ma ich wcale, co może wskazywać na stopniowe uświadamianie sobie przez Andrzejewskiego niemożności takiego poprawienia opowiadania, by autor mógł zdecydować o jego publikacji.

Ale to jeszcze nie koniec historii. Otóż w maszynopisie „Nocy" odnaleźć możemy ślady jeszcze jednej próby zmierzenia się Andrzejewskiego ze swym okupacyjnym opowiadaniem. Jest to trzecia, już ostatnia warstwa poprawek, niezbyt licznych, dokonanych przez autora niebieskim długopisem. To ważna okoliczność: w przypadku autora Miazgi możemy dość precyzyjnie wyznaczyć moment, w którym na biurku pisarza pojawił się długopis jako nowe i od tej pory wyłączne narzędzie tworzenia rękopisów – były to okolice lat 1956-1957. Tak więc jeszcze raz Andrzejewski uwierzył w możliwość wydania „Nocy", choć w tym przypadku rezygnacja nastąpiła jeszcze szybciej: ostatnią poprawkę długopisem znajdujemy na karcie 23. Wśród tych zabiegów redakcyjnych szczególną uwagę zwraca przywrócenie pierwotnych zwrotów „pan", „pani" w miejsce wprowadzonych w efekcie krótkiego zachłyśnięcia się ideologią komunistyczną form „towarzysz", „towarzyszka". Jeszcze raz pozwolę sobie na hipotezę: być może ta ostatnia próba zmagania się z tekstem opowiadania wiąże się z przygotowaniami do wydania całkiem nowej, rozszerzonej wersji tomu pt. „Noc i inne opowiadania", która ukazała się w 1963 roku, jednak ponownie bez opowiadania „Noc". „Kwartalnik Artystyczny" publikuje je po raz pierwszy – ponad 56 lat po jego powstaniu.

Maszynopis „Nocy", wraz z całym archiwum literackim Jerzego Andrzejewskiego, znajduje się w zbiorach Działu Rękopisów warszawskiego Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, pod numerem inwentarza 2274. Maszynopis liczy 58 kart (1-59, brak karty 43, choć tekst zdaje się być kompletny), przechowywany jest w teczce, na której autor oprócz tytułu napisał flamastrem błędną informację: „Rękopis opowiadania".

Andrzej Fiett

Anna Synoradzka

Historia jednego tytułu

Wcześnie zwrócono uwagę na to, że dramaty bohaterów prozy Andrzejewskiego rozgrywają się często pod osłoną i ciężarem nocy. Mrok współtworzył scenerię utworów debiutanckiego tomiku „Drogi nieuniknione", ciemność dominowała również w świecie przedstawionym głośnej w końcu lat trzydziestych powieści „Ład serca". Opowiadania z lat okupacji były zbudowane na podobnej zasadzie. „Fascynowała go noc" – skonstatował więc Czesław Miłosz, pisząc o Alfie w „Zniewolonym umyśle", a późniejsze dzieła Andrzejewskiego potwierdziły zasadność tego stwierdzenia. Chciałabym dodać do niego kilka słów komentarza w związku ze sprawą, o której dotąd nie pisano.

W dorobku Andrzejewskiego da się zauważyć nie tylko obsesyjne przywiązanie do ciemności, również jako sytuacji egzystencjalnej, ale także niezwykłą, jak na tego pisarza, wierność samemu słowu n o c. Jako tytuł pojawia się w jego twórczości przynajmniej pięciokrotnie.

Najwcześniejsza „Noc" – wiersz (Andrzejewski zaczynał próby literackie od poezji i dramatu) znalazł się wśród prac spisanych przez trzynastoletniego młodzieńca w gimnazjalnym kajecie, podarowanym matce w prezencie gwiazdkowym w połowie lat dwudziestych. Utwór nie jest znany, ale prawdopodobnie zachował się w zbiorach domowych jednego z przyjaciół autora. Druga „Noc", zaczęta w 1932 roku miała być powieściowym debiutem Andrzejewskiego. Marzenie nie zostało zrealizowane. Ślady po tamtym utworze są skąpe, do czego jeszcze powrócę. Trzecia „Noc" została napisana w roku 1941. Nigdy dotąd nie trafiła do szerszego grona czytelników. Zważywszy na historyczne okoliczności powstania oraz na fakt, że Andrzejewski później prawie o niej nie wspominał, można było sądzić, że bezpowrotnie przepadła w wojennej zawierusze. Te przypuszczenia okazały się błędne. Opowiadanie ocalało. Maszynopis zachował się w idealnym stanie, odłożony przez autora do teczki z tekstami, z których publikacji zrezygnował. Po raz kolejny tytuł „Noc" pojawił się w pisarstwie Andrzejewskiego dwa lata później, jako nazwa zbioru opowiadań przekazanych Zbigniewowi Mitznerowi, konspiracyjnemu wydawcy, który skupywał utwory literackie z zamiarem wydania ich po wojnie. Tom zaginął. W 1945 roku Andrzejewski na nowo zredagował prozę napisaną pod okupacją. I tym razem wydał ją jako „Noc", choć wśród opublikowanych utworów opowiadanie tytułowe się nie znalazło. Krytycy nie komentowali tego faktu. Prawdopodobnie dlatego, że o istnieniu opowiadania nie wiedzieli. Zresztą słowo użyte w nazwie zbioru nie wymagało specjalnego uzasadnienia, gdyż w sposób naturalny kojarzyło się z koszmarem i mrokiem wojennego kataklizmu, z którym związana była treść całego zbioru.

Pozostaje intrygującym pytanie o to, dlaczego tekst z 1941 roku – ten właśnie, który prezentujemy – został przez Andrzejewskiego odłożony do lamusa.

W poszukiwaniu rozwiązania zagadki musimy wejść w biografię pisarza. Dopiero z tej perspektywy dostrzegamy, że powstanie interesującego nas utworu było dla dziejów twórczości Andrzejewskiego wydarzeniem o sporym znaczeniu. Stanowiło mianowicie pierwszą udaną (w tym przynajmniej sensie, że zakończoną) próbę wyjścia z długotrwałego impasu twórczego, w jakim pisarz tkwił od momentu zebrania nagród za „Ład serca".

W 1939 roku krytycy okrzyknęli autora powieści najwybitniejszym młodym pisarzem katolickim oraz moralistą z empatią pochylonym nad słabościami człowieka. Sukces miał dla Andrzejewskiego konsekwencje dwojakiego rodzaju: zaspokoił ambicje, ale jednocześnie podziałał deprymująco. Andrzejewski wziął sobie do serca role, którymi go obdarzono i zaczął nawet pouczać, jaką winna być prawdziwa współczesna literatura katolicka. W wywiadach udzielanych prasie opowiadał o swych pomysłach na następne książki. W istocie niczego nowego stworzyć nie umiał. Zdobyta pozycja okazała się dla niego wyzwaniem zbyt trudnym do udźwignięcia. Paraliżował go strach, że następne dzieła nie sprostają raz osiągniętemu poziomowi.

Według Miłosza, który właśnie wtedy bliżej poznał Andrzejewskiego, twórcza niemoc i przykry osad, który powstał w autorze powieści obsypanej nagrodami miały jeszcze jedną przyczynę: Andrzejewski zdał sobie sprawę z tego, że jest w jego pisarstwie coś niewłaściwego, nieuczciwego.

Ogarnęło go wielkie zwątpienie. Jeżeli jego koledzy pisarze również wątpili w wartość swego dzieła zawieszonego w pustce, to zwątpienie Alfy przybrało większe rozmiary. Chciał osiągnąć czystość moralnego tonu – ale czystość, aby była prawdziwa, musi być ziemska, mocno oparta o doświadczenie i obserwację, inaczej jest fałszem. Alfa spostrzegł, że zabrnął w fałsz, bo przebywał wśród idei o ludziach, a nie wśród żywych ludzi. To, co wiedział o człowieku, było oparte na jego własnych wewnętrznych przeżyciach w czterech ścianach jego pokoju. (...) Nazywany pisarzem katolickim wiedział, że pisarzem katolickim nie jest, podobnie, jak malarz, który ze zdziwieniem stwierdza, że ciągle nazywają go kubistą. Złudzeni pozorami krytycy zaliczali jego pisarstwo do zdrowej i szlachetnej literatury, przeciwstawiając je pisarstwu jego kolegów noszącemu cechy dekadencji. On sam rozumiał jednak, że nie był wcale zdrowszy od kolegów, którzy przynajmniej nie ukrywali swej żałosnej nagości. (Czesław Miłosz, „Zniewolony umysł")

Do tej pory surowy komentarz Miłosza wydawał mi się nadto arbitralny i zawieszony w próżni, skoro nie znajdowałam dlań potwierdzenia w jakiejkolwiek wypowiedzi Andrzejewskiego. Opowiadanie „Noc "wypełnia tę pustkę. Przedstawiony w utworze wielogodzinny dialog małżonków, Marii i Antoniego, jest konfrontacją dwóch skrajnie odmiennych, a równocześnie wzajemnie się uzupełniających osobowości i postaw życiowych. Jest też – a może przede wszystkim – okazją do zaprezentowania dylematów nurtujących Antoniego, młodego pisarza przeżywającego kryzys wiary w wartość swych dzieł oraz wątpiącego w etyczne prawo do kontynuowania twórczości. Protagonista opowiadania zwierza się żonie:

[...] dobrze czuję, że we wszystkim, co piszę nie ma ani prawdziwej wielkości, ani szerokiego oddechu. Wszystko jest skarlałe, niedorozwinięte i anemiczne. Przyznam ci się, że najchętniej określiłbym to jednym słowem: nikczemne. [...] Myślę, że jest we mnie jakaś skaza, jakiś brak dlatego powiedziałem, że uważam się za chorego moralnie. Bo wydaje mi się, chwilami jestem tego nawet pewien, że jeśli się nie mogę wypowiedzieć, to wina leży we mnie, w jakimś braku mojego charakteru, coś we mnie nie jest w porządku. [...] wszystkim moim uczynkom brakuje czegoś, jak by ci to powiedzieć... brakuje im światła wewnętrznego. Tak, to jest to! Myślę, że ja po prostu ludźmi gardzę. I rzeczywiście, chociaż się nad nimi lituję, wydają mi się czeredą zwierząt, którą można tylko pogardzać. (Jerzy Andrzejewski, „Noc")

Nie będzie chyba nadużyciem interpretacyjnym przypuszczenie, że Antoni jest literacką transpozycją postaci samego autora, że w „Nocy" Andrzejewski próbował rozliczyć się z osobistymi wątpliwościami, których tak przenikliwie domyślił się Miłosz.

Opowiadanie to jako utwór rozrachunkowy, czy nawet spowiedź z obciążeń uniemożliwiających przełamanie twórczej niemocy, było prawdopodobnie rodzajem autoterapii. W każdym razie jego skończenie ułatwiło wyjście z impasu. Po „Nocy" Andrzejewski odzyskał zdolność do pracy. Niebawem stworzył wiele utworów, a wśród nich i takie, które później uznane zostały przez krytykę za jedne z najwybitniejszych osiągnięć polskiej prozy czasów okupacji: „Przed sądem", „Apel", „Braterstwo" (późniejszy tytuł: „Wrześniowa oda"), „Ucieczka" (w ostatecznej wersji nazwana „Intermezzo"), „Skorpion" (w wydaniu książkowym zatytułowany „Podróż"), „Wielki Tydzień"; groteski: „Paszportową żonę", „Kukułkę", „Przebudzenie lwa" oraz komedię „Święto Winkelrieda".

Powraca pytanie: dlaczego opowiadanie „Noc" – katalizator twórczej erupcji – zostało przez Andrzejewskiego ukryte w domowym archiwum? Być może autor uznał je za artystycznie niedoskonałe, skądinąd (chyba?) nie bez racji. Podejrzewać też można, że pisarz odrzucił „Noc" ze względu na nadmierną szczerość prowadzącą do autodemaskacji. Możliwe, że nadal dbał o swą opinię pisarza – moralisty, więc nie chciał publicznie ujawniać słabości, które by temu wizerunkowi zagrażały. Maszynopis jednak zachował, mając z pewnością świadomość, że prędzej, czy później trafi on do rąk badaczy. Dziś, prawie sześćdziesiąt lat od powstania opowiadania, przedstawiamy je czytelnikom jako świadectwo niegdysiejszych problemów Andrzejewskiego; zapis jego zmagań z samym sobą, z własnym egoizmem i egotyzmem.

Historia jednego kłamstwa

Razem z „Nocą", drukujemy 23. fragment zapisków „Każdy albo nikt". Te dwa teksty, oddalone od siebie w czasie o ponad trzydzieści lat, łączy postać i tragiczna historia Eugeniusza Biernackiego – człowieka, który odcisnął wyjątkowo silne piętno w psychice Andrzejewskiego.

Biernacki był Andrzejewskiemu bardzo bliski we wczesnych latach trzydziestych. W opinii znajomych uchodzili wtedy „za parę". Nie wiemy, czy istniały pomiędzy nimi relacje erotyczne, ale wiadomo, że od początku był to związek pełen gwałtownych uczuć i emocji oraz skomplikowanych zasad „funkcjonowania" (Biernacki był np. świadkiem na pierwszym ślubie Andrzejewskiego). Sytuacja zmieniła się po wybuchu wojny. Jeszcze na „rajzę wrześniową" wyruszyli wspólnie, ale po powrocie do Warszawy ich kontakty się rozluźniły. Z późniejszych stwierdzeń pisarza wynika, że jego przyjaciel stopniowo popadał w obłęd. Neuroza przejawiająca się urojeniami doprowadziła Biernackiego do samobójczej śmierci pod kołami kolejki w okolicach Powsina. Stało się to w czerwcu 1941 roku. Właśnie to wydarzenie miało zadecydować o powstaniu opowiadania „Noc". Zawiadomiony o śmierci przyjaciela, pisarz przybył na miejsce tragedii. Według niektórych relacji osobiście przewiózł zmasakrowane zwłoki do Warszawy. Andrzejewski wspominał, że po powrocie z Powsina zamknął się i nie wychodził z domu przez miesiąc. Pisał „Noc".

Nie sposób wskazać, jak przywołane przed chwilą wydarzenia związane są z fabułą utworu. Szukanie prostych relacji byłoby chyba nieporozumieniem. Można tylko powtórzyć, że przeżycia wywołane opisaną tragedią pchnęły Andrzejewskiego do pisania.

Rzecz uznałam za wartą odnotowania również i dlatego, że postać Biernackiego już wcześniej zaważyła mocno na artystycznych wyborach Andrzejewskiego. Sprawa jest dla nas tym bardziej interesująca, że dotyczy chyba najbardziej tajemniczego utworu tego pisarza – „Nocy" z 1932 roku.

Tekst zaczął powstawać po powrocie Andrzejewskiego z nieudanej eskapady do Francji, w okresie młodzieńczego buntu, konfliktów z rodzicami i pierwszych dramatów miłosnych, związanych właśnie z Biernackim. Powieść miała być spowiedzią, wyznaniem pisanym spontanicznie i bez zahamowań wynikających z autocenzury. Jak wspomniałam, Andrzejewski marzył o publikacji utworu. W 1933 roku przedstawił go redaktorowi naczelnemu dodatku literackiego do „ABC", w którym pracował. Stanisław Piasecki powieści nie zaakceptował. Jak bardzo młody pisarz był emocjonalnie związany ze swym dziełem, świadczy jego reakcja na odmowę. Andrzejewski rzucił posadę w „ABC", pozbawiając się tym samym stałych zarobków, i to w czasie, gdy nie posiadał innych znaczących źródeł dochodów.

Istnieje opinia, że Stanisław Piasecki obawiał się skandalu. Stąd prosty wniosek, że „Noc" musiała naruszać obowiązujące wtedy konwencje obyczajowe, przynajmniej te, z którymi utożsamiał się periodyk o profilu narodowym i katolickim. Bardzo pouczającym byłoby móc się przekonać, czym Andrzejewski wtedy szokował, ale niestety tekst powieści zaginął. Jednak niezupełnie: zostały po nim drobne ślady. Na ich trop naprowadzał po wielu latach sam autor. Wspominał, że konflikt z Piaseckim zakończył się w 1935 roku, kiedy z cotygodniowego dodatku literackiego do „ABC" powstał samodzielny periodyk „Prosto z mostu" i redaktor naczelny zaproponował w nim pisarzowi etat recenzenta w dziale literackim i teatralnym. Jeszcze w tym samym roku na łamach „Prosto z mostu" ukazać się miały fragmenty „Nocy". Tak sugerował Andrzejewski. W jednym z odcinków dziennika

publikowanego w latach siedemdziesiątych w „Literaturze" zanotował, że trafił do jego rąk egzemplarz tygodnika Piaseckiego z wyjątkiem z powieści.

Sprawdziłam: w rocznikach „Prosto z mostu" nie ma utworu „Noc". Są natomiast strzępy czegoś, co rzeczywiście z powieści mogło być wyjęte, a schowane zostało za różnymi tytułami. Mam tu na myśli fragmenty: „Pierwsze spotkanie", „Godzina przeoczona" i „Samotność". Te trzy teksty łączy wspólny bohater (artysta, który świeżo powrócił z zagranicznej eskapady) oraz motyw kłamstwa, niszczącego związek dwojga osób. Jest też nieudane nocne spotkanie kochanków. Fragmenty są zdekomponowane. Nie sposób na ich podstawie odtworzyć zamysłu całości. Za tym, że mamy tu do czynienia z „Nocą" świadczy najdobitniej wspomniany już motyw kłamstwa, gdyż właśnie kłamstwo było przyczyną komplikacji związku Andrzejewskiego z Eugeniuszem Biernackim.

Trująca siła kłamstwa była w latach trzydziestych obsesją pisarza – zagadnieniem, z którym wielokrotnie i zawsze bezskutecznie usiłował się uporać, nadając mu kształt literacki. Fragmenty opublikowane w „Prosto z mostu" pozwalają przekonać się, że wątek autobiograficzny był w tych próbach mocno przetworzony, starannie zakamuflowany.

W podobnej postaci odrodził się ów motyw w roku 1970 w „Miazdze". Odnajdujemy go w historii niespełnionego związku Nagórskiego i Elżbiety:

[...] u samych początków ich miłości jedno kłamstwo sprawiło, iż rozrosło się ono później w Elżbiecie jak złośliwa pleśń, rozwinęło się w nieustanną podejrzliwość podsycaną jego zrowiem i jej chorobą, w podejrzliwość maniakalną i uporczywą, w momentach nasilenia przeobrażającą się w stany halucynacyjnych urojeń, których gorączkowe czary, wspomagane rzeczywistą gorączką ciała, odmieniały rzeczywistość, stwarzając nową, podstępną i zdradliwą, przeczącą wszelkiej wierności. (Jerzy Andrzejewski, „Miazga").

Co ciekawe, nie było to mechaniczne powtórzenie dawnego motywu. Andrzejewski niemal „za rękę" naprowadzał czytelnika na ślad swej biografii. W odautorskim komentarzu wyłożył zupełnie otwarcie znaczenie zacytowanego fragmentu, nazywając go „epitafium dla G.B." Zaznaczył też przy okazji, że nie do końca uporał się z tamtą historią:

[...] nie chce mi się o tym pisać. Może kiedyś, później?

Mimo upływu ponad trzydziestu lat, sprawa musiała Andrzejewskiego mocno dotykać. Rzeczywiście później do niej jeszcze raz powrócił. Tym razem już bez masek i zasłon. W 23. fragmencie notatek „Każdy albo nikt" opisał ostatnią – pożegnalną noc z niegdysiejszym ukochanym, wobec którego (a może za śmierć którego) czuł się zapewne winny.

Anna Synoradzka

Jerzy Andrzejewski

Każdy albo nikt

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Jutro Niedziela Palmowa. Wciąż w kręgu Mickiewicza. Przeglądając „Dziady" nieco dłużej zatrzymałem się przy scenie IV z III części mniej od innych znanej. W niej, gdy „młoda panienka" Ewa modli się i zasypia – Chór Aniołów:

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem,
Rączęta liliowe za liście splećmy,
Za róże kwitnące czoła rozniećmy,
Spod wstążek gwiaździstych włos nasz rozwiążmy,
Rozpuśćmy w promienie, rozlejmy w wonie;
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem
Kochanka naszego piersi okrążmy,
Kochanka naszego otulmy skronie.
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

*

Myślę, iż w tamto sprzed trzydziestu kilku lat czerwcowe popołudnie nie przekroczył granic miasta z myślą o śmierci. Przypuszczam, że po prostu przed siebie szedł całkiem ostatecznego celu nieświadomy, w stanie ciężkiej depresji, lecz nie z powziętym na chłodno zamiarem, żeby w pustym polu, trochę przed Powsinem, zbiec z drogi i rzucić się pod koła staroświeckiej ciuchci z łoskotem, w obłoku parowozowego dymu, posuwającej się w stronę Piaseczna. Gdyby tak było rzeczywiście – nie wybrałby sobie śmierci innej, szybszej i w pewnym sensie łatwiejszej? Szedłby z taką śmiertelnie ciężką decyzją tych sporo kilometrów w upale i w ku-

rzu podmiejskiej drogi? A może jednak? Może jednak wśród mrocznego zamącenia wiedział, że musi umrzeć i niósł tę natarczywą konieczność na odludzie, aby w tym ostatecznym momencie niczyje oko go nie widziało i niczyje ucho nie słyszało? Już nie sposób wiedzieć, jak naprawdę było.

Po raz ostatni widziałem go na kilka dni przed śmiercią. Był już w bardzo złym stanie, zatruty prześladowczym przeświadczeniem, iż jacyś nieznani wrogowie uniemożliwiają mu skontaktowanie się z jakimiś, również nieokreślonymi ludźmi z podziemia. Zawsze miał skłonność do prześladowczych obsesji, ta ostatnia, która go miała zgubić, zawładnęła nim niepodzielnie na podobieństwo modliszki pożerającej po kopulacji swego samca.

Przyszedł do mnie nie zapowiadając się, na krótko przed godziną policyjną, musiałem go przenocować. Mieszkałem wówczas w skromnym pokoju kawalerskim, na pierwszym piętrze kamienicy u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej. Okno wychodziło na Trębacką, wprost na ulicę Kozią, u której wylotu, w hotelu Saskim, mieścił się burdel dla niemieckich żołnierzy. W kilkanaście lat później, nieomal dokładnie w tym samym miejscu, co pokój, który zamieszkiwałem, miał się znaleźć mój gabinet redaktora naczelnego „Przeglądu Kulturalnego".

Tapczan w pokoju był jeden i dość wąski, musieliśmy spać blisko siebie. Nigdy dawniej nie potrafiłbym sobie wyobrazić, aby podobne zbliżenie nocne mogło być tak okropne. Chyba nigdy spełnienie nie okazało się tak niewiarygodnie dalekie od pragnień onegdajszych. I jakie upokorzenie, gdy miłosne porywy zastępują odraza i wstręt. Pokój z oknem na północ nie był nagrzany upalnym słońcem, do przykrycia mieliśmy lekki pled, a jednak on się pocił; gdy się bliżej przysuwał czułem, że jest cały oblany potem, tak właśnie się pocił, gdy przed kilkoma laty jego zadawnione przypadłości płucne zmieniły się w otwartą gruźlicę i leżał długi czas, i nikt nie mógł przewidzieć, w którą stronę przechyli się ta trudna choroba: ku śmierci, czy zaleczeniu; ale wtedy jego spotniałe i rozgrzane gorączką ciało wcale nie było mi wstrętne, żadne inne ciało nie było mi na całym świecie tak bliskie, jak właśnie to, i żadnego innego nie pragnąłem tak mocno i zachłannie, jak właśnie tego. Teraz był już od dłuższego czasu zdrowy, więc jeśli się tak mocno pocił – chyba z osłabienia, a może, jak Jakub z Wielkim Niewidzialnym, walczył w ciemnościach ze swoim losem?

Prawie zaraz, kiedy się położyliśmy, zgasiłem światło, myślałem, że jest tak umęczony, iż szybko uśnie. Ale nie, nie zasnął. Już nie pamiętam, i to od bardzo dawna, co mówił, pamiętam tyle tylko, że mówił długo, jasność jego głosu, niegdyś w chorobie przyćmiona lekkim schrypnięciem, teraz całkiem zanikła, jego głos tuż obok mnie brzmiał głucho, mówił szeptem i to było jeszcze gorsze, niżby mówił bardzo głośno, ten szept w ciemnej niewidoczności oblepiał mnie, jak również oblepiał ostry odór pocącego się ciała. W pewnej chwili objął mnie ramieniem, odwróciłem głowę, ponieważ zdjął mnie lęk, że mogę zwymiotować. Kochania szukał, czy wsparcia w swoich zwidach i lękach? Śpij – powiedziałem patrząc w okno, które było nagie, bez zasłony, więc cokolwiek mniej ciemne, aniżeli ciemności tutaj dokoła. Nie mogę – powiedział – boję się. Nie spytałem: czego? Spytałem: kogo? Przecież wiesz – powiedział. Co to za ludzie? – spytałem, choć

pytałem o to wielokrotnie i znałem dobrze odpowiedź. Przecież wiesz – powiedział – znasz ich. Spróbuj zasnąć – powiedziałem. Oni nie odejdą – powiedział – śnią mi się co noc. Twarze znajome? – spytałem. Nie widzę ich twarzy – powiedział – ale ty przecież wiesz dobrze, kim oni są. Znasz ich twarze.

Wiedziałem, iż zaprzeczając niczego nie osiągnę, niczego nie wyjaśnię, żadnych zwidów nie przepędzę, lęków nie uspokoję. Kłamstwo od początku wcisnęło się między nas, a ponieważ było to kłamstwo moje – czułem się zawsze współwinien nieomal wszystkiego zła, jakie ten beznadziejnie w rzeczywistości zagubiony chłopiec zaciągał na siebie i w sobie rozniecał.

Skłamałem raz jeden i w sprawie mało ważnej, lecz u samych początków, kiedy wszystko jest ważne. Nie musiałem skłamać. Czy uczyniłem to, aby w jego oczach nie pobłądzić, czy też jemu chciałem oszczędzić przelotnej przykrości? – nie wiem i nigdy się tego nie dowiem. Jednak z chwilą, gdy moje kłamstwo zostało ujawnione, ziemia się zatrzęsła pod nim i jak się miałem niebawem przekonać – pode mną także. Nie powiedział nic, nie czynił mi żadnych wyrzutów, posiadał wówczas bardzo wysublimowane poczucie godności osobistej. Przestał mi po prostu wierzyć, utracił pełne zaufanie w wiarygodność moich słów i wyznań. Kochał mnie nadal, lecz już wątpiąc w uczucie moje. Sprawy drobne, błahe umykały jego uwadze, nie okrążał takich spraw podejrzeniami. Prześladowało go jedynie powątpiewanie w prawdziwość spraw istotnych i ważniejszych. Moje głupie kłamstwo, lecz przecież moje, pustoszyło i jego, i mnie. Żyliśmy w koszmarnym tumanie, na pograniczu jawy i snu, on – czujny i napięty, udręczony wyimaginowanymi wytworami swojej znieważonej i już chorej wyobraźni, ja – daremnie usiłujący oczyścić się z win nie popełnionych i z kłamstw nie wypowiedzianych. A jednak kochaliśmy się, jeszcze nieświadomi, że miłość stygnie w nas, powoli zagęszcza się w czarny skrzep. Głupim kłamstwem śmiertelną ranę zadałem naszej miłości u samych jej początków. Była jeśli nie od pierwszego, to już od drugiego dnia chora. Zapominaliśmy niekiedy o naszym nieszczęściu, lecz za każde zapomnienie natychmiast spłacaliśmy swój haracz.

Więc też i teraz, w tamto nasze ostatnie widzenie nocne, wiedziałem, iż nie da wiary moim zapewnieniom i na nic wszystkie moje słowa. Jednak postaraj się zasnąć – powiedziałem – może dzisiaj i oni poczują zmęczenie i usną. Roześmiał się krótko i nieprzyjemnie. Może masz słuszność – powiedział – może rzeczywiście usną. No widzisz! – powiedziałem. Będę ich widział we śnie śpiących – powiedział. Zdaje się, że się roześmiałem. Po chwili jego gorący oddech poczułem na twarzy i usłyszałem bliski szept: myślisz, że zwariowałem? Nie zaprzeczaj, przecież wiem, że tak myślisz, po co miałbyś kłamać? Dość długo zastanawiałem się, czy odpowiedzieć. Wciąż jego oddech palił mi twarz. Tak – powiedziałem wreszcie – rzeczywiście po co miałbym kłamać? Nie, nie myślę, że zwariowałeś, jesteś tylko zmęczony. Znów zapadło między nami milczenie. Więc daj mi ich adresy – powiedział. Nie byłoby sensu spytać: czyje adresy? Powiedziałem: nie mogę zrobić tego teraz. Dlaczego? – on spytał. Muszę mieć ich zgodę – powiedziałem. Przecież wiesz, że oni takiej zgody nie dadzą – powiedział. Możliwe – powiedziałem

– w konspiracji trzeba unikać nazwisk i adresów. Powiedział: ale ty te nazwiska znasz. Tylko jedno – powiedziałem. Daj mi je – powiedział. Ja wciąż patrząc w stronę okna: nie mogę. On: powiedz, że nie chcesz. Nie, nie mogę – powiedziałem – zrozum to. Jestem zadżumiony? – spytał. Ależ nie! – odpowiedziałem. Podejrzewają mnie, że zdradzę? – spytał i wydało mi się przez moment, że w jego głosie zabrzmiała groźba. Ale pomyliłem się. Prawie nagle odsunął się ode mnie, odwrócił na drugi bok i gdy w mojej głowie stała się pustka – usłyszałem jego cichy, z trudem powstrzymywany płacz. Więcej już nic z tej nocy nie pamiętam. Usnęliśmy wreszcie? Może. Ale tylko – może. Pamięć moja zatrzymała się na tym płaczu, jakby ze skraju przepaści stoczyła się w głęboką ciemność. Ranka i rozstana nie pamiętam także.

Zobaczyłem go dopiero kilka dni później. Jego? Raczej strzęp, jaki z niego pozostał. Wciąż trwał czas upałów. Pamiętam, że powietrze było duszne i ciężkie, chyba zanosiło się na burzę. Leżał na nagim polu, nieopodal toru wąskotorowej kolejki. Gdy się tam znalazłem, już był przykryty gazetami, musiał to ktoś zrobić, kto znalazł się tam zaraz po wypadku, papier w kilku miejscach przesiąknięty był krwią. Pamiętam, iż przy tych nędznych i zbrukanych resztkach, nie całkiem gazetami osłoniętych, pomyślałem w pewnym momencie, iż t a k i e j śmierci nie mógł chcieć w pełni świadomości człowiek tak bardzo w każdych okolicznościach dbały o swój wygląd zewnętrzny, wypielęgnowany i aż do przesady czysty. Swoje jedyne, całkiem już nienowe ubranie: czarną marynarkę oraz szare flanelowe spodnie nosił z niewymuszoną swobodą bogatego panicza. Nie, nie mógł chcieć podobnie upokarzającego widowiska. Widocznie, jeszcze do mnie nie dotarła świadomość, iż człowiek w obliczu nieuchronnej zagłady jest już nie tym samym co za życia, śmierć bierze go w swe zachłanne posiadanie i ona kształtuje ostatnie manifestacje istnienia. Być może, przy pierwszym zetknięciu ze zmarłymi, a nam najbliższymi, nasze myśli nigdy nie bywają dość przenikliwe i mądre.

Niebawem przyjechała karetka Pogotowia. Odeszłem na stronę, żeby nie patrzeć, jak go będą z ziemi podejmować i kłaść na nosze. Wróciłem do miasta piechotą. Miałem do czego wracać, moje życie w tamte lata było bogate, natchnieniem może być czas nawet najcięższy, a przecież tamten, za okupacji, nie był ani lekki ani łatwy. Myślałem najprawdopodobniej, że gdybym w ową pamiętną noc okazał nieszczęśnikowi więcej ciepła i przyjaźni, być może nie doszłoby do dzisiejszej tragedii. Lecz też i przysiąc nie mógłbym, czy w moje ciężkie rozmyślania nie wślizgiwało się w pewnych monetach uczucie ulgi.

Późniejszymi laty wielokrotnie tą drogą jeździłem do Obór. Nigdy jednak nie udało mi się zobaczyć miejsca śmierci najbliższego mi niegdyś człowieka. Wina nie tylko mojej małowiernej pamięci. Krajobraz tych stron się zmienił i zmienia się nadal. Prawdopodobnie na miejscu, w którym na polu, gdzie pod splamionymi krwią gazetami spoczywało poszarpane i zmiażdżone ciało mego przyjaciela, stoi dzisiaj jeden z tak licznych i beznadziejnie szpetnych podmiejskich domków.

Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski

Młodość 1975

– Chciałbym ci opowiedzieć o pewnej rzeczy, którą mam, a która jest mi bardzo potrzebna i przyjacielska. Mam taką rzecz: to ściana. Ściana, do której się przytulam, gdy nie mogę zasnąć, gdy we mnie kłębią się walcząc nieznane, nieświadomości potwory. Potwory bez postaci, a jednak dobrze mi znane, bo odwiedzające mnie często i od dawna. Przychodzą z przeszłości, rozrywają i pożerają moją duszę. To zło, które wyszło ze mnie i trafiało w ludzi. To kłamstwa, które skłamałem. Czasem dołączają do nich inne; te trochę lepsze (bo nawet czasami walczą z tamtymi), to moje zdarzenia dnia dzisiejszego. To moje pytania o wszystko. To moje nieodpowiedzi. Miotają się we mnie. Przysypiają czasami tylko, gdy uroki życia wydają mi się tak wielkie i prawdziwe, że myślę tylko o nim.

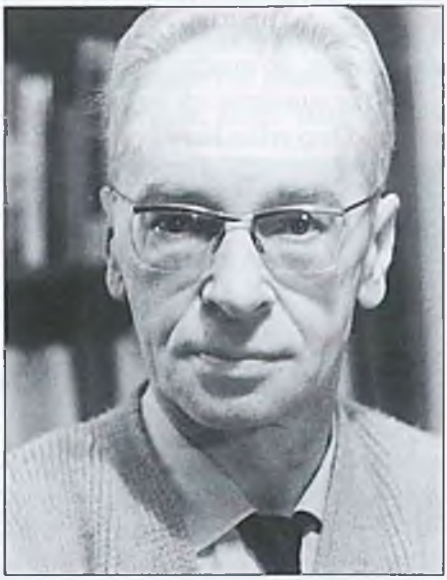

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Lecz skoro wyjdą ze swego siedliska (gdzie to jest?), głodne zaczynają okrutnie kąsać. Usiłują pożywiać się wszystkim: mózgiem, myślami, trzewiami. Wreszcie, wciąż tak samo głodne, zwierają się w walce z tamtymi, lecz nie trwa to długo. Zmieniają się niebawem. Z pytań w zarzuty!

A jeszcze czasami przychodzę tam ja. Ciągle niezadowolony z siebie, szukający, pragnący się zabić. I kąsam. Sam siebie! I innych. To ja w snach obcinający nogi przyjaciołom, ja trepanujący im czaszki, by pozbawić ich mózgu i myśli, ja przeszczepiający im serca, by nie czuły tego, co ja chciałbym czuć. To ja, nienawidzący siebie i innych, ja nienasycony, żądny pieniędzy, sławy i kobiet. Czy taki jestem prawdziwy?

I gdy to wszystko kłębi się we mnie, gdy kopie, gryzie, szarpie szponami, kłami, szczypcami; moje ciało okaleczone, zmęczone, płonąca łza lecąca w ogromną ciemności przestrzeń przywiera nagle do ściany.

O, ta jest zimna! Przyjacielsko zimna, niema i pewna. Daje oparcie i chłód. I myśli, potwory moje, rozbijają się o nią, o rozdrobnione, starte w pył szklany, niegroźne już i śmieszne spadają na tapczan!

Jest balsamem cudownym, bo pewna, bo nie usunie się ze wstrętem, bo o nic nie spyta, nie spojrzy ze wzgardą. Mogę się na niej oprzeć. I wtedy niczego już

nie potrzebuję. Mając coś pewnego, uspokajam się, gaśnie pożoga i zatrzymuje przestrzeń. Mam coś, co nigdy mnie nie ocenia!

– Więc jest to ściana, na której zawieszasz swoje sumienie. Aby odpoczęło i abyś Ty odpoczął!

– Coś powiedział?!! Sumienie...? Nie, nie, nie! do końca będę krzyczał nie! To nie jest sumienie. To ja tam wiszę! To ja się o ścianę opieram. To ja potrzebuję oparcia.

Czyś widział kiedykolwiek, aby sumienie potrzebowało oparcia?

Czyż widział kiedykolwiek zdrowego, tęgiego wojaka, który szukałby oparcia w ciężko ranionym towarzyszu?

Przecież sumienie jest zawsze zdrowe, to ciało lub dusza bywają chore.

Czyś widział kiedy człowieka, który z zawziętością płynącą z przestrachu i wielką, jak on, zabija dokładnie wszystkie, wszystkie owady, które światło jego pokoju ściągnęło spośród nocy? On je zabija ze strachu, ściga je i ucieka, by nie dotknęły jego ciała. Boi się, że za mistyczną winę, jakiś obrzydliwy owad zabije go. Choć dobrze wie, że muchy, ćmy i komary nie zabijają.

To nie sumienie ich się boi! To ciało albo dusza! Sumienie, to maszyna – wiesz o tym! Ono tylko liczy i podaje Ci wynik: zrobiłeś „dobrze" albo „źle". A to, co jest we mnie, to potwory życia, uczuć, obaw. To potwory bez twarzy – tylko kły mają, nie ręce mają, tylko haki lub kikuty pustych rękawów, nie nogi mają, lecz koła olbrzymich drabiniastych wozów – pędzące wprost na mnie; nie oczy ich patrzą, lecz blade, upiorne księżyce, i nie mówią do mnie, lecz charczą rynsztokiem rzygowin! Czyś widział kiedy takie sumienie?!

Nie. Ono może być tylko kartką papieru barwy białej, lub czarnej, albo też z jednej strony białej, z drugiej czarnej, lub też nieco zabrudzonej i pomiętej barwy może być sumienie. Oto Twoje sumienie – to kartka tylko!

– Nie, przyjacielu! To nie są potwory. Zejdź w głąb siebie takiego, jakim jesteś. Zejdź pewnie, bez strachu, dobrze oświeć każdy kąt tego labiryntu. Nie wolno Ci zostawić pustego miejsca, bo być może, tam czai się twój Minotaur!

Nie bój się go, wszak on jest tobą. Ty jego się lękasz, choć ty go stworzyłeś.

Boisz się, bo boisz się swych uczynków, lecz właśnie w nich jesteś sobą, nimi się stwarzasz. Więc sprawdź, jaki jesteś, jak żyłeś.

Musisz iść pewnie! Nie lękaj się kół pędzących, wszak sam je w szaleńczy ruch wprawiłeś, nie lękaj się pustych rękawów – sam pozbawiłeś je dłoni, nie obawiaj się kłów – przecież to ty starłeś z nich twarze, i nie lękaj się bladych oczu – sam je wypaliłeś!

Gdy już przejdziesz przez całe swe życie (a musisz to zrobić dokładnie, nie pomiń dnia ni żadnej godziny) wtedy wyjdziesz w jasność i napotkasz siebie, który czeka cię tam od dawna! Pokonasz Minotaura, którym sam byłeś! I już będziesz wiedział, jak żyć. Jeśli przejdziesz.

Obyś przeszedł, bo wiedz, że droga to przez męki, ciernie i że musi w niej umrzeć z głodu Minotaur, lub... Ty.

A więc, odwróć się od ściany. Inna jest droga twoja.

Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski

Elegia

Są melancholiczne pióra; te stylem elegii
jęczą nad niewiadomością, nad zaślepieniem,
nad niewdzięcznością żelaznego wieku tego.

(Ignacy Krasicki, „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki". Przedmowa.)

1. Gdybyż te schody na czwarte piętro z dodatkiem kilkunastu krętych i stromych na poddasze prowadziły do raju! Lecz raj już dawno rajem być przestał. Zresztą, czy był nim kiedykolwiek? Może kiedyś w pradziejach, które stały się tak odległymi nie na skutek ogromu minionych lat, lecz za przyczyną obszarów objętych zmianami? Więc, gdy pewnego dnia jesiennego wstąpili w wysokie rejony jednego z żoliborskich bloków, owych przedwojennych „szklanych domów" i objęli bogatym, lecz jeszcze skromnie przystrojonym metrażem poddasza panowanie – ona, Marta, on Jan, małżonkowie Wierny, a dzieci reprezentować miały według nieco fantastycznego życzenia matki cztery żywioły: Gaję – ziemię, wodę – Krzysztofa oraz ogień i powietrze, bliźnięta – Floriana i Zefirynę; może wówczas, jeszcze nieukształtowane wewnętrznie, chaotyczne i mętne, raczej zapowiedź stanowiące aniżeli dokonanie – może wówczas, gdzieś w początkach drugiej połowy lat pięćdziesiątych poddasze małżonków Wiernych było rajem? Wówczas, bo po dziecięcemu objawiane wesołości starzejącej się Marty mogły świadczyć za tym. Lecz zaprzeczeniem zdawać się mogły niespodziewane zazwyczaj napady gniewów i złości, płacze, nawet zawodzenia, wreszcie i przypływy melancholijnej zadumy. Czyż natura tak w swoich odczuciach i ocenach rozproszona i z jednej skrajności w drugą bez wyraźnych dla otoczenia przyczyn wpadająca, mogła kiedykolwiek przebywać w raju, nawet, gdy żył był wieki Jan, sława i pieniądze sprzyjać mu poczynały u schyłku trudnego życia, a cztery żywioły były jeszcze dziecięce, lub wręcz niemowlackie?

Jerzy Andrzejewski ok. 1913 r. *Fot. Archiwum „K.A."*

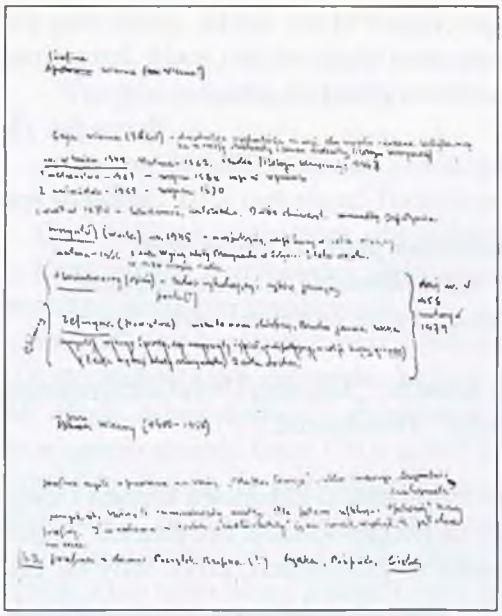

Rękopis „Elegii" Jerzego Andrzejewskiego

Marta wiedziała, że przy jej tuszy, zadyszce oraz zwyrodnieniu mięśnia sercowego, wdrapywanie się na wysokości z nieodłącznym objuczeniem ciężarem żywnościowych zakupów, upodabniało ową wspinaczkę do drogi krzyżowej. A ponieważ już miała w nogach i w ogóle w całym tak niepomiernie obfitym ciele godziny wystawania w kolejkach tych najnowocześniejszych i prawie nieruchomych, choć skłóconych i wściekle hałaśliwych pielgrzymkach po mięso, chleb, mąkę, kaszę, cukier, właściwie po wszystko; więc już nabrzmiała i wyogromniona w swej chorobliwej otyłości ledwie wkraczała w cień i w piwniczny chłód klatki schodowej, już układały się jej w głowie stacje kalwaryjne na półpiętrach, lub gdzie bądź indziej.

Kalwaryjne monologi Marty posiadały charakter wyznań bezgłośnych, choć mogło się nie raz i nie dwa zdarzyć, iż wewnętrzne odurzenie przejawiało się w słowie odruchowo wyrzuconym lub w geście nieopanowanym. Na schodach klatki wejściowej B zazwyczaj w godzinach rannych oraz południowych panował ruch raczej słaby, więc też i bardzo rzadko się przydarzało, żeby Martę wracającą z zakupów ktoś swój lub obcy mógł przyłapać na niespodziewanym okrzyku, albo na zbyt ożywionej gestykulacji. Zresztą, cierpiąc na dość wiele dolegliwości cielesnych, Marta zachowała, zbliżając się do sześćdziesiątki, słuch równie czujny i bystry, jak za lat młodych, więc ktokolwiek natknął się na nią na schodach – mógł w tej wielkiej i tęgiej kobiecie o twarzy wręcz pupiastej, choć i dziecięcej dzięki niewinnie zdziwionym niebieskim oczom, więc ten ktokolwiek nie mógł się w Marcie odprawiającej wypoczynkowe zaklęcia dopatrzyć czegoś, co by zmuszało do snucia podejrzeń lub ryzykownych skojarzeń. Porywająco piękne oczy starszej pani śmiało, lecz i życzliwie spoglądały na każdego, kto po schodach ku niej schodził i jedyny efekt podobnych zetknięć sprowadzał się do tego, iż każdy lub każda, jakby zawstydzeni, a też i oszołomieni potężną sylwetką właśnie korzystającej z odpoczynku, umykali wzrokiem, jakby w obawie, że w wypadku przeciwnym mogą się okazać niedyskretni i nieprzyzwoicie natrętni.

– To zabawne! – mówiła potem Marta przy pierwszej okazji – jacy oni są śmieszni i naiwni. Myślą, że ja się mogę wstydzić, że jestem stara i gruba. A dlaczego ja nie miałabym być stara i gruba? Jestem stara i gruba. Bardzo stara nie jestem, to prawda, lecz, że gruba bardzo i to o wiele za bardzo, to na pewno. I co z tego? Jestem, jaka jestem.

Tak zatem na półpiętrzu, lub na podeście piętra pierwszego zatrzymywała się po raz pierwszy i taki mniej więcej wygłaszała monolog wewnętrzny:

– Nie tryumfuj przedwcześnie, okrutna Latono! Widzisz, to ja – Niobe! Mniemałaś w swej zawiści zapiekła, że twoi Zeusowi bękarci, Apollo i Artemida, wszystkie me dzieci ustrzelali, siedem pięknych cór i siedmioro urodziwych synów. Nie ciesz się i nie chełp przedwczesną pomstą. Bo oto nie wszystkie ukochane moje dzieci zostały dalekonośnymi strzałami ugodzone. Prawda, nawet najcięższymi grotami uderzana, przecież się ostoi. Niesprawiedliwość, choćby z wyższych sfer spadała, nie wypełni się do ostatka. Prawdą jest, iż dziesięcioro moich niewinnych dziatek padło od wrażych ciosów, lecz prawdą także, że czworo ocalało. Cztery moje latorośle uosabiające cztery żywioły: ziemię, wodę, ogień i powietrze. Są ze mną i żywiołom dziejów przeciwstawiają opór żywiołów własnych. Więc na pohybel tobie, przewrotna i skąpo płodna nałożnico Zeusa! A chwała mnie, nieśmiertelnej Niobe-Marcie! Nie zaklętą w głaz mnie widzisz, ani płaczącą kamiennymi oczyma. Ogromną górą musisz mnie zobaczyć, a dostępu do niej bronią cztery żywioły. Jestem! Patrz!

Zaś w okolicach piętra drugiego, ciężej niż na poprzednim dysząc, bezgłośnie wołała, wciąż bezgłośnie:

– Do broni, synkowie moi i córy! Do broni! Gdy nasza wolność zagrożona, honor oraz miłość ojczyzny nas uzbroją, zasilą odwagą, wspomogą waleczność. Odnosząc w dziejach sławne zwycięstwa, bywaliśmy również na skutek przemocy zwyciężani. Lecz nigdy duch narodu pokonany nie został. Nigdy, nawet w godzinach najcięższych, nie zostaliśmy rzuceni na kolana, błagając o litość, wspaniałomyślność, lub wybaczenie. Zawsze, gdy należało, chwytaliśmy za oręż gotowi do boju za wolność naszą i waszą, narody jeszcze uciemiężone. I oto chwila dziejowa wybiła! Słyszycie dzwony oraz syreny obwieszczające alarm? Biada tym, którzy głuszą ducha ojczyzny! Czegóż to chcecie, synkowie moi i córy? Słyszę! Odpowiadacie: wyzwolenia! Na cóż więc czekacie? Do broni! Do broni!

Trzeci podest lub jego bliskość dłużej zatrzymywały Martę. Ziemniaki, jarzyny oraz wszystko inne, co się nadarzyło kupić z naglącej potrzeby albo też i z jej braku, nabierało ciężkości kamieni. Zatem Marta na tej stacji kalwaryjnej ograniczać się zwykła do przypomnienia ojczystych wersów:

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednym „stań się" z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią –
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy go spójnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące;
Witaj, jutrzenko swobody.
Zbawienia za tobą słońce!

Na podeście ostatnim, czwartym, wstąpiwszy dla świętego spokoju na pierwszych parę schodków, owych złośliwie stromo, nieomal wspinaczkowo prowadzących w rejony poddasza, Marta zwykła zazwyczaj prowadzić pielgrzymkę do Jasnej Góry w Częstochowie, z dziećmi – żywiołami u boku, więc na czele wolno się posuwającej rzeszy pielgrzymów. Śpiewa najczęściej w sobie, lecz niekiedy i z cicha nucąc:

Serdeczna Matko,
Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierot do miłości wzbudzi!
Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy:
Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy...
Również intonowała:

Część Maryi, cześć Jej, chwała,
Pannie Świętej cześć!
Śpiewaj, śpiewaj, dziatwo mała,
Hołd Jej śpiesz się nieść...

Zaś częstokroć myliła pielgrzymkę z pokutną drogą krzyżową i wiodła żałobną melodię;

Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił,
Czymże zasmucił, albo czym zawinił?
Jam cię wyzwolił z mocy faraona,
Tyś mi przyrządził krzyż na me ramiona...

2. Gdy składała siatki z zakupami na podłogę i sięgała po klucze, żeby drzwi mieszkania otworzyć – zawsze ogarniały ją pożądliwość oraz niespokojność. Pożądliwość, czy mieszkanie okaże się puste i będzie po nim mogła swobodnie pomyszkować; niespokojność, bowiem nie mogła mieć pewności, które z dzieci i w ogóle kto? – może w mieszkaniu przebywać. Bywało różnie. Lecz dopóki stara Zofia Stelmachowa, uległszy na skutek ulicznego wypadku ciężkiemu złamaniu kości udowej, musiała się na dobrych parę miesięcy położyć do łóżka, całą jako tako unormowaną gospodarkę mieszkańców Poddasza przyprawiając o stan zamętu, nieporządku i mało na ogół szczęśliwych improwizacji – jej właściwie zegarek, choć go nie posiadała, funkcjonował regularnie, jak gdyby w jej chłopskim ciele posiadał swój czas własny i nieodmiennie zgodny z porządkiem małego wprawdzie, lecz burzliwego społeczeństwa. Natomiast zegarki czworga dzieci działały wedle natur posiadaczy.

Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski

Rzecz, która ma być opowiedziana...

Rzecz, która ma być opowiedziana, wprawdzie się łączy z zapisem historycznym dziejopisów różnych czasów, lecz została poddana tak wieloznacznym przeobrażeniom, iż może wydać się oderwaną od macierzystej materii; ukształtowaną zatem, jeśli nie wyłącznie, to przecież w znacznej mierze przez myślowe i artystyczne ożywienia narratora. Dotrzymywanie wierności pogmatwanym obszarom istnienia wydaje się urojeniem może w intencjach niekiedy szlachetnych, lecz tylko urojeniem, nie przylegają bowiem do siebie: czas „rzeczywisty" i czas kreacyjny. W istocie pisarstwo jest nieustanną zdradą rzeczywistości, lecz ową zdradę niejako oczyszcza duch rozumienia życia, losów i przeżyć, i to właśnie ów wielowarstwowy pierwiastek sprawia, iż zacierają się różnice czasów i fikcja może utrwalić istnienie w kształcie niemal doskonałym, a także i trwalszym od przemijającej rzeczywistości.

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Przekorne ryzyko wydaje się jednym z najżywotniejszych impulsów skłaniających do uprawiania sztuki kreacyjnej i nie wydaje się rzeczą zbędną, aby pomiędzy pojęcie przekory oraz pojęcie ryzyka wpisać w charakterze łącznika pojęcie ironii. Na pewno ryzyko rozlicznych ludzkich działań oraz prób przerastają, i to w sposób częstokroć groźny ryzyko jakie bywa udziałem artysty.

W latach dawniejszych i tych jeszcze pradawniejszych bardzo wysoko, jeśli nie najwyżej, ceniłem powołanie wybrańca sztuki. Gdybym nie cenił go i teraz, coraz bliższy wieku podeszłego, zaniechałbym opowiadania historyjek, jak wyraził się niedawno o utworach prozatorskich pewien lekarz, zresztą w intencji wyraźnie pokpiwającej.

Wielokrotnie i przy różnych okazjach miałem sposobność podkreślać z uporczywym naciskiem, jak różnorakimi pokarmami żywi się dzieło sztuki i jak źródła jego nie tylko czystymi wodami bywają, lecz także bagnem i gnojowiskiem. Nie rzuciłbym kamieniem w tego, kto w podobnym wyznaniu dopatrzyłby się przewrotności. Ależ tak! Rzetelne poczucie moralne niejednokrotnie nasycane bywa zimną przewrotnością. Lecz jeśli jest to chłód, to w jego głębokich wnętrzach płonie ogień i to

jego poblask sprawia, że czas zatrzymany oddycha miłością i jeśli śmierć czuwa przy każdym istnieniu – życie warte bywa, aby zatrzymać jego przemijanie.

1. Miał lat czternaście, albo co najwyżej szesnaście, gdy rzymskie legiony na Wschodzie obwołały tego Syryjczyka cesarzem, jako domniemanego syna Karakalli. W „Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego" Gibbon tak scharakteryzował młodziutkiego władcę: „Ponieważ uwagę nowego cesarza zaprzątały najbłahsze rozrywki, stracił on na swój zbytkowy pochód z Syrii do Italii wiele miesięcy; przez Nikomedię przeszedł pierwszej zimy po zwycięstwie, a swoje tryumfalne wkroczenie do stolicy odłożył aż do następnego lata. Znacznie wcześniej jednak ukazał Rzymianom trafną, choć niegodną podobiznę swojej osoby i obyczajów, swój wierny portret, który poprzedził jego przybycie i na jego wyraźny rozkaz został umieszczony nad ołtarzem Zwycięstwa w gmachu senatu. Portret ten przedstawia go w szatach arcykapłańskich z jedwabiu i złota, skrojonych luźno i obficie, według zwyczajów Medów i Fenicjan; na głowie miał cesarz wysoką tiarę, a jego liczne naszyjniki i bransolety wysadzane były klejnotami nieoszacowanej wartości. Brwi miał ubarwione czernidłem, a policzki bielidłem i różem. Poważni senatorowie wyznawali z westchnieniem, że Rzym, który poprzednio długo zaznawał tyranii własnych rodaków, w końcu został upokorzony zniewieściałym przepychem wschodniego despotyzmu.

W Emezie oddawano cześć boską słońcu pod nazwą Elagabalus i pod postacią czarnego stożkowatego kamienia, który, jak powszechnie wierzono, spadł na to święte miejsce z nieba. Temu to bóstwu opiekuńczemu Antoninus nie bez pewnego uzasadnienia przypisywał swoje wzniesienie na tron. Jedynym zajęciem, jakiemu się poważnie oddawał przez cały czas panowania, było popisywanie się zabobonną wdzięcznością. Najważniejszym celem, któremu służyła jego gorliwość i próżność, było doprowadzenie do tryumfu boga Emezy nad wszystkimi religiami świata; przy czym imię Heliogabal (bo jako arcykapłan i ulubieniec bóstwa, ośmielił się przybrać to święte miano) było mu droższe niż wszystkie tytuły majestatu cesarskiego. (...) Natomiast Heliogabal (mówię o cesarzu tego imienia), znieprawiony wskutek swojego młodego wieku, syryjskiego pochodzenia i szczęścia w życiu, oddawał się najwulgarniejszym rozkoszom z nieokiełznaną furią i wkrótce w swoich uciechach doszedł do obrzydzenia i przesytu. Wezwał na pomoc sztuki podsycające żądze: tłumy najróżniejszych kobiet, różnorakie wina i potrawy, wyszukana rozmaitość pozycji przy uczcie i nowych wynalazkach oraz przypraw – wszystko to miało służyć podsycaniu jego zwątlałych pożądliwości. Jego panowanie zaznaczyło się nowymi określeniami i nowymi wynalazkami w dziedzinie nauk tych, jedynych, jakie ów monarcha uprawiał i popierał – stąd o jego hańbie dowiedziały się następne wieki. Kapryśna rozrzutność wyrównywała brak smaku i wykwintu; a trwoniąc skarby swego narodu na najdziksze zbytki, wychwalał jednocześnie wraz ze swymi pochlebcami animusz i wspaniałość, nieznane jego powściągliwym poprzednikom. Do najulubieńszych rozrywek cesarza należało zakłócanie pór roku i klimatów, igranie z namiętnościami i przesądami swoich poddanych i obalanie wszelkich praw

natury i przyzwoitości. Dla zaspokojenia jego nienasyconych namiętności nie wystarczył ani długi orszak nałożnic, ani szybko po sobie następujące żony, wśród których była i dziewica westalska, siłą porwana ze swojego uświęconego schronienia. Władca świata rzymskiego wpadł na pomysł naśladowania płci żeńskiej w stroju i w sposobie bycia, przekładał kądziel nad berło i bezcześcił największe godności Cesarstwa, rozdając je pomiędzy swych licznych kochanków, z których jednemu publicznie nadano tytuł i władzę męża cesarza, a raczej, jak sam to później określał, męża cesarzowej. (...)"

2. Zabójca Karakalli, prefekt gwardii pretorianów, Makrynus, teraz cesarz, jakkolwiek uchodził wedle swego mniemania za wodza doświadczonego oraz męża mocnego charakteru, nazbyt ufając swojej popularności u wojsk, nie doceniał przeciwnika i nie zorientował się w porę, że mało komu znany, młodziutki, bo zaledwie czternastoletni arcykapłan Boga Słońca Bassianus, może zagrozić nie tylko jego tronowi, lecz również jemu samemu. Przecież, jeśli chodzi o charakter Makrynosa, jak się zdaje, rzecz nie tak się przedstawiała. Pisał kronikarz, historyk współczesny tamtym burzliwym latom:

„...Zrobił tylko jeden błąd, że nie rozpuścił zaraz wojska i nie odesłał ich do miejsca pochodzenia, a sam nie pośpieszył do stęsknionego Rzymu, gdzie lud raz po raz się go domagał, wznosząc okrzyki głośne, lecz trawił czas w Antiochii, pielęgnując swą brodę, odbywając przechadzki wolniej niżby należało, zaledwie odpowiadając podchodzącym doń z wielką pewnością, tak, że często nawet nie słyszeli jego zniżonego głosu. Przykładał wagę do tego, by naśladować zachowanie Marka Aureliusza, nie naśladował jednak w czym innym jego trybu życia, lecz coraz to więcej zażywał przyjemności, bo spędzał czas na widowiskach baletowych i popisach wszelkiego rodzaju artystów muzycznych czy tanecznych, a nie dbał o sprawy urzędowe. Występował też publicznie wystrojony w klamry i pas wysadzany bogato złotem i drogimi kamieniami, podczas gdy u wojska tego rodzaju wytworność nie była mile widziana i uchodziła raczej za coś barbarzyńskiego i kobiecego. Toteż żołnierze widok ten z niechęcią znosili i w ogóle byli niezadowoleni z jego sposobu życia zbyt wygodnego, niż to żołnierzowi przystało. Kiedy snuli porównanie, wspominając życie Antonina nacechowane prostotą żołnierską, potępiali wystawność Makryna. A również oburzali się, że sami muszą żyć pod namiotami w obcym kraju, odczuwając nawet czasami brak koniecznych rzeczy i nie mogąc wrócić do swych stron rodzinnych, mimo że niby jest pokój. Widząc tedy Makryna żyjącego w zbytku i wygodach, poczęli się już wyłamywać z karności i łżyli go między sobą, a tylko rozglądali się, czy nie znajdą jakiegoś pozoru, by pozbyć się sprawcy swego położenia.

Takie to było widocznie przeznaczenie, że Makrynus po rocznym tylko okresie rozkoszy panowania stracił równocześnie życie i władzę, gdy los nastręczył żołnierzom nieznaczną i błahą sposobność do spełniania ich pragnień."

Tymczasem dzięki mądrym zabiegom babki Bassianusa, Julii Mezy, która ob-

ficie czerpiąc ze swych bogactw, była przecież wdową po imperatorze Antoninie, hojnie obdarowała tych wszystkich, na których względach jej zależało, a przede wszystkim głoszonym przez nią zapewnieniom, iż jej wnuk jest synem Antonina Karakalli oraz jej córki Soemiady, a więc królewskiego rodu – popularność młodocianego arcykapłana poczęła się szerzyć nie tylko wśród wojska, lecz zarówno wśród możnych jak i biedoty. Wprawdzie obyczaje Syryjczyka były gorszące, a ich zuchwała jawność mogła odstręczać umysły jeszcze przywiązane do rzymskiej surowości, również zniewieściałość chłopca i raczej kobieca strojność wymyślonych szat, w których się lubował, przewyższały stokrotnie wady Makrynosa. Tak się przecież jednak dzieje, iż stare społeczności osiągnąwszy potęgę, odrywają się od praźródeł swoich sił, poszukując odnowienia w skrajnych przeciwieństwach, i już wcale nie dlatego, żeby je wchłonąć i aby się nimi wzbogacić, lecz raczej w tęsknocie ku obszarom jeszcze nieznanym, a kuszącym urokami obcości.

Bassianus czarował urodą, przyciągał powabnym wdziękiem, oszałamiał strojnością i gdy przed dymiącymi na ołtarzu ciałami dopiero co zabitych w ofierze zwierząt rozpoczynał swe szalone tańce tak lekki, iż nieomal bezcielesny, a przecież cielesny w każdym ruchu i w geście – miękły serca zgromadzonego żołnierstwa, mogło się bowiem zdawać, iż rzeczywiście słoneczne bóstwo przybrawszy kształty ludzkie zstąpiło na ziemię, aby swój symbol: czarny stożkowaty kamień malachitowy uczynić weselem dla oczu, pożądaniem – dla pobudzonych zmysłów.

Z początkiem maja roku 218 cesarz Makrynos uciekł z obleganej przez wojska Bassianusa Antiochii, tak się bowiem stało, że i jego własne legiony poczęły się buntować. 16 maja arcykapłan Bassianus, rzekomy syn Karakalli, Syryjczyk, został obwołany cesarzem i przybrał tradycyjne imię Antoninusa. Pierwszą osobą, która na oczach wojska i ludu złożyła nowo obranemu pomazańcowi hołd była Julia Meza – po niej matka, Soemiada, jeszcze nie pijana, jaką zwykła była bywać porą wieczorną, lecz już nazbyt wczesnym nadużyciem wina lekko zamroczona. Jednak pod surowym okiem swojej matki Julii Mezy trzymała się godnie, zresztą rozentuzjazmowane żołnierstwo chciało w niej widzieć wprawdzie nieślubną, przecież rzeczywiście prawdziwą małżonkę Karakalli, więc taką ją też w owej uroczystej chwili widziano.

Wieczorem Antoninus Bassianus święcił ucztą swój ostateczny tryumf nad Makrynosem, który ku swej hańbie, aby uniknąć śmierci, której zresztą nie uniknął, w popłochu opuścił był Antiochię.

Oczekiwano, że uczta przeciągnie się do rana i prześcignie wszystkie poprzednie zarówno wspaniałością jak i orgiastycznymi uciechami, w których tak bardzo lubował się młodociany arcykapłan Słońca. Stało się jednak inaczej. Biesiada była raczej skromna, nieomal wyciszona i cesarz nieporównanie wcześniej niż zazwyczaj opuścił biesiadną salę udając się do swoich komnat.

3. Septymus, czujny i trochę niespokojnie spięty podczas trwania uczty, teraz to niespodziewane odejście cesarza wytłumaczył na swoją korzyść. Choć przez cały wieczór Antoninus nie obdarzył czułym spojrzeniem oraz łaskawym słowem mło-

dego centuriona jednej z kohort legionów w Mesie, a od niedawna szczególnie uprzywilejowanego miłosnego ulubieńca, ten, wprawdzie nie natychmiast, lecz też i niebawem wymknął się z sali podążając za swoim cesarskim kochankiem. Straż dobrze go znając, nie wzbroniła mu wstępu do sypialni.

Antoninus już zdążył zrzucić z siebie swoje pontyfikalne szaty i nago leżał na niskim i ogromnym łożu. Był dobrej budowy, a ponieważ oczy miał zamknięte, i długie, jeszcze chłopięce ramiona nieruchomo przywarte do ciała również jakby już uśpionego – sprawiał wrażenie istoty nie tylko kruchej i bezbronnej, lecz również zagubionej w półmroku rozległej komnaty.

Septymus podszedł bliżej.

– Jestem, panie – powiedział.

Bassianus milczał dłuższą chwilę, wreszcie, wciąż oczu nie otwierając i niezmiennie nieruchomy, powiedział:

– Podczas uczty byłeś, Septymusie, piękniejszy niż kiedykolwiek.

– Przecież nie patrzyłeś na mnie, panie.

– Sądzisz, że cesarz i arcykapłan muszą patrzeć, aby widzieć?

Po dłuższej chwili rzekł półgłosem Septymus:

– Dzisiejsza noc jest twoją pierwszą nocą cesarską.

Ponieważ leżący milczał, Septymus znów się odezwał:

– Pragnąłbym w tę noc uczynić cię, panie, szczęśliwszym niż w którąkolwiek z nocy poprzednich.

Na to Heliogabal:

– Myślisz, że to możliwe?

– Uczynię wszystko, aby tak się mogło stać.

– Miara szczęścia nie jest skalą, Septymusie.

– Jeżeli tylko pozwolisz się kochać, zawsze.

– Zawsze? Nie domyślasz się jeszcze Septymusie, że to słowo co innego znaczy w rozumowaniu zwykłych śmiertelników, a co innego w zamysłach boga.

– Czyżby bóg już nie potrzebował i nie pragnął mojego kochania?

– Wolę ci odpowiedzieć: nie wiem, aniżeli odpowiedzieć co wiem.

Septymus drgnął i jego piękna, młodzieńcza twarz pobladła.

– Czy to, co wiesz, ma oznaczać...

Przerwał mu Heliogabal:

– Czy nie widzisz, że na ciebie czekam?

4. Septymus posiadał sen twardy, lecz po żołniersku czujny, więc skoro o pierwszym świcie wyczuł, że leżący obok władca poruszył się i cicho odetchnął – natychmiast wziął go brutalnie i gwałtowanie, i kochał długo, jak gdyby stan zawieszenia pomiędzy snem i jawą wzmagał jego siłę i żądzę. Przecież, gdy potem, wciąż przedranną pobudliwością podniecony, chciał miłosny zapał powtórzyć, tamten odsunął go ruchem wprawdzie pieszczotliwym, lecz stanowczym.

– Mam odejść, panie – spytał Septymus. – Chcesz spać?

Heliogabal podniósł się nieco i swoją chłopięcą głowę wsparłszy o dłoń, przyjrzał się leżącemu. Jego ciemne, syryjskie oczy wydawały się w tej chwili nieomal złotawe, prawie tej samej poświaty, co jego jasne włosy.

– Chcę zobaczyć twoje serce – powiedział półgłosem tak ciepłym, iż w owej przytłumionej tkliwości mógł się wydać miłosnym wyznaniem.

Septymus pogodnie się roześmiał.

– Wiesz przecież, panie, że bije dla ciebie i do ciebie należy.

– Muszę zobaczyć twoje serce – powtórzył Heliogabal. – Ale żeby zobaczyć twoje serce, muszę...

W jego prawej, nagle podniesionej dłoni, błysnął krótki ofiarny nóż, który wyciągnął był przed chwilą spod wezgłowia, i uderzywszy nim w miękkie miejsce pomiędzy zbiegiem żeber, mocnym, lecz pozbawionym wysiłku cięciem rozpruł brzuch Septymusa, aż po części rodne wciąż jeszcze zachowujące bujną męskość.

Z rozciętych wnętrzności Septymusa poczęła się wylewać krew, obryzgując cesarza, który odrzuciwszy nóż ukląkł teraz nad swoją ofiarą. Septymus jeszcze żył, choć blednął, lecz oczy miał otwarte i uważnie wpatrzone w pochylonego nad nim cesarza, nie jęczał, wydawał się niemy, jakby już wszelkie życie z niego uciekło.

– Wciąż jeszcze jesteś piękny Septymusie – powiedział Heliogabal i pochyliwszy się przywarł rozchylonymi wargami do ust konającego. Wówczas tamten również pobielałe wargi rozchylił lecz miast przyjąć ostatni pocałunek nagłym zwarciem mocnych zębów ugryzł jak zły pies.

Heliogabal krzyknął z bólu i cofnął się do tyłu. Przez moment przez jego twarz przemknął cień strachu. Lecz natychmiast się uspokoił, ponieważ szybko doszło do jego świadomości, że Septymus mimo oczu wciąż otwartych już nie żyje. Sięgnął palcami do zranionej wargi, ponieważ jednak dłonie miał splamione krwią – nie wiedział ile w nich jego krwi własnej, a ile ofiary.

Długo patrzył na krwawe wnętrzności, także i na krew, która wciąż, już ciemniejąca, wylewała się na nagie ciało Septymusa. Dopiero po dłuższej chwili zanurzył w tych wnętrznościach obie dłonie i szukał nimi martwego serca.

Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski

Heliogabal

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

(zachowane fragmenty)

– Okrucieństwo posiada pewne atrybuty dostojeństwa, ponieważ obcy mu jest pośpiech. Jest natchnione ciekawością wyższego rzędu, bowiem daje ofierze szansę stania się szmatą, lub bohaterem.

Heliogabal , jak zawsze gdy chciał rozpoznać przyjaciela, lub wroga – przechylał głowę, wspierając ją o lekko podniesione lewe ramię, i w tej pozycji zaciekawionego, lecz i też cokolwiek zdziwionego chłopca, obserwował swego wspólrozmówcę oczyma przymglonymi, choć niebezpiecznie innymi, jakby sfałszowanym spojrzeniem chciał go uspokoić i zmienić.

– Czy świat jest logiczny? Może? Lecz jeśli tak jest, a ja tego ujrzeć, ani zrozumieć nie potrafię, dlaczego miałbym małpować to, czego zrozumieć nie potrafię.

– Nawet kiedy jesteś przy mnie całkiem blisko, wydaje mi się niekiedy, że cię wcale nie ma.

– Jestem zawsze – odpowiedział.

– Ale bez zgody, bez pełnej zgody.

– Zgadzam się nie na grzech – odpowiedział cicho.

– Coraz częściej tracę rozeznanie, co jest we mnie lepsze: miłość miłości, czy nienawiść grzechu.

Czasem mi się wydaje, że jesteś ciekawszy, a też i bardziej pożądany – nieobecny, aniżeli jak teraz, gdy leżysz w moich ramionach.

Filéros
Soemiada

– Widzisz mnie?

Tamten tylko skinął głową. Heliogabal musiał się zmusić, żeby mówić wyraźnie i wolno.

– Najlepsi lekarze Rzymu powiedzieli, że jeśli odzyskasz przytomność – będziesz ocalony, będziesz żyć.

I po chwili dodał:

– Jesteś w bezpiecznym miejscu, tu – u mnie.

Tamten wciąż milczał, lecz jego bardzo jasne, niebieskie oczy przytomnie wpatrywały się w siedzącego na skraju łoża.

– Wiesz, kim jestem? – spytał Heliogabal ciszej, aniżeli chciał.

Ponieważ spojrzenie wyrażało całkowitą niewiedzę, zawahał się. Lecz tylko przez chwilę, ponieważ zmusił się, żeby powiedzieć dobitnie, głośniej aniżeli chciał:

– Nazywam się Heliogabal.

W komnacie już wypełnionej jesiennym zmierzchem, zapanowała cisza, tym rozleglejsza, że i z głębi pałacowych pomieszczeń nie dobiegał żaden dźwięk. Było przecież jeszcze dość jasno, aby Heliogabal mógł dostrzec, iż powracający do życia opuścił powieki i w swym znieruchomieniu sprawiał takie wrażenie, jakby przestał oddychać. Heliogabal także milczał. On się mnie boi – pomyślał i poczuł przez moment, iż serce przestaje w nim bić, więc gdy niemal w tej samej chwili zamarłe serce równie nagle gwałtownie poczęło rozsadzać pierś, powiedział głosem zdławionym i urywanym, jakby ostatkiem sił biegł ku wciąż dalekiemu celowi:

– Nie bój się mnie. Jeśli w innych budzę strach, ty nie musisz się mnie bać. Zrobiłem wszystko, żeby cię wyrwać śmierci, lecz przywróciłem cię do życia przede wszystkim dlatego, żebyś mógł się mnie nie bać. Żebyś chciał odpędzić wszelki strach. Nie chcę, żebyś widział we mnie cesarza, chcę być dla ciebie tylko imieniem. A twoje?

– Dzisiejszej nocy mało spałem, długo rozmyślałem.

– Smutno, czy wesoło?

– Rozmyślałem o szaleństwie.

– Ty?

– O dobrodziejstwach szaleństwa.

– Ty?

– Doszedłem do przekonania, że wszystkie niedostatki tego świata, również nasze własne, stają się bez znaczenia, gdy przeciwstawimy im stan szaleństwa. Wszystko wówczas staje się usprawiedliwione: bezsens, przypadkowość, a przede wszystkim to, co niepojęte. A skoro tak jest – wszystko może przestać istnieć.

– A twój Sąd Ostateczny?

– Nie ma go.

– To zaczyna być interesujące. A grzech? Grzeszność?

– Nie istnieje.
– Żartujesz! Cnót nie ma?
– Żal ci?
– A miłość? Kochanie?

[tu: strona nieczytelna (43)]

Wszelką ważność określa jej przeciwieństwo. Im nieważność silniej się zaznacza, tym jej cień na ważność wydaje się mroczniejszy.

22.11.82

Mam już lat tak wiele, że i przeszłości wiele.

Obszary ogromne, więc może i dlatego to co było ważne, maleje. To, co do nas dociera. To, co nieznaczne – kropelkę. *[wers nieczytelny]*... nieobliczalnych przeobrażeniach. Żeby cisza również. Najnędzniejszym płaczem jest płacz nad sobą. Lecz ten, który płacze, nie wie o tym, i to go usprawiedliwia.

Wciąż nie mogę zrozumieć końca, więc pewnie dlatego nie mogę zrozumieć.

Kiedy jeszcze nie wiedziałem, co znaczy cierpienie, potrafiłem cierpieć, choć nie wiedziałem, że to już to.

Kropla po kropli wycieka ze mnie życie. Nie mogę wyciągnąć ku niemu rąk i zawołać: Trzymaj się! Śmierć się toczy, jak życie.

Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Irena Szymańska

Mój przyjaciel Jerzy

Jerzy Andrzejewski był jednym z najbliższych moich przyjaciół. Poznałam go w 45-tym roku jeszcze w łódzkim „Czytelniku", gdzie pojawił się po wydaniu jednej z pierwszych „ważnych" pozycji czytelnikowskich, tomu opowiadań „Noc". Jak przeważnie pisarzy znanych mi z nazwiska przed wojną – Jerzy dostał przecież za „Ład serca" nagrodę młodych Polskiej Akademii Literatury – otoczyłam go z miejsca szacunkiem i czymś w rodzaju opieki.

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Do pierwszego dłuższego zetknięcia z Jerzym doszło w Berlinie w 51-szym lub 52-gim roku, kiedy byłam tam attaché kulturalnym. Przyjechał do NRD (już drugi raz) z większą delegacją, wygłosił przemówienie – a raczej wygłosił je tłumacz – upamiętnione tym, że nie znając ani słowa po niemiecku, zawołał na zakończenie „Niech żyje prezydent Wilhelm Piecyk*". Podczas tego krótkiego pobytu przypadł do serca młodziutkiej znakomitej skrzypaczce polskiej. Kiedy w pociągu – jechałam z całą grupą do Warszawy – przyszła mi się zwierzyć, powiedziałam jej szczerze, że nawet niezależnie od żony i dzieci, Jerzy nie jest właściwym obiektem jej mi-

* prawidłowo: Wilhelm Pieck (1876-1960), niemiecki działacz komunistyczny, od 1949 r. prezydent NRD. (red).

łości. Nie była to szlachetna interwencja i Jerzy dowiedziawszy się o niej, miał do mnie urazę. Wdzięczny był mi młody polityk, który miał niebawem ożenić się ze skrzypaczką, a potem zrobić w PRL-u wielką karierę.

W dzienniku Jerzy notuje wrażenia z ulic Berlina, a od czasu do czasu wtrąca liryczną refleksję, jakby motto do przyszłej powieści: „Do ciebie się tęskni, kiedy cię nie ma i kiedy jesteś".

W roku 1952 Jerzy przeżywał już rozterki natury ogólnej i osobistej. Kończyła się pełna afirmacja rzeczywistości – szukanie „feudała", to znaczy wiarygodnego autorytetu. Zaczyna „myśleć, wątpić i cierpieć". Ucieczka w sen staje się jedynym ratunkiem przed wątpliwościami w słuszność własnych ocen. Jeszcze w czerwcu 50-go roku uczestniczył w zbieraniu podpisów pod Apelem Sztokholmskim, w lipcu był w Berlinie na Zjeździe Pisarzy Niemieckich z Jastrunem i Tadeuszem Borowskim. Jeszcze pochlebia mu zawarcie znajomości z Fiedinem, czy przyjęcia u prezydenta Piecka, choć całkowita nieznajomość niemieckiego utrudnia mu kontakty z ludźmi. Gardzi zachodnim Berlinem, gdzie ludzkie życie sprowadza się do seksu i zabawy, podczas gdy we wschodnim jego treścią jest praca. To, że na zachodzie dobry dziennikarz zarabia tyle, ile stu robotników na wschodzie, świadczy oczywiście przeciw Zachodowi. Tak samo jak, błyszczący luksus, a nawet mnóstwo przekładów powieści na wystawach księgarskich. Niebawem zaczną się rozterki, lecz rozterki to jeszcze nie bunt. Na to czas przyjdzie dopiero za dwa lata.

W styczniu 53 przystąpiłam do pracy w PIW-ie. Moje dawne mieszkanie na Frascati było zajęte i to nie przez byle kogo, bo przez młodziutkiego pisarza – Tadzia Konwickiego z niedawno poślubioną śliczną żoną. Zamieszkałam więc na razie na piątym piętrze w Bristolu. We wszystkich pokojach na tym piętrze czekali na mieszkania pisarze, dziennikarze, pracownicy MSZ-etu. Mój ówczesny mąż Zygmunt jeszcze był w Berlinie – miał wrócić za parę miesięcy. Obok mnie mieszkali Mirosław Żuławski, Jaromir Ochęduszko i przede wszystkim Jerzy Andrzejewski, który przyjechał ze Szczecina, żeby objąć redakcję tworzącego się właśnie „Przeglądu Kulturalnego". Były to dla niego miesiące burzliwe. Jeszcze myślał, że napisze dalszy ciąg „Zadufków", jeszcze nie wstydził się „Partii i twórczości pisarza", jeszcze chciał być najlepszym komunistą, delegatem na Zjazd Partii, członkiem władz partyjnych. Ale dostrzegał już, że nie wszystko jest w porządku. Zaczęło się to, moim zdaniem, od zebrania ZLP z okazji trzydziestolecia opublikowania pierwszego tomu nowel przez Marię Dąbrowską, gdzie Jerzy, pełen czci dla pani Marii (jego dzieci nazywały się Marcin i Agnieszka, jak bohaterowie „Nocy i dni"), wygłaszał przemówienie. Zemdlał pod koniec, nie z tremy czy napięcia: przestraszył się, że powiedział coś niezgodnego z linią partii. Siedziałam potem przy jego łóżku i uspokajałam go, że wcale nie przeciw niemu szeptała Janka Broniewska, ówczesny sekretarz organizacji partyjnej ZLP, z Pawłem Hoffmanem.

Od tego zemdlenia coś się w nim jakby ocknęło. W styczniu – wciąż jeszcze mieszkaliśmy w Bristolu – ogłoszono wyrównanie cen. Potaniały obrabiarki, podrożała żywność, komunikacja i tekstylia. Jerzy był zgorszony, zwłaszcza, że nazwano to „wyrównaniem". Wkrótce potem napisał „Wielki Lament Papierowej

Głowy", ostrą satyrę na kłamstwa propagandy. Nie chciał jeszcze z partii wystąpić, ale już chciał ją reformować. Byliśmy tej jesieni oboje w Zakopanem. Tam Jerzy przeczytał nam – Karolowi Malcużyńskiemu i mnie – „Lament" i tam u „Jędrusia" rzucił na bufet legitymację delegata na Zjazd PZPR- mający odbyć się w 54 roku. Legitymację zabrałam, żeby się nie pętała, lecz dobrze wiedziałam, choć jeszcze tak mało doświadczona, że Jerzy będzie teraz innym człowiekiem. I tak się stało. „Lament" to powiastka polityczno-filozoficzna. Następne opowiadanie „Złoty lis", to gwałtowne rozstanie z socrealizmem, hołd dla wyobraźni, magiczny obraz świata. Nic dziwnego, że w ZLP wybuchła o tę opowieść awantura, pamiętam ataki partyjne, byłam na tym zebraniu, ale Jerzy już nie mdlał. Zmienił się i wcale się nie przejmował.

Wciąż był członkiem partii, ale tliło w nim zarzewie buntu i przede wszystkim chciał wiele zmienić.

Tymczasem oboje wyprowadziliśmy się z Bristolu. Jerzy na Pragę, na róg Zygmuntowskiej i Jagiellońskiej, gdzie z czasem na schodach stać będzie rudy ubek, ja – na Plac Konstytucji, już z Zygmuntem i naszą córką Jasią. Przyjaźń z Jerzym zacieśniała się. Nabraliśmy zwyczaju codziennych rozmów porannych przez telefon.

Niekiedy budzi się we mnie cicha nadzieja, że rozmowy te były nagrywane – jak wymyślił to sobie w „Podsłuchu" Filip Bajon – i że gdzieś w archiwach dawnego UB są taśmy z nagraniami. Bo były to rozmowy naprawdę ciekawe. Mówiliśmy o wszystkim – bardzo nieostrożnie, ale właściwie nigdy nie byliśmy ostrożni – o świecie, o Polsce, najwięcej o planach twórczych Jerzego i o tym, jak zmieniają się znajomi. Zwyczaj takich rozmów przetrwał do śmierci Jerzego z przerwami na wyjazdy; czasem zresztą w Zakopanem czy Oborach bywaliśmy razem. Dużo przy Jerzym przeżyłam zdarzeń: śmierć Stalina i jej konsekwencje, w późniejszym okresie powstanie i likwidację pisma „Europa", wystąpienie tak zwanej grupy „Europy" z partii (ponieważ byli to moi przyjaciele, związane z tym było usunięcie mnie ze stanowiska redaktora naczelnego PIW-u), list Jerzego do Goldstueckera. Na razie, w 1954 roku, Jerzy po powrocie z nad morza i kilku dniach spędzonych pod znakiem sześćdziesięciolecia Iwaszkiewicza żali się w dzienniku na kłopoty z formułowaniem myśli, choć w gruncie rzeczy oprócz właśnie Jarosława – potrafiącego wszędzie, nawet w jadącym pociągu czy autokarze, pisać niemal bez skreśleń – nie znałam nikogo, kto przy ogromnej dbałości o styl i poetykę własnych utworów, umiał pisać tak szybko, jak Jerzy. Nad pomysłem i koncepcją męczył się długo, pisał wręcz błyskawicznie i skrupulatnie utwór szlifował. Sam zresztą to o sobie wiedział i często się chlubił tempem swojej pracy. Zbliża się do czterdziestu pięciu lat i wydaje to mu się już starością. W okresie pisania „Wojny skutecznej" bieżące problemy państwowe były jego sprawami osobistymi; teraz to minęło. Zbudziły się w nim „diabły zwątpienia". Martwi się, że nie pozwolono Rotbaumowi wystawić teatralnej wersji „Popiołu i diamentu" we Wrocławiu. Czyta Hemingway'a, myśli o zabraniu się do powieści miłosnej. Coraz wyraźniej widzi, że w kulturze „bermanowskiej" źle się dzieje. Wbrew poprzednim ambicjom, nie chce być wybrany delegatem na zjazd partii. Irytuje go małostkowość ludzi, których ciągle jeszcze szanuje. Pierw-

szy raz od wielu lat chce głosić „swoją własną prawdę". Pisze wciąż o planach twórczych, o pomyśle do nowej powieści, przejęty jest bardziej sztuką, niż polityką, bardziej pięknem, niż szarością życia. Inaczej, niż wymaga partia, chce oprzeć się na wiecznych zasadach sztuki, nie być twórcą jej socrealistycznej imitacji.

Dużo jest w tych notatkach wspomnień, Jerzy wie, że więcej myśli o sobie, niż o bliźnich, ale śmierć Zofii Nałkowskiej przywołuje w jego pamięci tę „wspaniałą damę"; rozmawia parokrotnie z matką Marka Hłaski; uczestniczy w Radzie Kultury i Sztuki, w zebraniach redakcji „Przeglądu" – spotkania te uważa w sumie za nudne i jałowe: „Nasze czasy są dostatecznie pijane, aby człowiek musiał być trzeźwy". Jeszcze w ubiegłym roku nie doszedłby do takiego wniosku. Wokół wydanego w 1955-tym roku w PIW-ie tomu opowiadań „Złoty lis" robi się szum – chwali je Janek Kott, zarzuca im „niepartyjność" Leon Pasternak. Z notatek Jerzego widać, jak bardzo jest spragniony uznania i jak mało właściwie cieszy się, kiedy go zaznaje.

Główną sprawą staje się teraz miłość – gorąca, burzliwa, nieufna miłość do Marka Hłaski. Ośrodkiem jego myśli, depresji, smutków, niepokojów jest nagłe znikanie Marka, ale jeszcze ważniejsze jest przygnębienie, jakie w związku z tym Jerzy sam przeżywa. Nęka go lęk przed utratą zaufania, utratą wiary w całość miłości.

W 55 roku Jerzy już dobrze wie, że zbankrutowały jego wielokrotne próby wsparcia się o konkretną ideologię, wszystko mu się usunęło spod nóg, stało się nie tylko obce, ale wręcz nienawistne. Zaczyna się prawdziwa odwilż, ale mimo to nie udaje mu się w „Twórczości" wydrukować „Lamentu Papierowej Głowy".

W tej epoce dużo czyta i sięga do różnych lektur – od „Faraona" i Marco Polo, do Hercena, „Manon Lescaut", „Salammbo" i „Pałuby" Irzykowskiego. Stara się przebywać w świecie książek, a nie rzeczywistości.

Wiosną 57 roku jedzie z Jastrunem i Ważykiem do Jugosławii, w pierwszej od 48-ego roku delegacji polskich pisarzy. Wcześniejszych jego listów ze Szczecina i Wrocławia nie zachowałam, a z Jugosławii również nie wszystkie. No cóż, nie będę się usprawiedliwiać wrodzonym mi optymizmem i wiarą, że wszystko będzie trwało wiecznie. Biję się w piersi za nonszalancję i wdzięczna jestem niezmiernie Alinie Kowalczykowej, która ponad dwadzieścia lat temu wydostała ode mnie na szczęście sporo nieuporządkowanych listów i włączyła je do swoich zbiorów, a teraz dała mi ich wydruki. Dzięki temu mogłam napisać wspomnienie o Jarosławie i Ksawerym. A teraz – to tak ważne dla mnie wspomnienie o Jerzym Andrzejewskim.

Mnóstwo kartek i listów przyjdzie w 1959 roku z Paryża, przeważnie z rysunkami – Jerzy z zapałem rysuje duszki i diabły. Jakie to zabawne, że z dwójką moich przyjaciół – z Wisławą Szymborską i Jerzym Andrzejewskim – łączyły mnie zamiłowania ludyczne. Wszyscy troje lubiliśmy się bawić, nawet w gry towarzyskie tego typu, jak „zielony trup" czy „kimby był, gdyby był kwiatem" – gdzie indziej napiszę o tym obszerniej. Łatwo zarażaliśmy tym innych gości w „Astorii" czy „Halamie" (do dziś pamiętam, jak śmiał się Zbyszek Bieńkowski).

W związku z zamknięciem „Europy", jeszcze przed wydaniem jej pierwszego numeru, wszystko staje się polityką. 15 listopada 1957 roku Jerzy przestaje pracować w „Przeglądzie". Rano był u mnie w PIW-ie. Potem ostatnie spotkanie w redakcji i cała grupa postanawia wystąpić z partii (Paweł Hertz i Julek Żuławski są już poza nią).

Mimo swojego nowego statusu Jerzy ma mnóstwo zajęć. Nawet ja go proszę, żeby był podczas wizyty w PIW-ie Michała Choromańskiego, autora „Zazdrości i medycyny" i jego żony, tancerki Ruth Sorel (miło mi, że pisze „urocza jak zawsze Irena"). Poza tym wciąż dużo czyta, chodzi do kina, teatru i na koncerty, na kolegia i komisje, co świadczy o rozmiarach odwilży. Ciągle jednak skarży się na brak sił, zwłaszcza na Zjeździe Literatów w Poznaniu, 7 grudnia.

Wielokrotnie wraca w notatkach do powieści zamierzonych, ale nigdy nie ukończonych; coraz częściej pojawia się w nich Andrzej Wajda, ale najczęściej chyba wymienia Tomasza Manna, którego postać i twórczość coraz bardziej go fascynują. Pisze też dużo o naszych wspólnych wizytach u Marii Dąbrowskiej w Komorowie.

W listopadzie 1957 roku Jerzy złożył na ręce Janka Strzeleckiego (mimo funkcji sekretarza POP-u, jednego z najszlachetniejszych znanych im ludzi) legitymację partyjną z następującym listem:

Od długiego czasu moja przynależność do partii była tylko formalna. Nie opłacałem składek, nie brałem prawie udziału w zebraniach, moje ostatnie utwory zawierają wiele myśli sprzecznych z obowiązującą doktryną Partii.

Różne względy powstrzymywały mnie w ciągu minionych dwóch lat przed wystąpieniem z partii. Chciałem przede wszystkim uniknąć kroku, który mógłby być rozumiany jako manifestacja polityczna. Tymczasem przy wszystkich wątpliwościach ideologicznych nie byłem, nie jestem i nie chcę być, szczególnie po październiku, uważany za przeciwnika politycznego. Gdyby zgoda polityczna była wystarczającą racją dla przynależności partyjnej, mógłbym z czystym sumieniem w partii pozostać. Jestem jednak pisarzem i w tej dziedzinie istnieją bardzo poważne rozbieżności pomiędzy poglądami Partii i poglądami moimi.

Dobrze stało się, że na X Plenum otwarcie i jasno sformułowano to, czego Partia domaga się od swoich członków i również od pisarzy partyjnych. Dzięki temu, że kierownictwo partyjne postawiło te sprawy jawnie i bez niedomówień – moje dotychczasowe opory przed wystąpieniem z Partii tracą swój sens, istotne zaś i decydujące jest, że nie mogę być uważany za pisarza partyjnego. Z tych względów proszę niniejszym o skreślenie mojego nazwiska z listy członków Polskiej Partii Robotniczej. Numer mojej legitymacji: 1436996.

Jakże anachronicznie brzmi ten list, tak wówczas ważny i sensacyjny. Niemal jak fragment ze „Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego" Gibbona, a nie wydarzenie z naszego życia.

W kwietniu 58 gotowy jest scenariusz „Niewinnych Czarodziejów". Jerzy dużo pije, sporo jednak w tym okresie pracuje. Pamiętam też jego ówczesne imieni-

ny, na których Zygmunt Mycielski, Marcin Czerwiński, Paweł Hertz, Andrzej Bonarski, Kazikowie Brandysowie, Ruta Osmańczyk, Międzyrzeccy, jeszcze kilka osób.

W połowie tego roku, po wyrzuceniu mnie z PIW-u, (wróciłam do „Czytelnika" na z-cę redaktora naczelnego wyłącznie do spraw przekładów – czego zresztą bynajmniej ani ja sama, ani mój szef, Ludwik Krasiński, nie respektował) Jerzy przychodził dość często do naszej kawiarni, ale codziennie rozmowy telefoniczne trwały nadal.

Znowu w Oborach zabiera się do pisania w niesłychanym tempie „Rajskiego Ptaka", a potem „Niby Gaju", który mnie dedykuje. W końcu sierpnia 58 wraca do „Bram Raju". Zdarza się, że z przerwą obiadową pisze od dziewiątej rano do siódmej wieczorem; tak dużo nigdy jeszcze nie pracował. „Ciemności" wydają u Knopfa w Stanach Zjednoczonych i w Anglii (bardzo jest przy tym czynna żona naszego ambasadora Mira Michałowska, znana pisarka). Teraz jednak „Bramy Raju" posuwają się powolutku, zaledwie o kilkanaście słów dziennie. Żeby nie wyjałowieć Jerzy mnóstwo czyta, interesuje się *Nouvelle Vague* – modnymi francuskimi pisarzami, Nathalie Sarraute, Butorem, a zwłaszcza Robbe-Grilletem. Niewątpliwą przyjemność sprawiają mu tłumy na jego spotkaniach autorskich – w Poznaniu na „czwartkach" czy w Toruniu. Pod koniec listopada wspomina wieczór z Marysią na nowym programie „Stodoły" – „znużenie w młodości, pełnej prostoty, uroku i smutku".

Jedzie do Obór, gdzie często go odwiedzam. Okazuje się nawet, że wcale nie przejmuje się tylko sobą, bo zauważył, że jestem zmęczona i mizerna. Nie pije, nie może pisać, właściwe tylko czyta. Zachwyca się nowymi wierszami Broniewskiego, ostatnimi wierszami Staffa, lirykami lozańskimi, ale nie ma w nim twórczego napędu. Pracuje tylko nad scenariuszem z „Popiołu i diamentu" razem z młodym Andrzejem Wajdą. Koniec prawdziwej odwilży zaznacza się zatrzymaniem w Polsce „Cmentarzy" Hłaski, które wydaje „Kultura Paryska".

W 59 roku, po trzech miesiącach codziennego picia, nareszcie przerwa i powrót do „Bram Raju". Dopiero teraz wie już dobrze, co i jak ma pisać. Byle tylko przezwyciężyć strach przed pierwszym zdaniem – mówi mi bez śladu pewności siebie. Męczy się tak, że „gdyby efekt końcowy od tego zależał, stworzyłby arcydzieło". Znowu jestem w Oborach i czytam z zachwytem kilkanaście stron „Bram". Jerzy, odprężony, kibicuje nam – Antoniemu Słonimskiemu, Jankowi Brzechwie, Jurandotowi i mnie przy naszej ulubionej teraz grze – „królu" z boczkami.

W 1960 roku nasze rozmowy są często smutne. Niemal w każdej powtarza, że jest pusty w środku i nie umie tej pustki wypełnić. Ale znacznie ostrzej widzi cudze błędy. Nie bez satysfakcji krytykuje „Między Wojnami" Kazimierza Brandysa – jakby nie pamiętał, że sam ma na sumieniu większe grzechy i gorsze pomyłki niż te z „Człowiek nie umiera", z którego wznowienia sam Brandys z własnej woli zrezygnował. Pamięta tylko, że „gorzki wstyd utrudnia kłamstwo".

W notatkach z 1961 roku wspomina przyjemny wieczór u mnie w domu z Jankiem Kottem, Pawełkiem Hertzem i „oczywiście" Rysiem Matuszewskim – było to jeszcze przed naszym ślubem, ale wyznaczyliśmy już jego datę. A 13 września

1961 pisze: „Opowiadała mi dzisiaj Irenka Sz., że kiedy w niedzielę oglądała w telewizji transmisję przemówienia Gomułki w okazji Święta Chłopa, w pewnym momencie zaczął padać deszcz, wówczas ktoś okrył sobie głowę gazetą zwiniętą w stożek; natychmiast inni poszli jego śladem. Nic nie podobna wymyślić, żeby życie tego od razu nie potwierdziło".

Nie unika dalszych i bliższych podróży po polskiej prowincji od Rzeszowa do Olsztyna, a pod koniec lipca odbywa niezbyt ciekawy rejs statkiem do Leningradu. Pisze niewiele i z zachwytem powtarza mi zdanie profesora Elzenberga: „Pisanie zdaniami krótkimi idzie zawsze w parze z osłabieniem funkcji myślenia: kto myśli, musi zawsze myśl organizować".

W sierpniu 62 Jerzemu po raz pierwszy przychodzi do głowy tytuł „Miazga", o czym mówi mi z przejęciem, choć jeszcze niepewnie – na razie podoba mu się tylko tytuł. Ma dopiero 53 lata, ale już nęka go obsesja starzejącego się ciała. Wciąż jednak łatwo się zachwyca, czasem nawet nienajlepszymi utworami. A potem znowu czekanie i picie. Szykany i zakazy dla pisarzy, którzy wystąpili z partii.

W notatkach z tego okresu jest sporo polityki – Chiny, Albania, Chruszczow, zmiana nazwy Stalingradu na Wołgograd, a także uwagi o drukowanych w „Przeglądzie Kulturalnym" w 62-gim roku „Przygodach Człowieka Myślącego" Dąbrowskiej, *o jour fix'ach* u Ireny Krywickiej, która na pierwszy czwartek miesiąca zapraszała wielu swoich bliższych i dalszych znajomych. Poza tym pomysły kompozycyjne do mglistej jeszcze „Miazgi".

63-ci 64-ty rok to już czas intensywnej pracy nad „Miazgą", choć nie jeszcze nie jest ustalone. 2-giego sierpnia wieczorem rozmawia ze mną długo o tej nowej książce, a nazajutrz z Leszkiem Kołakowskim, który dopomógł mu w ukonkretnieniu postaci Ksawerego Panka. Mnożą się jednak kłopoty, a Jerzy ma zepsuty telefon, więc choć niezbyt chętnie, przychodzi skarżyć się do „Czytelnika". Kłopoty są nawet ze „Skaczącym", choć, zdawałoby się, to powieść politycznie niewinna. I ze słownictwem erotycznym – okresy pruderii w PRL wracają refreny.

Zajęcia, troski, przyjemności Jerzego składają się na panoramę ówczesnej literackiej Warszawy. Cieszy się dowodami sympatii ludzkiej, mnóstwem telefonów po ukazaniu się „Idzie skacząc po górach" w 63-cim roku, nawet życzeniami noworocznymi. W czwartek 31.XII notuje: „A zaraz po północy, zgadnie z wieloletnim zwyczajem, Irenka Szymańska". Otacza go wielu ludzi: Wirpsza, Ewa Fiszer, Międzyrzeccy, Woroszylscy, dużo młodych.

Często nie ma teraz ochoty utrwalać myśli i przeżyć. Stres ten w osobliwy sposób łączy się z pychą (wzmoże się to w 1982 roku, po nagrodzie Nobla dla Miłosza). Nierzadko pisze o banalnych kłopotach paszportowych, już nie groźnych, ale nękających, o lekturach – Schaffie i Kołakowskim, monografii Dantego, czasem wraca do „Miazgi". W 66-tym roku sam określa się antykartezjańską dewizą: „Despero ergo sum".

W 1967 roku, leżąc dłużej w szpitalu, pisze w szybkim tempie „Apelację", która to, pozornie najprostsza, powieść Jerzego, wymagała największej chyba liczby poprawek stylistycznych. 13 listopada wieczorem u siebie w domu przeczytał nam

z Rysiem kilkanaście stron i przyniósł mi ją nazajutrz do „Czytelnika". Mimo usilnych starań, nie udało się jej wydać. Określono ją jako komentarz do przemówienia Breżniewa, który należałoby zatytułować: „jak się szyje historię dla własnych potrzeb". „Apelacja" ukazała się w Bibliotece „Kultury" w Paryżu w 1968 roku, a w Warszawie dopiero w 1983-cim.

Nadchodzi ważny rok 68 – zdjęcie „Dziadów", bunt studentów, marcowe wystąpienie Gomułki. Wysłuchałam go w Gdyni, w drodze do Stanów Zjednoczonych, na posterunku milicji, gdzie odstawiono nas na przesłuchanie, kiedy patrol milicji stwierdził, że w prowadzonym przez Rysia samochodzie znajduje się jeden literat, jedna studentka (moja córka, Janeczka) i jedna osoba z paszportem do Stanów.

Po powrocie ze Stanów, 8-go czerwca, już w Sopocie, spotkałam się z Antonim Słonimskim, który streścił mi to, co się tu mniej więcej działo i jak zachowują się ludzie. Bo ludzie podzielili się na moczarowców i ich przeciwników. Na szczęście wśród moich przyjaciół moczarowców nie było. A Jerzy podjął akcję najpoważniejszą. W sierpniu, po interwencji także i polskich wojsk w Czechosłowacji, napisał list do Edwarda Goldstueckera, ówczesnego prezesa Związku Pisarzy Czechosłowackich, przekazując mu wyrazy solidarności. Po tym odważnym i szlachetnym liście Jerzego inwigilowano. Na podeście schodów – mieszkał na pierwszym piętrze – wymieniali się ubecy – jednego, rudego zapamiętałam najlepiej. Ponieważ po pobiciu Kisielewskiego właściwie przestał wychodzić z domu, żeby go rozerwać, przyniosłam mu wiele wydanych przez „Czytelnika" tomów dzieł Balzaka w zielonych obwolutach. Jerzy odniósł się do tego najpierw bez entuzjazmu – zdawało mi się, że wszystko dobrze pamięta, kiedy jednak zagłębił się w pierwszy tom – był to bodaj „Jaszczur" – lektura pochłonęła go niemal bez reszty. Przez następne kilka miesięcy w codziennych rozmowach telefonicznych mówiliśmy zgodnie o Rastignaku, Vautrinie i baronowej de Nucingen, a kiedy nawiązywaliśmy o aktualnych zdarzeń, Jerzy szybko cytował z przedmowy Boya słowa Balzaka: „Wróćmy do rzeczywistości, mówimy o Eugenii Grandet". Byłam pewna, że nasze rozmowy są nagrywane i ubecy uważają je za szyfr. Jaką uciechą byłoby odnaleźć te nagrania w ubeckich archiwach!

W sobotę 23.I.1971 o 9.10 wieczorem umarła żona Jerzego – Marysia. Zawiadomieni przez Agnieszkę, natychmiast zjawiliśmy się u niego oboje z Rysiem. Potrzebna mu była w tych smutnych chwilach nasza obecność. Po ciężko przeżytej śmierci Marysi, Jerzy zmienił tryb życia. Często wychodził z domu, chciał przebywać z ludźmi. Jest u mnie z Lisowskim, z nami i z Julią Hartwig (Artur jest w Stanach) u Kijowskich, spotyka się z Mycielskim, z Pawłem Hertzem, z młodymi – Bajonem, Liberą, Komarem.

Bywam u niego co najmniej dwa razy w tygodniu. Wciąż trwają echa marca – wśród nowej emigracji jest mnóstwo znajomych, często rozmawiamy o różnych i niebagatelnych zmianach, Jerzy notuje ważniejsze spotkania towarzyskie, na przykład 22 kwietnia: „Kolacja u Ireny z księdzem Twardowskim, Kijowscy.".

Nadal poprawia „Miazgę" – zwłaszcza życiorysy – i prowadzi rozmowy w sprawie jej wydania z Andrzejem Wasilewskim w PIW-ie. Właściwie „Miazga" jest w 1971 roku ukończona i w maju 71 przystępuje do pracy nad dramatem, który nazwie

„Prometeusz". W końcu maja PIW przyjmuje skróconą wersję „Miazgi", po recenzjach wewnętrznych, między innymi mojej.

Ówczesny kierownik działu kultury w KC Aleksander Syczewski, kazał dać mi ją do recenzji – byłam przecież w zarządzie „Czytelnika" i w partii. „Niech pisze – oświadczył – jest tam wielokrotnie wymieniana". Nie wiem, może nawet przewidywał, że to właśnie z Jerzym będę tę recenzję uzgadniała. Jerzy łatwiej, niż inni pisarze, godził się na skróty, żeby tylko książka, którą cenił, dotarła nawet w gorszej postaci, byle bez groźnych zmian, do rąk polskiego czytelnika.

Niezależnie od intensywnej pracy dużo czyta i ciągle potrafi się zachwycać, co lubię i podziwiam. „Od tygodnia jedyna lektura «Odyseja». Boże, jakie to piękne", notuje.

W pierwszych dniach czerwca 71 kończy już „Prometeusza". Jeszcze go poprawia, ale w miesiąc napisał cały dramat. I od razu zabiera się do wykańczania scenariusza „Niewinnych Czarodziejów".

W dzienniku dziwi się, że w MSW odbywają się przesłuchania w sprawie zabójstwa Gerharda, niewątpliwie intrygi ubeckiej. Mnie także przesłuchiwano w tej sprawie w Pałacu Mostowskich, ale nie groźnie, może dlatego, że zniecierpliwiona podyktowałam przesłuchującemu protokół.

Po dłuższym milczeniu, kiedy zajmował się głównie działalnością opozycyjną, Jerzy, wiosną w 76, drukuje „Już prawie nic". Książka ta, którą uważał za jeden ze swoich najlepszych utworów, a która opowiada o ostatnich dniach życia niemieckiego pisarza wzorowanego na Tomaszu Mannie, nie wzbudziła większego zainteresowania. Również po ukazaniu się w „Czytelniku" w 1979 roku. (Już w 1967 roku do kolejnego wydania opowiadań „Niby Gaj" udało się po raz pierwszy włączyć „Wielki Lament Papierowej Głowy").

W 1981 roku Jerzy pisze krótką powieść „Nikt", inspirowaną „Odyseją" – nawet z mottem przetłumaczonym przez mojego syna, Mikołaja, a jeszcze w 1980 „Czytelnik" wydaje „Nowe Opowiadania" – od „Ciemnej gwiazdy" do „Mszy za poetę". W 1982-gim roku „Czytelnik" wznawia dwie krótkie powieści „Teraz na Ciebie zagłada", drukowaną parę lat wcześniej w: „Literaturze", i „Już prawie nic".

II

Jak już wspomniałam, dzięki Alinie Kowalczykowej zostało mi sporo listów od Jerzego. Nie wszystkie, niestety. Zawsze byłam nieporządna i przeważnie nie miałam wyobraźni na to, że czas mija i przeszłość pochłania teraźniejszość. Zachowane listy nie są łatwe do odcyfrowania – pisane drobnymi literkami, przeważnie na ukos kartki i gęsto zdobione rysunkami duszków i demonów. Wiele z nich oddałam do Muzeum Literatury.

Pierwszy to list z Krynicy, z 24.IV. 1954:

Irenko kochana, różnica między wyobrażeniem sobie rzeczywistości a przeżywaniem jej jest mniej więcej tak znaczna, jak słodka zieleń widniejąca na tej kartce ma się

Rys. Jerzy Andrzejewski

do ohydy tutejszej pogody i nudy. Poza tym staram się być rozsądny i zajmuję się „naprawą" ciała, o głowie narazie nie myślę.

Ściskam Cię czule

Jerzy

Następne kartki są już z roku 1957, z Lublany, 4.V.57

Kochanie,

to nie jest dla takich starszych panów jak my. Zaczynamy dopiero trzeci dzień i już nam trochę słabo ze zmęczenia. Poza tym bardzo interesująco, to znaczy dookoła ładnie od strony pejzażu i smutno od strony tzw. rzeczy człowieczej. Wszystko to obłęd. Będziemy tu około miesiąca. Jutro jedziemy do Zagrzebia. Potem Sarajewo, Dubrownik, Cetynia, Skopie i z powrotem do Belgradu. Na razie chłodno. Jastrun uroczy. Adam zbliża się do tego przymiotnika.

Ściskam Cię

Jerzy

Dubrownik, 15.V.75

Irenko kochana, jesteśmy w Dubrowniku już szósty dzień, wyjątkowo tu pięknie, gorąco, cały czas słońce. Jutro jedziemy do Cetynii, potem z Titogradu wracamy do Belgradu. Powrót chyba 25-go. Po tygodniu plażowania zgupiałem zupełnie i o wszystkim co tu było śmiesznego i poważnego nie potrafię narazie złożyć sensownych zdań. Zresztą są to rzeczy do opowiedzenia. Chyba w jakiś sposób odpocząłem.

Ściskam Cię

Jerzy

Zupełnie nie czytamy gazet i pojęcia nie mamy co się dzieje na świecie, mam jednak nadzieję, że po powrocie odnajdę jednak pewne podobieństwa do stanu, który pożegnałem przed paroma tygodniami.

Następny list już z Juraty, z 15.VII.57, świadczy jak interesy łączyły się z przyjaźnią, co dla mnie było ważne, bo obsługiwałam pisarzy nie tylko jako wydawca, ale przede wszystkim jako Irena Szymańska:

Kochanie, oczywiście niech PIW załatwia wszystkie formalności z wydawnictwem »Morgen". Cóż poza tym? Odpoczywanie po kilku dniach okazuje się raczej dość mę-

czące. Od kilku dni pogoda podła. Właściwie najchętniej wróciłbym do Warszawy, ale zostanę chyba „z rozsądku" do końca miesiąca.

Ściskam Cię
Jerzy

W sierpniu 57 leżałam dość długo w szpitalu po operacji ślepej kiszki. Rysia Gantzowa, wówczas kierowniczka redakcji polskiej w PIW-ie uratowała mi właściwe życie, bo gwałtem wręcz zawiozła mnie do lecznicy, kiedy nie chciałam uznać, że tak silne bóle świadczą o zapaleniu otrzewnej. Tam dostałam od Jerzego karteczkę z notesu; z 16 VIII:

Kochanie, wczoraj całkowita niemożność ruszania się z domu. Ostra histeria na ponuro, dlatego nie przyszedłem. Jutro postaram się, żeby mnie lekarz dyżurny wpuścił do ciebie

Ściskam Cię
(zamiast podpisu rysunek duszka)

15.XI 58 przyszedł z Torunia dość typowy dla Jerzego pompatyczny dowcip:

Czcigodna Pani
Korzystam z okazji, aby ze starożytnego miasta Torunia przesłać Wielce Czcigodnej Pani wyrazy szacunku oraz pełnej poważania miłości. Z którymi to budującymi uczuciami pozostaje wobec osoby Czcigodnej Pani Jej powolny sługa

Jerzy Andrzejewski

P.S. Na Sandauera przyszło 150 osób, a moją skromną osobę uświetnił tłumek ponad sześćset osobowy. No! Całuję Czcigodną Panią.

Najwięcej kartek zachowałam z Paryża. W 59-tym roku Jerzy dostał stypendium Fundacji Forda na kilkumiesięczny pobyt w Paryżu, gdzie z hotelu przeniósł się do Maisons-Lafitte, domu redakcji „Kultury". 17.XII. 59 pisał:

Kochanie, powoli przyzwyczajam się, ale pierwszy tydzień i nawet dalej było okropnie. Głupie zagubienie... głupie osamotnienie, ślepe oczy i głuchota, tylko dręczące myśli i rzeczy podobne, były takie chwile, że tylko tzw. zdrowy rozsądek wstrzymywał mnie od natychmiastowego powrotu. Mieszkam od tygodnia świetnie, dużo chodzę i brakuje mi drugiej pary oczu, która mogłaby być przy mnie. Żadnego oczywiście pisania, może trochę później. Napisz, kochanie, dobrze?

Ściska Cię
J.
Hotel de Suede
31, rue Vaneau, Paris VII.

Lubi informować mnie o wszystkich sprawach, przyziemnych i wzniosłych, żartować i skarżyć się, wzruszać i złościć. I tak już miało zostać do końca życia.

W lutym 1960 roku dostałam z Paryża długi jak na Jerzego list. Pisany nie ukośnie, jak większość jego kartek, ale za to z mnóstwem duszków i na odwrocie z domem pod drzewami, nad którym napisał: „Tęsknię do OJCZYZNY". List składał się z dziesięciu punktów:

12.II.60 Paryż

Kochanie

1) Straciłem talent, już nic nie napiszę

2) Nie wiem co ze sobą zrobić

3) Zastanawiam się czy nie przerwać mego stypendium i zostawiwszy tu pieniądze nie wrócić do Polski, aby wyjechać znowu we wrześniu.

4) Kochanie, jestem zupełnie pusty i głupi

5) Nie wiem, co napisać

6) Tu od paru dni jest mgła

7) Wczoraj byłem na wystawie Van Gogha. Jeszcze raz mi udowodnił swoimi ostatnimi obrazami, że prawdziwa sztuka zaczyna się od zmącenia statyczności. Sztuka jest ruchem, zmiennością.

9) Jestem po raz drugi trochę „zakochany". Módl się nie za moją duszę, ale za moje biedne więdnące ciało.

10) Wszystko to piszę z rozpaczy i z tego chyba, że zawsze o Tobie myślę. Ale naprawdę znów jest mi bardzo źle i muszę coś zrobić, tylko jeszcze nie wiem co.

Całuję Cię
J.

I drugi, też z sześćdziesiątego roku:

Boul Mich, 28.XII, godz. 18.58

Kochana Irenko o ile pamiętam, to białe, które pokrywa krajobraz zakopiański, to się nazywa śnieg, czy tak?

Siedzimy na tarasie, myślimy po co Ty marzniesz w górach i marzymy o deszczu. W ciągu najbliższych dwóch tygodni jadę do Włoch.

A ja już tam byłam i w ogóle już pewnie niedługo wrócę i ściskam Cię najczulej Ewa.

Właściwie chciałbym się znaleźć w Warszawie.

Bardzo, bardzo Cię ściskam
Jerzy

Ewa to Ewa Fiszer.

W jakże innej tonacji jest list z Obór z rysunkiem duszka, z 1.IV 1962:

Kochanie,

aż strach powiedzieć, ale czuję się prawie szczęśliwy. Naprawdę myślałem ostatnimi miesiącami, że już niczego napisać nie potrafię – drewniana wyobraźnia i w ogóle, aż coś się otworzyło, jakiś korek i choć się nic nie dzieje, ciureczkiem przecież pomnażam ilość stronic. Takie opowiadanie na przeszło sto stronic o staruchu prawie osiemdziesięcioletnim, coś w rodzaju Picassa, zresztą punkt wyjścia odwołuje się do autentycznego wydarzenia z jego życia. Posiedzę tu chyba do świąt, a po świętach – być może – znów tu przyjadę. I to wreszcie, że żadnych kłopotów finansowych nareszcie nie ma, to też duża satysfakcja z różnych względów. Nie jest wykluczone, że w poniedziałek wpadnę do Warszawy i przenocuję. Zadzwoniłbym wtedy we wtorek i może udałoby mi się wpaść do „Czytelnika".

Bardzo czule Cię ściskam, ucałuj ode mnie Rysia

J.

Od 1 listopada 66 do kwietnia 67 Jerzy mieszka w Paryżu. 25.XI.66 pisze:

Kochanie, zadzwoń do Marysi, to Ci powie o moich planach, zresztą wciąż chwiejnych, bo wciąż nie umiem zdecydować, czy pobyć tu parę tygodni i wrócić czy też skorzystać z zawrotnego luksusu (6 pokojów) i Obory zamienić na maciupkie (200 mieszkańców) miasteczko pod Paryżem. O przygodzie z „Miazgą" już nie myślę, nie tyle w życiu straciłem, trzeba zachowywać pewien pański gest wobec drobnych usterek rzeczywistości. Najważniejsze rzeczy mam w brulionie. Pawełek – stary endek. Ostatnie numery „Kultury" koszmarne, poza tym coraz więcej aut, a młodzi są nie do przyjęcia: kudłaci, brudni i okropni. Ale zaraz pierwszego dnia spotkałem kogoś absolutnie uroczego i ta mała przyjaźń bardzo ubarwia to całe nienaturalne życie tutaj. Nie, nie to nie dla nas! Zmęczenie po NRF duże, ale w sumie biorąc była to chyba podróż pod każdym względem udana. Maryla była zupełnie niezwykła jako tłumaczka. Wrażenia z Monachium – smutne. Och, kochanie, jak to dobrze – mimo wszystko – że żyjemy w kraju.*

Całuje Cię

J.

List jest napisany na dwóch widokówkach. Na pierwszej clochard z butelką na moście i dopisek Jerzego: To nie jestem JA – tam na odwrocie.

Nazajutrz znów kartka z Paryża:

26.XI.66, godz. 20.00
Menu obiadu
1) ostrygi
2) Tournedos Rossini
sauce normand aux champignons

* Maryla Wirpszowa

3) Baba Maison

Vin blanc, rouge et bordeaux
Dziękujemy, przepraszamy
Jerzy
Najlepsze życzenia dla Ciebie i Rysia na Święta i Nowy Rok – Paweł.
4) Sery – dużo – dobre
Zygmunt Szef kuchni

Miło było dostać taką zbiorową kartkę w tym posępniejącym już 66-tym roku. Zwłaszcza ucieszył mnie dopisek Zygmunta Hertza, administratora „Kultury", którego znałam z moich wizyt w Maisons-Laffitte i szczerze lubiłam.

Ostatni w 66-tym roku był list z 10.XII.

Kochanie

Jutro jadę na wieś pod Paryż. Zorientuję się czy wytrzymam dłużej w warunkach luksusowej samotności i czy Davson będzie się mogło na tę zimę stać Oborami. To Davson (dom Anki Rawicz) jest zaledwie 35 kilometrów od Paryża, ale zupełnie na uboczu, więc o dojeżdżaniu do miasta mowy nie ma. Jest kobieta, która sprząta i robi śniadania, bistro – obok, sześć pokoi, telefon, łazienka – fantazja, antyki itp., zatem sprawy bytowe byłyby załatwione, chodzi tylko o to coś, co można nazwać MNĄ. Czuję się jako tako, choć nieco w zawieszeniu.

Napisz do Mme Anne Dastree, Filmex, 44 rue de Boetie, Pris VIII

Całuję J.

Skargi Jerzego, zwierzenia ważne i błahe, jego specyficzne żarty, mieszanina niemocy i pychy, przeważnie, ale nie zawsze skrywanej – wszystko to stało się ważną częścią mojego życia.

13.II 67 pisał z Paryża:

Kochana moja, nareszcie wpadłem na pomysł, w jaki sposób stratę w Stuttgarcie obrócić na korzyść książki. Zdaje się, że dzięki temu II część – ta szczególnie poszkodowana – będzie teraz lepsza od wersji zagubionej. To jedyne wyjście: klęski przemieniać w zwycięstwa. Kiedy wrócę, będę wiedzieć za trzy dni. Albo zaraz, albo z początkiem kwietnia.

Całuję Cię i Rysia
Jerzy

Duża część rękopisu – jedynego – raczej pechowej „Miazgi" zginęła w Stuttgarcie z samochodu. Jerzy, jak widać, pogodził się z tym, ułożył „złotą myśl" i uznał, że stało się dobrze. Naprawdę w każdej podróży tęsknił do Warszawy, ale świat od tak niedawna był w pewnej mierze otwarty, że trzeba było z tego korzystać. 20.II przysłał z Paryża widokówkę ze sceną uliczną – ludzie i dwaj żandarmi – „Paris 1900":

Oto projekcja historii w przyszłość tak (w zmienionej modzie) będzie wyglądać Paryż komunistyczny.

Całuję Cię
J.

Po powrocie do Polski Jerzy dość krótko był w Warszawie. Niebawem pojechał do Obór, gdzie zabawne były brydże, w których skwapliwie uczestniczył. Znał oczywiście ogólne zasady, ale uważał brydża za grę losową i na ślepo dorzucał karty. Janek Brzechwa śmiał się bez przerwy, ale Antoni wyrywał sobie z łysej głowy włosy. (Przepraszam – powiedziała kiedyś przystojna pani w kawiarni „Nowy Świat" ale myślałam, że ma pan włosy. – Mam – spokojnie odrzekł Antoni – lecz nie dla wszystkich). Z Obór Jerzy już w stadium codziennego picia przeniósł się do Konstancina, a stamtąd wylądował na kuracji odwykowej w szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze, gdzie pozostanie dość długo. 23.X.67 przyszła ze szpitala widokówka:

Irenko kochana, jeśli chodzi o ochoty, to miałbym ochotę napisać list bardzo długi, o wszystkim co się dzieje dookoła i ze mną, ale tyle czasu zajmuje mi pisanie opowiadania, że brak już go na zajęcia dodatkowe. Nie wiem co z tej „Apelacji" wyjdzie ostatecznie, ale kto wie, może? Taką w każdym razie mam nadzieję: w tej chwili, po tygodniu pracy mam już cały zeszyt zapisany. Więc powinno tego być ze czterdzieści stron maszynopisu. A całość mam właściwie w głowie. Będzie to dość zwykła historia szarego człowieka, ale także chyba historia naszego dwudziestolecia, nawet bez potrzeby naginania faktów.

Somatyczne tak sobie, ale ostatecznie, jak może być inaczej? Chyba był przedostatni moment, żeby się tutaj schronić, ten tydzień w Konstancinie był koszmarny, już z kształtem rzeczywistości zupełnie pokręconym. O wszystkim obszernie opowiem.

Ściskam czule
Jerzy.

Dla Ryszarda najlepsze pozdrowienia.

Też ze szpitala 31.X.67 pisze:

Kochanie, wczoraj po osiemnastu dniach pracy skończyłem „Apelację", rozmiar mniej więcej „Bram Raju". Oczywiście trzeba to przepisać na maszynie, poprawić i uzupełnić, ale to już wtórna robota.

Ściskam Cię
Jerzy.

Jeśli Jerzy z pomysłów, które w nadmiarze kręciły mu się w głowie, jakiś zdecydowanie wybrał, samo pisanie trwało aż osobliwie krótko. Nawet jeśli ustalił koncepcję stylistyczną jak „Bramach Raju", składająca się z dwóch zdań – pierwszego, obejmującego całą powieść i drugiego, z kilku słów. Najdłużej pisał „Miazgę", ale to już późniejsza i bardziej zawiła sprawa.

Uspokoił mnie jego długi pobyt w szpitalu. Alkoholizm to tragiczna przygoda Jerzego. Nie był pijakiem, cierpiał na prawdziwą chorobę alkoholową. Był pijany po jednym kieliszku wódki i niewiele więcej było mu potrzeba. Pogorszyło się to po śmierci Marysi. Zgodził się, żeby zbadał go Jerzy Szapiro, zaprzyjaźniony ze mną znakomity neurochirurg. Jurek Szapiro odbył ze mną potem rozmowę, w której powiedział szczerze: mogę spróbować go leczyć. Ale uprzedzam, wyleczony może stracić talent. Będzie na pewno żył dłużej, ale wątpię, czy potrafi pisać. U niego jest to sprzęgnięte. Zaprotestowałam twierdząc, zgodnie z prawdą, że Jerzy już gotów do pisania, pracuje szybko i przestaje pić. Doktor Szapiro nie bardzo w to wierzył. Ale kuracja szpitalna poprawiła stan Jerzego bynajmniej nie umniejszając jego talentu.

Rys. Jerzy Andrzejewski

Zachowały mi się jeszcze tylko trzy listy. Widokówka z Łodzi z 3 lutego 1972 roku. Odbywał się tam Zjazd Literatów, na którym Jarosław znowu został wybrany prezesem, lecz po raz pierwszy miał konkurenta w osobie Igora Newerly'ego.

Kochana moja

nie wyobrażasz sobie jak przez całą drogę Ryś był miły i uważający na moje pewne niedostatki fizyczne. Bardzo mnie wzruszył, zresztą – pomagając mi i troszcząc się o mnie – pewnie i sam się czuł odmłodzony. Jechaliśmy wygodnie, choć wagon stary, brudny, przegrzany, a pociąg wlókł się jak za tych czasów, kiedy hrabia Krasiński był wojażował. Osobny pokój w „Grandzie" z łazienką usatysfakcjonował próżne i grzeszne Dziecko szczęścia. W ciągu ostatnich paru dni przeczytałem „Herzoga" ze wzruszeniem. Jakie to piękne (żydowskie) i mądre i pocieszająco rozdzierające. Przekład Krystyny (Tarnowskiej) wydał mi się znakomity. Ucałuj ją, że dzięki niej mogłem poznać tę książkę.

Trochę boję się tego zlotu PTACTWA. Postaram się być IBISEM.

Ściskam
J.

I jeszcze dwie widokówki. Jedna z Tatr:

11.10.76 / 16.10.76

Irenko, słoneczko

Jeszcze nie jestem pewien, lecz zaczyna mi się wydawać, że mogę nabrać rozpasanych chęci do poruszania się w górę – w dół, w lewo i w prawo, też odwrotnie. Tutaj poza Giewontem, oraz zbabranymi Krupówkami Henick, Michał Ronikier, Słomczyński, Wydrzyński, zawsze uroczy Bogdan Tomaszewski, Edigey (Jezu, był na moim pierwszym ślubie w 1934!) oraz mój szkolny przyjaciel, Jerzy Zieliński. Ten powiew przeszłości trochę mnie przyprawił o stupor; złe opowiadanie. Wiem, że w pewnym momencie niejasności się rozświetlą, lecz kiedy i ku czemu skierowane – nie wiem.

Całuję Cię, Rysia też

J.

Okropnie ostatnio kochają mnie Szwedzi.

I już ostatnia zachowana widokówka z Sopotu z 28.6.77:

Moje Teby, najbardziej kochana, przeczytaj koniecznie co PAP zapodał o obradach socjalistycznych kobiet i czytaj prasę codzienną.

Tyle zachowało mi się z listów Jerzego. Do Muzeum Literatury oddałam liczne rysunki, czarno-białe i kolorowe, – Jerzy przez pewien czas miał wielkie ambicje malarskie. Niewiele też pozostało mi dedykacji. Raczej formalne na dwóch książkach z najgorszego okresu: „Partia i twórczość pisarza" i „O człowieku radzieckim".

Pierwsza:

„Irenie Szymańskiej z najlepszymi pozdrowieniami i z prośbą, aby zaopiekowała się tą książeczką w Berlinie

Jerzy Andrzejewski

Szczecin, listopad 1951".

A druga, z 21.IV.1952, brzmi:

„Irenko wracaj do kraju

Jerzy Andrzejewski".

Na kilku późniejszych książkach nie ma dedykacji, choć pamiętam, że Jerzy napisał mi ją na „Ciemnościach", kiedy jechaliśmy razem z jego synem Marcinem do Łodzi na przedstawienie Dejmka. Jest natomiast na „Bramach Raju":

Irenko kochana, cieszę się, że jedziesz do Paryża, ale przyznam się, że jeśli Cię nawet rzadko widuję – wolę wiedzieć, że jesteś niedaleko. Do zobaczenia po twoim powrocie.

Warszawa, 7.XI.1960.

Długa dedykacja jest na „Idzie skacząc po górach":

Wlazł na gruszkę,
Trząsł pietruszkę,
Cebula leciała
On się śmiał.
Przyszedł właściciel tego banana
I mówi: „Złaź Pan z tego kasztana."
A ta wierzba była moja.

Drogiej Irenie Szymańskiej na razie tylko motto do następnej książki.

J.

Warszawa, dn. 20 października 1963.

Cytowanego wiersza Jerzy nie użyje jako motta. Przytoczy go tylko w drugiej części „Miazgi". Na „Teraz na ciebie zagląda" Jerzy napisał:

Bardzo drogim Irence i Rysiowi z przyjaźnią zawsze wierną i czułą

J.

Warszawa, dn. 1.6.1976

I jeszcze ostatnia dedykacja na „Nowych Opowiadaniach":

Te opowiadania, już nie całkiem nowe, lecz ze starą, choć i zawsze nową przyjaźnią niech Irenka przyjąć raczy

J.

Warszawa, 8.3.1981.

Najlepszym jednak dowodem przyjaźni, który do dziś mnie wzrusza, jest krótki tekst z „Dnia na dzień" – felietonów drukowanych w „Literaturze".

Tekst zdjęto i przywrócono go dopiero w pośmiertnym wydaniu publicystyki Andrzejewskiego w książce. Pochodzi z roku 1976. Już rok przed tym ówczesny kierownik wydziału kultury w KC postanowił mnie usunąć ze stanowiska za to, że jestem „kasą opozycjonistów" – co zresztą było zgodne z prawdą. Przedłużał to jak mógł ówczesny wiceminister Kultury Aleksander Syczewski, gdyż nabrał do mnie sympatii dowiedziawszy się z opublikowanych przez Alinę Kowalczykową listów Ksawerego Pruszyńskiego, którego wielbił jeszcze w szkolnych latach, jak serdeczna łączyła nas przyjaźń. Ostatecznie odeszłam w 76-tym roku skończywszy pięćdziesiąt pięć lat, to znaczy w wieku, kiedy przysługiwała mi już wcześniejsza emerytura.

Oto ten tekst:

Wtorek.

Dzisiaj (1 sierpnia) Irena Szymańska przechodzi na emeryturę. Pracowała w wy-

dawnictwach na kierowniczych stanowiskach od roku 1945, najpierw w „Czytelniku", potem w PIW-ie i w latach ostatnich znów w „Czytelniku". Na przestrzeni tych długich i nienajlatwiejszych lat nigdy nie zatracała zalet dobrego wydawcy. Była, jak mało kto w tej branży, pisarzom przychylna, ceniła bowiem dobrą literaturę i również jak mało kto rozumiała zawile trudy pracy twórczej. Miała swoich pisarzy preferowanych, to prawda, lecz umysł jej był zawsze otwarty z dobrą wolą na przyjęcie pisarzy nowych. Jej rozum i serce sprawiały, że we wzajemnych stosunkach pomiędzy pisarzem i wydawcą potrafiła zachować atmosferę zaufania i przyjaźni. Dużo jej osobiście zawdzięczam. Zresztą nie tylko ja. Z pewnością wielu pisarzy z żalem pożegna jej odejście od pracy zawodowej. W całej swojej wieloletniej działalności była zaprzeczeniem biurokracji. Więc też i szkoda, że już do nikogo z pisarzy nie zadzwoni z „Czytelnika" Irena Szymańska, tak bardzo dobrze rozumiejąca służebną w stosunku do ludzi pióra rolę domów wydawniczych. Myślę, że swoją wieloletnią pracą dobrze się zasłużyła polskiej literaturze.

III

Oprócz ostatnich opowiadań i powieści Jerzego wydanych w „Czytelniku" w latach 1980-1976-1982 drukuje on z „Zapisie", który poza cenzurą, ale oficjalnie, ze składem redakcji, zaczyna się ukazywać w styczniu 77 (pierwszy numer), zarówno fragmenty „Miazgi" jak, co może ważniejsze, tekst znakomitego przemówienia nad grobem Pawła Jasienicy z roku 1971. Ostatnia książka, którą omawia ze mną przez telefon i której kształt rysuje mu się coraz wyraźniej jest powieść o Heliogabalu, którą chce napisać zafascynowany szaleństwami, okrucieństwem i rozpustą młodziutkiego władcy Rzymu (Heliogabal panował od czternastego do osiemnastego roku życia).

Nie zdążył ukończyć „Heliogabala". Trudno się temu dziwić. Więcej niż własnej twórczości poświęca czasu działalności opozycyjnej, układaniu listów protestacyjnych, pracy w KOR-ze i Zapisie. Poza tym pogarsza się jego stan zdrowia. Wiosną 81 przebywa w szpitalu. Grozi mu marskość wątroby. A pod koniec tego roku następuje gwałtowne pogorszenie wzroku. Właściwie „Heliogabala" Jerzy układa tylko w głowie, nie jest już zdolny do odczytywania własnych notatek – na jedno oko nic nie widzi, na drugie tylko trochę.

Jerzy umarł w nocy z 19 na 20 kwietnia 1983. Znalazła go rano długoletnia gosposia i opiekunka, Ula, leżącego na podłodze przy łóżku. Miał udar mózgu. Śmierć nastąpiła chyba natychmiast i na szczęście się nie męczył. Jestem tego pewna, bo gdyby był przytomny, na pewno by do mnie nawet w nocy zatelefonował. Nad grobem przemawiał Jan Józef Szczepański w imieniu rozwiązanego Związku Literatów i Jacek Bocheński w imieniu przyjaciół.

Przemówienia Jacka słuchałam ze szczególnym wzruszeniem. Powiedział między innymi:

Cóż oni wszyscy, ludzie tak różni, chcieliby Ci powiedzieć, Jerzy, w chwili gdy twoje życie i twórczość są skończone? Może przede wszystkim to, że byłeś pisarzem i człowiekiem wyjątkowo wrażliwym na tę właśnie naszą różność i że dobrze ją rozumiałeś.

A działo się tak chyba dlatego, że różność i wielostronność, odpowiadająca złożoności całego ludzkiego świata, była w samym tobie. Nie byłbyś napisał swoich niezwykłych książek, z których każda jest niepodobna do innych, i nie byłbyś dokonał niezwykłych aktów publicznych, z których każdy jest niepodobny do innych, gdyby wielorakość nie leżała w twojej naturze i gdybyś nie miał odwagi zmieniać się nieustannie. Ludzie mali i tuzinkowi robili Ci z tego zarzut, ale w umiejętności zmieniania się była prawdopodobnie istota Twojego talentu i postawa Twojej wielkości. [...] Towarzyszyłeś pilnie i ofiarnie tragicznej historii Twego narodu, odznaczając się w każdym kolejnym akcie tego dramatu. [...] Wobec wszystkich ludzi wykazywałeś maksymalną wyrozumiałość, co więcej, czułeś głęboką potrzebę życzliwości i dawałeś jej dowody nawet tym, którzy niekoniecznie na nią u Ciebie zasłużyli. Jest chyba najtrudniej ustrzec się nienawiści wśród prześladowań i ucisku. To właśnie umiałeś [...]. Żegnaj Jerzy, niech Ci ta ziemia lekką będzie.

Taki Jerzy pozostał w pamięci swoich przyjaciół.

Irena Szymańska

Jerzy Andrzejewski *Fot. Archiwum „K.A."*

Aleksander Fiut

Kilka myśli o Andrzejewskim

Przebywa w literackim czyśćcu. W doborowym towarzystwie – razem z Brezą, Dygatem, Iwaszkiewiczem. Kiedyś sławnymi, poczytnymi, obsypywanymi orderami i przywilejami przez PRL-owskie władze, dziś – prawie zapomnianymi. Jaki z tego czyśćca wychynie? Trafi jeszcze do czytelniczego raju, czy na dobre pogrąży się w piekle niepamięci?

*

Cierpiał na kompleks prymusa. I miał wyjątkową zdolność uprzedzania obowiązującej mody lub dominującego wzoru. Napisał „Ład serca", gdy do Polski ledwo dotarły powiewy katolickiego personalizmu. Na społeczne – a raczej partyjne zapotrzebowanie na epikę ochoczo odpowiedział „Popiołem i diamentem". Był pierwszym polskim socrealistą – już w 1946 roku zaczął pisać powieść o romansie sekretarza partyjnego ze zwolnioną z więzienia dziewczyną z AK. Ale zanim nastąpił Październik – w „Wielkim lamencie papierowej głowy" – uwalniał się od socrealistycznego zaczadzenia. Pisząc „Miazgę", dokonywał jednego z najśmielszych w polskiej prozie eksperymentów artystycznych.

*

Jego pisarstwo to cmentarzysko zmarnowanych szans. Na wciąż nie dokonaną, rzetelną analizę fenomenu polskiego katolicyzmu. Na portret narodu w dobie traumatycznego, historycznego i cywilizacyjnego przełomu. Na pierwszą polską powieść postmodernistyczną. Na przenikliwe studium moralnych rozterek homoseksualisty w dobie komunistycznej pruderii. Na wiwisekcję świadomości stopniowo degenerowanej przez pijaństwo. Błyskotliwy stylista – mało kto tak mistrzowsko władał i włada polszczyzną – nadmiernie podniosłą retoryką pokrył intelektualną jałowość i duchową pustkę. Świadom, jak dalece jego wizerunek na użytek publiczny jaskrawo odbiega od przeraźliwej wiedzy o samym sobie, nie potrafił znaleźć dla tego rozdwojenia przekonywającej artystycznej formuły.

*

Mimo wszelkich krętactw i zafałszowań „Popiół i diament" (zwłaszcza w jego pierwszej wersji) będzie zawsze – obok „Zdobycia władzy" Miłosza i „Widnokręgu" Myśliwskiego – jednym z najważniejszych literackich zapisów stanu świadomości społecznej w latach tuż–powojennych. Nie wykluczone, że kiedy spadnie z „Ciemności kryją ziemię" i „Bram raju" rozrachunkowa, fałszywa pozłota nabiorą one nowego blasku, jako dosyć wczesna diagnoza i analiza cywilizacji końca ideologii oraz zmierzchu – przynajmniej w Europie – chrześcijaństwa. Po „Miazgę" być może sięgną ci, których nie przestanie zdumiewać osobliwość dwudziestowiecznych polskich życiorysów.

*

Andrzejewski jest nadal pisarzem nieznanym, kryjącym niejedną tajemnicę. W jego archiwum spoczywa dziennik, korespondencja, szkice nie opublikowanych i nie ukończonych utworów. Że obiegowe opinie o tym pisarzu mogą się w świetle nowych źródeł zmienić, uświadamia, niedawno wydana, książka Anny Synoradzkiej. Czy jednak po odtajnieniu archiwaliów można spodziewać się rewelacji? Czy w przyszłości opublikowany dziennik Andrzejewskiego wytrzyma konkurencję z dziennikami Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Kisiela? Osobiście wątpię.

*

Pozostanie z pewnością jednym z ważniejszych świadków i zarazem jedną z ofiar swojej epoki. Lustro swojego talentu podstawiał przecież skwapliwie pod jej zmienne wiary i mroczne ideologie, płochliwe wzory i kapryśne gusta. Był katolikiem, marksistą, egzystencjalistą. Pieszczochem kawiarni literackiej, beniaminkiem partii, moralnym autorytetem opozycji. Realistą i psychoanalitykiem, kunsztownym stylizatorem i dekonstrukcjonistą *avant la lettre*. Postacią zarazem trochę groteskową (jego głębokie przeświadczenie, że powinien otrzymać nagrodę Nobla, wygląda nieco humorystycznie) – i głęboko tragiczną.

*

Tyle wcieleń, tyle ról w życiu jednego człowieka! Przyczynek do dziejów formacji, urodzonej w niewoli, wychowanej w Polsce niepodległej, przekraczającej smugę cienia w okresie okupacji, by na resztę życia zanurzyć się w szarej aurze realnego socjalizmu. Aneks do duchowych przygód pokolenia, które przeszło drogę od zauroczenia społeczno-polityczną utopią do ofiarnej nieraz heroicznej walki z totalitarnym zniewoleniem. Kolejny wariant losów Środkowoeuropejczyka, jakby układanych wedle złośliwego widzimisię przez dwudziestowieczną historię.

Aleksander Fiut

Henryk Grynberg

Ironia historii

Andrzejewski jest klasykiem giętkości ideologicznej. I szybkiej orientacji. W samą porę zerwał z tygodnikiem „Prosto z mostu", żeby przed innymi, bo jeszcze przed Holocaustem, sprzeciwić się antysemityzmowi. Zdążył przejść na lewo zanim weszła Armia Czerwona, a w dziesięć lat później dostosował barwy ochronne i znów – wyprzedzając innych kolaboracjonistów, konformistów, kameleonów – wycofał się „na z góry upatrzone pozycje". Najpierw katolik prawicowy, później lewicowy, później marksista, później jedno i drugie naraz (a przy tym praktykujący homoseksualista, kiedy było to jeszcze sprzeczne z moralnością, i chrześcijańską i „socjalistyczną") – radził sobie w każdej sytuacji jak na zawodowego moralistę przystało. Owocami tej zaradności, bystrości i giętkości były dwie wersje „Wielkiego Tygodnia", co najmniej dwie „Popiołu i diamentu", żarliwie rewizjonistyczne, progomułkowskie, a antykościelne „Ciemności kryją ziemię", oraz przejmująco chrześcijańskie „Idzie skacząc po górach".

Miał dar iluzji. „Popiołem i diamentem" zahipnotyzował całe pokolenie, włącznie z Wajdą i Zbyszkiem Cybulskim, a chyba tylko z wyjątkiem Mrożka. Wszyscyśmy kochali Maćka i jego wcielenie w Cybulskim. Mieliśmy pewien kłopot z tym niewinnym pytaniem: „Człowieku, dlaczegoś uciekał?", wypowiedzianym w zakończeniu i książki i filmu przez niewinnego ludowego strzelca, kiedy zastrzelił uciekającego Maćka – wszyscy bowiem umieliśmy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nie uciekał – ale w miłości przymyka się przecież oczy. I bodaj dopiero Mrożek, którego na szczęście nie tak łatwo rozkochać, nakłuł balon i wyleciały wszystkie fałsze, jakimi nadmuchany był ten rzekomy epos – i czar prysł.

„Ciemności kryją ziemię" oglądałem w dramatycznym okresie Październikowym i w bardzo dobrym wykonaniu. Oto wszechmocna Inkwizycja łamie wszystkich z wyjątkiem niezłomnego Moreny – pomimo karkołomnych perswazji, z których się składa ten retoryczny dramat z ogromnym wytrychem. Wrażenie było piorunujące, a i role niegorsze niż w „Popiele i diamencie", ale wkrótce po powrocie niezłomnego Gomułki do władzy z pioruna został tylko swąd.

Nie brak iluzji także i w „Wielkim Tygodniu". Jest to jedna z najwcześniejszych prób prozy holocaustowej, fragmentaryczna i pozbawiona jeszcze perspektywy, ale na pierwszy rzut oka uczciwa. Uznanie należy się zresztą Andrzejewskiemu za samo podjęcie tematu i szukanie wyrazu dla autentycznego niepokoju moralnego. Dopiero po latach wnikliwa analiza Madeline Levine „The Ambiguity of Moral Outrage in Jerzy Andrzejewski's «Wielki Tydzień»" (w nowojorskim *The Polish Review* 4/1987) wykazała, jak dalece upozorowana jest ta opowieść, w której żydowski los reprezentuje bogaczka Irena Lilien, i do jakiego stopnia ta raczej nie-

sympatyczna kobieta nie dorasta do poziomu moralnego o wiele szlachetniej cierpiących chrześcijanek, jak Anna Małecka i pani Karska. Wszechobecność w polskiej tradycji literackiej przekonania o chrześcijańskiej wyższości moralnej i o tym, że Żydzi, nawet jako pozornie równorzędni partnerzy, muszą ustępować gatunkowo swym chrześcijańskim odpowiednikom (jak np. w „Elim Makowerze" z „Ziemi obiecanej") może być pewną okolicznością łagodzącą, ale nie usprawiedliwieniem. Zwłaszcza w 1943 roku.

Dobrze wyczuwał kierunek. Dlatego w 1943 roku sięgnął po tragedię żydowską i dlatego w powojennej Polsce szybko się od niej wyzwolił. W „Popiele i diamencie", gdzie porusza dylematy polityczne, społeczne i moralne prowincjonalnego polskiego miasta 1945 roku, nie ma już ani słowa o Żydach, którzy byli przecież jeszcze do roku 1942 jednym z głównych elementów wszystkich polskich miast. Jakby wcale nie było tej wielkiej przestrzeni, jaka po nich opustoszała. Nie ma ani jednego żydowskiego powrotu i żadnego z tych ciężkich problemów moralnych, jakie są z takim powrotem związane, a które nękają Polaków i Żydów do dziś. Dlaczego w „Popiele i diamencie" nie ma już niepokoju moralnego z „Wielkiego Tygodnia"? Dlaczego nie ma tam ani garstki z tych najobfitszych popiołów, o które bohaterowie powieści powinni się potykać co krok? Ponieważ Andrzejewski wiedział, że nie przewidziano dla nich miejsca w tak zwanej „nowej rzeczywistości". Ponieważ zdawał sobie sprawę, że skomplikowałyby, jeśli nie wręcz zdominowały, ten „pierwszy utwór obrazujący rewolucyjne przemiany w Polsce powojennej". A co najważniejsze, ponieważ „Popiół i diament" miał być polską historią, w której – zgodnie z ponadpartyjną tradycją – nie było miejsca dla Żydów.

Umiał wyczuć historię. Nie spóźniał się, jak inni. Przeciwnie wyprzedzał ją, choćby o krok. Ironia historii sprawiła, że został tak daleko w tyle.

Henryk Grynberg

Jarosław Klejnocki

Trzy uwagi

1. Nie umiem myśleć o życiowej drodze Jerzego Andrzejewskiego, o jego wyborach i decyzjach, inaczej jak z niechęcią. Chciałbym być szlachetniejszy, bardziej wyrozumiały i miłosierny, a także – pycha nie jest mi obca – oryginalniejszy w mych sądach. Ale nie potrafię.

2. „Apelacja" i „Miazga". Byłem pewien, że przetrwają: jednak nie. Nie pomógł warsztat, rzemieślnicza sprawność (ale jakiej próby!) pisania. Kiedyś, jeszcze chyba w szkolnych czasach, wydawało mi się (ba! byłem pewien), że to wielkie książki. Tymczasem oferowały nam „czas teraźniejszy dokonujący się" zamiast mitu, oferowały satyryczne portrety zamiast prawdy pozaokolicznościowej.

Jerzy Andrzejewski dał się uwięzić historii, bo pragnął ją zwieść. Bo ta oszukiwała w grze, a on zasiadł do pokera, nie umiejąc blefować. Co więcej – nie umiejąc przegrywać. Ofiara choroby prymusów.

3. Cóż mógłbym dla siebie ocalić? Zapewne „Bramy raju", choć symbolika tej opowieści jest szyta zbyt grubymi nićmi. I chyba tę ostatnią, alegoryczną i oderwaną od piekła swych czasów, powieść (mimo jej retoryczności). Bo wibruje cierpieniem prawdziwym – nieudawanym i niewykalkulowanym. Ten „Nikt", który walczy zwycięsko z Cyklopem, a nie potrafi wygrać z sobą (może nie chce?). Który, samotny (mój brat!), szuka imienia miłości. Chciałbym wierzyć, że na koniec Jerzy Andrzejewski odnalazł swój Głos. Czytam. Staram się.

Jarosław Klejnocki

Julian Kornhauser

***

Mój stosunek do prozy Andrzejewskiego był i jest ambiwalentny. Rzucałem się na każdą jego nową książkę z nadzieją, że mnie zadziwi, obezwładni. Kiedy przeczytałem jeszcze na studiach nieomal wszystko, co napisał do końca lat sześćdziesiątych, od „Ładu serca" po fragmenty „Miazgi" w „Twórczości", odniosłem wrażenie denerwującej niespójności, braku konsekwencji i nierównego poziomu artystycznego. Pierwsze „katolickie" utwory z lat trzydziestych, mimo wysokich ocen wielu przedwojennych krytyków nie wytrzymały próby czasu. Wydawały mi się sztuczne i naburmuszone, dalekie od finezji ówczesnych realistów. Jest to proza przestarzała, nie do czytania, zbyt podręcznikowo podchodząca do spraw moralnych i dramatów psychicznych. „Popiół i diament", sztandarowe dzieło PRL-u, jedna z najpopularniejszych książek ostatniego półwiecza, zapowiadająca nowego Andrzejewskiego, mimo wielu konformistycznych przeinaczeń odsłaniała rozrachunkowy światopogląd pisarza, próbującego spierać się z historią, także o polityczne imponderabilia. Wykreowanie Maćka Chełmickiego na bohatera – antybohatera było jedną z najciekawszych po wojnie – do tego sukcesu przyczynił się rzecz ja-

sna Andrzej Wajda – projekcji literackich, która od drugiej połowy lat pięćdziesiątych weszła do kanonu szkolnych legend. Powieść ta może być rozpatrywana w kontekście tzw. prozy obrachunków inteligenckich, której podsumowaniem jest niewątpliwie „Sława i chwała" Iwaszkiewicza; kto wie, czy nie wyszłaby obronną ręką, gdyby ją porównać z „Sedanem", „Mitami rodzinnymi" czy „Sprzysiężeniem".

Po kompromitujących, poronionych, partyjnych potyczkach z Zadufkami pojawiły się utwory okupacyjne, wcześniej zasygnalizowane „Nocą", które w „Złotym lisie" nabrały niespodziewanie ciekawego groteskowego kształtu. Czytałem je zresztą po raz pierwszy w zbiorze „Niby gaj", który ukazał się na początku lat sześćdziesiątych (kupiłem tę książkę w antykwariacie znacznie później), ale szczerze mówiąc ich konwencja wspomnieniowa nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia. Znacznie bardziej lubiłem Adolfa Rudnickiego i jego oszczędny, ekspresywny styl. Tak naprawdę Andrzejewski zaczął się dla mnie od „Ciemności kryją ziemię" i „Bram raju". Te dwie powieści uważam nadal za najwybitniejsze osiągnięcia tego pisarza, choć ich zbyt misterna konstrukcja narracyjna oraz stylistyczne popisy do pewnego stopnia zabijają efekt ideowej rozprawy z dogmatami wiary. Z późniejszej twórczości cenię wyłącznie „Apelację", mini-powieść o obłędnym zauroczeniu siłą władzy, wielką krytykę totalitarnego myślenia, nie pozbawioną ironicznego grymasu autora.

„Idzie skacząc po górach" ma ciekawe fragmenty, ale w całości nuży, nic na to nie poradzę, tym bardziej że jest przerafinowany, a przez to do pewnego stopnia fałszywy. „Miazga" okazała się porażką, choć przecież – nawet w swym kalekim kształcie, sygnalizującym bezradność pisarza i nieumiejętność wybrnięcia z nałożonej sobie pułapki, znalazła wielu wielbicieli i pilnych interpretatorów. Wycieczki biblijne Andrzejwskiego rażą mnie jakimś pięknoduchostwem i stylizacyjnym zmanierowaniem. Czytałem te książki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych z rosnącą irytacją – wiedziałem, że Andrzejewski poszedł znowu niewłaściwą drogą. Dziennik „Z dnia na dzień" niczego nie wyjaśnił, rysował obraz pisarza wątpiącego, głęboko zanurzonego w środowiskowych swarach (o ileż ciekawsze są „Miesiące" Brandysa, czy „Iże – pamiętniki" Konwickiego!).

Andrzejewski był zawsze w pierwszym szeregu: odnosił sukcesy, popadał w samouwielbienie, czuł na sobie wiatr historii. Różnie o nim pisano w różnych okresach chwaląc go za przeciwstawne poglądy. Ten paradoks nie pomógł pisarzowi i jego dziełom, więcej widać w nich pęknięć, targania niż spełnionych ambicji. Zaczynam wierzyć, że najciekawszy Andrzejewski to autor okupacyjnych listów do Miłosza, listów – dyskusji, które niedawno ujrzały światło dzienne.

Julian Kornhauser

Ryszard Matuszewski

Garść wspomnień o Jerzym Andrzejewskim

Jerzego Andrzejewskiego poznałem pod koniec lat międzywojennych: chyba gdzieś w roku 1938, może nawet 1939.

Następne wspomnienia są już z lat okupacji. Odwiedziłem Jerzego wiosną roku 1940, kiedy mieszkał czasowo w kawalerce Jarosława Iwaszkiewicza na rogu Krakowskiego i Trębackiej. Potem odwiedzałem Jerzego na Nowiniarskiej, koło Placu Krasińskich. Z tym mieszkaniem Jerzego kojarzyłem później – było to naprzeciw murów getta – zarówno pierwszą wersję opowiadania „Wielki Tydzień" (druga wersja umiejscowiona była wyraźnie w okolicy późniejszego miejsca zamieszkania pisarza, na Bielanach), jak widok na kręcącą się karuzelę na Placu Krasińskich, scenerię wiersza Miłosza „Campo di Fiori".

Wiązanie tamtego mieszkania Andrzejewskiego z utworem Miłosza ma swoje uzasadnienie. Miłosz zjawił się w Warszawie też gdzieś wiosną 1940 roku i wtedy od razu zawiązała się między nim i Andrzejewskim bliska przyjaźń, a moje kontakty stały się kontaktami z nimi. Do biografii Jerzego należy m.in. wspólna praca obu pisarzy nad powieleniem zbioru wierszy Miłosza, który ukazał się jako druk konspiracyjny w 46. egzemplarzach jesienią 1940 roku. Autor występował pod pseudonimem „Jan Syruć". Byłem wtedy w posiadaniu jednego z tych 46. egzemplarzy, a pojawiły się one jako pierwszy w ogóle, konspiracyjnie wydany, zbiór wierszy w czasie okupacji. Zrobiły na mnie ogromne wrażenie i choć Miłosz większości tych utworów nie przedrukował nawet w wydanym po wojnie tomie „Ocalenie", do dziś utrzymuję, że dostarczyły mi one jednego z najsilniejszych przeżyć poetyckich w moim życiu.

Z książki Anny Synoradzkiej o Andrzejewskim* dowiaduję się, że powielacz, na którym Jerzy z Czesławem odbijali ów tomik, uzyskali dzięki pomocy Antoniego Bohdziewicza. To mi przypomina, że jedno ze spotkań z Jerzym i Czesławem miałem właśnie w mieszkaniu Bohdziewicza na Kredytowej.

Z późniejszych spotkań upamiętniło mi się w sposób szczególny to, które odbyło się u mnie w domu, na Żoliborzu przy ul. Krasińskiego 18. Miało ono miejsce najprawdopodobniej gdzieś pod koniec 1941, a może na początku 1942. Celem spotkania było wspólne wysłuchanie opowiadania „Przed sądem", które wtedy Jerzy napisał. Było to już po ataku Hitlera na Sowiety. Był Czesław Miłosz, Jan Kott.

„Przed sądem" jest opowiadaniem, które zarówno wówczas, jak i dziś oceniałbym jako zaskakujące w swojej wymowie. Realia są niby okupacyjne – bohater uwię-

* Anna Synoradzka, „Andrzejewski", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

Andrzejewscy i Wirpszowie z dziećmi. Szczecin, koniec lat 40-tych lub początek 50-tych. Fot. Archiwum „K.A."

ziony ma ponieść śmierć z rąk hitlerowców – ale problematyka raczej z kręgu tych psychologicznych mroków, jakie fascynowały Jerzego już w przedwojennej twórczości. Bohaterowi najciężej przychodzi nie sama perspektywa śmierci, lecz perspektywa śmierci samotnej i z tego powodu, ulegając własnej słabości, wydaje przyjaciela. Dyskusja, która nastąpiła po przeczytaniu opowiadania, była właściwie wielkim atakiem na Andrzejewskiego, który przypuścili pepeerowscy „ideolodzy" Stefan Żółkiewski i Władysław Bieńkowski. Janek Kott dołożył do tej krytyki swoje, podobne zastrzeżenia, ale – o ile pamiętam – Jerzy zaniósł to wszystko z uśmiechem i chyba nie był przekonany do racji swoich polemistów, gdyż opowiadanie ogłaszał potem, nie dokonując w nim żadnych zabiegów korygujących.

Inaczej rzecz się miała z drugim, obszerniejszym opowiadaniem, które Jerzy napisał pod świeżym wrażeniem likwidacji warszawskiego getta, wiosną 1943 roku. Opowiadanie to pt. „Wielki Tydzień", znane jest dziś wyłącznie w zupełnie zmienionej wersji powojennej. Ja natomiast należałem, podobnie jak m.in. Janek Kott i Jarosław Iwaszkiewicz, którzy o tym piszą, do pierwszych czytelników jego wersji poprzedniej, później bądź zagubionej bądź zniszczonej w toku wojennych wydarzeń, gdyż jedyne świadectwa jej istnienia oraz ich zapisanej treści pochodzą od jej ówczesnych słuchaczy i czytelników. Z zapisów Iwaszkiewicza wnika, że tym razem „wielkie czytanie" opowiadania odbyło się w salonie Kazimiery Morawskiej, a uczestniczyły w nim takie wielkości literackie jak autor „Młyna nad Utratą" i Zofia Nałkowska. Iwaszkiewicz odnotował, że „Wielki Tydzień" spotkał się wówczas z chłodnym przyjęciem słuchaczy i miał za złe Andrzejewskiemu, że podjął temat zbyt świeży, nie mając doń jeszcze potrzebnego dystansu. Mnie z mojej, indywidualnej lektury maszynopisu tego opowiadania pozostało wrażenie, że Andrzejewski znów chciał – na kanwie wielkiego tematu tragedii getta – wyeksponować motyw indywidualnej, psychologicznej reakcji bohatera, wyrażającej się w konflikcie pomiędzy zrozumieniem ogólnej wagi sprawy z jednej strony, a problemem przełamania niechęci do bohaterki opowiadania – z drugiej. Doskonale orientowałem się, kto jest prototypem bohaterki „Wielkiego Tygodnia", Ireny Lilien i wiedziałem, jakie podłoże ma pewien rodzaj niechęci Jerzego do tej właśnie osoby, która mu się po prostu erotycznie narzucała, on zaś nie był zdolny do akceptacji tych awansów na dłuższą metę. A tu z drugiej strony ta osoba jest zagrożona przez ustawy norymberskie i w dodatku ma wyraźnie semicki wygląd, trzeba więc udzielić jej pomocy i traktować ją jak najcieplej.

Takie było – według tego, co pamiętam, opowiadanie w swojej pierwszej wersji i nic w nim nie było ponadto, ponad ów konflikt moralny. Natomiast nowa wersja opowiadania, którą przeczytałem w druku po wojnie, okazała się zupełnie inna. Autor powiększył znacznie liczbę występujących w utworze osób, nadając im określone oblicza ideowo – polityczne. Pojawia się brat Jana Maleckiego, działacz Armii Ludowej, pojawią się „straszni mieszczanie" – antysemici. Genezę przekonania Jerzego, że winien opowiadanie przerobić widzę wyraźnie w tym, że – z jednej strony – wyczuł, iż utwór nie za bardzo, w tej pierwszej wersji, podobał się jego słuchaczom i czytelnikom, z drugiej – w pewnym typie zarzutów, których słuszność zapewne uznał, a których autora jak gdybym słyszał. Wystarczy zresztą sięgnąć do recenzji Jana Kotta z tomu „Noc", który ukazał się zaraz po wojnie i w którym zamieszczona została druga wersja „Wielkiego Tygodnia", aby znaleźć tam potwierdzenie moich przypuszczeń. Kott tak charakteryzuje „Wielki Tydzień" w swojej recenzji: „Napisany w roku 1943, został przed wydaniem w tomie przetworzony przez autora. Znam obie wersje opowiadania. Pozwalają one jasno wyznaczyć drogę, jaką przebył Andrzejewski. W pierwszej wersji «Wielki Tydzień» był obrazem wewnętrznego dramatu człowieka, który cierpi, ponieważ nie może się zdobyć na pełną solidarność i braterstwo z Żydami, walczącymi w getcie. W pierwszej wersji tragedia Żydów była tragedią ludzi obdartych z bohaterstwa i skazanych na walkę bez nadziei. W pierwszej wersji stosunek Polaków do Żydów był dramatem odpowiedzialności każdego człowieka za okrucieństwo i zło świata. W drugiej wersji bogata, trafna i zróżnicowana analiza sytuacji społecznej wszystkich postaci, świat odwrócony głową na dół postawiła z powrotem na nogach (...) W drugiej wersji «Wielkiego Tygodnia» pojawiło się po raz pierwszy słowo «faszysta». Analiza sytuacji społecznej pozwoliła na pokazanie politycznego podziału polskiego i żydowskiego społeczeństwa".

Recenzja Kotta nosi tytuł „Droga do realizmu" i jest niewątpliwie jednym z typowych przejawów toczonej wówczas w tygodniku „Kuźnica" „walki o realizm w literaturze". Za słowami recenzji jakbym słyszał często powtarzany wówczas przez krytyków „Kuźnicy" zarzut pod adresem pisarzy, ukazujących psychologiczne dramaty, zawieszone w „próżni społecznej". Przerabiając „Wielki Tydzień" Andrzejewski wyraźnie wstąpił na drogę zerwania z tym,co go przedtem fascynowało w literaturze, wytoczył działa w walce z „mrokiem nocy", który go – jak sam później pisał w którymś ze swoich szkiców – urzekał. Wydawało mu się – myślę – wtedy, że właśnie wstępuje w „jasność dnia", walcząc ze sobą dawnym. To był jak gdyby pierwszy krok do osiągnięcia, za jakie w parę lat potem uznano jego pierwszą po wojnie powieść, „Popiół i diament".

Myślę, że w tej ewolucji Janek Kott, wówczas czołowy krytyk „Kuźnicy", odegrał znaczną rolę. Obaj z Andrzejewskim mieli jakąś wewnętrzną potrzebę poszukiwania uniwersalnego klucza, który by im tłumaczył świat, a nawet, jak chciał Marks, pomagał świat zmienić. Takim uniwersalnym systemem jest katolicyzm, ku któremu Andrzejewski grawitował przed wojną, a i Kottowi w jego dość kierunkowo rozbieżnych poszukiwaniach „ostatecznej prawdy" zdarzało się w jego okolice zawędrować (modne tuż przed wojną lektury Maritaina itp.). Teraz z kolei Andrzejewski dawał

się Kottowi ciągnąć w stronę biegunowo przeciwnego „uniwersalnego systemu".

Jako krytyk Janek miał wtedy w „Kuźnicy" coś w rodzaju monopolu, czy pierwszeństwa w omawianiu nowych książek Jerzego. A była to krytyka życzliwa, ale zarazem „pryncypialna", wymagająca, skoro np. recenzując „Popiół i diament" przyjaciel mój tropił raczej naganną sympatię autora dla ex-akowców niż to, co niektórzy krytycy tropią dziś, tzn. wyraźną ze strony autora intencję, by samego siebie przekonać do racji rzeczników „nowego ładu" w Polsce.

Nie byłem już, kiedy ukazał się „Popiół i diament", w tak bliskich z Jerzym kontaktach, jak w czasie okupacji. Po prostu nie mieszkaliśmy, tak jak wtedy, nie tylko w jednym mieście, ale – przez czas pewien – w bliskiej dzielnicy, co w latach okupacji ze względu na trudności komunikacyjne było ważne. Gdzieś w roku 1943 Jerzy, już po ślubie z Marysią, przeprowadził się – wraz z Maryną i Jerzym Zagórskim – na dalekie Bielany. Tam urodził się jeszcze w czasie wojny ich syn Marcin, tam też odbywały się pamiętne wspólne i dość huczne imieniny dwóch Jerzych, Andrzejewskiego i Zagórskiego. Zapamiętałem z nich m.in. to, że wtedy właśnie, na tych imieninach, poznałem osobiście i zetknąłem się jedyny bodaj raz z dwoma czołowymi przedstawicielami najmłodszego pokolenia poetów: Krzysztofem Kamilem Baczyńskim i Tadeuszem Gajcym.

Wracam jednak do „Popiołu i diamentu". Bardzo mi się wtedy podobała ta powieść, i to właśnie dlatego, że autor nie ukrył w niej swojej sympatii dla bohaterów z kręgu Maćka Chełmickiego. Może i zdawałem sobie sprawę, że powieść odsłania tylko jedną część prawdy o ówczesnej rzeczywistości, ale sam byłem wtedy w takim stanie ducha, w którym nie stawiało się żądań, by całą, niecenzuralną wówczas prawdę wyjawić. Dziś patrzę na to dzieło dużego talentu nieco inaczej, krytyczniej, ale w żadnym wypadku nie tak, jak niektórzy – pożal się Boże – żądni sensacji reporterzy, którzy chcą wmówić w dzisiejszych czytelników, że to powieść z ubeckiej inspiracji.

Przeraził mnie Jerzy dopiero – na szczęście na czas stosunkowo krótki – kiedy w kwietniu roku 1950 ogłosił w „Odrodzeniu" swój programowy manifest świeżo przyjętego do PZPR katechumena pt. „Notatki". Przeraził dlatego, że dotychczas miałem go, również po ogłoszeniu „Popiołu i diamentu", za człowieka o poglądach raczej niezależnych, przyjmującego z doktryny nowego ustroju tylko to, co dało się – w moim ówczesnym rozumieniu – wyeksplikować racjonalnie. Zapewne i w tym nie miałem racji, bo i sam – nie zawsze w pełni świadomie – ulegałem presji tego, co się działo. Pracowałem teraz jednak w tym strasznym, jeśli się nań z dzisiejszej perspektywy patrzy, poszczecińskim okresie w „Kuźnicy", niebawem mającej się połączyć z „Odrodzeniem", kierowanej przez człowieka umiejącego mnie utrzymać w przekonaniu, że – będąc starym, doświadczonym komunistycznym działaczem – nie zatracił trzeźwego rozsądku w literackich ocenach. Mam na myśli Pawła Hoffmana, postać ciekawą, złożoną i zasługującą na refleksję, gdy ma się w pamięci labirynt ówczesnego życia kulturalnego. Otóż Andrzejewski w „Notatkach" zaprezentował się jako inteligencki pokutnik, proszący partię, by była dlań surowa i wymagająca. Tymczasem w moim odczuciu ona

była już aż nadto surowa i nie tolerancyjna. Mogłem być jej wtedy posłuszny, ale żeby jeszcze prosić mamusię – partię, by mnie mocniej biła w skórę – tego swoistego masochizmu nie rozumiałem. I nawet doświadczony, stary towarzysz Paweł Hoffman z tego się podśmiewał i prorokował po cichu, że Borejsza, który te „Notatki" Andrzejewskiego wtedy wydrukował, jak również w tymże czasie analogiczny, pełen dzikiego fanatyzmu tekst Borowskiego, „przegina pałę" i wkrótce okaże się za to odpowiedzialny. To proroctwo Hoffmana rzeczywiście już w kilka tygodni później się sprawdziło. Zapewne nie było żadnym proroctwem, ale wiedzą wyniesioną z ówczesnego KC. Połączone tygodniki „Odrodzenie" i „Kuźnica" dały swój początek „Nowej Kulturze", którą otrzymał nie Borejsza, lecz właściwie Paweł Hoffman. Czyli wiedział, co w trawie piszczy.

Ale dlaczego Andrzejewski wtedy te „Notatki" napisał? Dlaczego później opublikował drętwe broszury „O człowieku radzieckim" oraz „Partia i twórczość pisarza"? To wtedy jakoś mi się z osobą autora nie tylko „Ładu serca" czy „Nocy", ale również i „Popiołu i diamentu" wcale nie godziło. To był już Andrzejewski inny niż ten, którego znałem. Prawie nie spotykaliśmy się w owym czasie, bo zamieszkał w Szczecinie i dopiero ex post mogę sobie dziś wyobrazić, jak na owym szczecińskim odludziu kolonia osiadłych tam z własnej, nieprzymuszonej woli w poniemieckich willach pisarzy na siebie wzajemnie oddziaływała, stymulując wzajemnie swoją ideologiczną żarliwość. Bo sąsiadował tam Andrzejewski z młodym Wiktorem Woroszylskim, który jeszcze nie miał za sobą późniejszych, moskiewskich rozczarowań, był tam z nimi nie mniej wówczas fanatyczny Witek Wirpsza, i tak się tam wzajemnie w swej partyjnej żarliwości podniecali.

Na szczęście krótko to trwało i jeżeli był moment, kiedy ta nieoczekiwana partyjna żarliwość Andrzejewskiego mnie zaskoczyła, to niedługo kazał na siebie czekać czas, w którym autor „Popiołu i diamentu" zaskoczył mnie szybkim i stanowczym wycofaniem się ze swego zaczadzenia, zdecydowanym zwrotem i pionierską rolą w procesie gwałtownej rewolty i wypowiedzenia posłuszeństwa zarówno dotychczasowym autorytetom, jak sobie samemu z okresu zniewolenia.

W krótkiej nocie trudno jest zajmować się zawiłościami psychicznego podłoża jego wewnętrznych przemian. Wystarczy, że wypunktuję te momenty, kiedy coś mnie z nim łączyło, a to był właśnie okres, kiedy te związki nasze jakoś się rozluźniły. Pamiętam oczywiście epizod z omdleniem na jubileuszu Marii Dąbrowskiej w roku 1952, kiedy Jerzy wygłaszał przemówienie o jubilatce i nagle osunął się, straciwszy przytomność. Mojej późniejszej żonie, Irenie Szymańskiej powiedział, iż zemdlał ze strachu, że wymknęło mu się coś nieprawomyślnego, bo zauważył Janinę Broniewską, sekretarza POP przy Związku Literatów pochylającą się i coś szepczącą Pawłowi Hoffmanowi. Świadczyłoby to o tym, że już wtedy własna zależność od komunistycznego diabła przejmowała go strachem.

Dla mnie ważnym faktem jest to, że na przykładzie Andrzejewskiego, podobnie jak na przykładzie Stasia Dygata, widać wyraźnie, iż byli to pisarze, którzy – tak naprawdę – nagiąć się do żadnych doktrynalnych dyrektyw nie potrafią. Żadnej z publikacji Andrzejewskiego po „Popiele i diamencie" aż do czasu jego wyzwolenia się

spod presji własnego przeświadczenia, że „musi służyć", nie można uznać za autentyczny utwór literacki. Te dwie wspomniane broszury /nigdy ich nie zdołałem przeczytać/ musiał pisać w jakimś masochistycznym amoku, cały zaś wiedząc, że nie jest sobą. Jedyna próba „pozytywnej satyry", nieukończona powieść o „walce z Zadufkami", też dowodziła, że pisarz nie umie odnaleźć samego siebie. Dopiero pamiętne i długo niedopuszczane do druku opowiadanie „Lament papierowej głowy", nad którym dyskutowano na jakimś partyjnym zebraniu, było pierwszym sygnałem wyzwolenia się pisarza, bardzo wczesnym, bo powstało już w 1953 roku. „Lament papierowej głowy", „Pantofelek", „Złoty lis" – to były te opowiadania, które pokazywały, że Andrzejewski na nowo się narodził. Niektóre, jak „Pantofelek", wydawały się z początku jakieś dziwaczne, ale wkrótce stało się zrozumiałe, że tą pokrętną drogą z pozoru błahej groteski pisarz demonstruje swój coraz bardziej zasadniczy sprzeciw wobec rosnącej wokół nas bredni. Kiedy ukazały się „Ciemności kryją ziemię", wszystko było już jasne. „Bramy raju" i „Idzie skacząc po górach" to były dalsze etapy na drodze wyzwalania własnego talentu z misternej pajęczyny uzależnień. Prawdziwa cholera brała, kiedy właśnie wtedy złośliwa małpa Sandauer jął w swoim „Bez taryfy ulgowej" wypisywać pamflety na pisarzy i zaczął właśnie od Jerzego. Tak dokonał się swoisty kontredans. Opisany w „Zniewolonym umyśle" Miłosza jego przyjaciel, pisarz Alfa, stał się pisarzem opozycji, podczas gdy oporny i odważny w czasach socrealizmu Sandauer zaczął powoli dryfować ku roli pogromcy opozycji, „dobrego żyda" w czasie wydarzeń marcowych i chwalcy stanu wojennego.

Moje małżeństwo z Ireną Szymańską w roku 1961 zbliżyło mnie ponownie do Jerzego, z którym była zaprzyjaźniona – może nie tak dawno jak ja, bo jestem starszy, ale za to znacznie bliżej i ściślej. Ich codzienne telefoniczne rozmowy! Ich uciecha, że ubecy notują wszystkie wymieniane przez nich uwagi na temat Ojca Goriot i Eugenii Grandet z przekonaniem, że to groźne, opozycyjne szyfry!. Lektura „Apelacji", którą Jerzy odważnie i wręcz zuchwale wydrukował w bibliotece paryskiej „Kultury", pod własnym nazwiskiem już w roku 1968. Czytałem ten świetny utwór jeszcze w „Czytelniku", niestety o wydaniu tego wówczas w krajowym wydawnictwie nie mogło być mowy. Potem odważny list do Goldstückera po inwazji na Czechosłowację. Rok 1970: Jerzy przemawia nad grobem Pawła Jasienicy. Przemówienie wspaniałe, zuchwałe w bezkompromisowej obronie pisarza, którego Gomułka publicznie zbezcześcił. Potem wszystkie perypetie z „Miazgą", narady z Irenką nad recenzją wewnętrzną, jedną z licznych, jakie zamówiła wtedy redakcja PIW-u, z niezbyt cenzuralnego utworu, którego losy ważyły się na biurkach aparatczyków z KC. Liczne wizyty z Irenką u Jerzego, który po marcu, inwigilowany przez ubeków, coraz mniej wychodzi z domu. Więc te dość częste wizyty w jego dużym mieszkaniu na Świerczewskiego, na Pradze /przed wojną to była Zygmuntowska/. Śmierć Marysi i rządy domu przejmuje córka, Agnieszka. Coraz młodsi przyjaciele Jerzego, zafascynowani nim, on nimi. Antek Libera, Filip Bajon. Jakieś tłumne urodziny Agnieszki /chyba skończyła wtedy trzydzieści lat, Jerzy w kręgu młodych ludzi, coraz wyraźniej manifestujących swe opozycyjne oblicze. Firmuje ich działania: KOR, „Zapis". Niestety coraz częściej jest w stanie alkoholowego

zamroczenia. Niewiele mu do tego trzeba: kieliszek, dwa. Ale wciąż pisze. Ma dwoistą sytuację: z jednej strony – utworu, w który włożył najwięcej trudu – „Miazgi" – wydać w kraju nie może, a zagranicą nie chce, bo ma nadzieję że jednak w kraju wyda. I – z drugiej strony – ma wśród partyjno-literackich notabli człowieka, który rozumie, że wielkiego pisarza nie można skazać na milczenie, który chce otworzyć nad nim parasol ochronny; to Jerzy Putrament. W wychodzącym pod jego redakcją od 1972 roku tygodniku „Literatura" otwiera Andrzejewskiemu możliwość stałego drukowania felietonów, z czego Jerzy korzysta, choć cenzura ingeruje w wiele jego tekstów. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych publikuje parę nowych, dużych opowiadań: „Teraz na ciebie zagłada", „Już prawie nic". W 1979 roku ukazuje się wreszcie „Miazga", w drugim obiegu, w wydawnictwie „Nowa". Z kilku ostatnich spotkań z Jerzym pamiętam wspólną jazdę, z Irenką i z Jerzym na pogrzeb Iwaszkiewicza, w przeszło rok później na wieczór Czesława Miłosza w PEN-Clubie, podczas jego pierwszej po Noblu wizyty w kraju. Jerzy nie krył ambiwalentnych uczuć po Noblu dawnego przyjaciela. Kiedyś nawet, półżartem, mając zapewne na myśli ich liczne wspólne pisarskie przedsięwzięcia sprzed lat, oświadczył, że ta nagroda powinna była być pomiędzy nich dwóch podzielona. Mam wrażenie jednak, że Czesław nie poczuł się tym żartem dotknięty. Sprawa ich dawnej przyjaźni przeszła przez okres zdecydowanego kryzysu, kiedy drogi ich tak diametralnie się rozeszły: kiedy Jerzy wstąpił do partii, a Czesław wybrał wolność i sportretował przyjaciela jako Alfę w „Umyśle zniewolonym". Ale po kilku latach, kiedy Jerzy ze zniewolenia się wydobył, przyjaźń została odnowiona i nawet cykl wymienianych przez obu pisarzy listów – esejów z czasów okupacji doczekał się publikacji w zbiorze Miłosza „Legendy nowoczesności".

Ciepło przyjaźni, jaka łączyła Jerzego z moją Irenką jakoś i mnie ogrzewało. Kończąc swoje wspomnienie o nim sięgnęła do jego listów i pokazała mi jeden z nich, w którym Jerzy wspomina, że razem jechaliśmy pociągiem w roku 1972 na Zjazd Związku Literatów do Łodzi i że miałem jakoby opiekować się nim w czasie podróży. Dziwnie to mi nawet jakoś zabrzmiało, bo przecież trudno to brać dosłownie: był jeszcze w pełni sił i opieki sensu stricto chyba nie potrzebował. Ale widocznie tak to odczuł. Zresztą na tamtym zjeździe na pewno widziałem w nim kogoś bardzo bliskiego i kogoś, kto bardzo mi umiał zaimponować: swoją postawą, swoją odwagą. W drugoobiegowym wydaniu „Miazgi", w końcowej partii dziennika zamykającego książkę, Jerzy zamieścił nie tylko swoje piękne i szlachetne przemówienie nad grobem Pawła Jasienicy, ale i nigdzie wówczas nie publikowany, rozesłany przyjaciołom list autora „Rzeczypospolitej obojga narodów", w którym odpowiadał on na marcowe zniewagi Gomułki pod swoim adresem. Swoją postawą budził szacunek, który – jeśli o mnie chodzi – znaczył więcej niż zarzuty, jakich mu nie szczędzono w związku ze słabościami, od których któż z nas jest wolny? A ileż pięknych chwil zawdzięczam lekturom dzieł, które nam pozostawił! Jedno krótkie wspomnienie nie wyczerpie tej sprawy.

Ryszard Matuszewski

Czesław Miłosz

* * *

Andrzejewski bywał w Paryżu począwszy od roku 1959. Wtedy zobaczyliśmy się znowu po dziesięciu latach, bo w 1949 odwiedziłem go w jego willi pod Szczecinem. Jego portret w moim „Zniewolonym umyśle" był dla niego przykry, ale takie zobaczenie siebie z boku podziałało na niego otrzeźwiająco i teraz przyznawał, że okropnie się był wygłupił w swojej partyjnej fazie. Spotykaliśmy się w Paryżu, albo on odwiedzał naszą rodzinę w Montgeron.

Ostatnie dłuższe z nim rozmowy przypadają bodaj na rok 1966/67, za mego s a b b a t i c a l, czyli uniwersyteckiego urlopu spędzonego we Francji. Zdaje się, że nie poruszaliśmy żadnych tematów politycznych. Zamierzałem treść tych rozmów tutaj opowiedzieć, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej się powstrzymać, bo dotyczyły jego problemów zbyt osobistych.

Czesław Miłosz

Krzysztof Myszkowski

* * *

Z Jerzym Andrzejewskim po raz pierwszy spotkałem się 19.11.1977 roku. Byłem wtedy studentem toruńskiej polonistyki. Adres pisarza usłyszałem w Radiu Wolna Europa, podany w związku z działalnością KOR-u. Napisałem list i odwrotną pocztą otrzymałem odpowiedź z zaproszeniem do złożenia wizyty. „Obawiam się, że znajdzie mnie Pan w trochę innej postaci, aniżeli Pan sobie wyobraża". I rzeczywiście. Znalazłem pisarza w postaci o ileż przerastającej moje o nim wyobrażenia. Znałem „Bramy raju", a także pozostałe „dwie opowieści", pewnie także jakieś opowiadania, na pewno „Teraz na ciebie zagłada" i dziennik literacki „Z dnia na dzień", którego byłem wiernym czytelnikiem.

Nie chcę się powtarzać. O Jerzym Andrzejewskim napisałem rocznicowe wspomnienia, ogłoszone w „Tygodniku Powszechnym" i w „Gazecie Wyborczej". Jego listy do mnie zostały opublikowane w „Tytule". Moje listy do niego leżą w pudle w Muzeum Literatury. To, plus dedykacje w książkach oraz zapisy mnie

Jerzy Andrzejewski i Krzysztof Myszkowski, Obory 1978 r. *Fot. Archiwum „K.A."*

dotyczące w „Z dnia na dzień" i w „Grze z cieniem", które to tomy przygotowałem do druku, za co dostałem specjalne podziękowania (zapis z 15 czerwca 1981 roku w „Grze z cieniem") oraz oprawiony w skórę notes paryski.

Trudno jest pisać o pisarzu. Pisarz zapisuje siebie sam. Reszta to addenda.

Wiele zawdzięczam Jerzemu Andrzejwskiemu. Wiele się od niego nauczyłem. Dawał mi lekcje dotyczące literatury, a także historii i polityki. Dostawałem od niego wiele ważnych książek do czytania, których wtedy nie było ani w księgarniach, ani w bibliotekach. Między innymi dostałem wielki, berkeley'owski wybór wierszy Miłosza, a potem podarował mi inny wybór, z dedykacją: „Krzysztofowi, żeby miał swojego Litwina – J.A." Wiele książek paryskiej „Kultury" i „NOWEJ" woziłem do Torunia nawet w stanie wojennym i przez myśl mi nie przeszło, że coś złego może się przytrafić. Byłem jak na skrzydłach.

Spotkania w Warszawie i w Oborach i kontakty korespondencyjno-telefoniczne z Jerzym Andrzejewskim to była orbita do innych niepodobna. Obserwowałem jego grę końcową, rzeczywistą grę z cieniem. Trudno jest w takim wspomnieniu przeniknąć do strefy najważniejszej, uczuciowo-przyjacielskiej. Jest ona odsłonięta w tych wszystkich zapisach, o których wspomniałem. „Jest tylko to, co napisane. Poza tym, co napisane, nie ma nic". To, jak działa łaska, jest nie do opisania. Jej działanie poznaje się po owocach. Cała reszta to gadanina i mrzonki.

Nasze wspólne przywiązanie do dziewiętnastki (a moje jeszcze do dziewiątki). Andrzejewski wielokrotnie o tym pisał. Urodził się 19. Suma cyfr roku jego urodzenia wynosi 19. Ja także urodziłem się 19. Suma cyfr dnia i miesiąca mojego urodzenia wynosi 19. Suma liter mojego imienia i nazwiska wynosi 19. Etc. Po raz pierwszy spotkaliśmy się 19. Umarł 19. „Są dziwy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się waszym filozofom".

Andrzejewski lubił monologi. Ale potrafił także bardzo uważnie słuchać, o czym przekonałem się nie raz, zastanawiając się nad radami i uwagami, jakich mi udzielał w związku z różnymi życiowymi sytuacjami, a także w związku z pisaniem i z literaturą.

Scena z Obór. W dniu swoich 70. urodzin, w obecności innych osób, zaczął mnie nagle przesłuchiwać i robił to poważnie, ani jedną miną i ani jednym słowem nie wypadając z roli, tak że ja na jego pytania odpowiadałem bardzo serio, kto wie, czy nie bardziej serio niż kilka miesięcy później, gdy w komendzie milicji na ulicy Słowackiego w Toruniu odpowiadałem na pytania przesłuchującego mnie funkcjonariusza „służby bezpieczeństwa".

Praca pisarska. Widziałem, jak pracuje nad dziennikiem literackim. Blisko byłem przy pisaniu „Nikta". Obserwowałem początki „Elegii" i „Heliogabala". Mówił, że w pisaniu potrzebny mu jest początek, który porównał do pierwszego ruchu lanceta, kiedy chirurg zaczyna operację i musi w sposób nieomylny i jedyny rozpocząć, punkt dojścia – mówił, że może nie wiedzieć, co będzie w środku, w brzuchu opowieści, ale musi wiedzieć, co będzie na końcu; no i tytuł, który jest jak klucz, który otwiera. Mówił, że w pisaniu dużą rolę odgrywa pierwiastek irracjonalny. Kiedy narzekałem na trudności, jakie miałem z pisanym wtedy opowiadałem, mówił: „A dlaczego miałoby być łatwo?" I dawał radę, jaką w „Alicji w krainie czarów" Król dawał Króliczkowi: „Zacznij od początku, opowiadaj wszystko po kolei, a gdy dojdziesz do końca, zatrzymaj się."

Był pisarzem w każdym calu. Grał. Nie wiem, czy to mu cokolwiek ułatwiało. W każdym razie płacił za to wielką cenę.

Popadał w ciągi alkoholowe. Upijania się, samobójcze.

A przecież wiele pracował i dużo w tym czasie zrobił. Pisał dziennik, napisał „Już prawie nic" i „Nikta", nowe opowiadania i szkice. Zrobił ostateczną korektę „Miazgi", która ukazała się w „NOWEJ" w 1979 roku, a także korekty „Ładu serca" i pierwszego krajowego wydania „Apelacji".

„...jeszcze wiele rzeczy chciałbym powiedzieć, lecz kończyć pora" – tak kończy się jego ostatni list do mnie z 28.4.1982 roku, pewnie w ogóle jeden z ostatnich, jeżeli nie ostani jego list, ocenzurowany przez Urząd Cenzury 955.

Reszta jest w wibrujących uczuciami strzępach olśnień i fascynacji. Jest wspomnieniem. Jest inspiracją. Na pewno nie byłbym tym, kim jestem, bez jego wpływu na mnie w tamtych latach.

Krzysztof Myszkowski

Andrzej Wajda

***

„Nie od cudzych grzechów włos na głowie siwieje…”
Jerzy Andrzejewski

Jerzy Andrzejewski od swojej pierwszej książki „Ład serca” był dzieckiem szczęścia, a każda następna przynosiła mu dalsze sukcesy. Są tacy ludzie. Niestety za sukces trzeba płacić. Myślę, że autor „Popiołu i diamentu” zapłacił największą cenę, gdyż to on sam wyznaczył ją za własną siwą głowę.

Daleka jest droga od katolickiego pisarza, poprzez członka Partii do dysydenta i człowieka Komitetu Obrony Robotników. Nie każdy ją przebył. Po raz ostatni widziałem Jerzego Andrzejewskiego w hali „Olivii” na zjeździe „Solidarności”. Był już wtedy starym i schorowanym człowiekiem, szczęśliwy, że dożył tej chwili. Co zaprowadziło go tak daleko od książki „Partia i twórczość pisarza”, wydanej w roku 1952?

Myślę, że strach przed własnymi grzechami, obojętnie czy są to polityczne błędy, czy artystyczne uchybienia w pisaniu. Andrzejewski dążył do doskonałości i tylko taki stan go zadawalał.

Widziałem jego zmagania z tematem, z tekstem, z wydawcami. Nie znam nikogo, kto popełniając takie błędy, potrafił odejść od nich tak daleko, kto gotów był na zburzenie całego warsztatu twórczego, który przez lata doskonalił, aby zaczynać wszystko od początku, jak w wypadku „Miazgi”.

Jestem szczęśliwy, że los pozwolił mi zbliżyć się do tego niezwykłego człowieka i pisarza.

1 listopada 1997, Warszawa.

Andrzej Wajda

Jerzy Andrzejewski i Krystyna Lubicz-Lisowska *Fot. Archiwum „K.A.”*

Madeline G. Levine

Niejednoznaczność moralnego oburzenia wyrażonego przez Jerzego Andrzejewskiego w „Wielkim Tygodniu"

Postawa polskich pisarzy – zarówno tych, którzy byli świadkami tragicznych wydarzeń, jak i tych, którzy poznali je z cudzych opowieści – wobec przeprowadzanej przez nazistów na polskiej ziemi eksterminacji narodu żydowskiego, stanowi jeden z budzących najwięcej kontrowersji punktów gorącej debaty toczącej się wokół „polskiego antysemityzmu". Polscy badacze nie uważają za konieczne traktować osobno problemu: odpowiedź polskich pisarzy na tragedię Żydów i szerszego problemu: odbicie, jakie znalazły w literaturze losy Polski rozbiorowej. (Owa niefrasobliwość nie jest niczym zadziwiającym, jeśli się zważy ogólny brak dążenia do obiektywnego określenia roli, jaką w polskiej historii i kulturze odegrały mniejszości narodowe[1]). Zachodni badaczy literatury traktującej o Holokauście, z reguły nie potrafiący czytać tekstów w języku polskim i przekonani, że jeśli chodzi o słynny antysemityzm Polaków, nie może być dymu bez ognia, w swych rozważaniach biorą pod uwagę jedynie opowiadania obozowe Tadeusza Borowskiego i wiersz Czesława Miłosza: „Campo di Fiori". Ich skłonność – nie wynikająca prawdopodobnie z ignorancji – do lekceważenia tego, co działo się w Polsce powojennej, jest niewybaczalna[2].

Jednym z najbardziej bulwersujących uogólnień dotyczących stosunku polskich pisarzy do zagłady Żydów jest komentarz, w postaci odręcznej notatki, wybitnej badaczki literatury dotyczącej Holokaustu, Sidry DeKoven Ezrahi. Stwierdza ona, że „Polscy pisarze koncentrują się raczej na konsekwencjach Holokaustu dla Polski i Polaków, niż na samych ofiarach. Żyd pojawia się częściej jako wcielenie mi-

Madeline G. Levine jest wykładowcą literatury słowiańskiej w Uniwersytecie w Północnej Karolinie, w Chapel Hill. Razem z esejem dotyczącym „Wielkiego Tygodnia" opublikowała kilka artykułów przedstawiających Żydów w powojennej polskiej literaturze, a także esej „Wrestling With Ghosts" o relacjach polsko-żydowskich w kontekście amerykańskim. Najbardziej znane są jej tłumaczenia prozy współczesnych pisarzy polskich, między innymi Czesława Miłosza („Zaczynając od moich ulic", „Rok myśliwego"), Mirona Białoszewskiego („Pamiętnik z powstania warszawskiego") i Idy Fink („Skrawek czasu", za który dostała nagrodę amerykańskiego PEN-Clubu w kategorii najlepszego tłumaczenia literackiego 1988 roku). Jej tłumaczenia „Chleba rzuconego umarłym" Bogdana Wojdowskiego i książki Agaty Tuszyńskiej „Singer: Pejzaże pamięci", ukażą się w 1998 roku. (red.)

[1] Uogólnienie to odnosi się do okresu powojennego. Po roku 1980 nastąpił wzrost zainteresowania rolą polskich mniejszości narodowych, a szczególnie niegdysiejszą mniejszością żydowską (wszystkie przypisy Madeline G. Levine).

[2] Pisarze żydowscy traktowani są przez zagranicznych krytyków jako przypadek szczególny i w oskarżycielskich zestawieniach „prawidłowych" i „nieprawidłowych" reakcji zwykle nie są uznawani za pisarzy polskich.

stycznej przeszłości, niż jako konkretny, cierpiący człowiek"[3]. Być może najbardziej intrygującym przykładem opowiadania, w którym Holokaust potraktowany został jako sprawdzian polskiej moralności, jest utwór Jerzego Andrzejewskiego „Wielki Tydzień"[4]. Pisarz porusza w nim temat zagłady Żydów, analizując przy tym znaczenie, jakie ta rzeź miała dla milionów katolickich Polaków i Polek.

„Wielki Tydzień" jest często określany jako owoc bólu, jakim los Żydów warszawskich napełnił jednego z najwybitniejszych pisarzy katolickich. Profesor Jerzy R. Krzyżanowski na przykład, w eseju opublikowanym w 1981 roku, porównuje „Wielki Tydzień" do popularnych w Ameryce opowiadań „Ściana" Johna Hersey' a i „Mila 18" Leona Urisa, w których ten sam temat przedstawiony został „z daleko mniejszym mistrzostwem"[5]. Nawet tak sceptyczny pisarz jak Henryk Grynberg nie czyni w swym opracowaniu zatytułowanym: „Getto warszawskie w literaturze polskiej", żadnej krytycznej wzmianki na temat „Wielkiego Tygodnia", choć zastanawia się nad przyczynami, dla których Andrzejewski nie wspomniał ani słowem o polskich Żydach w swej powojennej powieści „Popiół i diament"[6]. Jedynie zawsze czujny Artur Sandauer zauważa, że „Wielki Tydzień" nie jest wcale tak przesyconą współczuciem dla Żydów opowieścią, jak to się przywykło przyjmować.

W eseju tym[7] przedstawię moje własne odczucia związane z lekturą „Wielkiego Tygodnia". Opowiadanie to jawi mi się jako utwór tajemniczy, pełen dwuznaczności, kryjących się za moralnym oburzeniem, w którego tonie zdaje się on być utrzymany. Muszę podkreślić, że nie uważam, jakoby „Wielki Tydzień" był utworem reprezentatywnym dla całej literatury polskiej. O żadnym poszczególnym dziele nie można powiedzieć, że reprezentuje całą literaturę danego kraju. Jednakże wierzę, że uważna lektura tego opowiadania może stać się źródłem wielu spostrzeżeń, które będą stanowić cenny wkład w nieustannie toczącą się dyskusję na temat rozmaitych reakcji pisarzy polskich na Holokaust.

Jeden z najbardziej znanych i płodnych pisarzy okresu powojennego, Jerzy Andrzejewski (1909-1983), zyskał rozgłos w latach trzydziestych jako autor katolicki i moralista. W późnych latach trzydziestych oficjalnie wystąpił przeciwko narastającej w Polsce fali antysemityzmu, zrywając współpracę z popularnym tygodnikiem prawicowym „Prosto z mostu". Po wojnie był jednym z wydawców zbioru esejów poświęconych polskiemu antysemityzmowi[8]. Zamieścił w tym tomie swoje prowokacyjne exposé, w którym omawia antysemityzm w powojennej

[3] Sindra DeKoven Ezrahi, „By Words Alone: Holocaust in Literature", Chicago, University of Chicago Press, 1980, s.233.

[4] Po raz pierwszy opublikowane w zbiorze „Noc" (PIW, Warszawa 1956). Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania.

[5] Jerzy R. Krzyżanowski, „ «Wielki Tydzień» Jerego Andrzejewskiego: Opowieść o Holokauście". W „Poetica Slavica: studia ku pamięci Zbigniewa Folejowskiego", J. Douglas Clayton i Gunter Schaarschmidt, wyd. Ottawa: University of Ottawa Press,1981, s. 93 -104

[6] Henryk Grynberg, „Ghetto warszawskie w literaturze polskiej", „Soviet Jewish Affairs", vol. XIII, nr3, 1983, s. 33 – 48.

[7] Esej ten jest rozszerzoną wersją artykułu, który został napisany na międzynarodową konferencję zatytułowaną: „Polacy i Żydzi. Mity i fakty w ujęciu historycznym" i przedstawiony na Uniwersytecie Columbia w marcu 1983 roku.

[8] „Martwa fala. Zbiór artykułów o antysemityzmie", Wiedza, Warszawa 1947.

Polsce i wzywa do wykorzenienia tej plagi[9]. Wydaje się, że sam Andrzejewski uważał „Wielki Tydzień" za jedno ze swoich najważniejszych dzieł, jako że uchronił je od „przeróbek" cenzorskich, jakim zostały poddane jego późniejsze utwory. Ta osobista historia skłania do przypuszczenia, że „Wielki Tydzień" to swego rodzaju wzorzec literackiego opracowania problemu stosunków polsko-żydowskich podczas okupacji[10].

„Wielki Tydzień" opowiada o nieudanej próbie ocalenia żydowskiej kobiety z katastrofy powstania w getcie. Centralnym tematem jest postawa katolików wobec zagłady warszawskich Żydów. Opowieść zaczyna się we wtorek Wielkiego Tygodnia w 1943 roku (drugi dzień powstania w warszawskim getcie), a kończy się w Wielki Piątek. Plan czasowy utworu pokrywa się z czasem wydarzeń historycznych; to przyleganie obu czasów pełni funkcję symboliczną: wskazuje na fakt, że dla warszawskich Żydów nie tylko nie ma żadnej nadziei na zmartwychwstanie, ale nawet nie dane im będzie spocząć w poświęcanej ziemi. Jest to opowieść w najwyższym stopniu tragiczna z powodu absolutnego braku nadziei.

Główny bohater, Jan Malecki, to architekt należący do klasy liberalnych intelektualistów, którym Andrzejewski ma za złe ich słabość i niezdecydowanie. Drugiego dnia powstania Malecki spotyka poza gettem młodą Żydówkę, Irenę Lilien, która niegdyś była jego bliską przyjaciółką. Widywał się z Irena często przez pierwsze dwa lata okupacji, kiedy to jej rodzina, dzięki obfitym łapówkom, cieszyła się całkowitym bezpieczeństwem. Jednakże latem 44 roku Irena zmuszona była się ukryć, a Jan nie uczynił nic, by ją odnaleźć. Pomimo narodowej katastrofy, osobiste życie Jana ułożyło się jak najpomyślniej, ożenił się i wraz z żoną oczekiwał właśnie swego pierwszego dziecka. Andrzejewski, który zawsze chętnie służy czytelnikowi sentencjonalnymi komentarzami, tak wyjaśnia postępowanie Maleckiego, który przez ostatnie dwa lata unikał Ireny:

„Czuł, że Irena jest nieszczęśliwa, samotna, że jest jej źle, ale on sam był szczęśliwy, a nie ma większej i bardziej nieprzebytej przepaści niż przepaść pomiędzy

---

[9] Krzyżanowski, op. cit., ma rację utrzymując, że fakty te trzeba mieć w pamięci dokonując oceny „Wielkiego Tygodnia". Jednakże w przeciwieństwie do profesora Krzyżanowskiego, uważam, że są one raczej przygnębiające niż podnoszące na duchu, ponieważ, jak to staram się wykazać w tym eseju, istnieje dziwna sprzeczność pomiędzy tym, w co Andrzejewski „sądzi", że wierzy, a tym, co naprawdę myśli o Żydach.

[10] Sandauer dowodzi przekonująco, że ten ton pogardy wobec Małecki zabrzmiał dopiero w wersji przeznaczonej do publikacji. Jego rozumowanie jest oparte na założeniu, że pierwotny (niepublikowany) tekst „Wielkiego Tygodnia" różni się znacząco od wersji opublikowanej w 1945 roku. Różnice między obiema wersjami są natury nie tylko stylistycznej, wbrew temu, co sugeruje Andrzejewski w swej przedmowie do przerobionego opowiadania. Sandauer uważa, że w wersji oryginalnej Andrzejewski jako narrator w znacznie większym stopniu identyfikuje się z Janem Maleckim i podziela jego wątpliwości na temat Żydów. Zdaniem Sandauera poprawiając utwór Andrzejewski zrozumiał, że nie ma szans na to, by partyjni prominenci, wśród których było wielu Żydów, zgodzili się na jego opublikowanie, i zdecydował dokonać kilku przeróbek. Dlatego też potraktował Maleckiego z ironicznym dystansem, akcentując jego przedwojenny flirt z nacjonalistyczną i antysemicką organizacją ONR. Nowa strategia narracyjna polegająca na zaznaczaniu własnej dezaprobaty wobec postawy Maleckiego miała przykryć, a nie zastąpić, pierwotną strategię psychologicznej identyfikacji. To ona właśnie jest źródłem większości formalnych braków utworu. Owe przeróbki podyktowane zostały zdaniem Sandauera nie tylko względami natury politycznej; Andrzejewski rzekomo zaczął gardzić sobą za inercję i zapłonął podziwem dla człowieka czynu – zaczął wychwalać uzbrojonego partyzanta, a w swoim okresie komunistycznym, który rozpoczął się dokładnie dwa lata później, stereotypowego, zachowującego zawsze stoicki spokój, bohatera wywodzącego się z klasy robotniczej. Zob. „Szkoła nierzeczywistości...", op. cit. S. 430 – 436 i „O sytuacji pisarza polskiego...", s. 40 – 43.

człowiekiem, który jest szczęśliwy i człowiekiem, który cierpi. Wiele spraw wielkich i drobnych dzieli ludzi, ale żadna tak mocno, jak nierówność losu."

Obecnie, z umiarkowanym zapałem, prawie niechętnie, próbuje ocalić życie Irenie Lilien, nie dlatego, by miał w sobie jakieś zadatki na bohatera, lecz dlatego, że nie potrafi się zdobyć na odepchnięcie jej. Jego decyzja jest owocem tej samej słabości charakteru, która przedtem kazała mu zapomnieć o Irenie – teraz ta słabość pchnęła go do działania. Andrzejewski nie kryje swej dezaprobaty dla braku zdecydowania u swego bohatera. Stosunek narratora do bohatera-mężczyzny, który przezwyciężając swoją wrodzoną bojaźliwość zdobywa się na działanie, wprawdzie bezowocne – cechuje ironiczny, nieżyczliwy dystans.

Gdy Jan prowadzi Irenę przez płonące getto ku dzielnicy, w której sam mieszka, Andrzejewski korzysta z okazji by dać dokładny, beznamiętny opis agonii getta i przedstawić reakcje zwykłych warszawiaków. Kiedy Niemcy wprowadzają do getta ciężką artylerię, aby ostatecznie rozprawić się z powstańcami, tłum gapiów zgromadzony przy murach getta po aryjskiej stronie robi co może, aby tylko dojrzeć jakiś fragment walki, któregoś z walczących i ginących Żydów. Andrzejewski pogardza tym tłumem za niezdolność do współczucia, ale też go usprawiedliwia:

„Jak wszystkie wydarzenia w Warszawie, tak i to, oglądane z zewnątrz, miało w sobie coś z widowiska. Warszawianie biją się chętnie i równie chętnie przyglądają się walkom. Mrowie młodych chłopaków i wyondulowanych, strojnych dziewcząt zbiegło się z sąsiednich ulic. Co ciekawsi pchali się w głąb Nowiniarskiej, skąd najrozleglejszy roztaczał się widok na mury getta. Na ogół mało kto Żydów żałował. Lud cieszył się, że znienawidzeni Niemcy mają nowy kłopot. W odczuciu przeciętnego człowieka z ulicy sam fakt walczenia z garstką samotnych Żydów ośmieszał zwycięskich okupantów."

Ów wyrazisty opis tłumu gapiów, świadectwo wstydliwego, jeśli nie haniebnego momentu w polskiej historii, robi szczególnie silne wrażenie w powyższym kontekście. A to dlatego, że Andrzejewski, zająwszy w tym szczególnym pasażu pozycję beznamiętnego obserwatora, przedstawia fakty tak, jakby opisywali je inni świadkowie. Nieco dalej Andrzejewski daje do zrozumienia, że tak niegodnie reagujący tłum wkrótce się rozproszył. Opisując powszechny nastrój w Wielką Środę, zwraca uwagę na ponure milczenie ludzi przechodzących obok murów getta w drodze do pracy. Jednakże z relacji wieku naocznych świadków wiadomo, że tłumy nadal się gromadziły, a znajdowali się w nich zarówno ludzie, dla których płonące getto stanowiło fascynujące widowisko, jak i ci, którzy pragnęli zabawić się na wielkanocnym jarmarku odbywającym się pod murami getta. Jak zauważył Artur Sandauer, w opisie Andrzejewskiego jarmarczne karuzele jeszcze nie działają, podczas gdy dla innych pisarzy te wesoło wirujące karuzele stanowią symbol tragicznego rozdźwięk pomiędzy pełnym radości światem zewnętrznym, a agonią getta, dokonującą się za murami[11]. Można się tylko dziwić temu sprzeniewierzeniu się Andrzejewskiego wobec faktów.

[11] Sandauer, „O sytuacji pisarza polskiego", s. 38 – 39. Sandauer komentuje tutaj wiersz Czesława Miłosza „Campo di Fiori" w: „Utwory poetyckie", Ann Arbor: Michigan Slavic Publications,1976, s. 80 – 82, a także „Pamiętnik z powstania warszawskiego" Mirona Białoszewskiego, PIW, Warszawa 1971, s. 84. Zobacz także wspaniałe „Polish-Jewish Relations during the Second World War" Emmanuela Ringelbluma, Howard Fertig, Nowy Jork 1976, s.178 -189, które zawierają opis tej samej sytuacji, sporządzony przez żydowskiego naocznego świadka.

Andrzejewski skłonny jest przypisywać przemyślany, gwałtowny, ideologiczny antysemityzm raczej polskiemu podziemiu faszystowskiemu niż Polakom w ogóle. W opowiadaniu przedstawicielem faszyzmu w polskim wydaniu jest pewien partyzant o typowo aryjskim wyglądzie, niejaki Zalewski. W zaciekłym sporze z Janem Maleckim przedstawia on swoje polityczne przekonania bez żadnych osłonek:

„A ja wam mówię, że za to jedno możemy być Hitlerowi wdzięczni. Odwalił za nas uciążliwą, a nawet, powiedzmy, przykrą, czarną robotę. Teraz kwestii żydowskiej w ogóle nie będzie! Gdyby tego nie zrobił Hitler, musielibyśmy po wojnie sami zabrać się do likwidacji Żydów. Jeden kłopot mniej, to jasne! (...) Polska musi być bez Żydów. To jest racja państwowa. To jedno! A zresztą nie mamy powodu litować się nad Żydami...Oni się nad nami nie litują! Każdy z nich, gdyby tylko mógł, strzeliłby w łeb pierwszemu napotkanemu Polakowi".

Zalewski nie obawia się głosić, że w Polsce jego marzeń nie tylko Żydzi, ale także polscy liberałowie trafią do obozów koncentracyjnych. Andrzejewski był przekonany, że jeśli polscy faszyści dojdą do władzy w powojennej Polsce, zniszczą nie tylko polskich Żydów ocalałych z pogromu wojennego, ale także cały naród polski. Udramatyzował ten lęk, każąc w swoim opowiadaniu Zalewskiemu i jego przyjacielowi, też faszyście, zamordować liberała Jana Maleckiego.

W „Wielkim Tygodniu" jedynie owa polityczna mniejszość reprezentuje fanatyczny antysemityzm. Andrzejewski pokazuje wszakże, że we wszystkich warstwach polskiego społeczeństwa istnieją rozmaite, bardziej umiarkowane odmiany antysemityzmu. Jest to antysemityzm nie tyle ideologiczny, ile zrodzony z frustracji spowodowanej własną sytuacją. Dotyczy to, na przykład, prymitywnej pani Piotrowskiej (sąsiadka Maleckich), która nie może zrozumieć, dlaczego katolicy mieliby przelewać własną krew dla ratowania Żydów:

„Tyle niewinnej krwi! (...) Moim zdaniem, proszę pana, taki Polak, co to ukrywa u siebie Żyda, to jest, za przeproszeniem, świnia! Tak, proszę pani! – uderzyła się w piersi. – Ja jestem, proszę pani, Polka, i tak myślę! To nie po chrześcijańsku, żeby dobrzy katolicy ginęli za Żydów, tak nie może być!"

Chociaż Andrzejewski przezornie dystansuje się do pani Piotrowskiej, czyniąc z niej, poprzez sposób, w jaki wygłasza ona swoje tyrady, postać lekko komiczną, a także każąc swoim wykształconym bohaterom polemizować z nią, równocześnie nie pozwala on czytelnikowi wątpić, że słowa te nie są tylko pustym gadaniem i że trzeba traktować jej nienawiść bardzo poważnie. Działanie, do których popycha panią Piotrowską jej wiara w wyższość chrześcijan nad Żydami, mają konsekwencje, których nie sposób lekceważyć.

Choć pani Piotrowska głosi dumnie, że wprawdzie nie lubi Żydów, ale jej rąk nigdy nie splami krew żadnego z nich, to właśnie ona wywabia Irenę z bezpiecznej kryjówki w mieszkaniu Maleckiego, skazując ją tym samym na śmierć; robi to, ponieważ podejrzewa, że Irena uwiodła jej męża. Rzeczywistość jest dużo bardziej ponura, niż te urojenia, gdyż to Piotrowski próbował zgwałcić Irenę.

Piotrowscy z całym okrucieństwem doprowadzają Irenę do zguby, uczestnicząc równocześnie w obrzędach wielkopiątkowych, które to uczestnictwo nie ma żad-

nego wpływu na ich sposób myślenia i postępowania. Działania Piotrowskich nie wynikają z antysemityzmu sensu stricto; są one owocem pewnych kulturowych stereotypów, na przykład wiary, że Żydowska kobieta jest szczególnie „sexy", że Żydzi posiadają jedno „diabelskie oko" i że należy chronić przed nimi dzieci, a jako mordercy Chrystusa powinni być wykluczeni ze społeczności ludzkiej, bowiem nie dotyczy ich Chrystusowy nakaz: „Miłuj bliźniego swego".

Dzięki Piotrowskim Wielki Piątek ma w „Wielkim Tygodniu" podwójny sens. Obrzędy świętego dnia symbolizują męczeństwo narodu żydowskiego, który ginie z rąk nazistów, ale którego zagłady winna jest także większość Polaków, jak Piłat umywająca ręce. Jednakże celebrowanie Wielkiego Piątku w kościołach przyczynia się także do powstawania nastrojów antyżydowskich. Jest oczywiste, że przedstawianie Żydów jako morderców Zbawiciela i nieustanne przypominanie podczas obrzędów wielkopostnych, że Żydom jest przeznaczone wielkie cierpienie, jako kara za ten grzech, stanowi dla samozwańczej „dobrej katoliczki", jaką jest Piotrowska, zachętę do przejścia od deklaracji do działania, którego końcowym efektem będzie śmierć Ireny.

To oczywiste. Myślę, że Andrzejewski chciał, by Wielki Tydzień i Wielki Piątek symbolizowały cierpienie Żydów[12] i na tym symbolicznym poziomie jego opowiadanie charakteryzuje się niezwykłą mocą. Ale Andrzejewski, tak zwykle skłonny do piętnowania narodowych uprzedzeń swoich rodaków, nie zauważa – a może umyślnie pomija milczeniem? – faktu, że obrzędy wielkopiątkowe przyczyniają się do rozbudzania nastrojów antyżydowskich. Czytelnik, który jest świadomy, że celebrowanie śmierci Chrystusa stanowi oskarżenie skierowane przeciwko wszystkim Żydom, może logicznie zakładać, że istnieje związek pomiędzy działaniami pary Piotrowskich, a ich udziałem w obrzędach kościelnych.

Andrzejewski daje do zrozumienia, że Piotrowscy uosabiają rynsztokową odmianę antysemityzmu, wstrętną ich wykształconym sąsiadom, którzy milcząco potępiają zdradzieckie postępowanie małżeństwa. Jednakże kiedy wychodzi na jaw, że Irena jest Żydówką, nie mogą mieć już żadnej nadziei na powstrzymanie katastrofy.

Andrzejewski pokazuje także, że od antysemityzmu nie są wolni nawet ci, którzy uważają się za uodpornionych na takie przesądy. W rozmowie ze swoim młodszym bratem Julkiem, Malecki, który przecież w gruncie rzeczy jest człowiekiem uczciwym, robi uwagę o „szarpaninie z Żydami"; oburzony Julek reaguje bardzo gwałtownie – posłuchajmy wypowiedzi, którą uważam za własny sąd Andrzejewskiego w tej sprawie[13]:

„(...) co to znaczy «nie solidaryzujesz się z podobnymi metodami walki»? To się u nas ciągle słyszy, powtarzają to wszyscy ci tak zwani przyzwoici Polacy, potępiający gwałty i zbrodnie popełniane na Żydach. Ale o co im chodzi? Czy rze-

[12] Także w Wielki Piątek faszyści mordują Jana Maleckiego, może on być także symbolem polskiego cierpienia.

[13] Według Sandauera szczegółowa analiza stylistyczna „Wielkiego Tygodnia" wykazuje, że Julek został włączony do opowiadania później. Jako komunista nastawiony na działanie miał stanowić przeciwwagę dla paraliżowanego wątpliwościami Maleckiego. Może to być prawdą, jednakże przeczyłoby to memu przekonaniu, że w wersji, która jest nam dostępna, Andrzejewski najbardziej identyfikuje się z Julkiem Maleckim.

czywiście są wrogami antysemityzmu? Wcale nie! Wedle nich cel walki jest słuszny, tylko metody nie te...Czy nie tak? (...) Rzecz w tym, że w ogóle nie powinno być żadnej walki; w ogóle, bo inaczej musi się skończyć właśnie tak – wskazał ręką za siebie, w kierunku płonącego w oddali getta."

Julek Małecki nie jest „wielbicielem Żydów", nie ma w nim poczucia winy i nie uważa, by Polacy mieli wobec Żydów, jako ofiar nazistów, jakieś zobowiązania. Jest polskim patriotą i partyzantem. I to właśnie ten żarliwy patriotyzm każe mu, wraz z innymi pięćdziesięcioma mężczyznami, chwycić za broń i w ten sposób dać wyraz swej solidarności z żołnierzami z getta. I kiedy opuszcza mieszkanie Małeckiego, aby walczyć pod murami getta, jest świadomy, że idzie złożyć w ofierze swoje życie, a kieruje nim pragnienie, by Polska odzyskała niepodległość; innymi słowy ofiara ta nie ma być aktem zadośćuczynienia za rzekome winy Polaków. Julek jako jedyną postać występująca w „Wielkim Tygodniu" uważa Żydów za równych Polakom – widzi w nich ofiary, w teraźniejszości i w przeszłości, ale mają oni jego zdaniem takie samo prawo do życia i godnej śmierci jak Polacy.

Jednakże Julek Małecki nie posiada aprobaty Andrzejewskiego, ponieważ on także popełnia niewybaczalny błąd. Nie poprzestaje na podjęciu decyzji, lecz wciąga w swoje przedsięwzięcie nastoletniego sąsiada Maleckich, Władka Karskiego. Andrzejewski poddaje w wątpliwość zasadność takiej ofiary – czy to dla Żydów, czy to dla Polaków – i stara się obudzić takie same wątpliwości w czytelniku, opisując obrazowo rozpacz matki Włodka. Pani Karska jest zdruzgotana po śmierci syna, ale w końcu akceptuje swój los z niezwykła godnością. Jest ona wzorem polskiego macierzyństwa.

Cierpienie polskich matek jest jednym z najważniejszych tematów „Wielkiego Tygodnia", jak się tego zresztą można spodziewać po opowieści, której akcja rozgrywa się podczas Wielkiego Tygodnia. Dwóm spośród bohaterek Andrzejewskiego przeznaczone jest doświadczenie tej rozpaczy, jaką odczuwała Maria patrząc na agonię swego syna; ich tragedia jest więc tragedią wszystkich polskich matek[14]. (Natomiast, co warto podkreślić, ból matek żydowskich nie jest ani zindywidualizowany, ani udramatyzowany).

Andrzejewski po raz pierwszy wprowadza motyw matczynego poświęcenia we fragmencie opowiadającym o tym, jak Irena i Jan, spotkawszy się przypadkowo, znajdują schronienie na podwórzu zatłoczonym Polakami, którzy znaleźli się w krzyżowym ogniu pomiędzy Niemcami, a powstańcami z getta. Irena sprzecza się z pewną kobietą, sprawiającą wrażenie, jakby była o krok od utraty zmysłów, kto cierpi bardziej: Żydzi ginący w gettcie, czy przerażeni Polacy po drugiej stronie muru. Czytelnik jest skłonny przyznać rację Irenie, ale wkrótce okazuje się, jak bardzo jej słowa były niesprawiedliwe. Kobieta, z którą pokłóciła się Irena, jest mianowicie uciekinierką z Poznania, który opętani nienawiścią Niemcy postanowili

[14] Miłość Marii do Syna jako jeden z paradygmatów polskiej kobiecości, jest motywem głęboko zakorzenionym w polskiej, romantycznej i narodowej tradycji. Zobacz zwłaszcza jeden z najsłynniejszych i najczęściej pojawiających w antologiach wiersz Adama Mickiewicza „Do matki Polki", 1830.

oczyścić z „elementu polskiego". Obecnie mieszka w okropnej szopie. Jej mąż został zabrany przez Niemców i rozstrzelany w pierwszych dniach wojny, a nastoletni syn z ogoloną głową jest prawie przedmiotem, reagującym jedynie na łagodny, pełen miłości głos matki. Czytelnik dowiaduje się, że chłopiec ten powrócił niedawno z Auschwitz, ogarnia go współczucie dla tej zrozpaczonej kobiety i jej nieszczęsnego syna, ale Irena komentuje tę opowieść z nieludzkim chłodem:

„Ta kobieta nie jest jeszcze najbardziej nieszczęśliwa. Nie potrzebuje bać się w każdej chwili, że jej synowie zostaną zabici tylko dlatego, że należą do tej rasy, a nie do innej. Ona ich ma, rozumiesz? I ma prawo żyć. A my".

Cały „Wielki Tydzień" stanowi jednoznaczną odpowiedź na stwierdzenie Ireny. Polscy mężczyźni także są mordowani dlatego, że „należą do tej rasy, a nie do innej". Niewielką radość odczuwa matka, której syn wrócił z Auschwitz jako „żywy trup". Pełen godności, bynajmniej nie oskarżycielski żal, jaki odczuwa pani Karska, starając się pogodzić ze śmiercią swego syna, jest przeciwieństwem obojętności Ireny na cierpienia Polaków. Czytelnik dochodzi do wniosku, że Irena potrafi pojąć tylko cierpienie własnego narodu, i że jest najzupełniej niezdolna odczuwać współczucie dla nie-Żydów. Biorąc pod uwagę nacisk, jaki Andrzejewski kładzie w swym opowiadaniu na moc Chrystusowego przebaczenia i Chrystusowej miłości, można przypuszczać, że Irena jest nieczuła na cudze cierpienie nie tyle dlatego, że uczyniły ją taka jej osobiste nieszczęścia i nieszczęścia jej ludu, lecz dlatego, że wychowano ją w myśl starotestamentowej zasady „oko za oko, ząb za ząb", a nowotestamentowa zasada nadstawiania drugiego policzka jest jej obca.

Najważniejszą postacią kobiety, która musi podołać ogromnemu cierpieniu, jest w „Wielkim Tygodniu" Anna Malecka – ciężarna żona Jana, faktycznie główna bohaterka opowiadania. Anna jest wcieleniem wyobrażeń Andrzejewskiego na temat tego, jaka powinna być idealna odpowiedź katolika na cierpienie w ogóle i na tragedię Żydów w szczególności. Anna jest wrażliwa, pragmatyczna, zdecydowana, pełna ideałów i całkowicie pozbawiona obłudy. Jedyną jej winą, o ile można to tak określić, jest to, że w głębi serca potępia męża za brak tej moralnej odwagi, której ona sama ma pod dostatkiem. Anna straciła wiele bliskich osób podczas ostatnich kilku lat. Jej rodzina została zdziesiątkowana: ojciec został zabity przez Niemców; o dwóch braciach wiadomo, że nie żyją, od trzeciego, walczącego gdzieś na jednym z zachodnich frontów w polskim wojsku, już od bardzo dawna nie było żadnych wieści. Anna cierpi patrząc na swego szwagra, Julka, który bez wahania idzie na śmierć. Na samym końcu „Wielkiego Tygodnia" zostaje wdową. Po raz ostatni widzimy ją, jak modli się żarliwie w skromnym parafialnym kościółku, czując kopnięcia dziecka, które nosi w łonie. Anna jest symbolem wszystkiego, co w polskim narodzie najlepsze: ma w sobie ziarno nadziei na przyszłość.

Z wszystkich dorosłych katolików występujących w opowiadaniu, Anna jest najbardziej krucha, najdelikatniejsza, i byłaby usprawiedliwiona, gdyby odmówiła żydowskiemu zbiegowi schronienia w swym domu. A jednak bez najmniejszego wahania przyjmuje Irenę pod swój dach. Trudno jest jej wyrazić własne

najgłębsze przekonania, ale kiedy pewnej nocy leży w łóżku, podczas gdy łuna płonącego w oddali getta rozświetla warszawskie niebo, a wiatr niesie mrożące krew w żyłach krzyki unicestwianego narodu żydowskiego, Andrzejewski pozwala czytelnikowi wniknąć w jej myśli:

„(...) dla niej, jako wierzącej katoliczki, trwająca od tylu wieków tragedia Żydów stanowiła najboleśniejszą próbę dla chrześcijańskich sumień. Kogóż bowiem, jeśli nie chrześcijan, powinien poruszyć okrutny los najnieszczęśliwszego z narodów, plemienia, które raz odrzuciwszy prawdę, ciągnie za sobą ciężar zdrady wśród niewiarygodnych cierpień, poniżeń i nieszczęść? Któż, jeśli nie chrześcijanie, czynić powinni wszystko, aby ulżyć niedoli nieszczęśliwych i rozproszyć samotność tych, którzy umierają bez nadziei?"

Andrzejewski zgadza się z Anną, jej myśli mają pełnić funkcję punktu odniesienia dla czytelnika, mają być światłem rozpraszającym mroki historii. Postanowienie Anny, by żyć zgodnie z naukami Chrystusa, nie jest jakąś magiczną formułą. Andrzejewski pokazuje nam jak niewielkie z praktycznego punktu widzenia są owoce tego postanowienia: Anna nie ma dość sił, aby ochronić ukochane osoby lub opóźnić śmierć Ireny o więcej niż kilka dni. Ale mocą miłości udaje jej się sprawić, że odejście Jurka na pewną śmierć staje się dla wszystkich znośniejsze; udaje jej się pocieszyć panią Karską, a Irena może dzięki niej spędzić swoje ostatnie dni we względnym komforcie i wśród ludzi życzliwych.

Jak mamy interpretować tę pełną Chrystusowej dobroci postać? Jak już się przekonaliśmy, Andrzejewski nie waha się krytykować swoich postaci, jeśli pragnie zaznaczyć swój do nich dystans (na przykład kiedy portretuje Jana Maleckiego). Możemy zatem założyć, że życzliwy i bezkrytyczny stosunek autora do Anny świadczy o tym, że podziela on jej wiarę w to, że Żydzi jako naród, a nie indywidualni przedstawiciele niedoskonałej ludzkości, są winni „odrzucenia prawdy" i „zdrady" – co jest eufemistyczną wersją określania „zabójcy Chrystusa". Ania jest przekonana, a Andrzejewski zdaje się podzielać to przekonanie, że Żydzi muszą umierać bez nadziei, bowiem obietnica zmartwychwstania, jako obietnica dana tym, którzy przyjmą chrzest, ich nie dotyczy. Czy Andrzejewski nie zdawał sobie sprawy, że rasizm nazistowski i rodzimy, który budzi w nim taki wstręt, zrodził się właśnie z przekonania, że Żydzi są wykluczeni z chrześcijańskiej społeczności, ze wspólnoty tych, którzy zostali zbawieni i którzy mają słuszność?

Znany krytyk literacki, Kazimierz Wyka, pisząc o „Wielkim Tygodniu" w 1946 roku zauważył to ukryte potępienie Żydów, jakie zawiera fragment, przedstawiający myśli Anny:

„Podkreśliłem te słowa. Ich sens jest oczywisty: przyczyny konfliktu leżą w fakcie, że Żydzi, przeznaczeni do przyjęcia prawdy, prawdę tę odrzucili. (...) W takim razie, jeśli by człowiek chciał być konsekwentny, musiałby uznać, że Niemcy są wykonawcami woli Boskiej. (...) Obawiam się głębiej analizować takie myślenie, ale wnioski same się narzucają.[15]"

[15] Kazimierz Wyka, „Pogranicze powieści", „Czytelnik". Warszawa 1974, s.90.

W dalszym ciągu swoich wywodów Wyka robi dygresję na temat stosunku Kościoła do żydowskiej „winy", której to dygresji streszczać tutaj nie widzę potrzeby. Jednakże warto zauważyć, że w czasie, gdy wybuchło i zostało stłumione powstanie w warszawskim gettcie, Kościół katolicki wciąż jeszcze nie potępił oficjalnie antysemityzmu; rewizji „winy Żydów" dokonano dopiero 20 lat później, w roku 1965, podczas 21 Rady Ekumenicznej Rzymskiego Kościoła Katolickiego (powszechnie znanej jako II Rada Watykańska). Trzeba także przypomnieć, że stanowisko Watykanu odzwierciedlało się w kazaniach lokalnych kapłanów, a co najistotniejsze, często było fałszywie przez nich interpretowane,.

Obie pobożne panie – Anna Malecka i Piotrowska – niewątpliwie wysłuchiwały w kościele rozmaitych bzdur na temat „kwestii żydowskiej". Było to czymś tak oczywistym, tak zakorzenionym w społecznej rzeczywistości, że Andrzejewski nie musiał szczególnie tego akcentować, zastanawiające jest jednak, że zdaje się nie przywiązywać do tych faktów żadnej wagi [16].

Andrzejewski nie był więc wolny od antyżydowskich uprzedzeń. Choć stanowczo odrzucał ideologię antysemitów, jednakże, z pewnością nieświadomie, uczynił Irenę wcieleniem kilku mitów dotyczących Żydów, które się za tymi uprzedzeniami kryją. Podczas gdy wszyscy pozostali bohaterowie „Wielkiego Tygodnia" będący katolikami pochodzą ze średniej lub niższej klasy społecznej (a niektórych z nich Okupacja doprowadziła do kompletnej ruiny), Irena należy do klasy wyższej. Jest rzeczą uderzającą, że w utworze, który miał być groźnym ciosem zadanym antysemityzmowi, występuje tylko jedna grupa bardzo zamożnych ludzi – rodzina Ireny. (Irena wspomina o pewnym bogatym polskim właścicielu ziemskim, który udzielił jej na pewien czas schronienia, ale czytelnik nie dowiaduje się żadnych szczegółów na ten temat). Jan Malecki wspomina wystawne obiady, wydawane przez rodzinę Ireny przez pierwsze dwa lata wojny, w czasie, gdy o żywność było niezmiernie trudno. Starsi członkowie rodziny Lilien, jak się dowiadujemy, kupowali za swoje złoto jedno zawieszenie wyroku po drugim, aż wreszcie zostali zabici przez nazistów. Żadna z rodzin katolickich nie znajdowała się w równie komfortowej sytuacji na początku wojny.

Dlaczego Andrzejewski postanowił uczynić jedyną reprezentantką polskich Żydów w „Wielkim Tygodniu" córkę takiego bogacza? Ostatecznie jego bohaterowie – katolicy należą do różnych klas społecznych, dzięki czemu czytelnik zdaje sobie sprawę, że niemożliwością jest sformułowanie jakichkolwiek ogólnych wniosków na temat postawy Polaków wobec męczeństwa Żydów. Żydzi przedstawiani są w „Wielkim Tygodniu" *en masse,* jako godne litości ofiary. Jako że w utworze reprezentuje ich jedynie Irena, (no, czytelnik zawiera też przelotną znajomość z jej rodzicami), wszystkie indywidualne cechy Ireny urastają do rangi ogólnych cech narodu żydowskiego.

[16] Zobacz: Tymoteusz Klempski, „Matka świętych: Polska", „Kultura", no. 3/402,1981, pp. 6 – 26, kilka uderzających przykładów odnośnie postawy polskich księży wobec Żydów.

Andrzejewski czyni w swym opowiadaniu „reprezentantem" Żydów osobę należącą do grupy, która w rzeczywistości stanowiła wśród warszawskich Żydów zdecydowaną mniejszość (i stanowiła mniejszość wśród wszystkich polskich Żydów). Jednakże zamożność Żydów stała się czymś w rodzaju mitu dzięki pogłoskom, którym skwapliwie dawano wiarę, jakoby Żydzi posiadali szczególną zdolność bogacenia się kosztem swych współobywateli – katolików. Jako mieszkaniec Warszawy i wnikliwy obserwator, Andrzejewski z pewnością wiedział, że Irena Lilien nie jest bynajmniej typową Żydówką. Czy to możliwe, że wierzył, iż zdoła obudzić u czytelników współczucie dla niej tylko pod warunkiem, że wyposaży ją w bogactwo, urodę i wykształcenie? Czy obawiał się, że Polak – katolik nie będą w stanie odczuć litości dla zwykłej Żydówki, reprezentującej szarą masę drobnych sklepikarzy czy zubożały miejski proletariat? Czy Andrzejewskiemu żydowstwo automatycznie kojarzy się z bogactwem? Nie wiem, jaka jest właściwa odpowiedź na te pytania, ale jestem pewna, że ważne jest, by tę odpowiedź znaleźć.

Czytelnik ma mieszane uczucia w stosunku do Ireny. Jako ścigana ofiara wywołuje nasze współczucie, ale stygniemy, gdy poznajemy jej obojętność na cierpienia Polaków. Z jednej strony Andrzejewski tłumaczy nam, że ta obojętność to efekt lat wypełnionych rozpaczliwą walką o życie: ucieczkami i ukrywaniem się, wynik przeżyć Ireny, która musiała patrzeć, jak jej rodzina i naród giną z rąk polskich szantażystów i nazistowskich oprawców. Z drugiej strony pokazuje wielokrotnie, że Irena lekceważy cierpienie katolickiej ludności Polski, że traktuje Polaków ze swego rodzaju wyższością. Anna wycierpiała niemal tyle samo co Irena, a jednak w jej sercu pozostało miejsce na litość. Z moralnego punktu widzenia Anna niewątpliwie góruje nad Ireną. Irena, jako ofiara, staje się przedmiotem współczucia i sympatii ze strony Anny, ale pozostaje dla niej, podobnie jak i dla wszystkich postaci z „Wielkiego Tygodnia", z wyjątkiem, być może, Julka, kimś nieodwołalnie „obcym" – osobą, której się pomaga, ale która tak naprawdę nie należy do wspólnoty Polaków.

W opowiadaniu to Irena jest głównym źródłem informacji na temat zbrodni popełnianych na Żydach poza gettem. Z pomocą Julka opowiada Maleckim i czytelnikowi o tym, jak naziści wymordowali wszystkich mieszkańców pewnego małego, żydowskiego miasteczka. Było to latem 1942 roku; widziała wówczas swojego ojca prowadzonego na śmierć. Od Ireny dowiadujemy się również o polskich szantażystach współpracujących z gestapo i wyłudzających pieniądze od ukrywających się Żydów i Polaków udzielających im schronienia. Z jej opowieści, a następnie z tragicznych doświadczeń Maleckiego z polskimi faszystami dowiadujemy się, że cała Polska (nie tylko Żydzi, choć oni są przypadkiem szczególnym), znajduje się pod panowaniem terroru. Jednakże Irena nie pojmuje znaczenia faktów, które podaje. Nie jest szczególnie wdzięczna tym, którzy udzielając jej schronienia ryzykują życiem (i rzeczywiście je tracą), jest jedynie oburzona na tych, którzy odmawiającej pomocy.

Irena skwapliwie przyznaje, że cierpienie zmieniło ją na gorsze. Jednak choć czytelnik jest świadom, że przebyte doświadczenia usprawiedliwiają w pewnym stop-

niu jej egoizm, to jednak, jako że nie dane mu było poznać tej dawnej, lepszej Ireny, pozostaje ona dla niego osobą okaleczoną emocjonalnie, gdyż niezdolną do tego rodzaju współczucia, którego źródłem jest chrześcijańska miłość.

Nie zmienia niczego fakt, że Irena jest przekonująca jako postać. Jej portret psychologiczny można uznać za głęboki i przejmujący. Gdyby Irena była tylko jedną z kilku żydowskich bohaterów „Wielkiego Tygodnia", nie byłoby żadnego problemu. Ponieważ jednak Irena jest jedyną przedstawicielką polskich Żydów w świecie przedstawionym opowiadania, jej wady nabierają innego wymiaru, zwłaszcza że Andrzejewski sugeruje, iż są one konsekwencją żydowskiego grzechu odrzucenia prawdy i dobroci, których wcieleniem był Jezus Chrystus.

Irena jest jedyną bohaterką „Wielkiego Tygodnia", która bierze pod uwagę możliwość istnienia Żydów w powojennej Polsce. Wszyscy pozostali bohaterowie wydają się pewni, że naziści wymordują cały naród żydowski zanim wojna się skończy. Wizja przyszłości, jaką roztacza Irena, jest ponura:

„Zobaczysz! Będziemy jeszcze bardziej nienawidzeni, bo będziemy chodzić po ulicach, wrócimy do swoich mieszkań i zajęć, odzyskamy swoje prawa. Nie zaprzeczaj, wiem, że tak będzie, i ty wiesz to także. Teraz zwyczajny wstyd powstrzymuje ludzi przed okazywaniem nam wrogości. Przyjmuje się nas z musu, przechowuje z poczucia obowiązku. Ale potem nie trzeba będzie już się zmuszać! A my ze swej strony niczego nie zapomnimy. Ty wiesz, że Żydzi nie potrafią zapominać krzywd. Całkiem odwrotnie niż wy. Wy wszystko jesteście zdolni zapomnieć. I że wami poniewierani, i że wy poniewieraliście...".

Nawet w powyższym fragmencie zawiera się podwójny sens. Z jednej strony, ustami Ireny Andrzejewski wypowiada swoje własne obawy dotyczące przemian, jakim będą musiały ulec w powojennej Polsce stosunki pomiędzy Żydami a Polakami – katolikami[17]. Z drugiej strony zapewnienia żydowskiej bohaterki, że Żydzi nie zapomną, nie wybaczą, zdają się dodawać wiarygodności słowom faszysty Zalewskiego, zacytowanym wcześniej. Przypomnijmy, że Zalewski uważał, że gdyby tylko Żydzi mieli taką możliwość, zemściliby się na Polakach za swoje nieszczęścia. Ponownie żydowska zawziętość zostaje przeciwstawiona Chrystusowemu nakazowi przebaczania.

Nie chcę, aby ktoś wywnioskował z moich wywodów, że czyniąc Irenę reprezentantką narodu żydowskiego Andrzejewski miał zamiar naród ten przedstawić w niekorzystnym świetle. „Wielki Tydzień", pomijając jego niewątpliwe słabości[18], jest wyrazem namiętnego moralnego oburzenia tym, co stało się z polskimi Żydami, a także gorącym oskarżeniem skierowanym przeciwko antysemityzmowi, który niszczy nie tylko Żydów, ale także Polaków-katolików.

---

[17] Warto byłoby sprawdzić, czy ten fragment pojawił się w wersji „Wielkiego Tygodnia" z 1943 roku, czy też dopiero w wydaniu z 1945 roku, kiedy to Andrzejewski mógł już słyszeć o wrogich wystąpieniach Polaków przeciwko Żydom powracającym z wyzwolonych przez Armię Czerwoną terenów wschodnich.

[18] Najciekawszą analizą strukturalnych i stylistycznych braków „Wielkiego Tygodnia" (podczas gdy tematem powyższego eseju są etyczne dwuznaczności zawarte w tym utworze), przeprowadza Kazimierz Wyka w swym „Pograniczu powieści", op. cit., s. 88 – 94.

Jako pisarz – moralista, przerażony wydarzeniami, których był świadkiem, Andrzejewski osądza swoich współbratymców, Polaków, biorąc pod uwagę to, w jakim stopniu są oni skłonni uznać, że Chrystusowy nakaz miłości bliźniego dotyczy także Żydów. Dlaczego więc, napisał opowiadanie, którego moralna wymowa jest, ku naszemu zakłopotaniu, następująca?:

1. Grzechem jest przyczyniać się do zagłady Żydów, lub cieszyć się nią.
2. Prawdziwie pobożny chrześcijan będzie w takich okolicznościach działał, starając się ocalić życie przynajmniej kilku ofiarom.
3. Wiara katolicka może stać się źródłem takiej dobroci i natchnąć do takich aktów poświęcenia, jakie dla Żydów są nieosiągalne.

Odpowiedź na to pytanie mieści się w fakcie, że Andrzejewski – katolik pisząc swój utwór musiał interesować się przede wszystkim zdrowiem moralnym Polaków[19]. W „Wielkim Tygodniu" masakra Żydów warszawskich to próba wiary dla katolików, a niebezpieczeństwo związane z udzieleniem pomocy Żydom to krzyż, który każdy dobry chrześcijanin ochoczo podejmie.

Na ironię zakrawa fakt, że w opowiadaniu, które w zamierzeniu Andrzejewskiego miało zdemaskować antysemityzm we wszelkich jego przejawach, będąc zarazem godnym sławnego pisarza, główna bohaterka wciela większość antysemickich stereotypów, a Żydzi przedstawieni są jako istoty niezdolne do miłości i przebaczenia – czyli pozbawione tego, co stanowi istotę człowieczeństwa.

Madeline G. Levine
tłum. Dorota Rybicka i Marta Waligórska

[19] Wierzę, że Andrzejewski kierował się przy pisaniu „Wielkiego Tygodnia" sobie tylko znanymi motywami. Zgadzam się z Sandauerem, który uważa, że owo postawienie na jednym poziomie, a nawet utożsamienie idealistycznego marksizmu z wzorową postawą chrześcijańską dokonało się dopiero w wersji z 1945 roku. Sandauer, „Szkoła nierzeczywistości...", op. cit., s. 429 – 431.

Dariusz Nowacki

Non consummatum?

1.

Istnieją co najmniej dwie metafory – obie podrzucone przez samego pisarza – wokół których można by zorganizować namysł nad późną twórczością Jerzego Andrzejewskiego. Pierwsza z nich to figura **miazgi** (miazgowatość), ewokująca takie określenia, jak niespełnienie, bezsilność, niedokończenie, wyczerpanie, druga zaś to metafora **ściany** (choroba ściany). Obie dają się połączyć w figurę wyższego rzędu; najchętniej nazwałbym ją, posiłkując się tytułem III części „Miazgi", non consummatum.

O metaforze miazgi jako znaku pewnej negatywności (klęski?) napisano sporo. Przede wszystkim miazgowatość została szeroko przedyskutowana w powieści, gdzie o przyczynach i konsekwencjach złożenia do druku utworu „w kształcie nie wykończonej miazgi" Andrzejewski napisał wiele, choć zapewne nie wszystko. Recepcja „Miazgi" również poszła w tym kierunku, to znaczy geneza i następstwa pojawienia się osobliwej formy powieściowej zasadniczo stały w centrum krytycznoliterackiej uwagi. Jest to zatem debata powszechnie znana, nie warto jej tu przypominać. Natomiast choroba ściany nie została, jak dotąd, należycie opisana.

2.

Wypada zacząć od tego, iż żywo dyskutowaną w „Miazdze" opozycję chaos – porządek (forma otwarta *versus* forma zamknięta) można wziąć za fragment szerszej debaty. Mam na myśli pisarską rozterkę – skrótowo rzecz ujmując – „miało być – a jest". Jak wiadomo, ten właśnie dylemat stał się wzorem narracyjnego postępowania w „Miazdze": w warstwie fabularnej jest to opowieść o weselu w dwu alternatywnych wersjach (jak mogło być i jak było), w warstwie metatekstowej – historia męki twórczej z „ja" pisarskim w roli głównej, czyli z autorską świadomością rozpiętą między owymi „miało być – a jest". Oczywiście jedna powieść Andrzejewskiego – nawet tak bogata i fascynująca jak „Miazga" – ani nie rozwiązuje konfliktu między projektem i rezultatem, nie przekreśla antynomii postulowanego i zrealizowanego, ani też w żaden sposób nie wyczerpuje problemu. Poza wszystkim bowiem nie ma powodu, by w dylemacie „miało być – a jest" widzieć jedynie rozterkę warsztatową. Kiedy więc mówię o szerszej debacie, mam na myśli pytanie, które można by zadać prozie Jerzego Andrzejewskiego w ogóle: co w niej „nie zostało opowiedziane", czyli miało być, a nie jest? Od razu też trzeba sobie wyjaśnić, że o tym, co miało być,

Dariusz Nowacki, ur. 1965 r. w Bydgoszczy, krytyk literacki, redaktor kwartalników „FA-art" i „Opcje". Mieszka w Sosnowcu. (red.)

można przytomnie rozprawiać jedynie na podstawie tego, co jest. Innymi słowy, wiemy o knebiu czy woalu Andrzejewskiego tylko dlatego, że pisarz zechciał stematyzować zatajenie. Nic bardziej oczywistego nad to, iż sam autor wskazuje na puste miejsca, że z jego inicjatywy „brak" staje się „brakiem znaczącym". Dociekliwość czytelnika natomiast to reakcja wtórna, nie przez odbiorcę, lecz przez pisarza zainicjowana i w dużej mierze (nawet zza grobu!) kontrolowana. I jeszcze jedna uwaga: tropiciel braku (łowca tego, co nie przedstawione) ma to do siebie, iż wszędzie spodziewa się pułapki, niemal każdą inicjatywę pisarską bierze za praktykę mylenia śladów. Kto wie, czy rozterki warsztatowe, z takim rozmachem opisane w „Miazdze", nie należą do tej praktyki? W każdym razie, jak sądzę, można tak o nich pomyśleć.

3.

„Notatki do autobiografii" Andrzejewski otwiera takim oto wstępem: „Tytuł, jaki nadałem niniejszym materiałom, należy rozumieć dosłownie: nie autobiografia, tylko notatki do niej, więc od pierwszego zamysłu przedsięwzięcie pisarskie fragmentaryczne, nie dokończone, jawnie sugerujące, iż w rozległym materiale będzie wiele luk, miejsc pustych i niedopowiedzeń oraz przemilczeń nie chcianych lub świadomych.

Do spisania notatek przystąpiłem z myślą, iż będą opublikowane i czytane, jednak inspiracją silniej pobudzającą u początku i w trakcie pracy była moja kondycja osobista, cokolwiek rozchwiana i mętna. Po wieloletnich i nielekkich kontaktach z oporną materią «Miazgi», zniechęcony do formy powieściowej, począłem mniemać, iż uczynię słusznie i z pożytkiem dla odnowienia wewnętrznej dyscypliny, jeśli w sposób zdecydowany i bez leniwej zwłoki opuszczę pogmatwane zwątpieniem i troską tereny własnego tu i teraz, podejmując próbę zrekonstruowania przeszłości oraz siebie, jakim byłem i bywałem wśród jej przestrzeni. Jeszcze jeden obrachunek, tym razem masek i sytuacji fikcyjnych? Być może". (NA, 145).

Czy można z tego wnioskować, że metoda prozatorskiego mówienia to kwestia drugorzędna? Chyba tak, jeśli rzeczywiście – jak zapewnia autor – czynność spisywania „Notatek..." została podjęta jako odtrutka na „Miazgę". Ta ostatnia – przypomnę – wszechstronnie ogrywa motyw „miało być – a jest", opowiada o napięciu między spełnieniem i niespełnieniem. Tymczasem „Notatki..." już w pierwszym zdaniu informują o bardzo konkretnym wariancie niespełnienia: to fragmentaryczność – luki, puste miejsca, niedopowiedzenia. Okazuje się tedy, iż niezależnie od trybu wypowiedzi Andrzejewski kokietuje czytelnika dokładnie tym samym, po prostu brakiem, formułą *non consummatum*. Jednocześnie pisarz ciągle podsyca ciekawość odbiorcy („Jeszcze jeden obrachunek... Być może"). Poprzednio, tj. w „Miazdze", „jeszcze jeden (acz wcześniejszy) obrachunek" został przekreślony – tak to można objaśniać – nie tyle przez „maski i sytuacje fikcyjne", ile przez metafikcjonalność, przez dominację samozwrotności tego zapisu, uprzywilejowanie tematyki warsztatowej. Teraz, tj. w „Notatkach do autobiografii", sytuacja „miało być – a jest" przedstawia się nader klarownie: Andrzejewski od razu wskazuje na miejsca puste, w pierwszym zdaniu mówi o... niemówieniu.

Rzecz jasna, autor „Miazgi", jak każdy markowy pisarz, prowadzi ze swym czytelnikiem wielce przewrotną, bodaj perwersyjną grę. Bo przecież formuła *non consummatum* wcale nie ucina zabawy. Owszem, wypowiedzią Andrzejewskiego, zwłaszcza „późnego" (powiedzmy: po przekroczeniu „Bram raju"), rządzi „odmowa", lecz w tejże odmowie zawiera się „obietnica". Treścią tej obietnicy – jak wolno mniemać – nie jest przekonanie, że kiedyś miejsca puste zostaną czymkolwiek wypełnione, ale dość wyraźna sugestia, iż warto czytać na marginesach bądź pod prąd, czyli posługując się niestandardowymi metodami lektury. Nim spróbuję się domyślić, o jakie strategie czytania mogłoby tutaj chodzić, kilka zdań o ścianie.

4.

Autor „Nocy" sam zaproponował nazwę dla swojego syndromu odmowy. W jednej z notatek cyklu „Z dnia na dzień" („Literatura" 1974, nr 21) czytamy: „Piszę, owszem, piszę, raz lepiej, raz – gorzej, z oporami większymi lub mniejszymi, z pewną nadzieją i także bez jej znikomego strzępka, lecz od pewnego czasu prawie zawsze ze świadomością bliskiego sąsiedztwa ściany, która swym chłodnym oddechem coraz częściej i dobitniej przekazuje mi wyniosłe ostrzeżenie, iż to, co najważniejsze ze względu na obraz ludzkich obyczajów i namiętności oraz także ze względu na mój obraz własny powinno być napisane – nie może być napisane, nie chodzi mi w tym wypadku: czy może być opublikowane? – to sprawa wtórna, chodzi mi: że nie może być napisane to najważniejsze: co? Nie wiem" (Z, 242).

Wydaje się, że Andrzejewski pragnie powiedzieć, że granica wypowiedzi (ściana) istnieje jakby poza pisarzem, nie on ją określa, lecz ona jego. W „Notatkach do autobiografii" była mowa o „przemilczeniach nie chcianych lub świadomych", w metaforze ściany należy widzieć, sugeruje artysta, zatajenie nie chciane, w tym sensie istniejące niezależnie od woli i starań pisarza, poza nim. Zgoda, ściana, przed którą zatrzymuje się Andrzejewski, może być figurą nieświadomości (zarazem niewyrażalności); o takiej przeszkodzie nie do pokonania informuje na przykład fraza z opowiadania „Ciemna gwiazda": „(...) nieświadomość na podobieństwo wysokiej ściany ciemnym cieniem ogarnia tych, którzy chcą się do niej zbliżyć" (C, 71-72). Ale metafora ściany może też oznaczać powstrzymywanie się od wypowiedzi; wolno w niej widzieć również akt świadomego zawieszenia głosu. „Prawdziwe" pisanie byłoby wówczas niczym innym, jak próbą przezwyciężenia impasu. O takiej sytuacji mówi następujący wyimek z powieści „Nikt": „Wiarygodną opowieść o każdej historii trzeba zaczynać w obliczu, lub jeśli kto woli – u stóp wysokiej ściany. Co po tej stronie drugiej? Czymże jest pieśń? Powolnym niszczeniem stromego muru, usuwaniem ciężkich cegieł. Jest to praca długa i żmudna. I tak niebezpieczna, iż niekiedy pieśniarz milknie, aby na skutek nieostrożnego ruchu nie przygniotły go ruiny" (N, 19). Ściana nie jest więc końcem pisania, lecz jego początkiem! Tym bardziej należy zadać pytanie: czy Andrzejewski podjął trud „przebicia się na drugą stronę", czy podjął ryzyko „tworzenia młotem", ryzyko, lecz przede wszystkim pokusę, tak pięknie zdefiniowaną w Leśmianowskiej „Dziewczynie"?

Odpowiedź daję raczej negatywną. Andrzejewskiemu zabrakło odwagi Orfeusza zstępującego do Piekieł, do czego artysta otwarcie się przyznaje w dalszych partiach cytowanej wcześniej notatki. Po to, co znajduje się za ścianą, „trzeba by zejść co najmniej tak daleko, jak to niegdyś uczynił był Orfeusz zdążający po znikających śladach Eurydyki, w nadziei, że jednak przechwyci cień rozpływający się w głębokościach wiecznego snu i wbrew naturalnym prawom zdoła go przywrócić życiu" (Z, 242). Lecz jednocześnie opisywanie owego gestu zatrzymania się (przed ścianą) w kategoriach odwagi (*ergo* szczerości) nie wydaje mi się zasadne. Wskazałbym raczej na paradoks przenikliwie uchwycony przez Maurice'a Blanchota, który powiada, że „Pisanie rozpoczyna się wraz ze spojrzeniem Orfeusza. Jest ono ruchem pisania niweczącym przeznaczenie i troskę o pieśń, ruchem, który dzięki tej natchnionej i beztroskiej decyzji osiąga początek, czyniąc z pieśni ofiarę"[1]. A zatem to „coś", co znajduje się po drugiej stronie, tj. poza przedstawieniem, może być rozpoznane tylko i wyłącznie w pisaniu (Blanchot: „pisze się tylko wtedy, gdy osiąga się moment, do którego dotrzeć można tylko w przestrzeni otwartej przez ruch pisania").

5.

Wypada powtórzyć: formuła *non consummatum* bynajmniej nie oznacza rezygnacji. Kapitulacja Jerzego Andrzejewskiego jest przecież mówieniem (tegoż pisarza) o kapitulacji – tu gdzieś czytelnicza dociekliwość zawiązuje się na nowo. Odbiorca prozy Andrzejewskiego, jak się wydaje, powinien skorzystać z tej zachęty. Co tutaj szczególnie ważne: czytelnik prozy Andrzejewskiego nie musiałby się ponownie aktywizować, gdyby status dzieła autora „Nocy" był inny. Trudno bowiem zakwestionować obiegowy pogląd, że autor ten to jedna z najznamienitszych postaci polskiej literatury współczesnej, ale też dorobek Andrzejewskiego można nazwać „dziełem niczyim". Co prawda nośnym pojęciem „dzieła niczyjego" posłużył się Tomasz Burek w odniesieniu do twórczości Jarosława Iwaszkiewicza[2], lecz sytuacja, w jakiej po kilkunastu latach od śmierci Andrzejewskiego znalazło się dzieło autora „Bram raju", wydaje mi się analogiczna; tu również bez większego ryzyka można mówić o „barierze komunikacyjnej", o nieadekwatności i zużyciu stylów odbioru tegoż dzieła. Tak więc Jerzy Andrzejewski to klasyk literatury współczesnej czekający na swoich nowych czytelników, na wysiłek odnowienia lektury.

Punktem wyjścia owej praktyki odnawiania znaczeń byłaby konstatacja, czy raczej hipoteza, mówiąca, że „być może na transgresję nie pozwalają [Andrzejewskiemu – przyp. D.N.] dwa pisane-czytane teksty kulturowe: polityczny i erotyczny"[3]. Inicjatywa przekroczenia musi tym samym wyjść od strony czytenika. Do przezwyciężenia są dwa lęki, które sparaliżowały autora „Nocy", lecz jednocześnie zo-

[1] M. Blanchot, „Spojrzenie Orfeusza", przeł. M.P. Markowski, „Literatura na Świecie" 1996, nr 10 (wszystkie przypisy Dariusza Nowackiego).
[2] Zob. Tomasz Burek, „Dzieło niczyje", „Twórczość" 1989, nr 9.
[3] E. Kuźma, „Fabuła w prozie autotematycznej (na przykładzie prozy Jerzego Andrzejewskiego)" w zbiorze „Fabuła utworu literackiego", pod red. Cz. Niedzielskiego i J. Speiny, Toruń 1987, s 136.

stały przez niego na tyle silnie zasygnalizowane, iż wolno je wziąć za rodzaj „testamentu". Czytelnik tedy stoi przed zadaniem opowiedzenia nie opowiedzianej historii – „historii politycznej i historii ciała". Oczywiście podjęcie tak jednego, jak i drugiego wątku wydaje się szalenie ryzykowne, jeśli nie karkołomne, choć – śmiem twierdzić – nie ma innego wyjścia, a zakładam przy tym, że zależy nam, by proza Andrzejewskiego nie była jeno martwym, muzealnym eksponatem, muchą zatopioną w bursztynie.

Już wcześniej powinienem wyraźnie zaznaczyć, że to, o czym w niniejszym szkicu rozprawiam, nie wzięło się z jakiejś, pożal się Boże, fantazji znudzonego czytelnika, rozczarowanego dotychczasowymi sposobami czytania prozy Jerzego Andrzejewskiego. Żadne to też *wishful thinking*. Otóż zarówno (nie opowiedzianą) historię polityczną, jak i (nie opowiedzianą) historię ciała w zasadzie już opowiedziano. W pierwszym wypadku rzecz skończyła się skandalem[4], w drugim – na razie przeszła bez echa, ponieważ rozprawy Germana Ritza[5] dopiero torują sobie drogę do polskiego czytelnika. Te dwa sposoby łamania tabu, przechodzenia na drugą stronę ściany, przed którą zatrzymał się Andrzejewski, czymś się jednak różnią i to do tego stopnia, że nie waham się odrzucić metodę Krzysztofa Kąkolewskiego, a zaakceptować procedury Ritza. Idzie bowiem o szacunek dla tekstu, przekonanie o integralności i samowystarczalności tego, co wyszło spod pióra Andrzejewskiego.

Taki przykład: obaj badacze prozy Andrzejewskiego zajmują się „Popiołem i diamentem", obaj dokonują przy tym transgresji, ale tylko szwajcarski profesor stosuje się do zasady stanowiącej, że niczego nie ma poza tekstem. Mając przed oczami powieść Andrzejewskiego (i tylko powieść!) nie da się wykroić ubeckiego horroru, jak to uczynił Kąkolewski. Z powodzeniem natomiast tropić można w „Popiele i diamencie" maski homoseksualnego pożądania, a ściślej biorąc – sposób, w jaki dyskurs ideologiczny jest rozbijany przez dyskurs ciała (zob. G. Ritz: „Jerzy Andrzejewski. Maski pożądania i ich funkcja w poetyce powieści"). Raz jeszcze powtórzę: jedynym kryterium poprawności procedur przełamujących formułę *non consummatum* jest szacunek dla tekstu; oczywiście wolno ten tekst rozcinać, kawałkować, znęcać się nad nim, co jednak w niczym nie zmienia faktu, że jest to ciągle ten sam tekst (i nic poza nim!).

6.

Do (nie) opowiedzianej przez Andrzejewskiego historii ciała należy przede wszystkim opowieść o związkach i zależnościach, jakie zachodzą między „młodo-

[4] Mam na myśli burzę wywołaną książką Krzysztofa Kąkolewskiego „Diament znaleziony w popiele", (Warszawa 1995).

[5] Tegoż autora rozdz. Jerzy Andrzejewski (1909-1983). W tegoż: „Die polnische Prosa 1956-1976. Modellierung einer Entwicklung", Bern 1990; „Miazga Andrzejewskiego – powieść u progu postmoderny", przel. A. Kopacki. W zbiorze „Współczesna literatura polska lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Opinie, poglądy, prognozy literaturoznawców polskich i niemieckich", Lipsk 1993; „Solidarität und sexueller Aussenseiter" w zbiorze „Enttabuisierung. Essays zur russischen und polnischen Gegenwartsliteratur", pod red. J.-U. Petersa i G. Ritza, Bern 1995; Jerzy Andrzejewski, „Maski pożądania i ich funkcja w poetyce powieści", przel. A. Kopacki. Referat wygłoszony na konferencji „Pogranicza wyrażalności" (Szczecin, 1-3 czerwca 1997), maszynopis powielony.

ścią" i „starością". Ritz skłonny jest sądzić, iż „Wielkim osiągnięciem przedstawionej przez Andrzejewskiego [w „Miazdze" – przyp. D.N.] historii ciała jest to, że nie opowiada jej jako historii Erosa i Thanatosa, jak Bataille czy Witkacy, jako historii sadomasochistycznej. Opowiada ją jako historię starości i jej tęsknoty za cielesną młodością"[6]. Ta inspirująca uwaga skłoniła mnie do naszkicowania krótkiego rekonesansu: jak to jest z młodym i starym w prozie Andrzejewskiego? Zwłaszcza z tym drugim, gdyż z nadobecności postaci pięknego młodzieńca w utworach autora „Nocy" od dawna zdawano sobie sprawę. Artur Sandauer pisał o micie „młodzieńca w długich butach", o idealizacji męskiej urody i krzepy na kartach Popiołu diamentu[7], Jan Błoński, omawiając „Bramy raju", w postaci Jakuba z Cloyes widział „cudownego i zagadkowego efeba, jakiego łatwo znaleźć w homoseksualnej mitologii od Platona do Gide'a"[8].

Dlaczego warto o to pytać, a tym samym przełamywać formułę *non consummatum*? Powód jest zaskakująco prosty: temat młodego i starego, czy raczej starego wobec młodego, staje się tematem kultury – na tym gruncie konstytuuje się właśnie nowa perspektywa lektury. Nie chodzi przy tym o niezdrową czytelniczą ciekawość, gdyż ta jest zawsze wścibskim penetrowaniem rzeczywistości pozaliterackiej. Nie idzie więc o prywatną mitologię Andrzejewskiego, ponieważ ciekawość tego typu byłaby równoznaczna z podjęciem dawnych i skompromitowanych praktyk lekturowych, kiedy to uprzywilejowanie jakiegoś motywu (tu: postaci pięknego młodzieńca) brano za trop autobiografii. Nota bene negatywnego przykładu w tym zakresie dostarcza dawny (i zbankrutowany!) sposób traktowania arcywzorca, czyli „Śmierci w Wenecji" Tomasza Manna. Bo niby o co niedyskretnemu i naiwnemu czytelnikowi chodzi? Że ktoś tam potwierdził, że był Tadziem i że mamusia chłopca rzeczywiście musiała izolować synka od pewnego starszego pana[9]? Wolne żarty...

Temat młodego i starego w prozie autora „Nocy" nie jest co prawda rozwijany z takim rozmachem i zmysłem konstrukcji jak na przykład u Gombrowicza; na tle dzieł tej miary, co „Pornografia" (nie mówiąc o arcydziełach światowych formatu „Lolity" Nabokova) wypada dość blado. Aliści w opowiadaniach i powieściach Andrzejewskiego istnieje pewien niesamowity, ekscytujący motyw. Myślę tu o wampirycznym[10] stosunku starego do młodego. Oto stary wysysa świeżą krew młodego, należałoby powiedzieć – używa go, ba!, sama obecność tego ostatniego powoduje głębokie zmiany w postawie starca. Zmiany na ogół niekorzystne. Cóż, nawet w spojrzeniu na młodego brak łagodnej nostalgii, to spojrzenie niczego dobrego nie wróży, zresztą jakże wróżyć by mogło, skoro wszyscy znamy sens biblijnej opowieści o Zuzannie i starcach.

---

[6] G. Ritz, „Miazga Andrzejewskiego – powieść u progu postmoderny...", s. 146.

[7] Zob. Artur Sandauer, „Szkoła nierzeczywistości i jej uczeń" w tegoż „Pisma zebrane" t. 3. Warszawa 1985.

[8] Jan Błoński, „Portret artysty w latach wielkiej zmiany" w tegoż „Odmarsz", Kraków 1978, s. 253.

[9] „Zainteresowanie sławnego już wtedy autora „Buddenbrooków" Władziem [Tadziem z przesłyszenia – przyp. D.N.] było tak widoczne, że skłoniło matkę do otoczenia chłopca szczególną opieką" (A. Rogalski: „Tomasz Mann. Dzieje rozwoju osobowości twórczej", Warszawa 1975, s. 85).

[10] W innym znaczeniu o zwampiryzowaniu erotyczno-ideologicznym przedstawionym w „Bramach raju" pisała Maria Janion („Krucjata niewiniątek?". W tejże: „Wobec zła", Chotomów 1989).

Najpierw trzeba zapytać, gdzie ten temat się zawiązuje? Na pewno jest już w powieści „Ciemności kryją ziemię". To za sprawą obecności braciszka Diego – młodzieńca pozbawionego jakiegokolwiek znaczenia w hierarchii władzy, za to odznaczającego się szczególną żarliwością, atrybutem młodego wieku – stary Inkwizytor zdobywa się na wysiłek zupełnie niebywały, wysiłek ponownego przemyślenia świata i swojej w nim roli. Bez wątpienia wampirem jest Wiktor Staniecki z opowiadania „Podróż", utworu – jak twierdzi Tomasz Burek – niezwykle ważnego w dorobku Andrzejewskiego[11]; to tekst osobliwie datowany (1942-1958) i co ważne – dedykowany Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Jak zatem pamiętamy, to właśnie młodość (spersonalizowana w postaci Jacka) przymusiła Stanieckiego do aktywności, spowodowała, że ten, przynajmniej na chwilę, rozstał się ze swoją mizantropią i goryczą człowieka zmęczonego życiem. Oto co myśli stary przypatrując się młodemu (na marginesie – w chwili, gdy ten ze smakiem zajada, co oczywiście wolno wziąć za aluzyjne nawiązanie do przypływu refleksyjności Wiktora z „Panien z Wilka", wywołanego widokim jedzących kobiet): „Wszystko przez niego przepływa razem: nienawiść i radość, samotność i miłość, wszystko razem, jedno obok drugiego, to jest życie, to jest pełnia, to jest to, na co później już nie stać, później wpada się w doły jednej myśli i jednego uczucia, jestem stary, moim dołem jest obojętność i pogarda" (P, 162). Drobny łyk młodzieńczej krwi Jacka (w końcu to tylko krótka chwila wspólnej podróży) sprawi, że „obojętność i pogarda" ustępują. Przynajmniej w takim stopniu, w jakim możliwe jest samooszustwo. O tym ostatnim mówi otwarcie minoryta z „Bram raju", starzec wmieszany w pochód młodości: „ponieważ, sam pełen mrocznych pragnień, w tym tylko celu stanąłem naprzeciw pochodowi młodości, aby siebie w wyznaniach odnaleźć i siebie cudzymi pragnieniami jeszcze raz, i może już ostatni raz, przywołać do stanu radosnego oddania" (B, 193). Mnich wyraźnie używa młodości jako afrodyzjaku, ma nadzieję wprowadzić swoje ciało w radosne podniecenie (młodzi mają go odmłodzić), choć nie można mu jeszcze zarzucić cynizmu. Cyniczny jest dopiero narrator-bohater późniejszego o kilkanaście lat opowiadania „Ciemna gwiazda". Okazuje się bowiem, że młodość podlega prawom ekonomii – zużywa się. Stary pisarz, bohater „Ciemnej gwiazdy", myśli w pewnym miejscu o podglądanym przez siebie (starość jest przecież voyerystyczna!) małżeństwie: „Stasia [znam – przyp. D.N.] równo lat dziewiętnaście. Katarzynę – piętnaście. O nie! nie odmładza mnie ta przyjaźń" (C, 62).

[11] Zob. Tomasz Burek, „Pisarz, demony, publiczność – Jerzy Andrzejewski". W zbiorze: „Sporne postaci polskiej literatury współczesnej" pod. red. A. Brodzkiej. Warszawa 1994.

Prozę Jerzego Andrzejewskiego cytuję według następujących wydań:
B – „Bramy raju". W: „Trzy opowieści" Warszawa 1980.
C – „Ciemna gwiazda". W: „Nowe opowiadania", Warszawa 1980.
I – „Idzie skacząc po górach". W: „Trzy opowieści" dz. cyt.
J – „Już prawie nic". W: „Teraz na ciebie zagłada. Już prawie nic", Warszawa 1982.
M – „Miazga" Warszawa b.d. Warszawa 1972.
N – „Nikt", Warszawa 1983.
NA – „Notatki do autobiografii (1909-1924)". W: „Nowe opowiadania", dz. cyt.
NG – „Niby gaj". W: „Niby gaj i inne opowiadania", T. 2. Warszawa 1967.
P – „Podróż". W: „Niby gaj i inne opowiadania", T. 1. Warszawa 1967.
Z – „Z dnia na dzień. Dziennik literacki 1972-1979", T. 1. Warszawa 1988.

Oczywiście to, co do tej pory pozwoliłem sobie naszkicować, to tylko część rekonesansu; nie mam wątpliwości, że temat młody-stary w prozie Andrzejewskiego zasługuje na obszerną monografię. W ramach niniejszego szkicu pojawić się mogą wyłącznie krótkie sygnały. Ale nawet w tej przechadzce nie powinno zabraknąć innych przykładów dyskursu ciała (resp. sytuacji wampirycznych). Dyskurs ten tym intensywniej daje o sobie znać, im z późniejszymi tekstami Andrzejewskiego mam do czynienia, choćby w trzech późnych tekstach: „Teraz na ciebie zagłada", „Już prawie nic", „Nikt". W pierwszym z nich starość Adama, manifestująca się jako jego męska niemoc, jest koronnym argumentem „matki-miłośnicy" (Chawy) przedstawionym Kainowi; w „Już prawie nic" aktualizowana jest z kolei teza o młodości będącej zniewagą dla starości, zwłaszcza starości na progu śmierci. Umierający Eisberger powie: „Nigdy się nie mogłem pogodzić, że Charon przedstawiany był jako ponury starzec z siwą brodą (...). Zdaje się, że się myliłem (...). Odchodzić z obrazem młodzieńczości to nazbyt okrutne. Poniżenie zbyt upokarzające" (T, 108-109). Natomiast w ostatniej powieści Andrzejewskiego antynomia młodość-starość znalazła zaskakujące rozwiązanie: Odys – tak jak u Homera – się nie starzeje; jest to zresztą puenta pozornie zaskakująca. Andrzejewski bowiem proponuje to, co wielokrotnie proponowała kultura – tylko mit bierze w nawias biologię, jedynie mit zna odpowiedź na uwikłanie naszej świadomości w nasze ciało.

Jak wiemy, Jerzy Andrzejewski ma w swoim dorobku powieść poniekąd w całości poświęconą związkowi starości z młodością – to, oczywiście, „Idzie skacząc po górach". W recenzjach i komentarzach odnoszących się do tego utworu sporo napisano o zależności między libido i aktywnością twórczą. Wszelako funkcja 22-letniej Françoise Pilier, zjawiającej się dziwnym zrządzeniem losu u boku 78-letniego Antonia Ortiza („starego starucha"), została niezbyt szczęśliwie, jak sądzę, rozpoznana. Oto bowiem, za sprawą młodziutkiej Françoise, „stary cap" raz jeszcze zrywa się do lotu – tak przynajmniej głosi „oficjalny komunikat", tę wersję obwieszczają światu wścibskie media. Prymitywny, drobnomieszczański konsument plotek i sensacji, czytelnik „Paris-Match' a", chętnie wierzy temu „komunikatowi" – od tego, że sensacyjna wiadomość została w mig skonsumowana przez lud Paryża, zaczyna się przecież powieść Andrzejewskiego. Wkrótce jednak okaże się, że dialektyka ciała (zwłaszcza konflikt na linii młodość-starość) przedstawiona w „Skaczącym" jest bardziej złożona, a mademoiselle Pilier w owej skomplikowanej grze namiętności ma do odegrania w zasadzie trzecioplanową rolę, żeby nie powiedzieć – rolę rekwizytu. Françoise, jedyna postać w powieści pozbawiona własnej historii, tak naprawdę jest przedmiotem seksualnym, maską stłumionego pożądania Ortiza. Posiłkując się terminologią psychoanalityczną i co nieco przy tym upraszczając, można by tu chyba powiedzieć o zjawisku przeniesienia (wersja freudowska), względnie o substytucji obiektu zawsze pożądanego, ale nigdy nie osiąganego (wersja lacanowska). Chodzi bowiem o to, że impuls twórczy jest następstwem stłumienia, nie zaś spełnienia (nie bardzo wiadomo, dlaczego to elementarne prawo psychoanalizy zostało przemilczane w komentarzach dotyczących „Idzie skacząc po górach").

Wątkiem organizującym „Skaczącego" jest, odsłaniająca się powoli, historia młodzieńczej miłości homoseksualnej Ortiza i Giuseppe Barby. Ostatnia mobilizacja genialnego malarza stoi pod znakiem zerwania więzi z największą – zarazem sekretną – namiętnością w biografii Ortiza. Zerwaną łączność ze światem młodości miał przywrócić Alain Piot. W jego 22-letnim ciele nie udało się starcowi odnaleźć 22-letniego ciała Barby i ostatecznie starzec odwołał się do substytutu, czyli 22-letniego ciała Françoise. Nie wolno zatem ulegać pozorom: u Andrzejewskiego pojawienie się młodego przy starym zawsze jest czymś niepomyślnym. Owszem, młodego można używać (wampiryzować), lecz degradacji ciała, jakiej dokonał bezlitosny czas, nie da się w żaden sposób zakłamać. Zaiste, daremna walka z biologią! Modelowa sytuacja jest tedy następująca: „W zwierciadle ich młodzieńczych sylwetek jakże bezlitośnie odbijał się obraz jego własnej starości" (I, 287).

Innych przykładów tej prawidłowości dostarcza „Miazga". Dzięki „Intermedium", gdzie zgromadzono biogramy postaci zaludniających „Miazgę", z dużą dokładnością wiemy, jaka różnica wieku dzieli Adama Nagórskiego i Monikę Rychter (vel Nike, vel Ping-Pong) oraz Halinę Ferens-Czaplicką i Aima Immonena. Otóż nad związkami starego z młodą i starej z młodym ciąży nieusuwalna dwuznaczność: z jednej strony młodzi partnerzy seksualni są obiektami podlegającymi praktyce wampirycznej (młody odmładza), lecz z drugiej strony ich obecność jest jakby forpocztą śmierci. To ostatnie doświadczenie – jakże niepomyślne – wydaje się dominować; młody zawsze przynosi staremu oddech śmierci: „(...) chciała jeszcze raz wywołać pod powiekami twarz Aima taką, jaką ją była ujrzała przed półtora rokiem (...), lecz ten obraz, tak przez sekundę wyraźny i bliski, nagle się w niej rozpadł, słyszała, że Aimo wyszedł z wanny (...) i nagle ogarnął ją strach równie przerażający, jak ten, który przytłaczał ją nieraz, gdy w różnych, lecz zawsze najmniej oczekiwanych momentach dopadała ją znienacka myśl o śmierci, obraz własnego ciała nieruchomo, jak kukła, spoczywającego w trumnie" (M, 132; zob. też analogiczne doznanie Nagórskiego – „chłód starości" i Nike; M, 307).

Na koniec tej krótkiej przechadzki pozwalam sobie skreślić kilka zdań o jednym z najbardziej intrygujących utworów Jerzego Andrzejewskiego, tj. o opowiadaniu „Niby gaj" z 1958 roku. W kontekście rozważanego przez mnie problemu utwór ten można by wziąć za swoistą palinodię, prześmiewczy, autoironiczny gest pisarza. Otóż – pamiętamy – bohaterem „Niby gaju" jest – jak z miejsca zauważyli pierwsi czytelnicy – anty-Andrzejewski (Andrzejewski *à rebours*); to ktoś, kto mówi o sobie m.in. tak: „(...) bardzo mi odpowiada unormowany tryb życia. Nie palę, nie piję, nie jestem rozrzutny w lekkomyślny sposób, lecz i nie skąpy, pracuję regularnie osiem godzin na dobę, sen mam dobry i wcale się nie wstydzę, że nie zmieniam kochanek oraz poglądów" (NG, 302). Jak wiemy, największym utrapieniem, niebywałym wręcz nieszczęściem tego mężczyzny (jeśli nie starszego, to co najmniej w zaawansowanym wieku średnim) są... chłopcy, po prostu młodzi futboliści hałasujący pod oknem nadwrażliwego artysty. Młodość jest w tej narracji wartością akurat najmniej ze wszystkich pożądaną, stąd moja myśl o „Niby gaju" jako swoistej palinodii. Co więcej – młodość (chłopięcość) jest cyniczna

i zepsuta; wprawdzie to pisarz wymyśla kłamstwo o istnieniu rajskiego ptaka, nie jest więc bez winy, ale to Michał bezczelnie proponuje milczenie w zamian za pieniądze. Tak czy owak – wprost, aluzyjnie czy w formie palinodii – młodość w prozie Andrzejewskiego jest wartością dramatycznie pożądaną i jednocześnie kondycją nie do wytrzymania. Młodość to przekleństwo tego świata.

Dariusz Nowacki

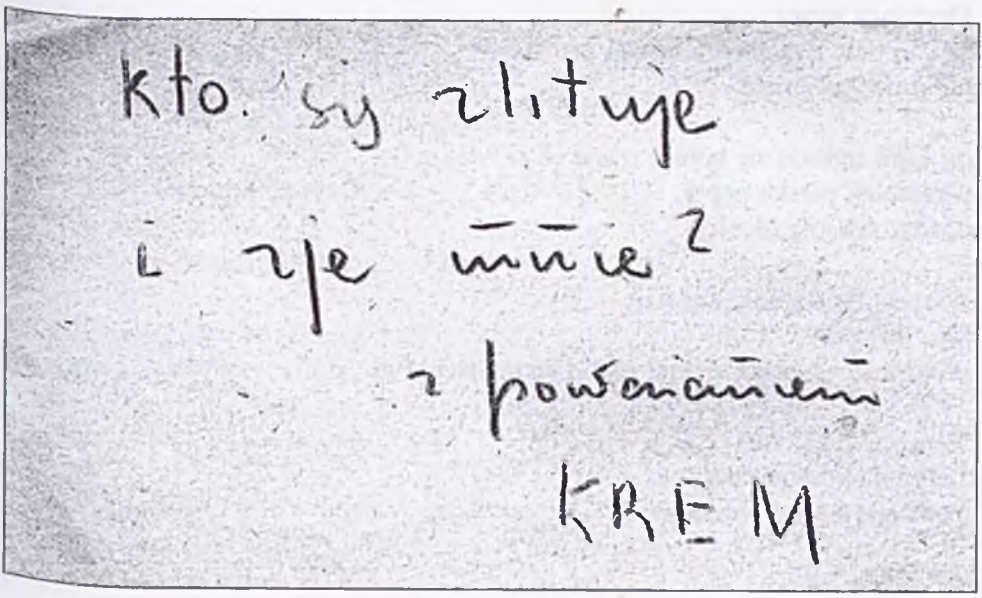

Rys. Jerzy Andrzejewski

Roberto Juarroz

Choroba

Fot. Archiwum „K.A."

W ciele są ścieżki pradawne
które zgłębia każdy przypływ bólu,
źródło po źródle.

Dryfująca wyspa,
za pan brat z tajnikami swego istnienia,
nie może uwierzyć;

od jutra ogłasza się koniec trasy?
Cielesność piasku pełna,
oprószona solą nicości?

Wszelka rana słodką się staje
jako dowód
drogi jeszcze wciąż znanej wśród ciemności krwi.

Mówimy do siebie:
zanim diabli mnie wezmą,
mam całą śmierć przed sobą.

* * *

Czasem wydaje się nam
że znaleźliśmy się w samym środku święta
A przecież
w środku święta nie ma nikogo
W środku święta jest pustka

Lecz w samym środku pustki jest inne święto.

***

Na górze
jest zamknięty pokój
do którego nikt nie ma prawa wstępu.

Być może w środku
są plany domu,
wykazy,
znak, którego szukamy.
A może tylko to jedno:
klucz do szczelnie zamkniętego pokoju.

Lecz choćbyśmy podjęli ryzyko
zdemolowania domu,
nocowania pod gołym niebem,
a może nigdzie,
ten pokój na górze
pozostanie zamknięty.

***

Kiedyś znajdę nareszcie takie słowo
co przeniknie twe łono i je zapłodni,
spocznie na twojej piersi
niczym dłoń równocześnie otwarta i zaciśnięta.

Znajdę takie słowo,
które wstrzyma twe ciało i wprawi je w obrót,
które zawrze w sobie twe ciało
i rozszerzy twe oczy jak bezchmurny bóg

i wypije twą ślinę
i rozchyli twe nogi.

Może nic nie usłyszysz
ani nie zrozumiesz.
To nie będzie potrzebne.
Ono będzie się toczyć w tobie niczym koło
przemierzając cię od krańca do krańca,
kobieto moja i nie moja,
i nie powstrzyma go nawet twoja śmierć.

---

* * *

Brzegi błękitu rozrywają kamień.

Motyle śpią,
ale nie śpią ich barwy.
Kochankowie zasnęli,
lecz ich miłość nie śpi.
Marginesy boga są zapisane.

Jak nałożyć rzeczy na rzeczy?
Jak zrównać życie z pamięcią życia?
Jak wyostrzyć moje oczy w twoich?

Geometria bytu nie zna przestrzeni.

* * *

Chodzę już tylko w starych butach.
Droga którą idę
zużywa je od pierwszego kroku.

Ale tylko te stare buty
nie lekceważą drogi,
i tylko one dojść mogą
tam, dokąd ona dochodzi.

Dalej
trzeba iść pieszo.

* * *

Mógłbym zapomnieć o czymś, co pisałem,
i powtórnie napisać to, tak samo.

Mógłbym zapomnieć o życiu, którym żyłem
i znów je przeżywać, tak samo.

Mógłbym zapomnieć o śmierci, którą jutro umrę,
i znów na nią umierać, tak samo.

Ale zawsze się trafi jakaś grudka światła,
która wkręci się w mechanizm powtórek.

Mógłbym zapomnieć o czymś, co kochałem,
lecz nie sposób znów to kochać tak samo.

Roberto Juarroz
Przełożyła Krystyna Rodowska

Od tłumacza

Roberto Juarroz (1925–1995), Argentyńczyk pochodzenia hiszpańskiego, a ściślej mówiąc – baskijskiego, jest niezwykłym i osobnym zjawiskiem w obrębie nie tylko współczesnej poezji argentyńskiej, lecz całej hiszpańskojęzycznej poezji XX wieku. Już sam tytuł jego dzieła, obejmującego trzynaście tomów wierszy zdumiewa swą prostotą, zdradzającą maksymalizm aspiracji i konsekwencję: *Poesía vertical,* czyli „Poezja pionowa", przy czym kolejne tomy oznaczone są tylko w kolejności ich powstawania cyframi rzymskimi: I, II, III, IV, itd. Wiersze, przeważnie bez tytułu, tworzą urywaną, i wciąż na nowo podejmowaną z różnych miejsc skupienia umysłu, monumentalnie zakrojoną medytację nad sensem rzeczy pojęć elementarnych i tajemnic niedocieczonych, choć co chwilę przebłyskujących na końcu języka. A język to przedziwnie ascetyczny, ogołocony z bujności obrazowania i wielosłowia – przyrodzonych cech poetyckiej hiszpańszczyzny, powołany jakby wyłącznie dla potrzeb ruchu myśli. Francuski poeta, a zarazem wydawca Juarroza we Francji, Michel Camus, nazwał argentyńskiego poetę „mistykiem w stanie dzikim, mistykiem – ateistą, posiadającym zmysł sacrum, niezależnie od wszelkiej teologii". Juarroz – jak sam powiada – pisze milczeniem, usiłując pochwycić lub przynajmniej zbliżyć się do utajonej prawdy o naturze rzeczywistości, tej, którą mistrz Eckart nazywał „trzecim słowem"; ani wypowiedzianym, ani pomyślanym, które nigdy nie może być wyrażone.

Po śmierci Juarroza, meksykański poeta i filozof kultury, Octavio Paz, nazwał go poetą „głębi i wysokości", poetą „studni i gwiazd", tym, który patrząc z dołu ku górze, i z góry w głąb, potrafi na mgnienie słowa zawrzeć w języku wizje ludzkiego ja i wszechświata, wzajemnie przeglądających się w sobie. W opinii Paza, już młodzieńcze wiersze Juarroza ujawniały „nieznane dotąd aspekty rzeczywistości, a każdy jego utwór roztaczał przed czytelnikiem zdumiewającą perspektywę poznawczą".

Pierwszym wydawcą Juarroza w Ameryce Łacińskiej był dom wydawniczy *Monte Avila* w Caracas, który w r. 1976 opublikował antologię jego wierszy wraz z tomem *Sexta Poesía vertical* („Szósta Poezja Wertykalna"). Juarroz był także niemal stałym gościem na łamach wydawanego w Meksyku przez Paza miesięcznika „Vuelta". Do trzeciego tomu *Poesía vertical* entuzjastyczną przedmowę napisał Julio Cortazar. W Argentynie, Roberto Juarroz przez długi czas był poetą niezauważonym i niedocenionym, dość powiedzieć, że dopiero siódmy tom *Poesía vertical* ukazał się w Buenos Aires! Stopniowo w latach osiemdziesiątych, poezja Juarroza zaczyna być znana i bardzo wysoko oceniana we Francji, za sprawą jego tłumaczy i komentatorów, których jest kilku: Roger Munier, Roger Caillois, wspomniany już Michel Camus i Silvia Baron de Supervielle. Także w Hiszpanii, madryckie wydawnictwo *Visor*, specjalizujące się w wydawaniu poezji, opublikowało obszerny wybór jego wierszy. Ukoronowaniem długoletniej pracy poety stało się wydanie, w roku 1995 dwóch opasłych tomów jego *Obras completas* („Dzieł zebranych") przez znane argentyńskie wydawnictwo Emecé. W r. 1997, a więc w dwa lata po

śmierci poety, ukazał się we Francji i w Argentynie czternasty tom *Poesía vertical,* w układzie i wyborze żony poety, profesor Laury Cerrato, która była przez całe lata jego pierwszym czytelnikiem i konsultantem.

W Polsce Roberto Juarroz jest wciąż poetą właściwie nieznanym. Po raz pierwszy usłyszałam o nim od przyjaciela, młodego meksykańskiego poety Gerardo Beltrana, mieszkającego od pięciu lat w Polsce, od którego dowiedziałam się także, że Juarroz należy do mistrzów nowej wrażliwości wśród poetów latynoamerykańskich. Moje przekłady jego wierszy drukowałam dotychczas w „Literaturze na Świecie", „Kresach", „Arkuszu" i „Odrze".

Krystyna Rodowska

„Świat to przypowieść…"

Z Zygmuntem Kubiakiem rozmawia Grzegorz Kalinowski

Grzegorz Kalinowski: *W „Brewiarzu Europejczyka", w jednym z esejów, pisze Pan: „Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego". Czy, Pańskim zdaniem, nie ma możliwości przebywania w tych sferach równocześnie? Czy może trzeba wyrzec się rzeczywistości, którą warunkuje współczesna cywilizacja?*

Zygmunt Kubiak: Ja się tej rzeczywistości nie wyrzekam. Oświadczenie, które Pan zacytował z mojej książki, nie było bezpodstawne, ale to tylko jedno z oświadczeń. Ono jest szczere, ale to nie znaczy, że stanowi moją pełną ocenę wszystkich problemów cywilizacji współczesnej. Znajduję w niej również prawdziwe wartości, jak się Pan domyśla.

– *Czy obłęd jest znakiem świata u schyłku drugiego tysiąclecia?*

– Obłęd jest znakiem świata zawsze. Element obłędu tkwi w świecie zawsze. Dochodzę dzisiaj do przekonania, co zresztą napisałem, że wszystkie epoki były straszne. Naszym obowiązkiem jest przeciwstawiać się grozie świata zawsze, niezależnie od tego, jakie oblicze ona nam ukazuje.

– *A czy nie uważa Pan jednak, że dzisiaj obłęd objawia się w szczególnej intensyfikacji?*

– Myślę, że nie. Wszystko, co mówi się o schyłkach wieków, że zawsze są straszne, jest dyskusyjne i mało precyzyjne, ponieważ trudno ustalić ich wyraziste cezury. Niedawno uczestniczyłem w dyskusji na ten temat. Otóż przypuszczam, że na przykład poprzedni schyłek wieku jest dosyć sporny, bo nie był to rok 1900 czy 1901. Jeżeli już, to początek I wojny światowej. A kto wie czy wiek XIX nie

---

Zygmunt Kubiak urodził się w roku 1929. Podczas wojny, jako trzynastoletni chłopiec, edukację czerpaną z tajnych kompletów gimnazjalnych sam rozszerzył o studia nad językiem i kulturą grecką, które prowadzi do dziś. W latach 1948 – 1952 był słuchaczem filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim, a jednocześnie uprawiał pracę literacką, publikując swoje teksty głównie w „Tygodniku Powszechnym". W roku 1952 władze uczelni zabroniły mu pozostania na uniwersytecie z powodu antykomunistycznej treści tego, co pisał. W 1953 – 1956 utrzymywał rodzinę, którą założył, i siebie z prac filologicznych, jakie prywatnie wykonywał dla znanego biblisty, ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego; między innymi było to tłumaczenie historycznego dzieła Józefa Flawiusza, obecnego dziś na rynku księgarskim. Po wznowieniu „Tygodnika Powszechnego" /pod koniec roku 1956/ pracował przez parę lat w jego redakcji. Potem, w następnych dziesięcioleciach totalitarnych, zdecydowawszy się na życie na marginesie społeczeństwa, zajmował się – w takiej mierze, w jakiej nękanie przez różne władze zostawiło mu trochę czasu na myślenie – pracą literacką. Wydał /oprócz licznych przekładów, dających podstawy utrzymania/ następujące książki: „Muza grecka" /PIW, 1960/, „Półmrok ludzkiego świata" /Znak, 1963/, „Muza rzymska" /PIW, 1963/, „Wędrówki po stuleciach" /Znak, 1969/, „Szkoła stylu" /PIW, 1972/, „Jak w zwierciadle" /Wydawnictwo ATK, 1985/, „Przestrzeń dzieł wiecznych" /Znak, 1993/, „Twarde dno snu" /Oficyna Literacka, 1993/, „Medytacje Janicjusza" /Fundacja Büchnera, 1993/, „Kawafis Aleksandryjczyk" /TenTen, 1995/, „Platona poezja i mądrość" / ISW, 1996/, „Brewiarz Europejczyka" /Biblioteka „Więzi", 1996/. Wśród przekładów: „Wyznania" św. Augustyna, „Dworzanki" Kochanowskiego, całość poezji Kawafisa, „Eneida" Wergiliusza /przekład uwieńczony Nagrodą Kulturalną „Solidarności" 1987 i włoską nagrodą „Canaletto" 1989/. Napisał nową „Mitologię Greków i Rzymian" dla Wydawnictwa „Świat Książki".

Zygmunt Kubiak *Fot. Hanna Kubiak*

skończył się w roku 1870, pierwszą eksplozją ruchu masowego – Komuną Paryską, która była zapowiedzią ruchów masowych XX wieku. Natomiast rok 1900 czy 1901 wcale nie jest jakąś cezurą szczególną. Przypuszczam, że podobnie jest i dzisiaj. Trochę mnie dziwi, że mówi się o roku 2000 jako przełomowym, w styczniu 2000 będzie jeszcze XX wiek. Dopiero w 2001 rozpocznie się wiek XXI. Nie przewiduję szczególnego przełomu. Być może upadek totalitaryzmu na naszym terenie jest ważną datą, ale to jest tylko lokalne dlatego, że na innych przestrzeniach świata nie można mówić o jakimś przełomie. Tak jak wiek XX zaczął się w 1870, a może w 1914, tak samo, kto wie, czy XXI nie zacznie się na przykład w 2020.

– *Pisze Pan: „Dziś stoję, stoimy wszyscy, sami wobec grozy świata." Co jest dla Pana grozą świata?*

– Przeraża nie tylko to, co dzieje się na przykład w Afryce czy Jugosławii, co możemy naocznie obserwować, ale także wszystko, co skrywa się pod tą grozą, tak bliską i namacalną, pozostając w sferze przewidywań. Otóż podejrzewam, że podział, który towarzyszy ludzkości zawsze, od początków jej istnienia, na ile możemy to wiedzieć, na biednych i bogatych, tak umownie powiadając, na tych, którzy są wyżej, i tych, co niżej, będzie o wiele bardziej radykalny niż był kiedykolwiek w przeszłości. Jedną z przyczyn są przeszczepy. Wielokrotnie już formułowałem tę myśl, że być może nadejdzie epoka, w której tylko bogatym przypadnie idealny przywilej – będą umierać spokojnie. Przecież milionerowi nie będą wyjmować żadnych organów, niczego nie będą wycinać, choćby jego mózg był zniszczony. Nie mam żadnych wątpliwości. Słyszę, że w niektórych krajach przyśpiesza się agonię, gdyż jej przedłużanie powoduje degenerację organów. Nie chodzi tylko o przeszczepy i nie chcę twierdzić, że to jedyny problem współczesnej ludzkości, ale to jeden z przebłysków czegoś, co mi się rysuje. Myślę, że wielu ludzi myśli podobnie, bo gdy mówię o tym w czasie spotkań z czytelnikami, zapada milczenie, widzę zamyślone twarze. Nie tylko przeszczepy są takim jaskrawym przykładem. Robi się też inne eksperymenty, które mogą przerażać. W każdym razie przy dzisiejszych możliwościach jeden człowiek żyje dzięki temu, że inny umarł. Tutaj groza patrzy w nasze oczy. Myślimy o biednych ludziach, o Turkach, którzy sprzedają jedną nerkę, o biednych dzieciach, które się podobno łapie w Ameryce Południowej jako materiał.

– *Jak to wszystko wygląda w konfrontacji z potwornościami II wojny światowej, na przykład z Oświęcimiem? Czy te metody nie są pójściem dalej? Oczywiście w innej skali, w innym wymiarze?*

– Bo ja wiem? To trudno powiedzieć. Oświęcim jest czymś niezmiernie strasznym. Gdyby wówczas istniała technika przeszczepów, hitlerowcy założyliby fabrykę. Podejrzewam, że niektórzy dzisiejsi dyktatorzy nie mają trudności w wynajdywaniu przeszczepów dla swojej ekipy. Zawsze znajdą się ludzie, którzy są wrogami ludu, i trzeba ich do tego użyć. Natomiast co by było, gdyby Hitler miał bombę atomową, czego podobno był bliski? Rodzaje grozy byłyby jeszcze nowe, inne. Tak więc nie można powiedzieć, że to jest pójście dalej. Oświęcim w swoim rodzaju jest nie do przewyższenia. To groza, dno grozy zupełnej. Natomiast dziś rysują się inne jej rodzaje, które nie są zupełnie jasne. Oświęcim to groza i ohyda, zupełne znieważenie wszystkich wartości ludzkich. Tak, o tym każdy dziś wie. Natomiast w sprawie przeszczepów nic nie jest takie jasne.

– *Grozą jest także niewiedza.*

– Tak. Bo to, co w hitleryzmie się stało, stało się niemal w środku Europy i na szczęście oni szybko upadli, więc potem wszystko było wiadome ludzkości. Gdyby dalej rządzili, posadziliby tam drzewka i trwałaby tylko legenda, że może coś takiego było. Nie chcę być Kasandrą, to jest bardzo smutna rola być Kasandrą, i może wszystko wpłynie na inne wody. Natomiast to, co jest grozą świata, której się boję, sformułowałbym tak: towarzyszący stale ludzkości podział na biedniejszych i bogatszych może być w przyszłości o wiele radykalniejszy i o wiele straszniejszy, niż był kiedykolwiek przedtem.

– *Czy Pańskim zdaniem literatura, szczególnie ta, którą Pan tłumaczy np. poezja Horacego, „Eneida", poezja angielska, Kawafis, Seferis, najpełniej wyraziła prawdę o człowieku?*

– Nie myślę, żeby ta literatura, kiedy mówi Pan na przykład o wieku XX, była ważniejsza niż dzieła dawnych epok – nie wymieniony przez Pana Szekspir czy literatura grecka. Po prostu wszystkie te przykłady, które Pan wskazał należą do wielkiego uniwersum, wielkiego dziedzictwa literatury ludzkości. Jeżeli chodzi o wielką literaturę, o poezję, niczego nie tłumaczę poza arcydziełami. Przetłumaczyłem w życiu trochę książek popularnonaukowych, traktując to po prostu jako uczciwą pracę zarobkową. Natomiast wtedy, gdy podejmuję pełną artystyczną pracę przekładową, wybieram tylko arcydzieła. Te wszystkie przykłady, które Pan wymienił, należą do największego dziedzictwa ludzkości, ale to tylko jego część. Istnieją takie literatury, których nie dotknąłem, np. hiszpańska czy niemiecka. A przecież są w nich dzieła wielkie.

– *Myśli Pan o nowym tłumaczeniu tragedii greckiej i Homera.*

– Tak. Jak najbardziej. Poza polską, ojczystą literaturą, moje ulubione to klasyczna literatura grecko – łacińska i z drugiej strony angielska. Moje ulubione sfery. Bardzo wysoko cenię zresztą i francuską, ale niewiele jej tłumaczyłem. Trochę wierszy Mallarmégo i nielicznych innych autorów. Natomiast obecnie na moim horyzoncie głównie rysują się wielkie prace tłumaczeniowe z klasycznej literatury

greckiej. Trafnie wymienił Pan Homera. Wielkim moim marzeniem jest przetłumaczyć „Iliadę". Uważam, że istnieje potrzeba nowego jej przekładu.

– *Jak ocenia Pan przekłady Dmochowskiego, Siemieńskiego czy innych autorów?*

– Bardzo dużo czasu poświęciłem opracowaniu tłumaczeń Dmochowskiego i Siemieńskiego w serii Biblioteka Mundi. Cenię te przekłady, ale głównie jako poematy wyrażające pewien okres rozwoju sztuki literackiej w moim kraju. To dla mnie element dobytku polskiego i polskiego obcowania z eposami Homera. Nie są jeszcze tłumaczeniami w pełni odtwarzającymi eposy homeryckie tak, jak je rozumiem. W większym stopniu Siemieński odtwarza „Odyseję". Jest nie tylko czasowo nam bliższy, ale po prostu w pewnym głębokim sensie wierniejszy. Przekład Dmochowskiego to poemat niezwykły, wielki, jeden z fundamentów romantyzmu, bo na nim się kształcili nasi wielcy romantycy. Oni wszyscy obcowali z „Iliadą" Dmochowskiego od dzieciństwa. Pozostanie na zawsze w literaturze polskiej jako wielki XVIII-wieczny poemat polski osnuty na tradycji Homera. Drugim, równie wielkim zadaniem, o którym stale myślę, a teraz myślę coraz bardziej, jest tłumaczenie tragedii greckiej, które utorowałoby też jej drogę do teatru. W ogóle odtworzenie tej bardzo wielkiej sztuki, takiej właśnie, z jaką obcuję i u Homera, gdzie zawarłbym moje rozumienie. Jak ja to słyszę w tragediach greckich, gdy czytam je w oryginalne, będę się starał przedstawić w mojej mowie ojczystej. Będą to przekłady odmienne od dotychczas istniejących. Ich fragmenty już daję w różnych ustępach „Mitologii" i są publikowane w pismach. Myślę, że rozpocznę od wielkich sztuk. Być może nawet od Eurypidesa, wcześniej niż Sofoklesa, choć tego drugiego oczywiście nie zabraknie. Na pewno „Antygona", „Król Edyp" i „Edyp w Kolonos". Z Eurypidesa – „Hipolitos", „Fenicjanki", obie „Ifigenie", w Aulidzie i w Taurydzie, no i inne utwory. A także Ajschylos – „Prometeusz", „Oresteja". Wielkim moim marzniem jest odtworzenie tragedii greckiej. Niedawno o tym mówiłem w dyskusji, jaka się odbyła w redakcji pisma „Teatr". Wspomniałem wtedy, że tragedia grecka wcale nie przeminęła. To nie jest sztuka, która stała się nieaktualna. Jest tak wielka, wymaga tak wysokiego stanu ducha, takiego przygotowania, że oczywiście trudno jest do niej się zbliżyć. Nazywam ją milczącą formą. To moje określenie teatru greckiego. Milcząca forma wzniesiona ponad różne gry czysto emocjonalne, w które mamy skłonność strącać tragedię grecką. Pojmujemy ją często jako widowisko namiętne w naszym rozumieniu, podczas gdy jest to struktura, w pewnym artystycznym sensie, zimna. To po prostu nieruchomość, tak milcząca jak rzeźby, jak fryzy Fidiaszowe Partenonu. I ten krzyk, jaki w tym niewątpliwie słyszę. Pamiętam, często to wspominam, że gdy widziałem wyjątkowo dobre przedstawienie w teatrze nowogreckim, sztukę Ajschylosa „Persowie", król perski wbiegając na scenę i krzycząc: „moja klęska", trzymał się za brzuch. Nie za serce, tylko za brzuch. To bardzo znamienne dla tej dotykalności fizycznej. Jemu po prostu było mdło z poczucia klęski, z powodu upokorzenia, dlatego nie za serce się trzymał, ale za brzuch. Otóż cała namiętność, cała fizyczna konkretność tragedii greckiej nie zmienia faktu, że jest to sztuka, będę się starał to w swoich przekładach odtworzyć, tak zimna, tak nieruchoma jak rzeźby Partenonu. Wielkość

sztuki greckiej polega na tym, że będąc pełna więcej niż krzyku, pełna namiętności autentycznych, jest jednocześnie nieruchoma, kamienna. Ulubioną sztuką Greków była rzeźba. Otóż tego przeważnie nie rozumiemy. Odtwarzając tragedię antyczną, robimy z niej namiętne widowisko pełne krzyku współczesnego. To nie tak.

– *Czy jesteśmy gotowi jako odbiorcy na tę milczącą formę?*

– Myślę, że do tego trzeba się po prostu przygotować. Wielki myśliciel grecki, neoplatoński, Salustios, twierdził, że po to, żeby rozumieć mity trzeba od dzieciństwa być do tego cierpliwie przygotowywanym. Myślę, że taka potrzeba istnieje i dziś. Trzeba się po prostu nauczyć, trzeba wychować siebie, publiczność, czytelników do rozumienia tej wielkiej sztuki. Gdy jesteśmy w wielkim muzeum greckim, widzimy, jak wchodzą jacyś barbarzyńcy, którzy wrzeszczą i nic na nich nie działają te wspaniałe rzeźby antyczne. Nagle dostrzegamy człowieka, który wydaje się całkowicie zwyczajnym, i on jak zaklęty stoi i wpatruje się. Dla takich ludzi jak ten, trzeba właśnie pracować.

– *Czy w literaturze współczesnej możliwa jest tragedia?*

– Na pewno tak. Kiedyś Andrzej Kijowski, znakomity krytyk, podejmował ten problem. Bronił pojęcia tragedii i pamiętam jego sformułowanie, że tragedia jest jedyną sztuką naprawdę moralną.

– *Według niektórych koncepcji tragedię warunkuje transcendencja. Dziś często mówi się o pustej transcendencji.*

– Społeczeństwo polskie, zresztą nie tylko, także europejskie, jest dosyć zagadkowe. Gdyby mnie Pan spytał do jakiego stopnia jest ono otwarte na metafizykę, nie umiałbym odpowiedzieć. Wszyscy jesteśmy zdumieni, bo to przekroczyło nasze oczekiwania, obecnością tłumów na spotkaniach z Papieżem. Miliony ludzi. Ale do jakiego stopnia jest to wyrazem oczekiwania religijnego czy doświadczenia religijnego, nie umiem powiedzieć. Czy to jest tylko społeczno-narodowe? Czy za tym wszystkim, co mówili górale, istnieje jakieś oczekiwanie religijne? Czy to tylko deklaracja, nie mówię, że nieszczera, ale tylko deklaracja – cywilizacyjna, obyczajowa? Dla mnie metafizyczna treść kultury współczesnej jest zagadkowa. Jeżeli mam się dzielić domysłami, przypuszczam, a mówię to na podstawie tego, co zaobserwowałem podczas spotkań z młodymi ludźmi, ze studentami, że narasta nowa fala zainteresowań metafizycznych. Na razie przyjmuje takie formy jak New Age. Być może narasta coś takiego, ale nie jestem pewien.

– *Zainteresowanie filozofią Nietzschego, Heideggera.*

– Bardzo możliwe. Być może to jakaś forpoczta nowej metafizyki, nowych zainteresowań metafizycznych. Nie jestem jednak pewien, czy to jest związane z problemem tragedii. Ona bowiem może być również agnostyczna. Ostatecznie teatr Sartre'a jest też teatrem tragicznym.

– *Teatr Becketta.*

– Tak. Właśnie. Więc to nie musi się wiązać z powrotem metafizyki. Niekoniecznie tragedia łączy się z koniecznością obecności transcendencji.

– *Charakteryzując klasyczną kulturę grecką wymienił Pan jej trzy podstawowe cechy: rozpoznanie roli siły jako czynnika rozstrzygającego w życiu, świadomość niero-*

zerwalności wewnętrznych antynomii życia, oczyszczanie „katharsis" – piękno zamiast pociechy. W twórczości jakich współczesnych pisarzy odnajduje Pan te cechy?

– To rzeczywiście cechy, które rozpoznałem w literaturze greckiej w tak długim moim obcowaniu z nią. Myślę, że są to cechy wszelkiej wielkiej literatury. Mógłbym odpowiedzieć na pytanie w taki sposób, że u pisarzy XX wieku, którzy są po prostu wielcy, te elementy muszą być. Na przykład pisarz, który mi się nasuwa i jest moim ulubionym – Lampedusa. Podobnie w niektórych utworach Joyce'a i innych autorów współczesnych, których bardzo cenię. Te cechy są rozsiane w całej wielkiej literaturze. Pan bardzo trafnie streścił to, co w moich tekstach napisałem. Dodałbym tylko, że trzecią cechę, jej rozumienie, trochę skorygowałem. Zakwestionowałbym moje własne sformułowanie – „zamiast pociechy". Niekoniecznie. Być może nastrój, w jakim byłem wtedy, gdy to formułowałem, zanadto zabarwił to pewnego rodzaju pesymizmem. Literatura optymistyczna nie musi być płytsza. O ile pamiętam, w monografii o Kawafisie nie mówię już o pięknie „zamiast pociechy". Tam mówię o czystym pięknie, o słodyczy, pewnym rodzaju słodyczy. Nazywam to słodyczą śródziemnomorską. Otóż występuje ona w całej wielkiej literaturze, a towarzyszy jej stan smutku czasem większego lub mniejszego, a czasem nawet nie towarzyszy. To jest to, co Włosi mówią o dniu pięknym, *giorno dolce*. Ten rodzaj słodyczy obecny jest u wielu poetów nowogreckich – u Kawafisa i Seferisa. Ich najbardziej cenię, jeśli chodzi o literaturę XX wieku. Ale również u młodych poetów, którzy są bardzo interesujący, a u nas zupełnie nieznani. Także w poezji włoskiej, u Ungaretiego, Montalego, Quasimoda, też jest śródziemnomorska słodycz. Myślę, że cechy które Pan wymienił, są rozsiane w całej wielkiej literaturze.

– *Czy dziedzictwo antyku, Pan już o tym wspomniał, jest dziś żywe czy po prostu umiera?*

– Myślę, że na pewno nie umiera. Zakwestionowałem już pojęcie schyłku XX wieku. Myślę, że jest względne. Ten kalendarz nie musi obowiązywać. Ale niezależnie nawet od tego, czy cezura jest trafna czy nietrafna, myślę że dziedzictwo kultury antycznej bynajmniej nie umiera. To jest po prostu bardzo wielka sztuka, antyczna, wydestylowana z wieków. Ona trwa zawsze, tylko przygotować się do niej trzeba. Nawet jeśli dzisiaj, w porównaniu do jakichś drugorzędnych zjawisk artystycznych, jest przedmiotem małego zainteresowania. Po prostu wynika to z tego, że wielka kultura jest zawsze trudna, jest elitarna. Byleśmy tylko wyjęli słowo „elitarna" z niesprawiedliwych kryteriów klasowych, że są jacyś ludzie skazani, żeby być niższą warstwą społeczną, i uważa się, że kultura nie jest dla nich – jest to krzywdzące pojmowanie elitaryzmu, które musimy zwalczać. Jeżeli elitaryzm pojmujemy jako zjawisko czysto duchowe, to wielka kultura jest trudna i trzeba do niej dojrzewać. I tak zawsze było. Pragnę przypomnieć, że w czasach renesansu wielkie książki, o których mówimy, że rządziły Europą, ukazywały się w nakładzie 500. egzemplarzy. Dzisiaj kiedy pytam o nakłady książek z dziedziny hellenistyki na uniwersytetach amerykańskich, koledzy amerykańscy mówią mi – 1000 egzemplarzy. To znaczy, że nie starcza ich nawet na wszystkie campusy. Prawdziwa kul-

tura jest zawsze elitarna, a mimo to gdzieś tam, na szczycie ludzkości, istnieje i promienie jej sięgają do całego społeczeństwa. Tak było zawsze i tak jest.

– *Charakteryzując literaturę polską XX-lecia międzywojennego pisał Pan: „Literatura pierwszej połowy XX wieku jest dalszym ciągiem romantyzmu, a zarazem jego zaprzeczeniem: próbą wypełnienia tego pragnienia obiektywizacji, reklasycyzacji, rebellenizacji sztuki, jakie niektórzy romantycy odczuli pośród swojego smutku, w doświadczeniu ciemności umysłu, przeżytym w samym jądrze ich wielkiej poezji". Jak to wygląda w polskiej literaturze XX wieku?*

– Proszę Pana, bardzo się cieszę, że Pan wraca do tej sprawy i że zadaje mi takie pytanie, ponieważ dotyka ono rzeczy bardzo ważnej. Ogromnie cenię romantyzm, literaturę romantyczną. Zajmowałem się romantyzmem angielskim, wydałem tom „Twarde dno snu", ale również interesuje mnie romantyzm w innych literaturach, z których nie robiłem przekładów. No i polski romantyzm, który jest największą epoką, jaką mieliśmy, z wielką czwórką, bo Norwida trzeba dołączyć do trzech wieszczów. Następnie dalszy ciąg romantyzmu, po epizodzie, zresztą znakomitej, literatury pozytywistycznej. Z wielkimi pisarzami, bo Prusa ogromnie cenię. Bardzo lubię takich poetów jak Konopnicka, Lenartowicz. Mam szczególną czułość do Konopnickiej, ze względów społecznych. Jej postawa jest czymś, z czym głęboko solidaryzuję się. A potem przychodzi Młoda Polska, którą niezwykle wysoko cenię. Kasprowicz, Staff, Wyspiański, który jest tak bardzo grecki. Przy wszystkich wadach tej literatury. Wszystko, co ludzie robią, jest ułomne. To nie jest tak dobra literatura, jak nasz romantyzm. Wyspiańskiemu coś się łamie, lecz wiele osiągnął, nie tylko we wspaniałym „Weselu", ale i w dramatach greckich. Bardzo wysoko cenię takie dramaty jak „Powrót Odysa", „Protesilas i Laodamia", „Meleager". To wszystko ma przedłużenie, do pewnego stopnia, w wielkiej literaturze, jaką jest XX-lecie międzywojenne. Zastanówmy się, co to jest 20 lat! Cofnijmy się do 1977 roku. To w ogóle jest chwilka. Tu się u nas historycznie dużo stało, natomiast dla literatury to jest chwilka. Jakże wspaniałe dzieła powstały w ciągu XX-lecia. Jacyż byli znakomici poeci i prozaicy. Na razie dorobek tej epoki, moim zdaniem, nie jest w pełni doceniony. Tak niedokładnie widzimy tę literaturę. Od siebie mogę powiedzieć, że ją bardzo cenię. Moim ulubionym poetą jest Lechoń. Także Leśmian, ale to poeta innego wymiaru, z innej strefy metafizycznej. Ogromnie cenię Lechonia, jest poetą, z którym stale obcuję. Lecz właściwie wszystkich skamandrytów bardzo lubię.

– *A poezję Awangardy?*

– Awangardę mniej, ponieważ mniej ją rozumiem. Wydaje mi się literaturą, z której dopiero powstałyby może jakieś ważne wartości. Ale to zostało nagle zamknięte. Awangarda dla mnie jest formacją poetycką, w której ktoś sobie wymyślił, że ma robić literaturę, i według programu ex post to czyni. Najlepsi poeci, jacy potem nastali, jak przede wszystkim Baczyński, ale również Gajcy, gdy w tej tragicznej epoce, tuż przed Powstaniem Warszawskim, tworzą wiersze, nie nawiązują do Awangardy. Nawiązują jedynie, poprzez XX-lecie międzywojenne, do Młodej Polski i do romantyzmu. Twórczość Baczyńskiego jest bardzo wyraźnie odzyska-

niem polskiej tradycji romantycznej. Najtrafniej powiedziano o nim jako o nowym Słowackim. Po wojnie nastąpiła literatura polska, w której niewątpliwie powstawały też dzieła wartościowe. Niekiedy. Ale to jest literatura, o której niechętnie mówię dlatego, że to literatura poddana terrorowi. Bardzo trudno obecnie rozpoznać, czy to było załamanie intelektualne, czy raczej tylko małoduszność ludzi, którzy ulegli terrorowi. Pojawia się dużo problemów i wolę o tym nie mówić. Nie znajduję tu zaś aż tak wielu utworów, do których bym chciał wracać. Dla mnie literatura polska, którą tak naprawdę, lubię, kończy się na twórczości tragicznych poetów Powstania Warszawskiego.

– *Można pisać o bólu, cierpieniu? „Trwoga odbiera nam mowę" – twierdzi Heidegger. A więc nie można mówić wprost o tym, co niewyrażalne. Pisał Pan o tym, charakteryzując literaturę grecką.*

– Tak. Zgadzam się z tym. Tylko grafomanii mniemają, że wszystko można wypowiedzieć. Są rzeczy, o których można tylko milczeć, albo wyrażać je w sposób właśnie taki, w jaki wielka sztuka może się nad nimi pochylić. To, co mówiłem o milczącej formie u Homera i tragedii greckiej, to właśnie to. Ból, którego nie można wykrzyczeć wprost, bo on wtedy przestaje być bólem i nie rozpoznamy go. Można z tego zrobić jakieś widowisko, które jednak niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Ale prawdziwie wyrazić te treści można przez to, co nazywam milczącą formą. Właśnie tragedia grecka jest przykładem takiej zimnej, w dobrym sensie, zimnej sztuki, która potrafi ukazać i upadek Troi, i wszystkie niedole ludzkie tak, że my wiemy jaka jest waga, jaka jest groza tej niedoli, nie łamiąc naszego milczenia.

– *Platon pokazał, że istnieje niewyrażalne. W jego jaskini więźniowie przykuci łańcuchami siedzą nieruchomo i wpatrują się w cienie na ścianie. W jaskini jest cisza. Nikt się nie odzywa. Pamiętam w „Tygodniku Powszechnym" Pański tekst „Głosy z jaskini".*

– Tak, ale głosy tych, co wyszli z jaskini.

– *To, co najistotniejsze rozgrywa się w ciszy i milczeniu?*

– Odbywa się w ciszy i milczeniu, tak. Głosy z jaskini zabrzmiały już po wyjściu. To „z" miało znaczenie – po wyjściu. Głosy z jaskini, głosy ludzi, którzy z niej wyszli.

– *Czy pozór, jakim może być ogląd tego świata, nie kryje czegoś zgoła odmiennego?*

– Myślę, że tak. Właściwie jestem tego pewien. „Świat to przypowieść", jak mówi John Keats, którą my rozszyfrowujemy. Pismo Święte, wielka literatura, tradycja grecka też to mówi. Świat to przypowieść, którą mamy cierpliwie rozszyfrowywać, a nasze życie to pewien rodzaj budzenia się, budzenia się z różnych złudzeń, niewiedzy. Całkowicie zgadzam się. Pod tymi pozorami świata, które mnie otaczają, kryje się sens, który częściowo pojąłem długą cierpliwą pracą i namysłem, ale jeszcze wiele niespodzianek mnie czeka.

Warszawa, 3 lipca 1997.

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska

Fot. Dariusz Zakrzewski

Magdalena

ino suki
w mleczność wychudzoną
przy twoim umieraniu
a cherubiny miłość
wyiskują
w lustrach przywidzone
skrzydlate

biczowany
gdy wołasz

o przeklęte
Jeruzalem
boleści pełne
w moim łonie
poroń świętość
prorokom będę skubać
brody
pokornie
wiarołomna
od ziemi
do nieba

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, ur. 1946 r. w Mikołowie. Debiutowała w 1972 r. w „Odrze". Publikowała m.in. w „Życiu Literackim", „Tygodniku Kulturalnym", „Regionach". Autorka tomiku wierszy p.t. „Do żywocie" (Kraków, 1994). Mieszka w Mikołowie. (red.)

* * *

lato
gorące pszczoły
w łubinach

w otwartych oknach
kobiety
czterdziestoletnie

trzymają
w rękach twarze
siadają motyle

lato

susza
w mojej krwi

* * *

na powiekach
trzymasz
kawałki lodu

zimno mi

jestem Gerda

kocham cię

moje usta
przymarzają
do powietrza

* * *

Amazonki
po chemioterapii

czekają
całe noce

gdy róże świtu
krwawią
za oknem
anioł
zimny aż do kości
bierze je w skrzydła

zasypiają

kobiety
jak Sahary
na których klęczą
spragnione
wielbłądy

* * *

na dłoni popielate
kapsułki hemineuryny
nie chcę wracać
chcę zostać
coraz większa źrenica
tylko źrenice

nie będzie bólu
ani śmierci

królestwo nadchodzi
coraz bliżej
nie możesz być bliżej

szpitalne alejki
są ciche o świcie
jak niebo

szaleńcy przechadzają się
po własnym mózgu

nie wchodź tam
wracaj
umieram bez miłości
nie wybaczę ci
tej śmierci

***

zapach kiszonej kapusty
zmywacza do paznokci

pies gryzie gałązkę drzewa
boli
pijesz przesłodzoną kawę
jesteś gdzie nie jesteś

opowiadasz
siedmiogłowe
delirium
boisz się
aż nienawidzisz

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska

Aleksander Jurewicz

Ciążenie i wiatr

Fot. Archiwum „K.A."

„Poezja jest prochem i popiołem. I pięknie jest, żeby tym była. Przestała być dla mnie nieśmiertelna, choć czasem zdarza się jej być wieczną, przez przypadek czy cud, co oznacza to samo. Poeta nie jest świętym, ani apostołem. Jest to człowiek, który ma potrzebę pisania wierszy i znajduje przyjemność w tajemniczym trudzie zaspokajania tej potrzeby niezaspokojenia. Raz zaspokojony, niezaspokojony, pozostawia poemat. Za sobą. I idzie dalej. Czasami dzięki kontroli intelektu przekształca tę potrzebę w narzędzie badania, jasnowidzenia lub poznania; posługuje się nią w swoim poszukiwaniu. Bo wszelki naprawdę żyjący człowiek szuka, a potrzeba (jak cierpienie, a nawet śmierć, którą potrzeba nosi w sobie w zarodku) może być skutecznym narzędziem poszukiwania – a rzeczą poszukiwaną jest wieczność. Ale nie wieczność dzieła. Pozwalamy mu umrzeć. Nie skąpimy ani naszej myśli, ani naszych obrazów. Z największej doskonałości świata zostaje czasem tylko jeden wiersz. Ale trzeba go napisać i trzeba zagubić ich bardzo wiele, aby jeden został w ludzkiej pamięci, w pamięci jednego człowieka. Niektórzy ludzie spędzają życie na zachowaniu *in petto* małych białych lub czarnych myśli, bojąc się, aby im ich nie wykradziono, inni na robieniu sobie kieszonkowych wydań z myśli innych ludzi. Ale gdy raz zdecydowaliśmy się, by nie posiadać żadnej myśli dla siebie, wszystkie, które do nas przychodzą, i obrazy, i pieśni, stanowią część wspólnej gleby i cóż z tego, że nam je ukradną, skoro i tak należą one do wszystkich, i przyjdą jeszcze inne, nieograniczone i źródlane" – wielokrotnie wracam do esejów Pierre Emmanuela „Twarz człowieka" i wczytuję się, a raczej wsłuchuję, w zamykające książkę zdania. Towarzyszyły mi one na początku pisania, są pomocne i teraz, może nawet bardziej. Czytam je jakby wciąż na nowo. Czytam, kiedy papier jest posłuszny ręce i zostaje na nim ścieg zapisanych słów, i gdy biała kartka już któryś dzień odstrasza swoją bielą, a jeżeli już coś na niej pozostaje, to ślad spoconej dłoni.

Jeżeli pozostaję po stronie pisania i nie poddaję się zwątpieniu, które dobrze opanowało sztukę kuszenia, to może dlatego, by nie zdradzić pewnego chłopca, który dopiero co rozglądając się po ziemi i wokół siebie, oprócz paru pytań typo-

Aleksander Jurewicz, ur. 1952 roku w Lidzie. Poeta, prozaik. Opublikował zbiory wierszy: „Sen, który na pewno nie był miłością", „Po drugiej stronie", „Nie strzelać do Beatlesów", „Jak gołębie gnane burzą…", „Dopóki jeszcze i inne wiersze" i powieści: „W środku nocy", „LIDA", za którą otrzymał nagrodę Czesława Miłosza oraz Nagrodę Fundacji Marii i Jerzego Kunce wiczów. Mieszka w Gdańsku. (red.)

wych dla dziecka: „co jest za horyzontem?", „gdzie jest niebo, a gdzie piekło" pytał także, wiedziony widocznie jakimś podszeptem przyszłości: „jak zostaje się pisarzem?". Odpowiedzi nikt wtedy nie potrafił mu udzielić. Nawet „Alchemia słowa" Jana Parandowskiego, którą trochę później przeczytał i zaczął ręcznie przepisywać do zeszytu, bo bardzo chciał mieć tę książkę na własność. Być może taka odpowiedź w ogóle nie istnieje. Słowo „pisarz" brzmiało w ustach i wyobraźni chłopca jak szyfr do rozwiązania Tajemnicy. Dlaczego chłopiec zadał sobie takie i to właśnie pytanie, a raczej coś w nim postawiło to pytanie? Przecież pasjonował się detektywami i archeologią, a jeszcze później chemią. Może z tego połączenia – poszukiwacza i odkrywcy powstaje człowiek poświęcający się pisaniu: archeolog i tropiciel pamięci. Tak może wytłumaczyłbym chłopcu, byłaby to jedna z tysiąca możliwych odpowiedzi, choć nie wiem, czy wystarczająco dla niego zrozumiała. A już zupełnie nie wiem, czy zrozumiałby, że można napisać kilka książek i jeszcze nie być pisarzem, że można być tylko niewolnikiem ołówka i papieru, a także więźniem czasu, w którym się żyje. Bo czymże jest to nieustanne zasiadanie do kartki papieru, to mozolne wspinanie się na papierową górę, to poszukiwanie słów, które mogłyby zatrzymać czas? Wielu odpowiadało na to pytanie i najczęściej ich odpowiedzi były obwarowane niepewnością, czy rzeczywiście wiedzą. Tak naprawdę tego nigdy nie będzie się wiedziało. To pytanie nie jest mottem każdego przebudzenia czy każdego zasypiania. Choć czasami to pytanie robi z poduszki kamień o czwartej nad ranem lub w chwilach, kiedy zdaje się, że już nic więcej nie napiszemy.

Właśnie. Co chcemy powiedzieć lub o czym nie chcemy milczeć? Czy chodzi tylko o zostawienie śladu po wspólnym przebywaniu na jednej planecie? Często czytałem lub słyszałem o zostawianiu śladu po sobie i wydawało mi się to za proste i za pretensjonalne. Nie wiem dlaczego od razu widziałem ślady na śniegu, które łatwo zawieje kolejna zamieć lub stopi słońce. A jeżeli ślady, czyli słowa, to jakie? I jaki z tych słów ułożony zapis naszej epoki?

Na początku zdawało się nam – moim przyjaciołom i mnie – że każdy mur jest drzwiami, a nasze wiersze mają prawie siłę dynamitu. Taka wiara była nam wtedy potrzebna. W dodatku byliśmy chorzy na brak biografii, a jeszcze nie mogliśmy wiedzieć, że pisanie i zostanie przy pisaniu, to nie kwestia biografii, ale losu. Dzisiaj pamiętam, że o coś nam wtedy chodziło – o trochę światła w szarości, o kilka kroków po słonecznej stronie ulicy. Nam, wtedy dwudziestokilkuletnim, chodzącym ulicami Gdańska, którymi idziemy dzisiaj już czterdziestoletni, już niemłodzi, posiwiali i przygarbieni. Chociaż nadal w tym samym miejscu – na rogu Grunwaldzkiej i Jaśkowej Doliny – stoi kiosk z gazetami, w którym rano pewnego październikowego dnia kupowaliśmy po kilka egzemplarzy wybrzeżowego miesięcznika „Litery" z naszymi po raz pierwszy wydrukowanymi wierszami, w pobliżu którego nad sklepem „Mody polskiej" zapalał się neon: „Gdańsk miastem kwiatów". Nasza grupa rozsypała się po świecie i chyba już nie pamiętają, gdzie stał ten kiosk ani w którym to było roku. Może już nie pamiętają, że kiedyś pisaliśmy wiersze? Porozjeżdżali się w poszukiwaniu innego życia, może kariery,

może miłości, może szczęścia, bo tutaj to było niemożliwe; nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym przed wyjazdem.

O coś nam wtedy – na początku – musiało chodzić, dzisiaj już nie pamiętam, czy naprawdę myśleliśmy albo mówiliśmy, że uda nam się roztrzaskać każdy mur jaki wyrastał lub mógł w każdej chwili stanąć na naszej drodze. Może i o czymś takim marzyliśmy razem i marzył każdy osobno na miarę swoich marzeń. O coś nam jednak szło, tylko nie mogę sobie przypomnieć, czy o bieg na krótkim dystansie, czy maraton; okazało się, że mieliśmy siłę i czas na średni dystans, reszta poszła na rozkurz, czyli życie. W każdym razie nie chcieliśmy zostać zsowietyzowanymi Rimbaudami.

Nie potrafię machnąć ręką na tamte nasze dni i czasami tęsknię za nimi, i czasami szukam tego chłopaka, który napisał tamte wiersze, a gdzieś się zagubił albo znikł zupełnie wśród gdańskich ulic, pod gdańskimi obłokami, pomiędzy wami. Ale tak jak znikają stare neony lub ławki na skwerku, gdzie całowaliśmy pierwsze dziewczyny, przechodzą pokolenia mijając się w przejściu z następnymi rocznikami, ocierając się o siebie prawie do krwi. Pozostało z tego czasu parę książek, które są słabym alibi i chowamy je przed naszymi dorastającymi dziećmi. Bo mogło być, jeżeli nie lepiej, to na pewno inaczej, choć żaden z nas nie miał recepty na życie, na pisanie, na miłość, nawet na śmierć. Życie miało być krótkie i intensywne, a rozciągnęło się jak stara prezerwatywa. To wszystko. Lecz czy naprawdę wszystko? Czy można do końca opowiedzieć całą krótką historię kilku gdańskich chłopaków, którzy chcieli być jak mistrzowska czwórka kajakarska walcząca na regatowym torze z falami?

Może i teraz jeszcze niekiedy o coś nam chodzi, ale tak ciężko zapisać na kartce słowo, a jeszcze ciężej dołączyć do niego drugie słowo. Przychodzimy – odchodzimy, jak w którejś kabaretowej piosence. Nie wierzę, że uda nam się jeszcze kiedyś stanąć razem przy tym kiosku, choć moglibyśmy już kupić tylko codzienną gazetę, której nie będzie chciało się nam przeczytać. Ale chciałbym, żebyśmy jeszcze kiedyś stanęli razem w tym miejscu jak do grupowego zdjęcia, chociaż w górze nie świeci się neon z kilkoma brakującymi często literami, i tylko opadają szare jesienne liście.

Czy to, co robimy, to nasze pisanie, nie jest aktem, a może lepiej – zapisem naszej rozpaczy, a poprzez pisanie przezwyciężanie jej? Rozpaczy najpierw nie rozpoznanej w latach młodości, kiedy słowa przychodziły jakby znikąd, kiedy rozglądaliśmy się w poszukiwaniu jakiejś trzeciej ręki kierującej pisaniem. Potem, kiedy pisanie staje się wewnętrzną koniecznością i gdy słowa coraz ciężej kładą się na papier, wtedy nasza rozpacz ma już inną twarz, twarz bezradności i bezsilności, że nie powiemy wszystkiego do końca. To także rozpacz przemijania, kurczenia się czasu, który nam dano na pobyt na ziemi i pomiędzy sobą, zatajając ile tego czasu mamy. Że pisząc poruszamy się po bardzo kruchym i chybotliwym pomoście wiszącym pomiędzy nami a światem. Ta rozpacz bierze się także z pokory, czy akurat nasza prawda czy racja, jest jedyną i czy naprawdę mamy coś ważnego do powiedzenia drugiemu człowiekowi, wiedząc przecież, jaką tajemnicą jest ktoś drugi; ponieważ my sami dla siebie często nie jesteśmy zrozumiali. Poruszamy się po naszym „ja" i wśród innych, jak lunatycy wędrujący papierowym labiryntem,

prowadzeni jakąś intuicją, jakimś podszeptem, niejasnym przeczuciem. Czasami zapisujemy czyjąś wersję losu, choć nie wiedzieliśmy, że ktoś taki istnieje. Zlepiamy słowami rozproszone odłamki życia, które być może ułożą się – albo nie – w obraz naszego tutaj świata.

Może to zabrzmi mało wiarygodnie, ale było tak naprawdę. Podczas tego pisania otrzymałem z Toronto pismo literackie, w którym znalazłem coś na potwierdzenie tego, na czym urwałem poprzedni akapit. To był wiersz „Tajemnica" Denise Levertov, którego początkowe wersy tak brzmią:

Dwie dziewczyny
odkrywają nagle
w jednej linijce wiersza
tajemnicę życia.

Ja, która nie zna tej
tajemnicy, napisałam
tę linijkę. Powiedziały
mi

(przez osobę trzecią),
że ją znalazły,
ale nie powiedziały,
co to za tajemnica

i która to linijka.

Czy literatura, pisanie, nie jest jeszcze jedną z tajemnic życia? Właśnie owo dzielenie się, jak ostatnią kromką chleba z kimś głodnym, tajemnicą bólu i nadziei, strachu i wolności, śmierci i samotności, rozłąki i miłości, i odnajdywanie siebie w słowach innych lub dawanie komuś naszych słów za jego, jest tą tajemnicą pisania, więc literatury. Każda książka powtarza jakby po raz drugi akt stworzenia.

W pisaniu staje się po stronie zwątpienia, a nie pewności, po stronie pytań, a nie gotowych odpowiedzi. Tego szukam w książkach innych, taka literatura zaspokaja moje głody. Literatury pomagającej iść nawet krawędzią rozpaczy, książki, która jest – jak napisał Cioran – „odroczonym samobójstwem". Literatury pisanej na otwartym sercu, a nie literatury wykalkulowanej, schlebiającej tanim gustom. Literatury idącej pod prąd, bowiem – jak powiedział w jednym z wywiadów Zbigniew Herbert – „z prądem płyną tylko śmieci".

Szukam w literaturze zapisania czyjegoś losu, a nie czyjejś biografii. Pisania będącego grzebaniem w śmietniku świata, a nie produkującego papierowe gadżety. Szukam obrony wartości, które dewaluują się na naszych oczach, jasnego wytyczenia granicy końca dobra a początku zła. Która nie odwraca Dekalogu na drugą stronę, a przypomina o kilku prostych sprawach w życiu, tych sprawach, na które

patrzyliśmy i które rozumieliśmy tak prosto i czysto kiedy byliśmy dziećmi. Jeżeli jeszcze coś ważnego i wartościowego zostało do ocalenia, to może to zrobić literatura, choć dobrze wiemy, że literatura, nasze pisanie, żadną siłą woli ani wyobraźni nie powstrzyma napierającego z całą bezwzględną siłą zła. Nawet jeżeli czuje swoją bezsilność to nie może stać z boku i oklaskiwać katastrofy. Chcę powiedzieć, że w tym wypadku nie przemawia przeze mnie egoizm i nie bronię uparcie własnej tożsamości. Na marginesie – uważam, że tożsamość człowieka końca XX wieku jest zagrożona, a może już znikła. To jest paszport naszych czasów, fotografią w tym paszporcie jest rozmywająca się twarz świata. Kto wie, czy to, co robimy pisząc, nie jest już tylko pisaniem requiem na konanie tożsamości.

Spojrzeć prosto i czysto oczami dziecka... Sam wiem, jak było mi ciężko oderwać się od pewnego typu pisania, albo jeszcze inaczej – od pewnego typu myślenia o pisaniu. W pewnym momencie życia już nie potrafiłem wyobrazić sobie, że do końca swoich dni będę mówił tylko „nie". I wtedy nagle – w jakimś odruchu obronnym – uciekłem w świat dzieciństwa, w ten mój świat, o którym wcześniej nie mogłem – z wielu powodów – myśleć bez bólu. I począłem patrzeć z kołyski, jakby od pierwszego dnia stworzenia, zaczynając od spojrzenia na rzeczy najprostsze i najpierwsze. Zobaczyłem, że to wcale nie zawęża pola widzenia, ta kołyska naszego dzieciństwa, a wprost przeciwnie – ona otwiera horyzont aż po bezkres. Oczyma i bezbronnością dziecka zacząłem oglądać historię, patrzeć na świat wymyślony przez dorosłych, choć ci dorośli z literaturą nie mieli nic wspólnego, i w najprostszych sprawach szukać ocalenia i jednocześnie w ten naiwnie dziecięcy sposób przeciwstawiać się złu, które było nieodłączną częścią życia tutaj. Choć to może brzmi naiwnie, ale tak myślałem, to było siłą trzymającą mnie przy stole i nad kartką. Lecz tym samym z jeszcze większą mocą uświadomiłem sobie, że zło nigdy się nie kończy, ewentualnie przybiera inną postać i tylko od nas zależy, czy mu ulegniemy, czy przeciwstawimy się mając w ręku nie kamień, ale słowo. Miałem świadomość, że nie powinienem załatwiać tylko własnych porachunków z historią czy prywatną wersją życia, ale bardziej nasłuchiwałem głosów innych. Pokora, że nie wszystko wiem i że nie o wszystkim mam prawo mówić, zawsze była moim wędzidłem. Pomagała też nie usypiać wrażliwości, która jest najczulszym instrumentem czegoś, co dawniej nazywało się duszą.

Zawsze wsłuchiwałem się w to, co pisałem i czego uczył mnie Albert Camus. W sierpniu 1957 roku zapisał on w swoich „Notatnikach": „Zastanawiam się poważnie nad możliwością rezygnacji. Zawsze wierzyłem, że twórczość jest dialogiem. Ale z kim? Z naszym światkiem literackim, gdzie obowiązuje zasada płaskiej złośliwości, gdzie obraza zajmuje miejsce metody krytycznej? Ze społeczeństwem, które nas nie czyta, z pożeraczami gazet i czytelnikami najwyżej dwóch modnych książek w roku? W rzeczywistości twórca dzisiaj może być tylko samotnym prorokiem, artystą nie opanowanym niepowstrzymaną potrzebą tworzenia".

Zastanawiałem się nad przytoczeniem tych zdań. Pomyślałem jednak, że choć raz każdy pomyślał podobnie, a potem wracał do pustych lub zaczętych stronic i do swojej samotności, jak ktoś uzależniony powraca do nałogu. Pochylał się nad

stołem pokonując zniechęcenie albo zapominając o nim, by ścigać jakąś prawdę, cień zapamiętanego krajobrazu, szept przerwanej miłości. Bo jeszcze chyba jesteśmy silniejsi od naszego zwątpienia, jeszcze...

Na początku przywołałem pewnego chłopca, który pytał: „jak zostaje się pisarzem?, kto to jest pisarz?". Ten chłopiec dorastał, wczytywał się w setki książek, poznawał żywych pisarzy, ale nie mógł znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie. Później mniej, albo czasami wcale, dręczyło go to pytanie. Jednak ono wracało i tak samo wraca do tego teraz czterdziestokilkuletniego chłopca. „Kto to jest pisarz?" Może kiedyś taką odpowiedź otrzyma, choć nie może mieć pewności. Póki co otwiera znowu tom esejów Pierre Emmanuela i czyta kolejny raz ostatni akapit:

Wszyscy jesteśmy próchnicą dla kilku kwiatów, których nie zobaczymy. Nie będą to może te, któreśmy posiali. Ale wierzymy w dwie rzeczy: w ciążenie i wiatr. Lub raczej w ciążenie nie musimy wierzyć, stwierdzamy je. Ale wierzymy w wiatr. Ten sam wiatr, który rozprasza – gromadzi. Jest to ogień zmartwychwstania, twarz człowieka. Czasami jakiś człowiek wychodzi ze zgiełku i czuje tchnienie na twarzy: słyszy wtedy, co mówi.

Listopad 1996

Aleksander Jurewicz

Tomasz Różycki

1883 rok, długa podróż na południe

Fot. Archiwum „K.A."

Maj, jak ciepło. Norwid umiera na gruźlicę
pod Paryżem, w Ivry, we śnie. Śni mu się,
że zapłacili mu za „Stygmat" i inne nowele
i właśnie jedzie na południe, do Nicei

Za dwa dni będziechodził plażą, po kostki
w słońcu. W Zakładzie Św. Kazimierza dzwonią
na jutrznię i zbudzone gołębie zrywają się z dachu.
A słońce jest właśnie na wschodzie.

W pocztowym dyliżansie otulił się kocem, nie
zmarznie. „Przykryjcie mnie lepiej" – mówi,
i zrobią to, dokładnie. Konie, spienione, pędzą,
może zdążą przed mszą. W przeciwnym kierunku

na północ, jedzie śmierć, po wczasach w Monte
Carlo, zupełnie przegrana. Właśnie się mijają.
Skrzypią koła, ksiądz jeszcze się waha, patrzy
w słońce. Gołębie są wysoko, pod obłokiem, toną.

Tomasz Różycki, ur. 1970, absolwent romanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Publikował m.in. w „Kresach", „Czasie Kultury". Laureat konkursu im. K.K. Baczyńskiego. Mieszka w Opolu. (red.)

Vaterland

Marzec, sezon królowania tłustych wiatrów
zza Odry. W olszynie i w krzakach pohukują
germańskie bożki. Trochę śpię, a trochę czytam,
ale koniec wciąż odkładam na jutro, na dzień,

kiedy przajdzie wiosna i rzuci żagiew w środek
moich snów. Trochę śpię, a trochę idę przez sen
wzdłuż rzeki i wypatruję tej łodzi, czy już
dobiła do zaślinionych mgłą brzegów, czy już.

I to jest zdziecinnienie, weltschmerz, grudka soli
na dnie popołu po spalonym mieście, które
noszę w pudełku od zapałek. Nie daj się zwieść
wiatrom, bo porwą cię, i porzucą

gdzieś w lasach, wśród szwargotów hożych cór Germanii,
sowich okrzyków. Jestem zu od dawna, trochę
śpię i czytam. Nie mówiłem ci o tym, ale
często budzę się w tej pustej łodzi, na środku

rzeki i wypatruję cię na brzegu, we mgle.

Entropia

Ten czerwiec, kiedy słońce gasi trawniki
nad Odrą i kruszą się mosty, powiedziałem,
że nie mamy ojczyzny, zaginęła w transporcie,
a może rozniosły ją na grzywach armie konne,

a pocci przekręcili jej imię, przemieliły ją
czcionki gazet. Dlatego każdy uniósł, co mógł
pod powiekami, ziemię, piasek, cegły, całe płaty
nieba i zapach traw, i teraz nie wiadomo,

co z tym robić, jak zamknąć oczy, jak spać
i płakać. Jest czerwiec i coraz ciężej z nią iść.
Pytam, dlaczego nie spalili Lwowa, dlaczego
nie zamienili tego w popiół, lekki dym,

nikt nie musiałby nosić takiego ciężaru całe
życie i nawet we snach po stokroć upadać.

Magia

Nadaję ci imię Didymos, bo jesteś bratem bliźnim
mojej krwi, wystarczy zamknąć oczy, napisać pierwsze
słowo. Przychodzisz, by mnie kusić.

Opowiem ci całe życie, wybieraj: po lewej to, co ciemne,
po prawej to, co czarne. I w nocy wciąż budzi mnie ten zegar,
którego dawno nie ma, gdy bije na zimowy czas.

I jakoś wierzę ci, i taki jest nasz zakład: dwa kieliszki
wódki, a kto przejdzie tę ścianę, bierze całą resztę
– pożółkłe zdjęcia, listy, włosy w kopercie, zanim stanie się.

Spisujemy krwią, jakby litery żyły, z dala od światła, chciwie
w oczekiwaniu na chwilę słabości, nieostrożność, sen.

Tomasz Różycki

Artur Przybysławski

Teatr wewnętrzny

Pustka. Pustynia. Nic. Ja sam tu jestem
Ja sam
Ja sam
(Witold Gombrowicz, „Ślub")

W Teatrze Bückleina znów Beckett. W ciągu krótkiego czasu „Końcówka, Watt" (w reżyserii M.Kędzierskiego) i teraz „Teatr wewnętrzny" czyli „Tu i Tam", „Komedia", „Kwadrat", „Nie ja" (w reżyserii, odpowiednio: Waltera D. Asmusa, M.Kędzierskiego, O.Sturma, M.Kędzierskiego). Cieszę się idąc na „Teatr wewnętrzny", bo przecież tak rzadko można na polskich scenach oglądać zwłaszcza późne utwory Becketta.

Alicja Bienicewicz, Małgorzata Gałkowska i Ewa Kalita w „Tu i tam" Samuela Becketta w reżyserii Waltbera D. Asmusa.

Zupełnie ciemno. Słychać szmer rozsuwanej kurtyny. Przez dłuższą chwilę nadal całkowicie ciemno. Powoli pojawia się słabe światło, zarys trzech postaci. Światło rozjarzało się tak powoli, że w pierwszej chwili wydawało mi się, że trzy postacie są bardzo małe, gdzieś w dole, daleko. Po chwili dopiero widać, że siedzę naprzeciw trzech kobiet (ubranych w szarobeżowe stroje, a nie w różnokolorowe jak pisał w didaskaliach Beckett – przepiękna oprawa plastyczna Ewy Bathelier). Flo, Vi, Ru – skąd przychodzą (come)?, gdzie kolejno odchodzą (go)?. Skoro ten, jak nazwał go Beckett, dramacik nawiązuje do Shakespeare'a, to można odpowiedzieć tu dialogiem z Hamleta: „– Methink I see [...] /– Where?/ – In my mind's eyes". Rzeczywiście tak właśnie jest, przynajmniej taki efekt osiąga reżyser. Widz siedzący dłuższą chwilę w ciemności zaczyna się niecierpliwić, wpatruje się więc usilnie w ciemność przed sobą i w momencie pojawienia się światła ma się wrażenie, jakby samemu wyciągało się te postacie z mroku własnego umysłu – pojawiają się one jak myśli w nocy: znikąd.

Czy taki jest obraz miłości w umyśle Becketta? Nie jest to obraz, co raczej schemat, na bazie którego obraz taki (fałszywy lub prawdziwy) może dopiero być tworzony. Dlatego jest tak lakoniczny, oszczędny, surowy (jak surowe płótno kostiumów aktorek). Miłość ma być piękna, a tu raczej ukazywana jest jej prawda skryta – przemijanie, które dostrzegamy u innych, a którego nie chcemy odnosić do samych siebie. Uczucie to (a może tylko marzenie o nim) trwa między dwoma koniecznymi punktami, między dwoma uściskami dłoni. Przy pierwszym uścisku obrączka wyczuwalna jest na palcu prawej dłoni, przy drugim na palcu lewej. To wszystko. Zbyteczne dodawać, że Beckett ukazuje oczywiście tylko ów drugi uścisk dłoni. Zaciemnienie, które po tym uściśnięciu następuje, jest przykładem ilustrującym znajdującą się w programie tezę Oliviera Sturma: „Z reguły urywa Beckett swe dzieła albo w punkcie, w którym logika mechanizmu nie dopuszcza dalszego ciągu, albo wtedy, gdy kontynuowanie oznaczałoby niezmierną redundancję". Cóż bowiem można jeszcze dodać do tej surowej prawdy?

Trudno by znaleźć autora, którego dzieła, przy całej swej ascetyczności i oszczędności użytych środków, byłoby do tego stopnia tekstami otwartymi, że niemal każda z wielu różnorakich interpretacji byłaby jednocześnie świadectwem interpretacyjnej bezsilności. Każda bowiem interpretacja jest tylko cząstkowa – kiedykolwiek o czymś chce się u Becketta mówić, to z konieczności o czymś się nie mówi. Beckett jest bardziej pojemny niż wszystkie jego interpretacje razem wzięte. Jak sugeruje Marek Kędzierski, scena Beckettowskich utworów dramatycznych to miejsce, na które rzutuje się własne projekcje. Toteż niezwykle trafna jest formuła „Teatru wewnętrznego". Beckett proponuje tylko podróż do środka głowy, gdzie następnie pozostawia widza samemu sobie. Na to właśnie wyczuleni byli, wierni Beckettowi, reżyserzy „Teatru wewnętrznego". Otwartość dzieł Becketta wymusza niemal interpretacje. Pierwsze niemal automatyczne skojarzenie widza „Komedii" to Sąd Ostateczny. Tak jednoznaczny Beckett oczywiście nie był. Trudno zresztą nazywać tak sytuację, w której światło utożsamiane jest z nieustanną męką. Właśnie umieszczenie „Komedii" w kontekście tak lakonicznych i otwartych utworów jak „Kwadrat" pozwala na szerokie ujęcie. Również „Komedia" ukazuje, jak mówi Sturm, „świadomość przy pracy"

Samobójstwa bohaterów, sugerowane według Becketta w tekście „Komedii", nie są tylko jednym ze zdarzeń fabuły pewnej historii. Chodzi tu o nadanie opowiadaniu szczególnego statusu, dzięki czemu rządzi się ona innymi prawami. Owo samobójstwo jest zabiegiem pisarskim, którego Beckett używał już w noweli, „Narkotyk" zaczynającej się od słów: „Nie wiem już, kiedy umarłem". Dzięki temu opowiadana historia nie jest opowieścią jakiejś konkretnej osoby poprzez prosty fakt, że ta już nie żyje. Podobnie w „Komedii" mamy po prostu świadomość i to oddzieloną (poprzez samobójstwo) od rzeczywistego świata. Świadomość przeciwstawiona zewnętrznemu wobec niej światu, z którego ma zdawać sprawę – stary schemat filozoficzny (którego jednak Beckett nie dyskutuje wprost, ile raczej pokazuje jego mechanizm). Paradoks polega na tym, że świadomość ma zdać sprawę z tego, co nie jest nią samą, a zatem jest czymś zewnętrznym. Z tego powodu owo sprawozdanie nigdy nie będzie zadawalające, jak niezadowalające są wciąż zeznania bohaterów „Komedii". Wciąż ponawiane próby kończą się fiaskiem, a wtedy świadomość zaczyna wikłać się w filozoficzne tj. jałowe rozważania, które natychmiast ucinane są przeskokiem punktówki.

(Usta z „Nie ja" mówią, że całe istnienie uczepione jest słowa.) W „Komedii" raczej słowo uczepione jest światła. Tak też i grają aktorzy, czepiając się tych krótkich chwil, kiedy wolno im mówić. Trzy (a właściwie, jak chciał Beckett, cztery) świetne role sprawdzonych już w Beckettowskim repertuarze Ewy Kality (K1) i Marka Kality (M), najlepsza w całym „Teatrze wewnętrznym" rola Małgorzaty Gałkowskiej (K2) i Aleksandry Szydłowskiej operującej punktówką.

To chyba jedno z pierwszych scenicznych wystawień „Kwadratu" napisanego pierwotnie dla telewizji. Z „Kwadratem" jest chyba podobnie jak z „Nie ja". „Nie ja", napisane pierwotnie do teatru, w telewizyjnej realizacji z Billie Whitelaw robi ogromne wrażenie. „Kwadrat" (tzn. obie jego wersje) napisany dla telewizji, a wystawiony w Teatrze Bücklcina działa hipnotyzująco. I nie dlatego, że to dzieło bez słów (w porównaniu z którym trzy pozostałe utwory są wręcz przegadane) intryguje swoją otwartością i wieloznacznością. Żaden widz nie będzie przecież bawić się w numerologa odliczając skrupulatnie wszystkie przebiegi i zastanawiał się nad symboliką barw kostiumów i tychże barw połączeń. Rytmicznie poruszające się zakapturzone postacie, brnące z uporem po wyznaczonych torach, rytmy instrumentów perkusyjnych, odgłosy kroków, kolory spotykające się w środku kwadratu, ostry ruch wymijania się – wszystko to tworzy jakiś magnetyczny obraz, od którego nie można oderwać oczu. Całkowita przewidywalność następnych posunięć każdej z postaci zwalnia z typowego napięcia co dalej i pozwala na zanurzenie się w tym nieprzerwanym ruchu, źródłowym rytmie – w tej nieokreślonej, a jakże namacalnej, pierwotności. To bez wątpienia najlepsza z prezentowanych czterech inscenizacji.

„Nie ja", moim zdaniem, jeden z najtrudniejszych aktorsko utworów Becketta. Jego trudność wynika z banalnego faktu: na scenie nie ma nic prócz ust, a ów rwany monolog trwa około piętnastu minut. Utrzymać napięcie widza przez kwadrans, gdy jego uwaga może oprzeć się tylko na dźwięku i migających wargach, to zadanie dla najlepszych aktorów. Trudno bowiem skupić się na szybko recyto-

wanym przez Dagmarę Foniok tekście, z którego wychwytuje się pojedyncze słowa czy zdania. Utwór ten bezlitośnie zdradza aktora, który ma w zasadzie dwie możliwości: albo powiedzieć go doskonale, albo nic (dobrze znaczy w tym przypadku źle). Tu niestety miejsce miała ta druga możliwość.

„Nie ja" fascynuje mnie prostymi i niezwykle pojemnymi chwytami. „Usta, w głębi po prawej (patrząc od widowni), około trzech metrów nad poziomem sceny". W tym pierwszym zdaniu didaskaliów Beckett zawarł niezwykle wiele. Umieszczenie ust na nienaturalnej wysokości tj. powyżej wzrostu normalnego człowieka sugeruje moim zdaniem, że chodzi tu o sam język. „Nie ja", jest więc filozofią języka na scenie. A jaka to filozofia? Z punktu widzenia ust znajdują się one po lewej stronie sceny, a więc symbolicznie po stronie złej. A zatem ośrodek mowy ulokowany jest po niewłaściwej stronie, według mówiącego, a zatem właściwa, prawdziwa, pełna ekspresja nie jest z zasady możliwa. Od strony widza usta znajdują się po prawej stronie, symbolicznie stronie dobrej. Odzwierciedla to nastawienie odbiorcy komunikatów językowych, oczekującego prawdziwych informacji, prawdziwych wyznań, ale to właśnie z punktu widzenia nadawcy komunikatu jest niemożliwe. Jest to sytuacja, wokół której koncentrują się rozważania całej filozofii języka. Trudno chyba znaleźć dramaturga, który tyle potrafiłby powiedzieć już w samych didaskaliach. I to korzystając z tak prostych środków.

Warto wybrać się do Teatru Bückleina, by zobaczyć to, co tak rzadko wystawiane jest na polskich scenach. Jedno z pewnością denerwować będzie widza – techniczne przerwy między kolejnymi inscenizacjami. Ale może tym chętniej i tym głębiej wchodzi się w tę osobliwą, ale i jakże bliską rzeczywistość oferowaną przez Becketta. Za każdym razem, gdy zapala się światło pojawia się ta sama myśl: „za krótko!".

Artur Przybysławski

Alicja Bienicewicz, Małgorzata Gałkowska i Ewa Kalita w „Tu i tam" Samuela Becketta w reżyserii Walthera D. Asmusa.

Łukasz Kiepuszewski

Horyzont

w okolicach obrazów Leona Tarasewicza

ZNAMIĘ

Ogromnych rozmiarów płótna malowane dotychczas przez Leona Tarasewicza opierają się na rytmice rudymentarnych w swej ikoniczności znaków, zaczerpniętych ze świata przyrody. Choć należałoby tu mówić nie tyle „znak", co raczej znamię – odcisk natury, to wyzwalają one sugestywną „obecność" pejzażowego świata: śnieżnych pustkowi, zaoranej ziemi, łopotu skrzydeł odlatujących ptaków, sztachet płotów, pni drzew. Monotonne równiny wyznaczane bruzdami farb zostały teraz przysłonięte chromatycznie intensywnymi pasmami warstwowo nakładanych pigmentów czerwieni i zieleni, fioletów i żółci – od jaśniejszych do ciemniejszych impast – uwalniających świetlne żarzenie powierzchni obrazowej. Odciski pejzażu przemieniły się w licznych realizacjach wykonywanych bezpośrednio w przestrzeniach galerii w rytmy sprężystych pasmowych prześwitów, ograniczających formalne komplikacje do najprostszych reguł syntaktycznych. Ostatnie obrazy Tarasewicza, które maluje wspólnie wraz z grupą przyjaciół, są swoistymi śladami elementarnych, wręcz mechanicznych duktów pędzla. Działanie malarskie jest tu prostym, pozbawionym emfazy, anonimowym pomalowaniem powierzchni. Bezpośredniość z jaką ujawnia się barwa, niesie ciągle osobliwe znamię „naturalności", „żywotności" przez kontrolowaną przypadkowość zacieków i rozpryśnięć farby.

Leon Tarasewicz, ur. 1957 malarz, pracuje i mieszka w rodzinnych Walilach na Białostocczyźnie. Ukończył studia malarstwa (1984) na warszawskiej ASP w pracowni Tadeusza Dominika. W latach 80-tych uznany za czołową postać „nowego" malarstwa i zaliczany do tzw. „eko-romantyzmu". Poza wystawami w prestiżowych galeriach Europy i Stanów Zjednoczonych, doczekał się pokazu retrospektywnego w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu (1995). Ostatnio coraz większą uwagę poświęca malarskim aranżacjom przestrzennym i realizacjom wykonywanym bezpośrednio na ścianach galerii.

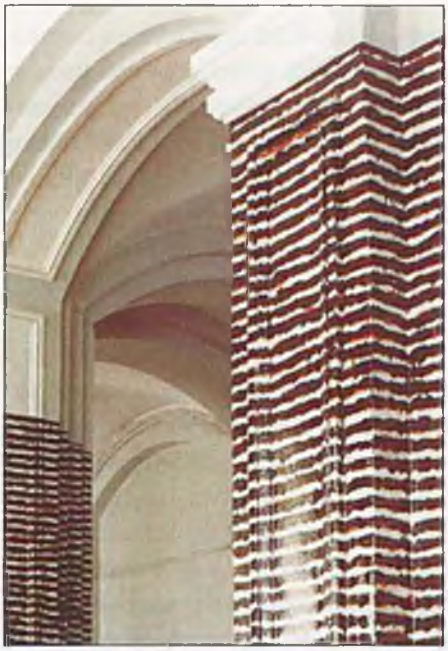

Informacja (fragment) *Fot. Archiwum „K.A."*

ODMOWA

Pokrywające ściany malowidła rozciągają się wzdłuż jak horyzont. Pasmowa architektura form stanowi jednorodne otoczenie dla następującego krok po kroku uczestnika przestrzeni wnętrza. Biegunowa przeciwstawność tendencji horyzontalnej obrazu i wertykalnego usytuowania wobec niego ciała widza jest odwzorowaniem podstawowych współrzędnych pionu i poziomu, określających podstawy tożsamości przestrzennej. Otwartość kompozycyjna i monumentalizm form powierzchni obrazu dąży do całościowego wypełnienia naszego postrzegania wizualnego. Wzór pasów poziomych / pionowych ma bowiem pewne określone własności. Jedną z nich jest nieprzepuszczalność języka. Brak hierarchicznej struktury, centrum, możliwości modyfikacji i postępująca w procesie oglądu multiplikacja form uwydatnia perswazyjną siłę milczenia obrazu, prowadzącą do uzyskania narracji słowa. Ta manifestacyjna odmowa broni językowi wstępu w domenę wizualności. Doświadczenie malarstwa jest tu zatem przede wszystkim cielesnym doświadczeniem ścierających się kinestetycznych sił, wyzwoleniem rytmów poza / ponad głosami płynącymi z zewnątrz.

Informacja (fragment) *Fot. Archiwum „K.A."*

ŚCIANA

Sprężysta, podatna na dotyk połać rozciągniętego na krośnie płótna czyni płaszczyznę obrazu uległą wobec spojrzenia, które może drążyć w głąb świat przedstawienia. Płótno malarskie jak kartka papieru ujawnia swoją przygodność, efemeryczność, zawiera bowiem możliwość przesunięcia, odwrócenia. Natomiast ściany, które maluje Tarasewicz, są stabilnymi przegrodami wnętrz; wyzwalają efekt równomiernego naporu przestrzeni na całej szerokości i długości. Drzemie w nich

25 filarów regularnie ustawionych (fragment)

Fot. Archiwum „K.A."

niezmienna powaga architektoniki. Nie są wycinkiem, kadrem świata, ale masą barwnej przestrzeni – ciągłością malarskiej rzeczywistości. Malowidła nie zawierają się ku sobie, nie zamykają się do wnętrza swojej przestrzeni, ale rzutują obraz na pole zewnętrzne, w obszar otoczenia. Pozwala to uchylić tradycyjną metaforę obrazu malarskiego jako „otwartego okna" i poprzestać na uznaniu bezwzględnej nieustępliwości ściany. Energia obrazu nie wciąga, nie wchłania, ale wypromieniowuje; jej aktywność zwrócona jest bezpośrednio w stronę widza. Obraz rozgrywa się więc w owej zewnętrzności, nie ukrywa jakiejś niewidzialności, unieważnia głębinę i wyprowadza na powierzchnię. Jest na „tu i teraz", stanowi to, co pozostaje, gdy wszystko inne znika. Jest zniknięciem zanikania.

SPACER

Zostajemy tu pochwyceni i otoczeni przez totalną obecność obrazu i ograniczeni w swobodzie orientacyjnej. Można tu mówić o dążeniu do likwidacji dystansu między malarstwem a jego obserwatorem. Dyspozycja form pasmowych usuwa funkcję zbieżnej perspektywy jako zabiegu określającego jedyną, obowiązującą pozycję widza wobec obrazu. Organizacja przestrzeni malarskiej uniemożliwia ogarnięcie w pojedynczym akcie widzenia całości kompozycji. Wymusza to od widza konieczność przemieszczania się wobec obrazu – uwolnienie energii motorycznej ciała podczas oglądania. Czas obrazu jest więc przede wszystkim naszym czasem – czasem naszego ciała i jego ruchu. Dialektyka chodzenia i patrzenia stanowi podstawę doświadczania malowidła: kręcenie się w miejscu, postępowanie krok po kroku, przystawanie, zbliżenie się do powierzchni, odejście, wahanie – powtórzenie tych czynności... Spacer. Przemierzanie i po-

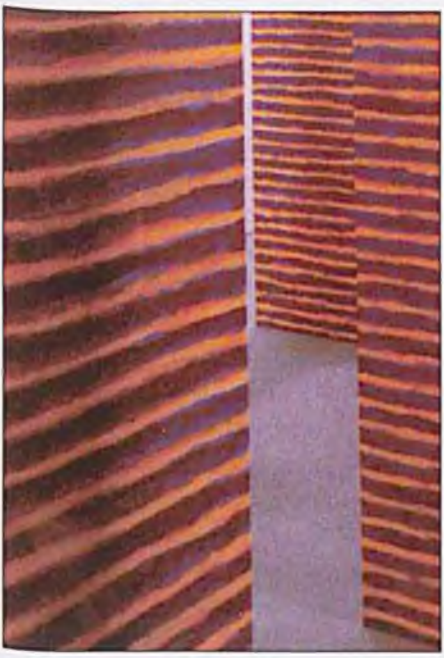

25 filarów regularnie ustawionych (fragment)

Fot. Archiwum „K.A."

znawanie otoczenia – kraj-obrazu; percepcja przenikająca rozmaite poziomy fizis. Monumentalizm tych ikon stanowi figurę retoryczną, skłaniającą nas do przeorganizowania sposobów wizualnego poznawania i optycznych nawyków ku obszarowi zaufania pewnej oglądowej czystości, ku aktywności określania własnej sytuacji wobec świata powołanego malarstwem.

HORYZONT

Horyzont jest rysem odnoszenia się świata i jego obserwatora – widza. Rysuje się zawsze w odniesieniu do oka-ciała – sytuacji widzenia. Ostatnie obrazy Tarasewicza nie przedstawiają horyzontu, bowiem jako całość – w pełni skali – stanowią horyzont. Są pejzażami horyzontu i horyzontem pejzażu. Stanowią pejzaże ścierania się ziemi i nieba, nie wyjawiają jednak ani ziemi, ani nieba, lecz przywołują zdarzenie ich wzajemnego przesłaniania, zakrywania, przechodzenia ziemi w niebo i nieba w ziemię; wzajemnego ich unicestwiania wyzwalającego horyzont. Rozpostarcie horyzontu jest pęknięciem, w którym my, nie przynależący ani do ziemi, ani do nieba, tkwimy. Ustawia nas to bezpośrednio wobec pulsacji rytmów świata, prześwitywania i skrywania, pojawiania i znikania, parcia i umykania. Horyzont nie tyle jest koordynacją naszego usytuowania, co rozsunięciem obszaru otwarcia. Obrazy nie są więc pejzażami ukazującymi miejsca, lecz wytwarzają sytuację, w której miejsce może dopiero się pojawić – może zostać ustanowione. Pejzaż jest dynamicznym układem relacji jakie zachodzą między przestrzenią i odniesieniem do miejsca w horyzoncie widza.

MIEJSCE / WYGNANIE

Być może swoistość przestrzegania obrazów jest sublimacją osobliwego doświadczenia, jakie doznajemy w pobliżu rzeczy i zjawisk, wobec których nie umiemy zająć stanowiska i które wyzwalają w nas obawę przed nieokreślonością, przed czymś, co stawia opór naszym skłonnościom do zrozumienia poprzez wyłożenie i wyjaśnienie „to jest tym" a „tamto tamtym". Wyniosła dominacja malarstwa nad przestrzenią powoduje, iż widz nie posiada nadrzędnej funkcji samodzielnego podmiotu wobec tych obrazów. Nie jest rozjemcą sił, ani władcą reguł rządzących tym pejzażem. Uobecnia się tylko wtedy, gdy potrafi wejść w aktywną relację z otoczeniem, podjąć z nim grę, i to jedynie o ile pejzaż w zmaganiach pozwoli mu wyłonić się. Malarstwo ujawnia otwartą przestrzenność świata i unosi niewymierność kraj-obrazu. Wyodrębnienie – wyznaczenie miejsca może być odwlekane w nieskończoność. To przestrzenne niezdeterminowanie obrazu nie uruchamia bezpośrednio znaczeń, lecz podejmuje zagadnienie samej możliwości znaczeń i ich warunków w malarstwie. Obraz jest jak horyzont – granicą negatywnych odniesień: możliwość wyzwolenia znaczeń jest ciągle ponawianym zadaniem – wyzwaniem wobec widza. Otwartość obrazu niesie nadzieje odnajdywania miejsca, ale jednocześnie przywołuje ryzyko wygnania.

Łukasz Kiepuszewski

Jerzy Olek

Przywoływanie nie-obecnego

Co to jest przestrzeń? Spełnianie się w trójwymiarze. A obraz przestrzeni? Płaski ślad owego spełniania.

Przestrzeń – ta doświadczana zmysłami realność fizyczna – zdaje się istnieć niezależnie od tego, czy ją postrzegamy. Stąd dwuwymiarowe odbicie jednej z wielu jej postaci traktować można jako udokumentowanie faktyczności zaistniałej.

A co wówczas, gdy obraz zostaje wykreowany? Więcej: kiedy jest w pełni autonomiczny? Kiedy jest absolutnie i niezależnie sam w sobie i sam dla siebie? Jako że powstał nie po to, by – odwzorowując – zaświadczać, lecz po to, żeby – prowokując swym ukształtowaniem – zostawiać wolne pole nieskrępowanej wyobraźni.

Złudzenie przestrzenności realnej wadzi się w takich obrazach z przestrzenią metafizyczną, wielość zaś ich możliwych wymiarów sprawia, iż w sposób nieskrępowany daje się o niej mówić wyłącznie językiem sztuki; tej, która ujawniając wielorakość nieznanych bądź nieuświadamianych przejawów świata jawi się nie-obecnością przywołaną, odsłania nowym nie-odgadnionym sensem, staje przed nami nie-bytem: intrygującym, tajemniczym, nie-możliwym.

Realizując pod wspólną nazwą „Bezwymiar iluzji"długą serię przedstawień wyimaginowanych przestrzeni, rezygnuję z ambicji odwoływania się nimi do jakiejkolwiek przestrzennej rzeczywistości. Wędrując poprzez stworzone przez siebie sztuczne krajobrazy fotograficzno-rysunkowe i ich komputerowe przetworzenia z jednej strony staram się przezwyciężać w sobie wszelkie wyobrażenia konkretne, z drugiej – nie tracę nadziei na realne istnienie wielości przestrzeni, którą to wielość moje notacje być może sygnalizują. Wierzę też, że „kreślone" przeze mnie kamerą i ołówkiem figury geometryczne są w stanie egzystować nie w jednej, lecz w wielu granicach.

Jerzy Olek, ur. w 1943 r., absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Artysta, krytyk, teoretyk i animator. Zajmuje się przede wszystkim fotografią.Od 1977 r. prowadzi Galerię „Foto-Medium-Art" we Wrocławiu. Jest pomysłodawcą i komisarzem fotokonferencji Wschód-Zachód „Europejska Wymiana", które odbywają się we Wrocławiu: pierwsza w 1989 r; druga w 1991 (składała się z wystawy „Nowe przestrzenie fotografii" i sympozjum „Etos fotografii"); trzecia – w 1993 r. (w formie warsztatów rzeźbiarsko-fotograficznych). (red.)

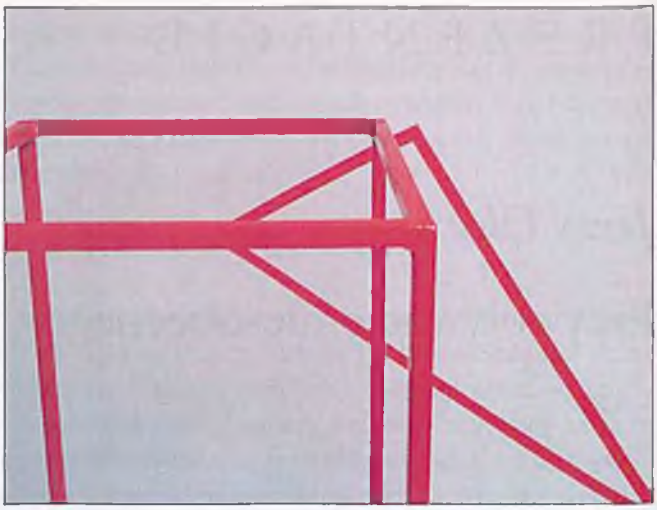

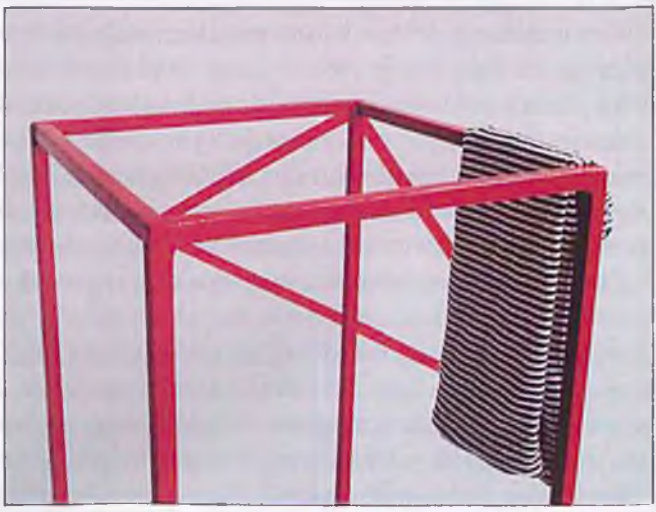

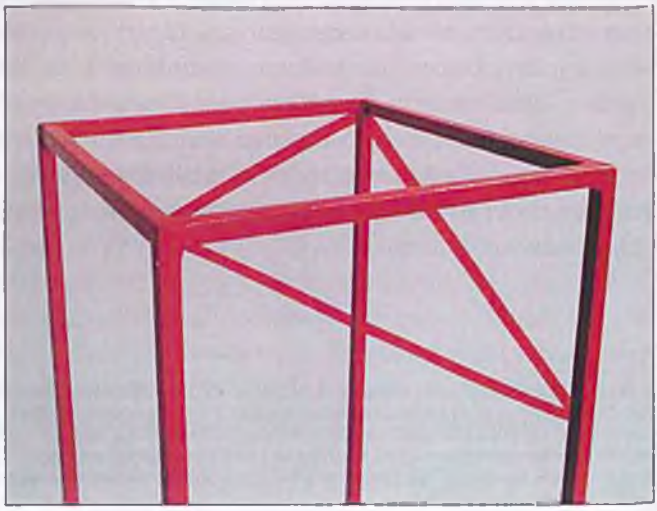

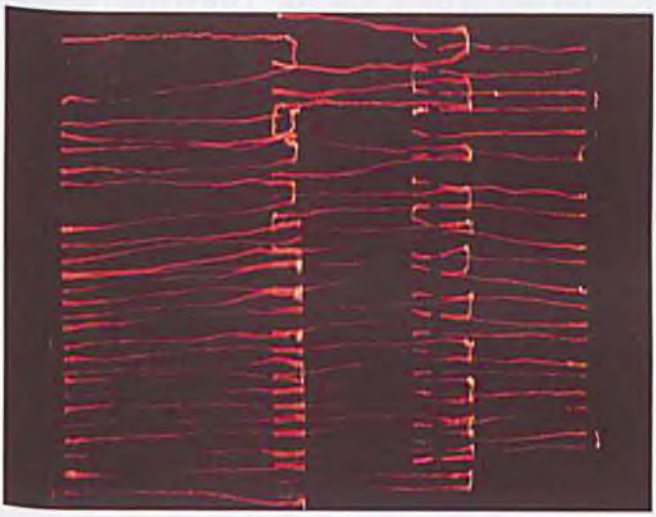

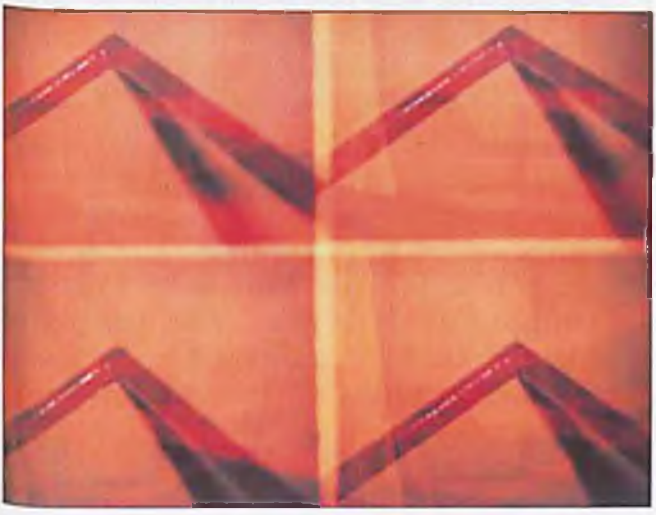

Kreślenie.

Obrazowanie Czystego.

Sugerowanie czegoś, co jest inne – ze swej natury.

Nad przystawalnością kreślonej ręką kreski do idei linii prostej zastanawiałem się w 1981 r. Rozpatrując ów problem w aspekcie wizualnym, napisałem:

„Linia, to coś nieskończenie idealnego, ale też konkretnego, więc ograniczonego. Ale jak pogodzić nieskończone z ograniczonym, idealne z realnym? Czy ową jednią może być konkretyzacja wyobrażonego?

Spróbujmy wszakże wykreślić linię. W sposób możliwie doskonały. Natychmiast jednak rodzi się, pytanie: czy możemy za nią uznać skończony odcinek? A jeśli tak, to czy jednorazowe zostawienie śladu ołówka na papierze w pełni konstruuje modelową linię? Czy nie należy przypadkiem wzmocnić jego śladu poprzez ponowne wykonanie tego samego gestu? I dalej – poprzez powtórzenie w tym samym miejscu prostej kreski po raz trzeci, co dodatkowo przecież spotęguje wyrazistość linii. Zresztą zabieg ten można nadal powielać. Dzięki temu wyznaczamy tę samą, a jednak inną, linię – po raz czwarty, piąty, szósty, siódmy... aż w nieskończoność. Lecz i tak nie będzie to linia doskonała. Gdy bowiem przyjrzeć się jej z bliska, okaże się, że jest ona wycinkowym śladem odcisku nierównomiernej powierzchni. Śladem niedoskonałym. A zatem sformalizowanie pojęcia nie powiodło się. Próba nadania idei rzeczywistego kształtu przyniosła rezultat wątpliwy, efektem konstruowania linii stało się oznaczanie powierzchni."

W Salonikach, w Galerii Z.M., pokazałem wówczas instalację zatytułowaną „Konstruowanie linii", zawierającą m.in. linię prostą narysowaną ołówkiem i wielokrotne powiększenie fotograficzne fragmentu owej linii, które wyglądało jak *frottage*.

Z tamtego doświadczenia wzięło się przeświadczenie, że niemożliwa jest adekwatna konkretyzacja pojęć; że teorię od praktyki dzieli przepaść; że byty idealne nie dają się przedstawić.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zaniechać wszelkiego odtwarzania, skupiając się na nieskrępowanym tworzeniu u m o w n y c h przedstawień przestrzeni n i e w y k l u c z o n y c h, które dając – być może niekonwencjonalny, być może intrygujący – impuls widzeniu, skierują myśl ku – być może nowym, być może frapującym – obszarom nieznanym.

Za model posłużył mi szkielet prostopadłościanu. Pierwsze jego obrazy były pojedynczymi, fragmentarycznymi odbiciami wybranych wyglądów obiektu, odbiciami lustrzanymi, powstałymi w zgodzie z prawidłami perspektywy. Obrazy dalsze to już „lustra z pamięcią", utrwalające na jednej kliszy, metodą wielokrotnej projekcji, szereg widoków, które mieszając się ze sobą i przenikając wzajem, dają wizerunki sumaryczne, pełne wewnętrznych sprzeczności i wizualnych zakłóceń. Powstałe w ten sposób syntetyczne fotografie przedstawiają coś bliżej nieokreślonego – ni to figury niemożliwe, ni to zagadkową równoczesność niekompatybilnych sfer. Mimo to udaje się w nich odczytać zastosowaną metodę zapisu, czasem wydedukować prawidła, które leżą u jej podstaw.

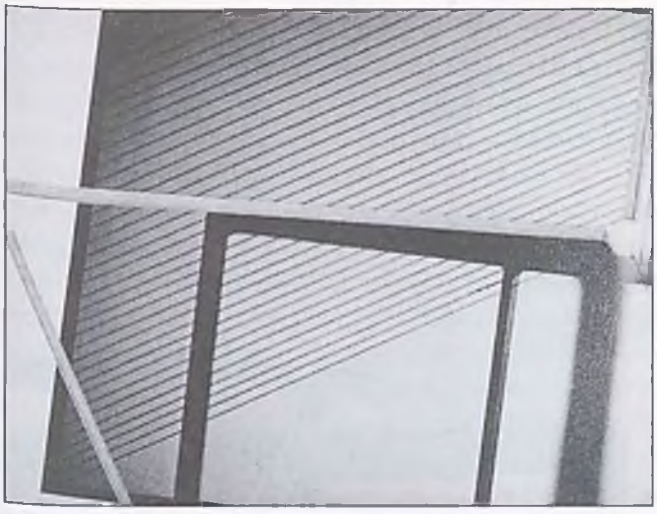

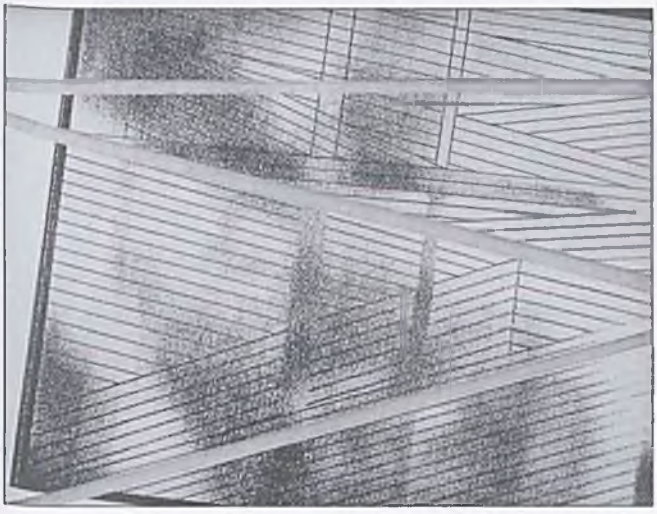

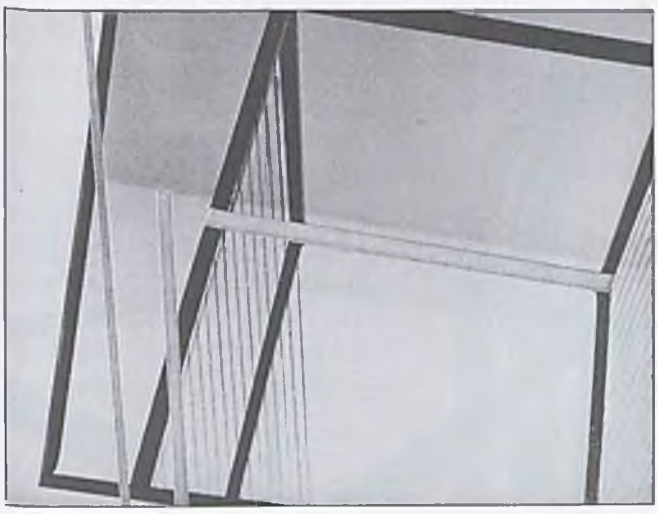

WYSTAWY INDYWIDUALNE (WYBÓR):

Album Bogdy (1975)
Permutacja relatywna (1975)
Fotografia-tekst (1978)
Po-fotografia (1978)
Fotografia możliwa (1979)
Puste – pełne (1982)
Jest i nie jest (1984)
Biała przestrzeń (1986)
Świat objawiony nie jest realny? (1988)
... trochę... (1989)
Bezwymiar iluzji (1992)

UDZIAŁ W WYSTAWACH ZBIOROWYCH (WYBÓR):

Stany graniczne fotografii (Katowice 1977)
Fotografia – medium sztuki (Wrocław 1977)
Czerń i biel (Wrocław 1979)
Od zera do nieskończoności (Wrocław 1979)
Kontakt – od agitacji do kontemplacji (Kraków 1980)
Fotografia elementarna (Szczecin 1986)
Elementarfotografie (Bielefeld 1986)
Polska fotografia intermedialna lat 80. (Poznań 1988)
Wczoraj i dziś (Sopot 1988)
Elementarni fotografie (Brno 1988)
Meta-Raum (Düsseldorf 1988)
Elementarność fotografii (Wrocław 1989)
Continuum (Wrocław 1989)
Fotografia i(gra) z rzeczywistością (Łódź 1989)
2 x 8 (Berlin 1990)
Dans et par la Photo (Castres 1990)
Passagen der Photographie (Wolkersdorf 1991)
Mai de la Photo (Reims 1991)
Nowe przestrzenie fotografii (Wrocław 1991)
My dzisiaj (Poznań 1993)
Skjulte Dimensioner (Odense 7993)
Nie-obecność w naturze (Wrocław 1994)

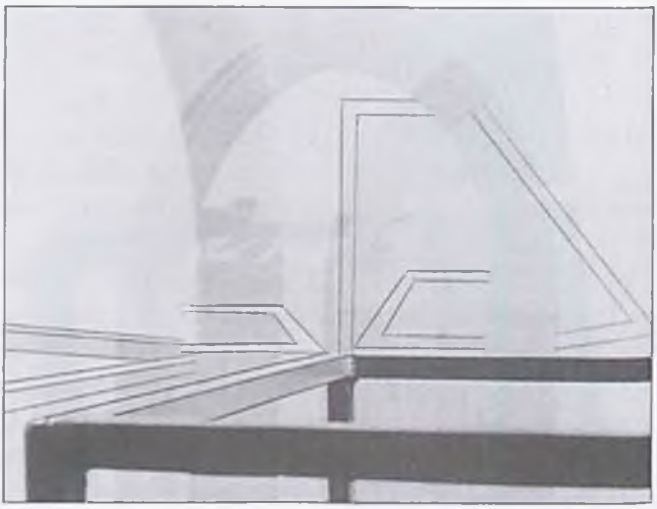

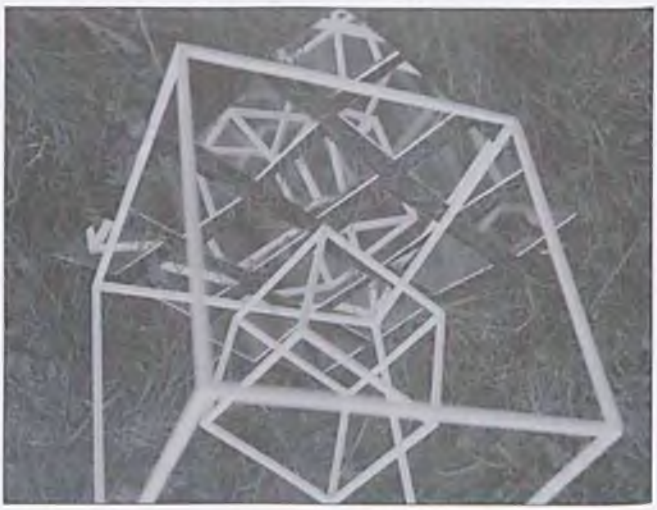

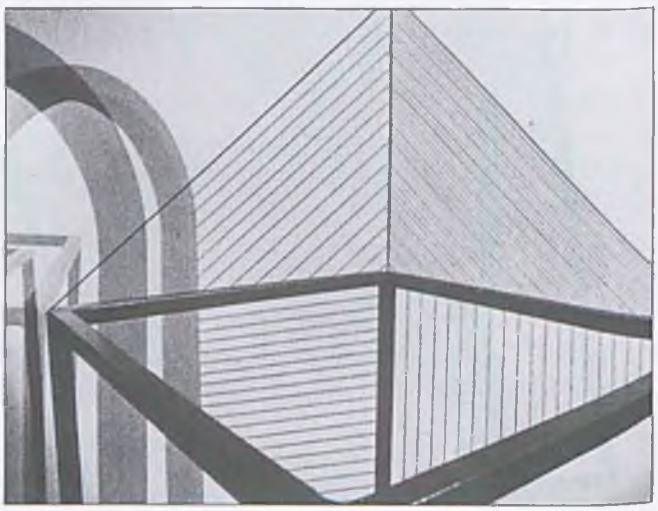

Krok następny już nie tyle polega na mnożeniu wizualnych sygnałów, mających świadczyć o rozbudowywaniu w pojedynczych kadrach mnogości przestrzeni, ile na wprowadzaniu, rytmem rysowanych na zdjęciach linii, nowych płaszczyzn, wchodzących w alogiczne relacje z elementami fotograficznych obrazów, burząc ich porządek i konstrukcyjną logikę przenikań.

Technika kserograficzna, fakturowo ujednolicająca obydwa zapisy, pozwoliła na nowe ingerencje w obraz, co przyniosło dalsze narastanie zniekształceń i zafałszowań. Do niektórych operacji włączyłem komputer, który z kolei potęgował iluzyjność głębi, głównie poprzez rozciągliwe zwielokrotnianie obrazu w obrazie. Inne efekty dało budowanie równoczesności paru perspektywicznych odwzorowań w obrębie jednego, złożonego z kilku warstw obrazu. Ową równoczesność osiągałem poprzez nakładanie na siebie fragmentów różnych fotografii tego samego obiektu. O wzajemnym usytuowaniu poszczególnych kadrów, układanych warstwowo na sobie, decydowała chęć zachowania ciągłości biegu wybranych linii, co jednak nieuchronnie prowadziło do mijania się linii innych.

Fotografia, rysunek, ksero, komputer – to nie tylko różne sposoby rejestracji, to również odmienne możliwości kształtowania obrazu. Otwartą pozostaje natomiast kwestia, czy przyjęte przeze mnie w procesie kreowania imaginacyjnych przestrzeni kryterium niewykluczoności daje rezultaty inspirujące intelektualnie.

Idąc dalej obraną drogą należałoby zrobić multisandwich, czyli dokonać kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu skopiowań obrazów z tyluż negatywów na jeden arkusz papieru fotograficznego. W sytuacji, kiedy już pojedynczy negatyw zawiera wielość przestrzeni, ich suma przynosi wielość pomnożoną przez wzajemne przenikania. Efekt takiego zabiegu wydaje się być łatwy do przewidzenia. Sumaryczna projekcja nałożonych na siebie warstw częściowo przezroczystych może dać – przy dostatecznie dużej ich ilości – jasną, w miarę jednorodną płaszczyznę, która bardziej niż o wielorakości przestrzennej realnego świata będzie zaświadczać o swej dosłownej wizualnej obecności.

Być może jest to jedyna droga do poznania obrazu czegoś co nieobrazowalne, do zrozumienia względności prawdy o byciu-w-świecie i byciu-z-nim, do odczucia skończonych możliwości odwzorowania wymiaru nieskończonego, do jasnego pojęcia, że są rzeczy nie do ogarnięcia, a także, że nic co idealne nie może stać się realne. Właściwie wszystko, co daje się stworzyć, to symbole, ikony, a więc znaki z ograniczoną mocą sprawczą, raz ujawniającą się w imaginacji, kiedy indziej w intelekcie. Znaki te odsyłają nas do bytów niebędących, przywołując obecność nie-obecnego.

Chociaż – kto wie – może INNE PRZESTRZENIE rzeczywiście istnieją...? Może wystarczy pójść, gdzie oczy skierują a myśli poniosą? Może trzeba uwierzyć, że to rozum dostarcza podniety zmysłom? Być może uda się nam wtedy zanurzyć do syta w zwodniczości i ułudzie doznań wzrokowych, które mogą, lecz nie muszą, potwierdzać czynności manipulacyjnych umysłu, często wyprzedzających doświadczenie.

1992

Jerzy Olek

Tadeusz Różewicz

Wymiar iluzji

Drogi Panie Jerzy! przesyłam Panu kilka notatek, które – mam nadzieję przyczynią się do zaciemnienia i zmącenia (treści i formy) pańskiego projektu „Bezwymiar iluzji".

A

Ograniczę się do fotografii. Do zdjęcia, podobizny, portretu. Odbitki... Człowieka. Fotografia zdejmuje tylko czas teraźniejszy człowieka... fotografia nie zdejmuje ani przeszłości, ani przyszłości... Tylko „tu i teraz" można zrobić fotografię. Ma ona utrwalić ten „wymiar" istoty ludzkiej (w czasie i przestrzeni), który istnieje jakby poza fotografią... Model, osoba nieprzerwanie odchodzi od siebie, opuszcza swoje poprzednie wcielenia... każdą chwilą obecną przemija, wchodzi w swoją przyszłość aż do odejścia, zaśnięcia „w Panu" („pokoju wiecznym"), w bezistnieniu i bezruchu. Fotografia próbuje utrwalić jedną z form zmieniającej się istoty ludzkiej, powłoki cielesnej... Człowiek powoli gaśnie, ale jego twarz istnieje w rodzinnym albumie jak zioło, liść, kwiat w zielniku... Albumy rodzinne miały w sobie coś z zielników.

Fotografia nie jest iluzją, ale rzeczą realną, zjawiskiem żyjącym w sobie właściwym bez-wymiarze iluzji, który zamienia się w fakt... tylko w obliczu patrzącego na nią człowieka... Tylko człowieka... ani wół, ani osioł, ani pies, ani koń nie „rozpoznają" fotografii... dlatego psu policyjnemu daje się do powąchania skarpetkę, czapkę, rękawiczkę przestępcy (lub ofiary), nie pokazuje się mu fotografii, podobizny... być może będą kiedyś robione fotografie pachnące... (np. modelką i jej perfumami).

B

To ja – patrzący, oglądający – stwarzam dla fotografii środowisko, w którym ona odzyskuje „życie". Stąd takie przywiązanie do „podobizny". Trwające od wieków spory o autentyczność odbicia twarzy Chrystusa na całunie turyńskim świadczą o nienasyconej potrzebie oglądania podobizny Zbawiciela. Ludzie pragną oglądać „prawdziwą" – fotograficzną (nie malarską) podobiznę Boga-Człowieka. Innym dowodem, że istota ludzka – od wieków, aż po dzień dzisiejszy – pragnie zobaczyć oblicze swego Boga, jest chusta św. Weroniki: *vera eikón*. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga – może widzieć w jednej ludzkiej twarzy lub w pięciu miliardach (i jednej) twarzy oblicze Boga. Jest podobizną Boga... tak więc i Bóg, żeby zobaczyć siebie, stworzył człowieka, Syna Człowieczego... Człowiek, istota śmier-

telna, nie wytrzymuje bez-wymiaru swojego Stwórcy – chce złowić jego oblicze, chce spojrzeć w oczy Boga Żywego... podobno oblicze nieznanego mężczyzny na całunie turyńskim ma wszelkie właściwości negatywu fotograficznego.

C

Fotografia twarzy ludzkiej – którą nazywamy też zdjęciem, podobizną, jest w swojej istocie równie tajemnicza jak dusza... być może jest zdjęciem duszy ludzkiej, która pragnie się ujawnić w wyrazie twarzy. Fotograf jest więc podglądaczem tajemnicy i psychologiem, a fotografia wejściem do wnętrzą człowieka. Dlatego fotografowi przypadł w udziale jedyny (w swoim rodzaju) przywilej, że może on zdjąć nie tylko charakter, ale i duszę ludzką... zależnie od wrażliwości może odczytać (podobnie jak psychiatra) pewne właściwości istoty ludzkiej (por. fotografie Hitlera, Mussoliniego, Stalina)... dlatego ludzie, którzy tworzyli portrety tych dyktatorów-przestępców (i prawdopodobnie psychopatów) byli tak pilnowani. Tylko wybrani fotografowie mieli dostęp do Osobistości... wiele fotografii uległo zniszczeniu, inne (kompromitujące, choć wierne) – zostały zamknięte w kasach pancernych, archiwach, nigdy nie ujrzały światła dziennego. Są czasem ujawniane i wywołują u ludzi strach, rozbawienie, śmiech, zdumienie. Patrzymy na ich podobizny, myślimy o milionach oszukanych, pomordowanych, uwiedzionych... patrzymy i mówimy „ale to jest niemożliwe!!!" Fotografia demaskuje... fotografów należy wygnać z państwa doskonałego.

D

Fotografia...

Jest to jeden z cudów świata. Przez fotografię dotykamy czasu, w którym żyjemy i przemijamy. Fotograf zdejmuje oblicza naszych czasów... Być może powstanie kiedyś nie tylko historia fotografii, ale archeologia fotografii, psychoanaliza fotografii, moralność fotografii, pornografia, podsłuch fotografii, agresja fotografii, metafizyka fotografii...

E

Destrukcja rzeczywistości, ciała, rzeczy, natury i zdarzenia... poprzez fotografię i jej twórcę. Fotograf – uczeń czarnoksiężnika – czarodziej i iluzjonista. Fotografowie przedmioty uczynili istotami żywymi i agresywnymi, zdolnymi nie tylko uwieść, ale i zniszczyć ludzką psychikę, myśl, zdolność sądu („zdrowy rozum"?). Zobaczcie w kolorowych tygodnikach reklamy samochodów, kosmetyków, przedsiębiorstw turystycznych, spodni, biustonoszy... albo „zwykłego" makaronu. Fotografie żyją w swoim nie/-/ludzkim wymiarze. Człowiek staje się dodatkiem do butów, spodni, koszuli, samochodu, gumy do żucia...

F

„Pstrykanie"... ile milionów (miliardów) aparatów fotograficznych (kamer) znajduje się w rękach ludzi?... ile zdjęć robimy (robi ludzkość) w ciągu 24 godzin? Wszyscy „pstrykają"...

Ja ciebie pstryknę ty pstrykniesz mnie potem my pstrykniemy was a wy pstryknieecie nas... wszyscy pstrykają wszystkich i wszystko. I tak pstrykając często nie widzimy świata... zapstrykani nie widzimy, co się dzieje za naszymi plecami.

G

Fotografia jest iluzorycznym obrazem przyrody, człowieka, miasta, przedmiotu... Fotografia w swej istocie jest martwą rzeczą, która tylko w obliczu widza zaczyna się napełniać treścią i zaczyna istnieć w nowym wymiarze iluzji; o ile ż y w a p a m i ę ć towarzyszy prawdziwemu zdarzeniu, np. katastrofie lub wypadkowi... o tyle pamięć, która dotyka fotografii jakiegoś wypadku, jest martwa... setki najstraszliwszych katastrof, które oglądamy na zdjęciach w gazetach, nie porusza nas tak jak przejechanie kota, jeża, kury, psa (w którym bierzemy bezpośredni udział)... samolot lub pociąg zamieniony w górę metalu i płomieni... jest dla nas jakby martwą naturą... fotografie z wojny w Jugosławii, Iraku lub masakry w Rwandzie w gazecie, którą przeglądamy przy śniadaniu lub po obiedzie... (gazetę wraz z pamięcią fotografii wyrzucamy na śmietnik).

W czasie pisania poematu „Woda w garnuszku, Niagara i autoironia" miałem przed sobą (na biurku) kolorową widokówkę – powielaną bez końca – fotografię Wodospadu... stałem tam oko w oko z wodospadem, a w ręce trzymałem ową widokówkę... widziałem lawinę wody żywej, która spadała bez przerwy w przepaść... widziałem białe piany, spoglądałem znów na fotografię-kartkę i widziałem maleńki wodospad... kolorowy i martwy w mojej dłoni... potem przenosiłem wzrok na prawdziwy wodospad... wypełniał mój wzrok i słuch, cały organizm...

Woda w garnuszku, Niagara i autoironia
(fragment)

w roku 1991 przyszła ta chwila
stanąłem oko w oko
z Niagara Falls

zrodziła się we mnie
niedorzeczna myśl:

napiszę krótki wiersz
i w tym
małym wierszu
zamknę Wodospad
jak w butelce
zakorkuję
postawię kropkę

w porę „połapałem się"
w porę to znaczy
zanim ogarnęło mnie szaleństwo
zanim wszedł we mnie demon
poezji
w postaci francuskiego grafomana
(postać w Polsce nieznana)

stałem tam jeszcze długo
przychodziłem do siebie
godziłem się z Rzeczywistością
z Wodospadem
który spadając wyjaśniał
określał możliwości i formę
mojej poezji

ociągałem się
odchodziłem powoli
odwracałem głowę
oglądałem się za siebie
lekkomyślny
przecież mogłem skamienieć
zaniemówić

Marzenia foto-amatora

Chciałbym mieć aparat do zdejmowania snów... Chciałbym fotografować moje sny (i cudze też – ale niekoniecznie). Chciałbym mieć aparat fotograficzny (kamerę, ba!) do zdejmowania moich (i cudzych myśli) i uczuć.

*

Życzę wynalazcom, aby skonstruowali aparat do fotografowania przyszłości.

*

Chciałbym robić zdjęcia aparatem skonstruowanym w puszce blaszanej po zielonym groszku (podobno wystarczą dwa otworki). Takim aparatem chciałbym zrobić swój autoportret.

*

Chciałbym ze wszystkich moich fotografii zrobić jedno zdjęcie (z tysiąca portretów – jedną twarz).

*

Chciałbym mieć album zdjęć (kolorowych) zrobionych przez małpę, kota, słonia, ludzkie niemowlę lub człowieka niewidomego.

Tadeusz Różewicz

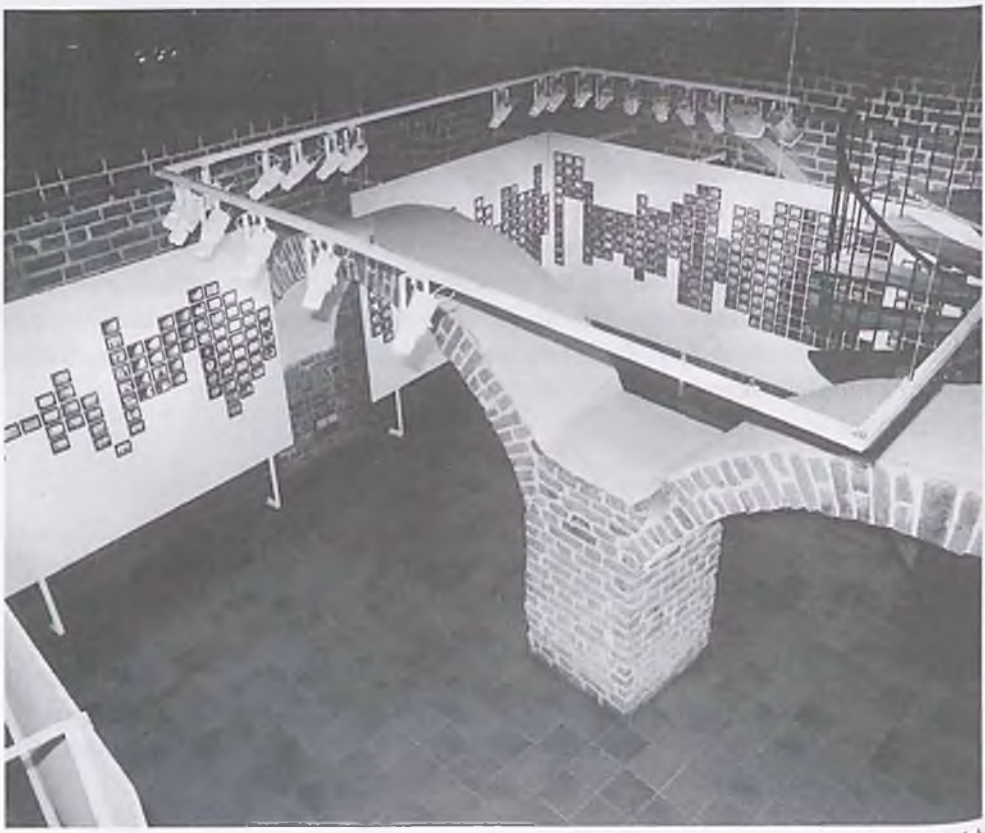

Galeria „Foto-Medium-Art", Wrocław, 1993. *Fot. Jacek Lalak*

NOWA SZTUKA W POLSCE

NEW ART IN POLAND

Kwartalnik • Quarterly

Rynek St. Miasta 2
00-272 Warszawa, Polska,
tel./fax: 831 99 31
http://www.exit.ddg.art.pl
Prenumerata roczna: 20 zł
Subscription one year: 24$
Wpłaty należy dokonywać
na konto
Please make foreign currency payments to:
PBK III O/WARSZAWA,
Staromiejski Dom Kultury,
EXIT
Nr 11101024-807393-3000-1-83

VARIA

Michał Głowiński

Szkice podróżne (I)

Podróżowałem niewiele, nie byłem nigdzie poza Europą – i wiem, że z różnych względów nie są mi już pisane dalsze wojaże. Za młodu były one przedmiotem marzeń, choć w pewnych okresach, przede wszystkim w czasach klasycznego, pełnego, stalinizmu nawet trudno było o nich śnić, wydawały się bowiem czymś całkowicie nierealnym, znajdującym się poza sferą wyobrażalną, bo przecież nie łatwo przedstawić sobie to, co nie ma żadnych szans na spełnienie, w konsekwencji zatem może się stać jedynie mrzonką, przekraczającą nie tylko sferę rozsądku, ale nawet – rejony myślenia życzeniowego. Przebywanie w świecie zamkniętym ogranicza możliwości, jeśli chodzi o zmiany miejsca i takie lub inne wybory, ma jednak nie tylko tego rodzaju następstwa, również spłaszcza wyobraźnię, wpływa na jej wysuszenie. Kiedy miałem osiemnaście lat, nie śmiałem przypuszczać, że ujrzę cokolwiek, co znajduje się poza granicami rodzimego kraju.

Nie zamierzam jednak spisywać wrażeń z tych w sumie niezbyt licznych podróży, jakie były mi dane, nie interesuje mnie utrwalanie turystycznych wspomnień. Pociągające jest coś całkiem innego. Wszelka podróż, zwłaszcza gdy odbywa się ją pociągiem, stanowi okazję do obserwowania ludzi, z którymi w żadnym innym przypadku bym się nie zetknął, do spotkań z osobami ciekawymi lub tylko charakterystycznymi i bądź śmiesznymi. A także sprzyja poznawaniu sytuacji nieoczekiwanych, z których te lub owe mają zabarwienie komiczne.

I właśnie postanowiłem o kilku scenach podróżnych opowiedzieć, scenach czasem błahych, a czasem łączących się z tym, co poważne i – całkiem często – ponure. Takich, które zdarzyły się w czasie podróży bliskich – i tych trochę dalszych. Ale za każdym razem – w pociągu. Chciałbym głosić jego chwałę, bo stwarza on niebywałe możliwości nie tylko dlatego, że pozwala w miarę szybko i wygodnie pokonywać przestrzeń, w sposób zdumiewający sprzyja kontaktom między podróżnymi – i w tej dziedzinie zdecydowanie góruje nad samolotem, samochodem czy autobusem. A zatem kolej opiewając, przedstawiam kilka historyjek – i czynię to nie dlatego, że przypisywałbym im jakieś szczególne znaczenie, decyduję się na to wyłącznie z tego powodu, że wydarzenia te miały miejsce, a więc właśnie z tej racji, że się wydarzyły.

1. Potęga stereotypu

Było to dawno, chyba rok czy dwa po studiach. Umówiliśmy się w grupie kolegów, że spędzimy tydzień w Kazimierzu. Coś mi wypadło, tak że miałem dobić później, jechałem zatem sam. Zaraz po wejściu do przedziału zabrałem się, jak zwykle w takiej sytuacji, do lektury. Wkrótce jednak ją przerwałem, bo wywiązała się ciekawa rozmowa; nie miałem zamiaru w niej uczestniczyć, ale przysłuchiwałem się – milcząc – z zainteresowaniem. Współtowarzysze podróży, wszyscy starsi ode mnie, po uwagach o pogodzie i o nic nie znaczących, drobnych wydarzeniach dnia codziennego, po narzekaniach na to lub owo i omówieniu kwestii praktycznych, zaczęli opowiadać o swoich okupacyjnych doświadczeniach. Wspomnienia z lat wojny były wówczas, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, w żywej i – chciałoby się powiedzieć – wciąż najświeższej pamięci, bo nie jeszcze w każdym razie w relacjach tych, którzy na tyle byli wówczas dojrzali, że wydarzenia przeżywali świadomie, nie zdołało się zmarmurzyć w dzieje. Ci prości ludzie, w większości chłopi, różne przedstawiali historie; niektóre świadczyły, iż los oszczędził im przypadków, które wyróżniałyby się szczególną strasznością, niewątpliwie mieściły się w granicach tego, co można było nazwać okupacyjną średnią. Grozą powiało, gdy odezwała się stara kobieta i zaczęła opowiadać o zagładzie Żydów ze swojego rodzinnego miasteczka.

Jej poprzednicy przywoływali to, co im osobiście się przytrafiło, ona zaś mówiła o faktach, które jej bezpośrednio nie dotyczyły, mimo że działy się w tak znacznej bliskości. Wyglądała jak stara chłopka, choć – wynikało to z relacji – już nie na wsi przebiegało jej życie, ale w niewielkim mieście, jednym z tych, w których przed wojną mieszkało sporo Żydów. Niestety, nie zapamiętałem jego nazwy, nie żywię jednak wątpliwości, że chodziło o miasteczko położone przy linii kolejowej, lub tylko w niewielkiej od niej odległości, gdzieś w pobliżu Piławy, Dęblina, może – Puław. Starsza pani opowiadała rzeczowo, tą nieco zgrzebną polszczyzną, która brzmiała już wówczas archaicznie. Opowiadała w sposób konkretny i obrazowy, nie dawała bezpośredniego ujścia emocjom, ale jej przejęcie i współczucie odciskało się na każdym zdaniu. Prosta kobieta, z pewnością nie znała powiedzenia „dantejskie sceny", ale gdyby należało ono do jej słownictwa, być może nim właśnie by się posłużyła. Mówiła o ulicznych egzekucjach, o wyciąganiu ludzi z kryjówek i mordowaniu na miejscu, wreszcie o wywózce tych, którzy pozostali, na niechybną śmierć, wywózce, której towarzyszyło okrucieństwo i poniżenie. I kiedy o tych potwornościach opowiadała, na jej twarzy malowało się swoiste dostojeństwo, a także – szlachetność. Gdyby jej słowa ktoś nagrał lub zapisał, powstałaby wspaniała relacja o zagładzie Żydów w jednym z niewielkich miasteczek, tych, do których historia zaglądała nader rzadko, lub całkiem je pomijała, relacja zarazem dokładna, faktograficznie wymierna – i przerażająca, taka, w której nie padają wielkie słowa, ale jest patos prostoty – niemal na miarę biblijną.

Opowieść starej kobiety w przedziale kolejowym, choć usłyszałem ją przed czterdziestu laty, pamiętam dobrze nie tylko za sprawą strasznych treści, jakie w niej

zawarła, pamiętam ją dobrze z jeszcze jednego powodu: zdumiał mnie sposób, w jaki ją zakończyła. Kiedy tę resztkę Żydów, która po masakrach pozostała, ładowano w strasznych warunkach do wagonów lub na wozy (tego szczegółu nie jestem pewien), by wywieźć do Treblinki, mieli oni rzucać pod adresem Niemców straszne przekleństwa. Zapewne tak było, opowiadanie o tym właśnie fakcie nie wywołało mojego zdziwienia. Niezwykły wydał mi się komentarz, jakim stara kobieta spointowała swą opowieść, komentarz tak zaskakujący, że mogę go zacytować dosłownie i do dzisiaj mam w uszach specyficzną intonację, jaką został wypowiedziany: oj mściwi są ci Żydzi, mściwi... Narratorka obwieściła tę swoją opinię tak, jakby zapomniała o tym, co przed chwilą relacjonowała, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości, w jakiej sytuacji owe najgorsze przekleństwa padały. A ona sama stała się jakby innym człowiekiem, z jej twarzy zniknęła szlachetność, pojawiła się złość, a może nawet – pogarda, w tym, co powiedziała, wyraźne było poczucie wyższości, ujawniające się wówczas, gdy o obcych mówią ci, którzy uważają ich za gorszych z natury, lub po prostu nimi pomiatają.

Od razu zastanowiło mnie, skąd taka nagła zmiana, niespodziewana i w istocie niczym nieuzasadniona. Dlaczego ta kobieta, która była świadkiem najstraszniejszych straszności i nie ukrywała współczucia dla ofiar, a także solidarności z nimi, nagle zaczęła się wypowiadać w innym tonie? Wypowiadać tak, jakby z minuty na minutę ofiarami, którym współczuć należy, stali się Niemcy, jeszcze przed chwilą przedstawiani jako bezwzględni oprawcy, zbrodniarze, ludzie zdolni do najpotworniejszych okrucieństw. Usiłowałem pojąć zachowanie starej kobiety – i przypuszczam, że udało mi się je zrozumieć. Najprawdopodobniej żyła ona równocześnie w dwu światach. Gdy istniała w pierwszym z nich, miała oczy do widzenia i uszy do słyszenia, a więc wszelkie dane po temu, by bez uprzedzeń postrzegać to, co się wokół działo i wyciągać z tego właściwe, także moralnie, wnioski; gdy istniała w drugim, przyjmowała bezkrytycznie pewne założenia, nie pytała, czy mają jakiś sens, po prostu określone rzeczy wiedziała od zawsze i nie tylko nie poddawała ich kontroli, ale nie konfrontowała z tym, co było jej własnym doświadczeniem i wynikało z jej własnych obserwacji. Starsza pani po prostu wiedziała, że Żydzi są mściwi, mściwi zawsze i wszędzie – można zatem o ich mściwości mówić nie zważając na sytuację. Dwa światy, w których żyła, świat, na jaki składały się fakty, i świat zbudowany ze stereotypów, nie wchodziły z sobą w żadne związki, istniały osobno, niezależnie od siebie. W jej opowieści zderzyły się radykalnie fronty atmosferyczne, stąd tak drastyczne przesunięcie – i kontrast, który mocno mnie zdziwił, a nawet więcej – zrobił wstrząsające wrażenie.

Do tej w niespodziewany sposób spointowanej opowieści, zakończonej wówczas, gdy pociąg dojeżdżał do Puław, wracałem myślą wielokrotnie, zwłaszcza zaś wtedy, gdy zastanawiałem się nad potęgą stereotypu. Trudno o lepszy przykład władania, jaki ma on nad naszymi umysłami. Toteż kiedy przed rokiem wygłaszałem odczyt o stereotypach, nie tylko nim się posłużyłem, to na nim właśnie oparłem sporą część mych dowodzeń.

2. „Jadę za mąż"

Z początku nikogo bodaj poza mną w przedziale nie było, a jeśli nawet ktoś się w nim znajdował, to nie odznaczał się niczym ciekawym czy charakterystycznym, nie dziw przeto, że nie zapisał się w mojej pamięci. Dopiero w Poznaniu wsiadła kobieta już nie pierwszej młodości; od wstępnego wejrzenia trudno było mieć wątpliwość: wywodzi się ze wsi, nie ma za sobą żadnych miejskich doświadczeń, po wiejsku mówi i po wiejsku nosi się i zachowuje. Można też było od razu dostrzec, jak bardzo tym wojażem międzynarodowym ekspresem jest przerażona, strach rysował się na jej twarzy, a zdenerwowanie tak silne, że niemożliwe do opanowania, ujawniało się w każdym geście. Jakiś mężczyzna jej towarzyszył, pomógł wnieść niewielkie bagaże – i natychmiast zniknął. W tym z pewnością nie było niczego ekstraordynaryjnego, pociąg zatrzymywał się na poznańskim dworcu na kilka minut zaledwie. Nieznajoma musiała zdać się jedynie na siebie, na sobie polegać, co nie przychodziło jej łatwo. Gdy pociąg ruszył, przeżegnała się i przez chwilę odmawiała pacierze. Ale nawet modlitwa nie była w stanie jej uspokoić. Nie opuszczała swojego miejsca przy oknie, nie wychodziła na korytarz, nie sięgała po wałówkę, widać było jednak, że nie może usiedzieć, że nerwy ją rozsadzają. Niebawem wdała się w rozmowę ze mną.

Od samego początku zwróciła moją uwagę nie tylko ona sama, także jej składający się z dwu części bagaż. Miała ze sobą coś w rodzaju niewielkiej walizki, chciałoby się powiedzieć wręcz – walizeczki, popękanej i wytartej, tak intensywnie zniszczonej, jakby swoje już wysłużyła, a jako jedyne przeznaczenie miała wieczny spoczynek na śmietniku. Na pierwszy rzut oka pochodziła z zamierzchłej przeszłości, ale mogło to być złudzenie, bo zrobiona była nie ze skóry, nawet nie z jej imitacji, ale chyba z kartonu. Zamki już nie funkcjonowały, toteż solidnie przewiązana była grubym konopnym sznurem. Ta ruina walizki stanowiła dowód biedy, biedy szczególnej, bo choć połowa lat sześćdziesiątych nie była w Polsce okresem obfitości, z tego rodzaju bagażem mało kto już w daleką podróż wyruszał.

Zaciekawienie budziła także druga część wyposażenia tej wiejskiej kobiety; tworzył ją ogromny lniany worek. Wydawać by się mogło, że jest ciężki, zwrócił zatem moją uwagę sposób, w jaki towarzyszący mężczyzna umieścił go na górnej półce. Zrobił to nie tylko bez żadnych oznak wysiłku, ale podrzucił tak, jakby niemal pozbawiony był wszelkiego ciężaru. Nie sposób było nie zauważyć kontrastu między rozmiarami a lekkością worka, jego – powiedzieć by można – wagą piórkową. Ta bokserska metafora miała się okazać uzasadniona, w worku znajdowały się bowiem – jak mi szybko kobieta wyznała – dwa kilogramy pierza. I ten worek też był przyczyną obaw i zdenerwowania. Stanowił jedyny jej majątek, bała się zatem, że zostanie zatrzymany na którejś z granic, albo też zażądają od niej zapłacenia cła, a to równałoby się zabraniu, bo przecież pieniędzy żadnych nie miała – poza pięcioma dolarami, które można było w tamtych czasach oficjalnie w banku wykupić i wywieźć poza granice ludowej ojczyzny. Jak szybko z rozmowy wynikło, worek ów jest czymś więcej niż jedynym dobrem materialnym, jakie posiadała, stanowi bowiem jej posag.

Nie zadawałem mojej towarzyszce podróży żadnych pytań, nie prowokowałem do wyznań, sama czuła potrzebę mówienia, przede wszystkim – mówienia o sobie, być może to właśnie ją uspakajało. Nie zdziwiło mnie, gdy powiedziała, że jest to jej pierwsza dłuższa podróż, bo do tej pory swojej wioski rodzinnej nie opuszczała; ów brak doświadczeń, który sprawia, że wszystko wydaje się nowe i zadziwiające, a także budzi najróżniejsze lęki, wyjaśnień i komentarzy nie wymagał. Szybko ujawniła cel swojej niezwykłej peregrynacji do Londynu: „jadę za mąż". I opowiedziała swoją historię.

Pochodziła z małopolskiej wsi, jeśli dobrze zapamiętałem – spod Bochni, z rodziny wielodzietnej i – bez wysiłku mogłem się zorientować – bardzo biednej. Jak już wspomniałem, nie była pierwszej młodości, trzydziestkę przekroczyła chyba dość dawno, w wiosce traktowano już ją niewątpliwie tak, jakby była starą panną, nie mającą na zamążpójście żadnych szans. Ale oto nadarzyła się niezwykła okazja: pochodzący z jednej z pobliskich wsi mężczyzna, trochę od niej starszy, którego wojenne losy rzuciły do Anglii, napisał do swojego brata, że pragnie ożenić się z kobietą z rodzinnych okolic i prosi, by wyszukano kogoś odpowiedniego. Wybór padł właśnie na nią. Swojego narzeczonego nie znała, widziała go „aby na fotografii"; chyba niewiele o nim wiedziała. Był dla niej wielką zagadką, nieprzeniknioną tajemnicą, podobnie jak ona dla niego, bo sytuacja narzeczonych była symetryczna. Banalne powiedzenie o jechaniu w nieznane w przypadku tej kobiety nabierało znaczenia wielostronnego i jak najbardziej dosłownego. Niepewna była tego, co ją czeka, nie wiedziała, jak ją przyjmie przyszły mąż i jak się ułożą stosunki między nimi. Właściwie bała się wszystkiego, nie posiadała danych pozwalających odpowiedzieć na pytanie podstawowe: czy da sobie radę w świecie nowym, nieznanym, obcym? A jej zdenerwowanie rosło w miarę, jak zbliżaliśmy się do granicy. Bała się, że celnicy zakwestionują i zabiorą jej skarb, worek z dwoma kilogramami pierza tak dla niej ważny, bo dzięki niemu przyjedzie do Londynu nie jak żebraczka, wyzbyta wszystkiego, co wartościowe, a więc zdana całkowicie na łaskę bądź niełaskę narzeczonego, ale jak panna posażna, wnosząca coś, co przyniesie pieniądze. Bo owo drogocenne pierze przeznaczone było nie na własne poduszki i pierzyny, ale na sprzedaż. Polscy celnicy szczęśliwie nie zainteresowali się bagażem mojej towarzyszki podróży – zwłaszcza, że z jej dokumentów wynikało, iż opuszcza ludową ojczyznę na stałe. Następni w ogóle nie zwracali nań uwagi. Dwa kilogramy pierza wraz ze swoją właścicielką szczęśliwie dotarły do dumnego Albionu.

Mimo że na granicach na żadne trudności nie natrafiła, nerwowe rozdygotanie nie ustawało, bała się tego przede wszystkim, że pozostanie na dworcu – niczym bohaterka jednej z werystycznych oper – samotna, zagubiona i opuszczona, bo narzeczony pomyli termin, albo wydarzy się coś jeszcze gorszego – i nie będzie jej oczekiwał w umówionym miejscu i o umówionej porze. Pocieszałem ją, jak umiałem, tłumaczyłem, że z pewnością wszystko dobrze się ułoży i nie będą mieli kłopotów z rozpoznaniem się, choć znają się – jak wielokrotnie powtarzała – aby ze zdjęcia. Żal mi było tej jadącej w ryzykowne nieznane kobiety, ale jej natrętne towarzystwo zaczęło mnie już trochę nużyć, chciałem od niej odpocząć przynajmniej

w tej części podróży między Hook van Holland i Harwich, którą odbywa się promem. Ale jej obiecałem, że w razie gdyby coś się stało, a więc gdyby nie spotkała narzeczonego, to jej pomogę. Moja pomoc byłaby zresztą wątpliwa, bo w Londynie nigdy przedtem nie byłem, a mój najmarniejszy z marnych angielski niewielkie otwierał przede mną możliwości. Ale ta obietnica była dla niej ważna, dawała pewność, że nie znajdzie się na dworcu sama, w sytuacji strasznej, bo przecież nie umiałaby się z nikim porozumieć – i wytłumaczyć, skąd się tu wzięła i czego oczekuje.

Kiedy wjechaliśmy na Victoria Station, szybko ujrzałem na peronie mojego przyjaciela, który mnie tutaj zaprosił. Powiedziałem mu o jadącej ze mną wieśniaczce – i poprosiłem, byśmy poczekali, aż nadejdzie narzeczony. Stało się to niebawem. Rozpoznali się szybko i bez trudu. Zdołałem zauważyć, że obydwoje są speszeni sytuacją i jakby zdziwieni sobą. Po chwili straciłem ich z oczu. Radbym coś usłyszeć o tym, jak potoczyło się życie tej wiejskiej kobiety w Anglii, ale tego z pewnością już nigdy się nie dowiem.

3. Mała stacja pod Kopenhagą

Tę kobietę już w latach zaawansowaną, ale niezmiernie ruchliwą i ubraną kolorowo, wręcz jaskrawo, dostrzegłem dopiero na promie, a może zresztą widziałem ją wcześniej, tylko nie przyciągnęła mojej uwagi. Udawałem się do Kopenhagi, co zakładało przesiadkę w Berlinie. W Sassnitz pociąg wjeżdżał na prom, przedziały można było, czy wręcz trzeba, opuścić; pasażerowie rozproszyli się po statku, najczęściej zatrzymywali się w barach, choć w przypadku Polaków nie łączyło się to z konsumpcją, bo – wyposażeni w pięć dolarów – po prostu nie mieli na takie luksusy jak butelka coca-coli czy fanty pieniędzy, a niektórzy mimo nie najświetniejszej jesiennej pogody wychodzili na pokład, by obserwować wzburzone morze. Kręciłem się bez celu i z braku lepszego zajęcia przyglądałem się ludziom, a potem rozmawiałem z jakimiś Francuzami, którzy postanowili zwiedzić Europę Wschodnią – i opowiadali mi o swoich wrażeniach z Polski, świadczących o dużym darze obserwacyjnym, choć wiele rzeczy wydawało im się nie pojętych; mimo że zamiłowani turyści, po raz pierwszy zetknęli się ze światem realnego socjalizmu.

A tej kobiety nie mogłem nie dostrzec, dwoiła się i troiła, miałem wrażenie, że jest wszędzie. Jej niezwykła ruchliwość nie wynikała jednak z fascynacji statkiem, a więc tym środkiem lokomocji, z którym – być może – zetknęła się po raz pierwszy. Myślę, że żadne względy poznawcze nie wchodziły w grę, ważne były wyłącznie motywy praktyczne. Starsza pani obawiała się, że przejedzie niewielką stację pod Kopenhagą, na której pociąg zatrzymywał się tylko na moment, prosiła zatem, by jej powiedziano, kiedy ma wysiąść. Pomyślałem: gdyby była kimś w rodzaju Klary Zahanassian ze słynnej sztuki Friedricha Dürenmatta, nie miałaby tego rodzaju kłopotów i nie musiałaby się denerwować, wystarczyłoby jedno skinienie ręki, a pociąg zatrzymałby się w dowolnym miejscu – i to bynajmniej nie na chwilę, wymuszającą na dostojnej pasażerce pośpiech. Ale nie była milionerką, która po dziesięcioleciach zapragnęła odwiedzić rodzinne miasteczko, była polską chłopką,

zagubioną i nie znającą świata, jadącą – jak się niebawem miałem dowiedzieć – w odwiedziny do córki, którą jako bardzo młodą dziewczynę wywieziono do Niemiec na roboty; potem znalazła się w Danii, gdzie wyszła za mąż i wraz z rodziną żyje na wsi, jest na swoim. Mimo że od czasu zakończenia wojny minęło ćwierćwiecze, miała to być jej pierwsza wizyta u córki, bo przedtem – od kiedy odwiedziny stały się możliwe – to ona przyjeżdżała do Polski, by spotkać się z matką.

Zwróciło moją uwagę, że ta ruchliwa kobieta mówi w sposób osobliwy, nie chodziło tylko o wymowę nader niedbałą i niewyraźną. W jakiejś mierze posługiwała się gwarą, trudno jednak byłoby ją określić, wydawała się osobliwą mieszanką, w której dominowała mowa z dawnych kresów wschodnich (słychać było resztki charakterystycznego zaśpiewu), ale łączyła się w sposób przedziwny z wysłowieniem podmiejskim, a także z naleciałościami, świadczącymi o tym, że kobieta nie stroniła od kontaktów ze środkami masowego przekazu. Myślę, że zrozumienie jej mówienia nastręczało trudności niejednemu rodakowi, sam zresztą musiałem się zastanawiać, co ona chce zakomunikować. W pewnym momencie powiedziała mi, że zięć ma taryfę i że tą właśnie taryfą po nią przyjadą na tę małą stację, bo ona najbliższa ich gospodarstwa. Z rozmowy wynikało, że zięć jest farmerem, zdziwiłem się przeto, że pracuje także jako taksówkarz. Dopiero po chwili zorientowałem się, że w jej wysłowieniu „taryfa" nie oznacza bynajmniej taksówki, odnosi się do każdego samochodu osobowego.

Na promie Polaków nie brakowało, jednakże to nie ich pytała o to, co dla niej było tak ważne, zapewne w przeświadczeniu, że nic o tym nie wiedzą, nie będą zatem w stanie jej pomóc. Rodaków ignorowała, zwracała się do przedstawicieli innych nacji – najprawdopodobniej nie przyjmując do wiadomości faktu, że na świecie istnieją ludzie, którzy języka polskiego nie znają. Była zdziwiona, że nie reagują na to, co ona mówi, w sposób, jakiego by oczekiwała i że coś do niej szwargoczą, czego ona z kolei zrozumieć nie jest w stanie. Ale to jej nie zrażało, zwracała się ze swoją sprawą do coraz to innych osób. A one reagowały rozmaicie, niektórzy zbywali ją niczym, czyli oświadczeniem, że nie wiedzą, w czym rzecz, inni usiłowali coś pojąć, jeszcze inni rozglądali się za kimś, kto mógłby im przetłumaczyć to, z czym zwraca się do nich starsza pani. Mówiła głośno, słyszałem więc wypowiadane przez nią kwestie, szybko zorientowałem się, co jest przyczyną tych spazmatycznych poczynań. Zrobiło mi się jej żal, podszedłem do niej i powiedziałem, by się nie niepokoiła, obiecałem, że poproszę konduktora, żeby ją powiadomił, gdy będziemy zbliżać się do stacji, na której ma wysiąść, sam zresztą też będę uważał, może przeto być pewna, że nie pojedzie za daleko.

Wydawało mi się, że poważnie potraktowała moje słowa, a więc wreszcie przestanie nagabywać osoby, które nie mogą pojąć, co ona do nich mówi, sądziłem, że wzbudziłem jej zaufanie. Już po chwili dane mi było stwierdzić, że się myliłem. W pobliżu pojawił się młody mężczyzna, którego zresztą już wcześniej parokrotnie zaczepiała. Nie wiem, dlaczego jego tak uprzywilejowała, może z tego powodu, że przyciągał uwagę, był bardzo przystojny – urodą nieco staroświecką, wyglądał jak angielski panicz z początku wieku z filmów z życia wyższych sfer to-

warzyskich. A także niezmiernie elegancki – i to w stylu staromodnym, co wówczas, kiedy młodzi ludzie niezależnie od swej społecznej kondycji nosili hippisowskie wdzianka, w sposób niewątpliwy go wyróżniało. Młody człowiek oświadczył, że jest Anglikiem i nie wie, czego ta kobieta sobie życzy; powiedział to uprzejmie, ale z wyczuwalną nutą irytacji, bez wątpienia chciał się od niej uwolnić jak od osy czy natrętnej muchy. Ona wszakże powtarzała swoją kwestię z uporem. I robiła to coraz wolniej i głośniej, sądząc zapewne, że w takim przypadku ze zrozumieniem nie będzie już żadnego problemu. Scena ta wydała mi się śmieszna, bo im ona wypowiadała swoje zdania dobitniej i z większym nasileniem, tym on szerzej rozkładał ręce, by zademonstrować bezradność.

Wkrótce skierował się do baru, by zamówić coś do picia, ona zaś podeszła do mnie i stwierdziła: „niech pan spojrzy, taki entelegentny, a nic nie kapuje, co do niego mówię". Wtedy właśnie zakomunikowano, że epizod promowy naszej podróży zbliża się do końca, mamy wracać do wagonów. Jeszcze raz powtórzyłem kobiecie, że sam będę czuwał i że porozmawiam w jej sprawie z konduktorem. Okazało się, że siedzi w sąsiednim przedziale, nie będę więc musiał chodzić daleko, by wywiązać się z zobowiązania. Wiedziałem, o jakiej godzinie pociąg ma stanąć na tej podkopenhaskiej stacji, a więc wciąż patrzyłem na zegarek, by jej nie przegapić i zawiadomić odpowiednio wcześnie, że dojeżdżamy. Nie musiałem jednak tego robić, bo gdy zbliżaliśmy się, na korytarzu zauważyłem dziwny ruch. To nadciągali różni ludzie, w sumie kilkanaście osób, by poinformować, że właśnie niebawem staniemy na stacji, na której ona ma wysiąść. Byli wśród nich głównie ci, co ani jednego słowa polskiego nie znali i – jak się wydawało – niczego nie rozumieli. Zabrakło tylko wytwornego młodego Anglika, który miał być tak inteligentny. Jechał pierwszą klasą, a ona znajdowała się w przedniej części długiego pociągu, była oddalona od wagonu, w jakim my byliśmy.

Michał Głowiński

Julian Kornhauser

Post scriptum (7)

Powtórna lektura wierszy Kornela Filipowicza (z okazji drugiego wydania tomu „Powiedz to słowo"). Robią na mnie niesamowite wrażenie. Trudno mi znaleźć w poezji polskiej podobną wrażliwość na samą esencję rzeczywistości. Nie umiem tego inaczej w tej chwili wyrazić. Esencję rzeczywistości czyli zbiór nagich faktów, nie otoczonych żadnymi dodatkowymi znaczeniami: „Ojciec i matka dzieci

pies krowa koń" – jak czytamy np. w wierszu „Żart rysunkowy". Filipowicza cechuje niespotykana, rzadka w poezji powściągliwość w upiększaniu (deformowaniu, metaforyzacji itp.) rzeczywistości. Jest w tym godnym uczniem i sprzymierzeńcem Różewicza (byli zresztą przyjaciółmi). Ale niekoniecznie to podobieństwo bierze się z prostej kontynuacji autora „Regio". Głównym impulsem jest tu raczej proza samego Filipowicza. Filipowicz, rasowy nowelista, pisywał wiersze we wczesnej młodości, potem jako poeta zamilkł. Wiersze prezentowane w tomiku powstały w latach osiemdziesiątych, najpierw jako krzyk protestu, niebawem, pod koniec tamtej dekady, jako swoisty komentarz do własnej prozy. Wiele w nich cech wspólnych z prozą: tok narracyjny, szczegółowy opis, dialogowość. Przede wszystkim jednak wyczulenie na konkretne doświadczenie, własne i innych ludzi. Tu nie ma kreacji i udziwniania. Każdy wiersz jest surowym, beznamiętnym opisem czyjegoś życia, jakiejś sytuacji. Ale pod tą chłodną powłoką kryje się otwartość i serdeczność, wzruszająca miłość do świata. Kto znał Filipowicza, ten wie, o czym mówię. Wiersze niczego nie kamuflują, są odbiciem jego pięknej osobowości.

Najbardziej fascynują mnie dwa ostatnie, napisane tuż przed śmiercią w 1990 roku, wiersze: „Ostatnie słowo oskarżonego" i „Rybitwa". Pierwszy jest urojonym sądem nad człowiekiem, który zabił muchę. To niebywały utwór-obrona małej istoty, „stworzenia doskonałego", w którego wnętrzu „pulsowało życie". Wiersz o musze nie tylko jest majstersztykiem formalnym, ale i niesłychaną pochwałą egzystencji. Takiego wiersza się nie zapomina. Choć spora w nim dawka ironii, na wierzch wydobywa się bezbronna – rzekłbym – autobiograficzność, zamanifestowana „danymi personalnymi" na początku utworu i datą położoną na jego końcu. To wiersz o Filipowiczu w Zakopanem, w październiku 1989 roku, wiersz o kruchości istnienia i jego jednorodności we wszechświecie. Opowieść błaha z pozoru – cóż trywialniejszego nad bezrefleksyjne zabicie muchy – zamienia się w sąd moralny i uwagę o niedoskonałości natury. A drugi wiersz, według mnie arcydzieło prostoty – to mały traktat o przemijaniu i nieskończoności, o niepowtarzalności ludzkiego życia wobec powtarzalnego życia przyrody. A wszystko wypowiedziane paroma zdaniami, jednym obrazem. Skąd ta umiejętność?

Czy gdyby Filipowicz nie był prozaikiem, i to prozaikiem o wysokim kunszcie opowiadania, umiałby w sposób tak mistrzowski, bez cienia literackiej kokieterii, poetyckiego uniesienia, czy sentymentalnego czarowania zarysować sytuację jednocześnie prawdziwą, często przeżywaną i błyskotliwie oryginalną, zamkniętą w poetyckim skrócie? To ważne, jak mi się wydaje, pytanie. Zatrzymajmy się nad nim przez chwilę. Prozaik, taki jak Filipowicz, nie korzystający z wyobraźni, lecz przekuwający autentyczne wydarzenia w pełną pogody ducha opowieść o codziennym życiu, posługuje się przeźroczystym językiem. Dba o prawdę każdego szczegółu, mówi jednoznacznie, nie spoglądając na boki. Opowieść o musze ma swój początek w autentycznym wydarzeniu w Zakopanem, refleksja na temat rybitwy bierze się z tego, co pisarz zobaczył w oknie. Wiersz zrodził się z obserwacji: nie z zamyślenia nad ułomnością losu ludzkiego, lecz z prostego faktu, który jest udziałem wszystkich. Filipowicz używa w wierszu tego samego sposobu wy-

powiedzi, albo podobnego, jak w swoich opowiadaniach. Dlatego jest autentyczny i inny. Czy tak dzieje się z pozostałymi współczesnymi prozaikami, piszącymi jednocześnie wiersze? Nie ma tu, jak się okazuje, reguły. Proszę porównać prozę i wiersze Grochowiaka, prozę i wiersze Brylla, prozę i wiersze Kuśniewicza – są to dwa różne światy, dwa odrębne języki. Ale gdy porównamy poezję i opowiadania Różewicza, Nowaka, Czycza, Iwaszkiewicza, Miłosza także, oczywiście Białoszewskiego, Rymkiewicza uderzy nas, zadziwi koherentność wypowiedzi, jednorodność języka.

Jedni szukają w poezji (bądź w prozie – tu zresztą często nie można ustalić prymatu) potwierdzenia słusznej drogi, jaką wybrali, inni przeciwnie – odskoczni dla swoich literackich, pierwotnych wyborów. W pierwszym przypadku liczy się autentyzm, prawda przeżycia i wyrazu; w drugim – artystyczna różnorodność, świadomy podział na dwie literackie rzeczywistości, wprawdzie utrzymujące ze sobą kontakt, ale niezależne od siebie. Jednak Filipowicz to inna para kaloszy. Nie pisywał wierszy i opowiadań równocześnie. Zdecydował się na wypowiedź poetycką pod koniec swojej drogi poetyckiej, po siedemdziesiątce. Czego szukał w języku poezji? Czego brakowało mu w prozie? Niewątpliwie w latach osiemdziesiątych nie miał siły opowiadać, „gawędzić". Potrzebował formy dogodniejszej, w którą mógł wtłoczyć nie całą historię czyjegoś życia, ale ulotną chwilę, także by zanotować własne przemyślenia. Czytamy więc wiersze o przekonaniach („Odporne są na zniszczenie"), o zagadce istnienia, o ludziach, którzy zrobili fałszywy krok, uwierzyli lub utracili wiarę, o umieraniu, w obronie zwierząt (których był wielbicielem), o ludzkich przywarach, które zamieniają się w przestrogę. Filipowiczowi nieobca jest przy tym ironia. Umie się nią posłużyć – tu widać rękę mistrza prozy. Drwi z frazesowości i nieautentyczności. Dlatego też trzyma się słów prostych, twardych, nie ukazuje drugiego dna.

Ze zdjęcia Joanny Helander, które otwiera książkę, spogląda na mnie starszy pan z jasnymi, szeroko otwartymi oczami, siedzący w fotelu na tle obrazów Marii Jaremy, jego dawno zmarłej żony. Lekko uśmiechnięty z fantazyjnie rozburzoną kępą siwych włosów, mocno ściska w prawej ręce kopertę? karton? reprodukcję? Co trzyma w ręce lekko uśmiechnięty Kornel? Pamiętam to duże, przestronne mieszkanie Kornela, jego stare biurko, na którym stały różne, dziwne przedmioty, przyjacielskiego kota mrużącego ślepia na jednej z półek, zapach tytoniu i trudnej do zanalizowania przeszłości. W tym starszym panu nie było niczego ze starości. Starość, upływ czasu to nie pasowało do Kornela. Zdawał się być niezniszczalny, nie poddawał się niszczycielskiej sile czasu. Oszczędny w słowach, lekko ironiczny emanował wewnętrzną siłą, mógł być podporą dla wielu wahających się. I był. Urodził się w tym samym roku co mój ojciec, ale – ciekawe – nie odczuwałem w stosunku do niego żadnych ojcowskich wzruszeń. Nasz kontakt opierał się na innych zasadach i choć nie był zbyt częsty – mimo iż przez dwa lata pracowaliśmy w tej samej redakcji – wiele mi o nim powiedział. Ale czy mi powiedział o jego poetyckiej duszy? Nie. O tym dowiedziałem się dopiero po opublikowaniu książki z wierszami. Nie, nie zaskoczył mnie, ale zadziwił. Bo w tych krótkich zapisach

więcej opowiedział o sobie, niż w prozie. Teraz, kiedy czytam „Powiedz to słowo", mogę ogarnąć prawie w pełni jego postać i nazwać jego stosunek do świata. Widzę go nad wodą, łowiącego ryby, na ulicy Lea częstującego słynną „kornelówką", w redakcji na Kanonicznej zachwycającego się opowiadaniami Jana Rybowicza i wahającego się, czy odrzucić prozę znanego pisarza. Znaliśmy się krótko i właściwie po łebkach – nie należałem do grona jego starych przyjaciół – ale z jego wierszy wyłania się ktoś mi bliski i serdeczny.

Julian Kornhauser

Grzegorz Musiał

Dziennik z Iowa (XII)

Sobota

A u mnie zima, zima, zima – czerwone kubraczki gilów w słońcu, na białym śniegu. Precyzyjny rysunek konarów w wielkim trójkącie okna – spękana krakelura nieba, które jest lazurowe, jak w San Diego. Tu nawet ujadanie słabiej się niesie, ginie w jakimś echu, rozpływa się w Atlantydzie Przestrzeni.

Godzinę temu lunch w Sports Clubie z doktorem B., który wrócił z objazdu uniwersytetów Florydy i Kalifornii. Okropny mój nietakt, gdy wspomniałem o czyichś „kompleksach czarnej skóry". Za późno ugryzłem się w język. Doktor B. jest Żydem, wyjechał z Łodzi w 1970, ale nadal cierpi na nieuleczalne „polskie ukąszenie": polska prasa z Nowego Jorku, polskie piwo z Chicago, ufundował też własne stypendium dla łódzkich chirurgów, żeby tu mogli przyjeżdżać na rok i ćwiczyć plastykę twarzy. Ta jego namiętność do P. owocuje wyjątkowym przeczuleniem (jakże powszechnym u polskich Żydów; Polacy tego nie rozumieją – nazywają to „polonofobią", a to jest częściej zawiedziona miłość) na te głupio-furmańskie, bezrozumne, zadufane gadaniny, które od czasu do czasu im Polska funduje: np. głuchy na wszelkie finezje występ Prymasa a propos klasztoru Karmelitanek w Oświęcimiu. Nie chce mi się tego tematu rozwlekać, ale czasem mam wrażenie, że Polacy zachowują się tak, jakby byli gośćmi we własnym kraju. Jakby każdy „obcy" z „obcymi" obyczajami śmiertelnie zagrażał ich niepewnemu jestestwu na tej ziemi; jakby to, co mają, było im tylko na jakiś czas wypożyczone, więc nie ma w nich tej dobrodusznej wyrozumiałości pewnego siebie dziedzica na swych włościach. A ja mu nagle o „kompleksach Czarnych" – zupełnie zapomniawszy o jego żonie – miłej i pierwszorzędnego formatu ciemnoskórej damie, u której od pierwszej chwili wszak-

że, jak u wielu Murzynów, wyczułem tę niepewność, nieśmiałość, która i we mnie tkwi; tę, pokrywaną dezynwolturą „odmienność", którą przyatakowałem, jak wielu Polaków w Ameryce to czyni, tępiąc, via czarnoskórzy, wszystko, co ich samych, w ich białej skórze gnębi. Doktor wlepił we mnie ironiczne oko i nic nie powiedział. Nad sałatką z krabów milczeliśmy chwilę i z płonącymi uszami skubałem martwe skorupiaki, aż on podjął temat swoich popijaw z polskimi Wielkimi Literatury, gdy tu przebywali na Programie. I zaczęło się: gejzery ironii! fontanny dowcipu! prysznice szyderstwa – ale intelektualnego, cienkiego, który kłuje, a nie boli. Brak złudzeń. Zimny skalpel. Aż widać, jak oczyszcza się powietrze po rzuconym od niechcenia słowie „gnida!" o kimś, komu inni biją czołem. Jemu, lub jego nienagannym garniturom i mickiewiczowskiej polszczyźnie.

Kształcony w Moskwie, gdzie siedział zpaszportyzowany do końca lat 50., wyjeżdżał do Polski jak zmartwychwstały, ocalony. I wpadł w następne bagno – w polską duszną małość, skąd wreszcie aż mu tęskno było do tamtej żydowsko-kaukaskiej, bojarsko-rabskiej, wielkopańskiej, nawet w stalinowskim uścisku, Moskwy. Jak „cudzoziemka" Kuncewiczowej prędko zaczął się dusić w polskiej marynacie i już nawet czasem wolałby tamto – kroki na schodach, o których pisał Bułhakow, że wzdycha się z ulgą, kiedy skręcają do sąsiada – niż to zatopienie w negatywnej polskiej energii. Z Moskwy wyjeżdżał oczyszczony z utopii stalinowskich – do Polski, która dała mu w łeb z drugiej strony: utratą hołubionej w Rosji wiary, że polski antystalinizm oczyścił dusze Polaków. Że uczynił ich lepszymi.

Niedziela

Dziwny wieczór u dziwnego doktora Osoynika i jego wesołej żony-Austriaczki, która śmieje się o ton za głośno i o sekundę za długo namawia do pysznej „prunelki à la Iowa", powtarzając to przed każdym gościem. Doktor dyskretnie szefuje tutejszemu Opus Dei – organizacji apostolstwa świeckich, która wyrastając z przesłań Ewangelii, najbujniej krzewi swą koronę w listach obecności, w wizytówkach na welinie z trzema tytułami naukowymi przed nazwiskiem i w wiecznie uaktualnianym spisie telefonów. Austriacka dusza doktora (i chłodny błysk niebieskiego oka zza szkieł), jego twarda niemiecka angielszczyzna (jaką pewnie tłumaczył w Szkocji swe lądowanie na spadochronie Rudolf Hess). Czytanie dzisiejszej Ewangelii – komparatystyczne, bo przed doktorem, który zasiadł u kominka, piętrzyły się cztery tomy Pism czterech Apostołów, a także Listy i Dzieje Apostolskie – wszystkie w pięknie polakierowanej serii. Coś, czego w Polsce nie ma: obfitość Pisma w domu. Profesorskie deliberacje nad Słowem, protestancka dusza w katolickim kostiumie. A mimo to, w trzynastu tłumaczeniach, piętnastu wydaniach Słowo wciąż iskrzy, odmienia swe znaczenia, cienieje lub dosadnieje, otwiera perspektywy, dotychczas ledwie przeczuwane, albo nagle zakręca, sztywnieje i zamyka wątpliwości tam, gdzie je lenistwo posiało. Siedząc na jasnokawowych kanapach ze skóry, każdy z żółtym arkuszem bieżących zajęć i niebieskim – przyszłych spotkań – odliczaliśmy kartki, które wsparte o piramidę książek, Osoynik przekładał z lewej strony na prawą. Jak

zaznaczył, interpretację Lekcji przygotowywał przez cały poprzedni dzień. A tu wbiega owczarek collie i szczeka. Potem dzwonek do drzwi i wślizguje się stropiony, rudy fizyk z Polski, który już wcześniej na różnych wykładach mi migał. Architektowi czesko-niemieckiemu obok mnie burczało w brzuchu, dziekan germanistyki miał najchudsze uda, jakie w życiu widziałem, które co chwila na różny sposób krzyżował przed sobą jak szpady. Potem wjechał wózek z piwem i „prunelkami", wszyscy powstali i po trzech „Heil Mary!" (skóra cierpła, gdy to wykrzykiwali) oraz krótkim rachunku sumienia (złożonym z dwudziestu pytań, w tym – czy nie zabrałeś czasu swojemu szefowi spóźnieniem i czy podnosiłeś swoje kwalifikacje zawodowe) oddaliśmy się luźnym dyskusjom politycznym. Oczywiście, natychmiast otoczyli mnie Berlińskim Murem, przy czym bystrością górował czesko-niemiecki architekt. „Nie rozumiem", powiedział „tak zwanego zagrożenia niemieckiego. Przecież stosunki międzynarodowe są na tak cywilizowanym etapie, że każdy konflikt w Europie można szybko rozwiązać drogą dyplomatyczną". Spytałem, czy słyszał o Rapallo. Poczciwy potomek chłopów z podsudecia zamrugał jasnymi rzęsami. No to go zapytałem o Ligę Narodów. Też nie wiedział. Więc dodałem, że nieomal to samo, słowo w słowo co on, powiedział pięćdziesiąt lat temu Chamberlain po Monachium. Ale już mówiłem do ściany, bo zniknął między „prunelkami". Moich wynurzeń o Fauście też nie usłyszał. Co po inteligencji, gdy jest jak dzban bez ucha. Nie niesie.

* * *

Gdy mówię
inaczej
jest tylko o
słowa.

* * *

New Directions chce manuskrypt moich wierszy. Nie powiem, żeby amerykańscy wydawcy wydzierali mnie sobie z rąk. Ale ponieważ własnych poetów też sobie nie wydzierają, nie przejmuję się zbytnio. Chciałbym jeno, aby dla Richarda zaowocowała czymś ta nasza dłubanina w tłumaczeniach, która przez tyle wieczorów w 1988 i 89 roku tu, w Iowa City, jeszcze w „Mayflowerze" i w tej jego zimnej norze na van Buren, łączyła nas, zagrzewała jego przedmiejskie bostońskie serce nadzieją na sukces, sukces, sukces... A i mnie łechtała myśl o ładnie się prezentującym, w tle jakiegoś telewizyjnego wywiadu (od których, jeśli wrócę do Kraju, naturalnie nie będę mógł się opędzić) tomie moich wierszy, z angielskim tytułem na grzbiecie. O próżności ukarana! Dla pisarza z Europy Środkowej najkrótsza droga na Madison Avenue wiedzie przez rosyjskie gułagi. Lichy poeta z Moskwy większą tu robi karierę wygadując przed kamerami o Gorbaczowie, niż Herbert ze swą sokratejską głową. Czytałem dziś wiersz Sharon Olds, wielce hołubionej w *tea-ro-*

omach Manhattanu, o penisie Papieża. Inny – o tym, jak ją ojciec gwałci. Już widzę jej kumpelki, wydry z Lexington Avenue i Village, gdy jej to wydrukował *New Yorker*: „Kochana! jesteś wielka! Ale dołożyłaś Watykanowi! Teraz dołóż matce! Niech też cię gwałci, najlepiej na grobie ojca. To takie, wiesz, archetypiczne." Więc wali następne dzieło o sekretnej miłości matki do owczarka collie. Oni się gubią wśród znaków i wśród instrukcji, jak się z nimi obchodzić. Nawieźli tu tego z Europy, ale im się po drodze rozsypało. I siedzą z nad kupą znaków, archetypów, symboli, dłubią w tym z wielką powagą i biorą je, jeden po drugim oglądając pod światło, jak śmieciarka butelki, i piszą, piszą, piszą... Gdy jeden ironiczny, stary jak Europa wiersz Szybmorskiej, jeden zakrętas Miłosza, jedna metafora Herberta jak różdżka mistrza wprawia to wszystko w uporządkowany ruch. Każe służyć.

* * *

Wracam do mych rozważań o Żydach. Tu, w Ameryce, znalazła swój dom wielka diaspora narodu, który dopiero od 1948 roku ma swój kraj, swój rząd, swoją stolicę. Intryga angielska (już przez polskie babki wiejskie znana pod nazwą „wybieranie kasztanów z ognia cudzymi rękami"), niezależnie od intencji, które temu szlachetnemu pomysłowi przyświecały, doprowadziła nie tyle do powstania państwa Izrael, co do pierwszej wojny izraelsko-arabskiej. Ofiary tej wojny połknął piach pustyni, ale kości bieleją nadal i po arabskiej, i po izraelskiej stronie. Jedną z tych niewidzialnych ofiar wojny jest izraelska mentalność – zadziwiająco przypominająca swoim wojenno-bojowym nastrojem „w obronie", „pod sztandarem" i tak dalej, swoim mesjanistycznym wektorem i romantyczną zawartością, szwoleżerską mentalność Polaków. Szlomo – mój przyjaciel i pisarz, należący do izraelskiej czołówki (podczas tamtej wojny akurat był poborowym) – który w swych nowelach ośmiela się przedstawiać bohatera negatywnego... złe słowo – pesymistycznego dekadenta, intelektualistę przymuszanego do „hurraaa!" i bagnetu, zebrał za to cięgi od samego Gerszona Szołema. Pokazywał mi recenzję, w której ów papież krytyków izraelskich napomina go, iż nie są to „budujące przykłady", że taka literatura „nie porwie narodowego ducha", choć zarazem docenia, chwali. Pocieszyłem Szlomę (ładna mi pociecha), że w Polsce przez całe dekady też naganiano ducha, by „porywał" we „właściwym kierunku" i że upadek komunizmu wcale nie musi oznaczać, że tacy znów się nie pojawią.

Oni nie rozumieją z czego powstaje literatura. Z niczego. Z samotnych pokoi, z egoizmu, kaprysu, złości, nudy, ba, małostkowości pisarskiego serca, z jego ciągłych irytacji, rozdrażnień żoną, listonoszem, mlekiem, brakiem piwa w lodówce i papierosów w paczce... Z miału, z resztek, które potem jeszcze mniejsi tryumfalnie wyciągają przed nos światu w pismach zajmujących się plotką, jako dowód na nihilizm, dekadentyzm literatury... Czerpią z tego niezłe dochody... gdy jedyny dochód pisarza to zapomnienie, jedyna nagroda – wzmianka w szeregu nazwisk na Sądzie Bożym. Skrzywienie ust świętego Piotra: „ach, pisarz...". I tyle.

* * *

Żydzi, Żydzi... moje sny o nich, gdy idą, idą, idą. Śnią mi się ogolone pochylone głowy. Idą, idą, idą, przez sześć tysięcy lat z rabinem na czele, zawodzącym jak rabin Weiss w Auschwitz, jak Aston z tej mojej starej, zostawionej w Polsce płyty „Syrena Electro", w bieli, w złocie, owinięci zwojami Tory – jedyną obroną przed kulami szwadronu, opowiadającego sobie żarty o ostatniej nocy w burdelu i obojętnie szczękającego zamkami karabinów.

Zbyt romantyczne? Pewnie, ale jak rzekłem, Żydzi też są romantykami – którzy szczęśliwie przeżyli na kuli ziemskiej tu i tam, i teraz, na Manhattanie, robią pieniądze. Zaledwie dwa-trzy pokolenia, po dziesiątkach pokoleń przeganianych z kąta w kąt, dręczonych, palonych... Ot, cała nienawiść. Ot, cała historia.

* * *

Cokolwiek złego powiedzieć o Ameryce, ta jedna prawda zostaje, jasna i prosta. Diabeł nienawiści – jeden z najpierwszych diabłów piekła, w którym żyjemy – w tym jedynym kraju wola ciszej. Tylko tu wsadzono mu knebel. W Ameryce nie ma nienawiści żywej, czy żywiołowej, tego płucia przez ramię, zaciętych ust, tych strzelających ostrą amunicją oczu, jakie widuje się w Polsce. Jakie widywałem w Niemczech, ba, nawet w zacisznej bogobojnej Austrii czy chlubiącej się opiekuńczym państwem Szwecji. Amerykanie wstydzą się nienawiści – tyle osiągnęli w postępie, w który tak bardzo wierzą. Mało? Mało. Dużo? Bardzo wiele.

Środa

Dziś wykład dla studentów Petera Nazareth'a, męża Mary. Przerabiali *In the Western Eyes* Conrada i chcą więcej, od kogoś „stamtąd". Więc zerwałem się skoro świt i pomknąłem do biblioteki uniwersyteckiej przypomnieć sobie imiona bohaterów. Wstyd, pisarzu, Polaku, patrioto! Nie pamiętać, co mówił Lord Jim? Jak się nazywa... hm, znowu zapomniałem, Razumow?

Przez czterdzieści pięć minut opowiedziałem im całą historię Rosji... Bazylow! Gdzie twoja „Historia Rosji" w dwóch tomach?! Odpowiedź: tam, gdzie zostawiłeś swą pamięć. Swe książki, siebie. W Polsce, czyli tam, gdzie został twój mózg i serce. Tu tylko porusza się twój kadłub, gorzej lub lepiej odżywiony. Ubrany. Chwalony lub ganiony, oplotkowany lub nie. Już nie jesteś, kiciuś, chłopcem biegającym z kromką chleba z cukrem, twój ojciec nie leży już w swym gabinecie na kanapie, w popołudniowej pół drzemce, pół rozmyślaniu o losach świata. Komunistów też już nie ma, zwinęli swój diabelski majdan – widły, sztuczne kopyta, plastikowe rogi i poszli mieszać gdzie indziej, przynajmniej w tym pokoleniu, albowiem musi być między dobrem i złem, jak uczyli Apostołowie, boska równowaga... Jak im to wszystko opowiedzieć: to pulsujące, bolesne, czerwone od żalu za przeszłym, czerwone od lęku przed powrotem... do czego? Do płonących domów... wciąż

mi się to śni... jak żydowskie ogolone głowy. A przecież nie widziałem pożaru wojny, najwyżej jak dom palił się w sąsiedztwie i żagwie spadały na chodnik, z trzaskiem rozpryskując iskry i kawałki zwęglonego drzewa na moje buty i na buty chłopaka stojącego obok. Co pamiętam? Jego włosy, nocą, jasne, rozwiane od wiatru, który jak na złość dął wzdłuż ulicy, w kierunku mojej kamienicy, gdzie mama leżała chora, odmawiając różaniec – bo pobiegłem do pożaru, który nagle nocą rozjaśnił niebo w oknie nad jej głową; myślała, że już płonę – i gdzie stoją ciężkie renesansowe meble mego dziadka. Gdybym nawet próbował je ratować, prędzej przygniotłyby mnie na schodach, niż dały się wynieść na ulicę. Ten chłopak był kiedyś moim przyjacielem, dotykałem jego włosów i zaczerwienionej od innego żaru twarzy. Poznał mnie, obrócił się i uśmiechnął, pokazując puste miejsce po zębach na samym przedzie. Diabeł, diabeł, ujrzałem diabła w nocy! „I uciekłem krzycząc", chciałoby się powiedzieć. Nie, ja dalej stałem, iskry sypały się na drzewa i asfalt, zostawiając w nim małe, gotujące się przez chwilę jamki. Polska, Polska, chleb z cukrem, matka, jej pościel pachnąca walerianą, gdy na dobranoc zbliżałem do poduszki swą twarz, zanim poczułem jej policzek obok mojego i znak krzyża kreślony mi na czole. Biedna mała. Sparaliżowana. Dwa razy nieżywa, dwa razy wywleczona z otchłani krzykiem siostry, modlitwą, łzami drugiej, bieganiną brata od lekarza do lekarza, telegramem przysłanym mi do Warszawy, gdy zerwałem się z tapczanu Marcina zanim listonosz zadzwonił, już wiedząc, co tam jest napisane na skrawku papieru, jak wyrok na ścianie... Czas, czas, koło, które nami obraca jak Tantalem. Ręce mamy przywązane do koła i tylko włosy nam na czoło spadają... Jak im opowiedzieć o Conradzie? O bólu? O mądrości czasu i jego potwornej głupocie? Że wraca, wraca, wraca, jakby wciąż coś zostawił.

Niece, moi kochani. Zamiast tego urządziłem całkiem profesjonalny wykład o rozpadzie Kościoła na Rzym i na Bizancjum, a krótko scharakteryzowawszy oba, jąłem o Iwanie Groźnym – jak to na wschodnie poczucie zależności jednostki od masy, przeciwstawione zachodniej odpowiedzialności tylko przed sobą, lub jeśli kto woli, wedle Tomasza z Akwinu, przed boską cząstką w sobie – nałożono „Superpower" (podobało im się, jak Superman) władzy carskiej wymieszanej z „boską". Potem Piotr Wielki, Katarzyna – mniej Wielka, zresztą Druga... Boże mój, gadałem, gadałem, kreda mi się łamała: Bakunin, Kropotkin, „Katechizm Anarchisty", Stawrogin... Mieli przed sobą studnię wiedzy, górę kompetencji... jedna mała, czarna, naprzeciw mnie notowała jak oszalała. Papier jej się darł pod długopisem, długopis rył w papierze przenosząc Wiedzę – niestety, nie do jej głowy. Po wykładzie podeszła zaogniona: „przepraszam, jedno pytanie. To, co pan mówił, to było przed komunizmem w Rosji, czy teraz?".

Gorbaczow! Gorbaczow! Z poczuciem klęski, jak z łóżka kobiety, która za wiele żądała, wyszedłem z wykładu pt. W oczach Zachodu. Jak każdy pisarz, Conrad był na jedno oko ślepy (nie dosłownie, nie! moja pracowita studentko z pierwszego rzędu) więc nie przyszło mu do głowy to, co dopowiedział za niego Gombrowicz. Im mądrzej, tym głupiej. Ameryka to to drugie – samo głupie. Po co się męczyć i przez sześć tysięcy lat brnąć ku głupocie przez mądrość, lub odwrotnie. Można na skróty.

* * *

Olbrzymia potęga Ameryki, jej pieniądze, system informacji, mózgi, ludzi zaprzęgnięto do jednego zadania: odwrócić czas, aby biegł jak dziecko w ogrodzie, pod dyktando mamy. Aby obrócić lokomotywę na torach, potrzeba siły mięśni, lecz by odwrócić czas wystarczy trochę demagogii, półprawdy, oddarcia słów od znaczeń, rozpasanego kultu młodości z tego konsekwencjami, zastąpienia kultu prawdy – kultem mięśni i sukcesu, a wszystko napędzić rzeką fosy, która płynie od banku do banku, przez internety, kina i telewizje, przez łamy prasy, wcieka do głów, napycha je sieczką, magmą, zapomnieniem. I w ten sposób rodzimy się na nowo – z przeszczepionymi byczymi jądrami, z cyckami wypchanymi silikonem, w niezniszczalnej sukieneczce Barbie, ze skrótem podstawowych wiadomości w tym ostatnim już zakamarku mózgu, służącego niegdyś do myślenia, którego jeszcze nie zalały kolorowe spreje Estee Lauder i maseczki wiecznej młodości z przemielonych płodów. Jedno gardło, które mądrze gada, zastąpiono – jak wypisz wymaluj w komunizmie – zbiorowym gardłem tłumu, z którego wydobywa się już tylko bełkot. „Więcej, więcej!" – oto diabelskie przesłanie Ameryki (za Delmore'm Schwartzem). Tysiące lat pracy mózgów, Arystoteles, Tomasz z Akwinu, Pascal, o tyle są przydatni, o ile mogliby napędzić nowe technologie, poza tym – do luftu. Europa błądzi, skoro w samym dwudziestym stuleciu wydała aż dwie potworne wojny. Dopiero dzielni amerykańscy chłopcy, porzuciwszy swe bary i bawialnie, musieli Europę uspokoić. I sami widzicie, kto ma rację. Europejski nihilizm przysłużył się zwycięstwu Ameryki w XX wieku tak samo, jak jeden rozpijaczony wujaszek w rodzinie potrafi sprowadzić na manowce całe młode pokolenie. Wsparta Paryżem Ameryka do reszty postradała rozum. Łacina – precz ze szkół! Religia – won. Geografia – out. Historia – niepotrzebne. Języki? Po co. Do komputera wystarczy angielski (amerykański). Elvis Presley – nieprawdopodobnie skuteczny instrument dziecięcego podboju świata w latach 50. Marilyn Monroe i jej sławna sukienka rozwiana nad ulicznym rusztem – to samo. Jeszcze w czasie II wojny Ginger Rogers i Fred Astaire więcej zrobili dla zwycięstwa amerykańskich marines, niż wspierające je eskadry bombowe. Ludzie chcą się śmiać i „nie mieć problemów" – a wtedy, puściwszy im głośno, jak najgłośniej tę muzyczkę, można spokojnie okraść cały dom.

* * *

Wieczorem – Jeanette z tą swoją podejrzaną przyjaciółką. I Gerald Stern, któremu przywiozłem na płycie z Polski „Miasteczko Bełz". Jak kot najpierw obwąchał kąty – lubię gości, którzy już po chwili moszczą się jak u siebie, za piecem. Jeanette jak zawsze trochę nieobecna, trochę znarkotyzowana, w czarnym aksamitnym garnku z lat 20., upodabniającym ją do Virginii Woolf. Jej gruba ciemnoskóra towarzyszka z Pakistanu wodziła za nią czujnym okiem, gdy obchodzili studio. Jerry, którego ojciec pochodził z Białegostoku, śpiewał w jidysz niemieckiego walczyka o kapeluszu, który ma „drei ecke", trzy rogi. Jak diabeł w trójgra-

niastym *chapeau* – monologował Jerry – Niemcy w pludrach, Niemcy w zbrojach, Niemcy w sklepikach, Niemcy żytni, praktyczni, wydajni, masowi i dosłowni… osiemdziesiąt milionów serc oddanych bez reszty Faustowi i Niemieckiej Sprawie połknie Europę, potem Amerykę… – śpiewał Jerry – aż jak Hitler, któremu się nie udało, weźmie się za Azję.

– O naiwni niebezpieczni Amerykanie! – wrzeszczał Jerry, chyba sobie wypili po drodze – czy zdążycie, czy zdążycie stworzyć sobie ten raj na ziemi? O głupia Kalifornio, o szorty w kolorach landrynek, o płatki kukurydziane i hamburgery, o czapeczki do baseballa i aparaciki do puszczania baniek za dolara! Ja widzę, ach widzę stertę niepotrzebnego, radosnego luksusu, do której czerwonogęby, czkający, ni to żołdak ni dziecię, przykłada lont.

* * *

Odrzuciwszy za trudną rzeczywistość rzeczywistą, Ameryka wprowadza łatwiejszą rzeczywistość zmyśloną. To ona staje się rzeczywista, a rzeczywista – wymyśloną. Wszelkie środki, jakimi dysponuje Ameryka, zatrudnione są w tej manipulacji. A przede wszystkim rozrywka. Ludzie chcą się śmiać, zmusiwszy ich do śmiechu sprawisz, że zgodzą się na wszystko. Terror śmiechu, żartu, życia na niby i na wesoło jest jedną z tutejszych dolegliwości. Śmiej się, wszystko jest nieprawdziwe. Disneyland. Śmierci nie ma. Ludzie nie chorują. Kurwy tak naprawdę noszą w sercu szczere złoto. Pedały chcą mieć dzieci ze sobą, więc im to umożliwimy. Przecież mogą być dobrymi matkami. Bóg nas wszystkich sterroryzował… Krzyż to tylko dwa skrzyżowane patyki. Odrzeczywistnianie, odrzeczywistnianie – to pierwszy plan tej monstrualnej, rosnącej jak gigantyczny cycek z silikonu niby-rzeczywistości. Drugi, bardziej konkretny – byznes. Zrobiwszy z ludzi nałogowców odrealnienia, trzeba im wciąż dostarczać tej używki. Na nikim tak się nie zarabia, jak na armii odurniałych bab w supermarketach. Pieniądz i pisma kobiece – dwa Bogi, które amerykańskiej magmie dają punkt odniesienia i tożsamość.

A trzeci plan? Myśl. Mózgi pracujące dniem i nocą nad wynajdowaniem szybszych, szybszych, wydajniejszych i wydajniejszych technologii. Mózgi wykupione z Niemiec, Rosji, Izraela, opłacane lepiej, niż gdziekolwiek na świecie. Zatrudniane by pomnażać, pomnażać, pomnażać. Zastanawia słabość tej siły. Nie może samej siebie prześcignąć w jakości – przechodzi siebie w ilości. Ale ilość ma swe granice policzalne, wymierzalne. Samochody nie mogą już być większe. Cycki nie mogą już być mleczniejsze, penisy już nie mogą być tęższe, bo byś nie mógł chodzić. Samochód już prawie odrywa się od szosy. Cyckiem, gdyby obrócić się z nienacka, można wybić oko. Penisem przebiłbyś deskę sosnową jak pociskiem dum-dum (choć Ameryka boi się penisa; protestancko-purytańska telewizja wszystko pokaże na ekranie, tylko nie męski członek. Chybaby te panie „zamieszkujące małe brązowe domki i przez całe życie głosujące na Roosevelta", jak pisze Ginsberg, natychmiast odwołały swój telewizyjny abonament).

Swoją drogą – fetysz mężczyzny. Ciała. Siły. Władzy. Skuteczności. Szybkości. Zręczności. Wytrzymałości. „Wszyscy Amerykanie to kryptohomoseksualiści", twierdzi Richard.

Dlatego tak się tego boją.

Czwartek

Mądra, przystojna twarz Randalla Jarrella patrzy na mnie z jego *Collected Poems*.

Nie wytrzymał.

Delmore Schwartz – to samo.

John Berryman – to samo.

Sylvia Plath – to samo.

James Wright – pijak.

O'Hara – nie wiadomo. Bardzo tajemnicza śmierć pod kołami samochodu na Fiery Island, gdzie nie wolno wjeżdżać samochodom.

Elisabeth Bishop – pijaczka.

Ameryka jak Kronos pożera własne dzieci.

Najlepsi poeci Ameryki giną pod jej kołami.

* * *

O czym oni bredzą.
Czy nie widzą?
Że – co? Że
– dusza?
Umiera?

* * *

Co ich obchodzi dusza, pardon. Z nią można jak z Bogiem, pozamieniać numerki do szatni i już. Bóg jest carem. Car jest Hitlerem. Hitler jest Bogiem. Bóg jest proszkiem do polerowania klozetu. Wszystko na b. Lub na d. Jak dupa. Lub na p. Jak money.

* * *

Piękne, do uścisku, twarze amerykańskich mężczyzn. Nieogolone lub go. Pełne witamin, czułej zwierzęcości, nawet zmarszczki u czterdziestolatków wybrużdżone są dłutem – nie zmęczeniem, jak we Wschodniej Europie, nie rezygnacją, jak w kolejkach po. Ich mocne, najczęściej dość krótkie nogi w rurkach dżinsów, w ucieczce przed samochodem policji, na tle neonów obijających się w mokrym asfalcie. Białe podkoszulki opinają opalony tors. Ich włosy na piersiach i na nogach. Ich bicepsy, chętne służyć tak dobrej, jak i złej sprawie.

A gdzieś w tle – ich kobiety, kotki, małe lwice, tygrysice oswojone pudrami Estee Lauder, szamponami Finesse, kremami Pond... Bezmyślne, włosowe, rozpuszczonosyte, też cielesno-odbytnicze, wciąż w restauracjach, w brylantach, w świetle świec i srebrnej zastawy prężące ciało, naprzeciw garnituru, krawata, półuśmiechu Toma Selicka albo de Niro – służebnice męskości, tło wdzięczne i aksamitne dla ciosu owłosioną pięścią w zęby, w brzuch, kopa tenisówkami w podbrzusze, rewolweru, który muskularne ramię wyjmie z tylnej kieszeni dżinsów i zastrzeli drugie ciało. Tylko ciało. Ciało.

* * *

Ciało ludzkie, jak wór mięsa podrzucane smochodami w pościgu, miażdżone w walce o dobrą, zawsze dobrą sprawę (w Ameryce Supermanów nie może być złej), dziurawione kulami, jak dziecko nożyczkami dziurawi lalkę. Tymczasem po drugiej stronie tego dwójmyślenia, tej obłudy, ich histeria kosmetyczno-cielesna. Zatrzymać czas! Odwrócić czas! Jogging, fitness, cholesterol, anty-nikotyna, maseczki, witaminy, ich obsesja dietetyczna i zdrowotne fobie. Ciało, ciało. Nieśmiertelne młode ciało w słońcu Kalifornii, na desce wśród fal, na Hawajach.

W Kalifornii Andrzej Ch. natychmiast przebrał mnie w kolorowe szorty i czapeczkę oraz koszulkę z napisem „Palm Beach", dzięki czemu swobodnie, bez paszportu przekroczyłem granicę do Meksyku. A dwa tygodnie później, gdy tak ubrany wysiadłem na Manhattanie – Reniek złapał się za głowę. Jak ty wyglądasz! te kolory! Tu czernie, tylko czernie, jak w Paryżu w latach 50. A potem Santa Fe i brązy, tylko brązy, zgniłe zielenie i sepie (pouczała mnie elegantka Renée) – więc w końcu coraz bardziej czułem się w Ameryce jak w całkiem niezłej, dekadenckiej Europie. W Paryżu, gdzie też ta swoboda pozorna, ten luz wymuszony, ten system znaków, kolorów, niby w koropracji dziewiętnastowiecznej w Oksfordzie lub Heidelbergu.

Stamtąd to przywieźli – razem z Biblią, kiłą i Szekspirem dla analfabetów.

* * *

Miażdżą mi mózg trzydziestoma sześcioma kanałami
telewizji kablowej.
Śmieją się i miażdżą.
Miażdżą i się śmieją.
Mózg.
Mój.
Zwolna się do tego
przyzwyczaja.
Zwolna
zaczyna to lubić.

Grzegorz Musiał

Leszek Szaruga

Tym czasem (10)

76

Wypisuje – podczas lektury pospiesznej, noblowskiej książki Małgorzaty Baranowskiej (pisanej z pomocą Janiny Szwedowskiej) o Szymborskiej – fragment wiersza, dwa zdania, które być może będą kiedyś, za wiele lat, paradoksem:

Doszło do tego, że siedzę pod drzewem,
na brzegu rzeki,
w słoneczny poranek.
Jest to zdarzenie błahe,
I do historii nie wejdzie.

Już jakby troszeczkę do historii weszło, myśli, tak odrobinkę, przynajmniej do historii literatury. Być może to „błahe" zdarzenie wpłynęło na decyzję przyznania Szymborskiej owej nagrody. Być może któryś członek komitetu przeczytał tę właśnie strofę, te dwa zdania i być może te właśnie dwa zdania zadecydowały o tym, że zaczął przekonywać innych członków komitetu o wadze tej poezji. I tu już trochę historii wypełnia owo zdarzenie. A być może, dodał, to dopiero początek.

Tak prawdę mówiąc, zauważył, Szymborska się tu bawi, gdyż ona wie dobrze, że wszystko, co się wydarzyło, już weszło do historii, nawet to siedzenie podmiotki lirycznej pod drzewem weszło do historii, gdyż zostało napisane, a co napisane, już jest historią nawet wtedy, gdy się nie wydarzyło. To siedzenie pod drzewem, na brzegu rzeki (czy Heraklit siedział pod drzewem na brzegu rzeki?), a może nie pod drzewem tylko po prostu na brzegu rzeki, jak w tytule tomu Miłosza „Na brzegu rzeki", okazuje się nie tak znów „błahe".

Ale to jeszcze nie wszystko, kontynuował swą myśl, bo być może ten wiersz, w którym zdarza się to siedzenie na brzegu rzeki, a będzie się zdarzać tak długo, jak długo ktoś będzie to czytał, zatem może ten wiersz, zamykający, jak każdy wiersz, jakąś tajemnicę, nagle kiedyś tę tajemnicę, odrobinę owej tajemnicy, nie całą, odsłoni i ujawni coś, co jest skryte, a co jest bardzo, bardzo dla historii ważne. I wówczas to siedzenie pod drzewem na brzegu rzeki, to właśnie siedzenie, na brzegu tej właśnie rzeki, rzeki nie nazwanej po imieniu (może to Rubikon?, może Niemen?, może Wisła?, a może nawet Leta?) stanie się wydarzeniem historycznym.

Lecz przecież, zauważył, te wydarzenia historyczne też są błahe, błahe jest wszystko, przemijające, za chwilę tego nie będzie, nie będzie drzewa, nie będzie

rzeki, która się zmieni, przesunie swe koryto, zapadnie się pod ziemię, wyschnie, zaś język, w którym to zapisano, stanie się martwym językiem, jak łacina...

77

Otrzymał datowany 31 października 1996 roku numer „Gazety Lwowskiej", założonej w roku 1811, w tej chwili wznowiono jej wydawanie po przerwie w latach 1944 – 1990, a oznacza to, że wydawano ją zarówno podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej w latach 1939 – 1944, później Lwów stał się częścią Sowietów, dziś jest miastem wolnej Ukrainy. Numer w większości poświęcony pierwszemu Festiwalowi Kultury Polskiej na Ukrainie. Odnalazł w nim m.in. wywiad prof. Krzysztofa Dybciaka z KUL-u, w którym zarówno uczony, jak prowadząca z nim rozmowę redaktor naczelna „Gazety" ubolewają nad rezerwą Miłosza w stosunku do patriotyzmu, i nad jego wypowiedziami w tej kwestii, które, jak stwierdza Dybciak, „są jakby rażące dla Polaków, raniące, a dotyczące przecież polskości, polskiej historii najnowszej, katolicyzmu polskiego, którego nie docenia, lekceważy, pomija w swojej twórczości". Uczony kontynuuje: „Cenię go jako artystę, jako mistrza, natomiast myślicielem nie jest najlepszym, im bliżej ostatnich lat, tym więcej rzeczy takich, no... np...: jego zrozumienie sarmatyzmu jest zupełnie anachroniczne. Dzisiaj już od studentów pierwszych lat studiów wymaga się zrozumienia sarmatyzmu jako wielkiej formacji kulturowej. Owszem, były wtedy wady, ale przede wszystkim ogromne zalety. To nadawało oryginalność polskiej kulturze. Niestety, Miłosz, jako intelektualista, jako emigrant, ma stosunek do polskiego sarmatyzmu podobny jak w szkole... komunistycznej. Jest to zaskakujące".

Bo Polska wszak wielką jest, pomyślał, tak wielką, że polska kultura nie musi się czuć odpowiedzialna za polską historię. Oryginalność sarmatyzmu polegała w końcu i (ten spójnik ma znacznie, lecz trudno go zapisać rozstrzelonym drukiem!) na tym, pomyślał, że zniszczyła zdolność samoobrony. Pisał Miłosz o słabości polszczyzny, o tym, że wynikiem braku zmysłu formy w języku może być upadek polityczny, zastanawiał się nad tym, czy taka współzależność istnieje. Dla Dybciaka nie istnieje, dla Dybciaka wszystko istnieje osobno, dla Dybciaka istnieje osobno naród, osobno państwo, osobno historia, osobno kultura – nic się nie łączy z sobą, nie ma na siebie wpływu. Dobrze, pomyślał, że jednak nie uczyli mnie intelektualności pokroju Dybciaka, lecz także emigranci, którzy z oddali widzą trochę więcej. I – dodał – odszczepieńcy w rodzaju Stanisława Brzozowskiego.

Można założyć, dorzucił, że piszący w 1785 roku komedię „Sarmaci" Franciszek Zabłocki raczej nauk w szkole... komunistycznej nie pobierał, a mimo to przecież „wielka formacja kulturowa" kojarzyła mu się niedobrze, zapewne z powodu zapatrzenia w ohydne, libertyńskie, oświeceniowe wzorce francuskie.

Zaś co do polskiego katolicyzmu, pomyślał, to wolę katolicyzm bez przymiotów narodowych. Katolicki znaczy powszechny, czego niektórzy Polacy nie potrafią się nauczyć nawet wówczas, gdy przywdziewają togi profesorskie. To oni właśnie tworzą emigrantów wyganiając z kraju Fratres Poloni, właśnie w dobie tak

ukochanego przez profesora sarmatyzmu. Wygnani założyli ośrodek promieniującej myśli w Niderlandach, wpływając nawet na tezy „Listu o tolerancji" Locke'a. List ten do Dybciaka jeszcze nie dotarł, a szkoda.

78

Zajrzał do słownika Doroszewskiego, by sprawdzić znaczenie słowa „kaduk", gdy nagle wypadł spomiędzy kart książki egzemplarz siódmego numeru tygodnika „Opornik" datowany 22 marca 1982 roku (ile jeszcze podobnych papierów powtykanych w różne zakamarki zdoła odnaleźć?; niedawno w jednej z książek wykrył parę tysięcy złotych z kasy redakcji „Pulsu", dziś pieniądze bez wartości, dawniej połowa niezłej pensji). W środku artykuł podpisany „zyx" – zajrzał do „Słownika pseudonimów" i odczytał: Wojciech Giełżyński – a zatytułowany „Zarys narodowej sytuacji", w którym uwagę dziś zwraca pewien fragmencik: „Prawda: Powstanie Warszawskie było totalną i bezużyteczną klęską (przynajmniej w doraźnym rozliczeniu historycznym) postawy romantycznej, lecz nauka historii nie wypowiedziała jeszcze ostatniego zdania, w jakim stopniu tragedia ta wynikła z błędów dowódców Polski Podziemnej, a w jakim z planowej prowokacji Stalina. (Nie zgadzamy się w tym miejscu z autorem. Sądzimy, że właśnie Powstaniu Warszawskiemu zawdzięczamy, że Polska nie jest 17-tą republiką ZSRR – redakcja)". Jakby przedłużeniem tej refleksji w nawiasie są słowa Stefana Kiesielewskiego, zanotowane w 1975 roku na temat Powstania: „Pokazało ono, iż jest tu społeczeństwo, które w odpowiednich warunkach psychologicznych gotowe jest poświęcić swoją stolicę, wszystko, co materialne, i bić się do ostatka, do śmierci. Rosjanie dobrze to zapamiętali i boją się tego ludu, tak jak bać się można gotowego na wszystko wariata. Tu pułkownik Rzepecki ma rację – oczywiście, usprawiedliwia Powstanie, ale coś w tym na pewno jest. Duża cena była zapłacona, jednak rezultaty trwają".

Pomyślał, że właściwie większość tych, którzy w Powstaniu brali udział, zgadza się dziś co do tego, że było ono politycznym błędem, wojskowym nonsensem, lecz tylko niewielu z nich zdaje sobie sprawę z faktu, jak na następne generacje oddziaływała legenda tego zrywu. Oddziaływała zresztą różnie. Warto może, pomyślał, przypomnieć refleksje dość haniebne, jakie na temat Powstania zapisywał przed laty w eseju „Próba sensu" Krzysztof Gąsiorowski (tak nawiasem mówiąc, dodał, poeta skazany dziś, jak wielu innych jego kolegów, na nieistnienie przez swój komuszy i poplątany życiorys): „Powstanie Warszawskie, ta ostatnia figura czarnego poloneza, który od półtora wieku gubił najwartościowszą młodzież polską, ledwie tylko zdążyła podrosnąć; ta ostatnia figura czarnego poloneza miała zbyt wielką cenę, abym bez dostrzegania jej konsekwencji ostatecznych mógł wliczać ją w kształt mojej pamięci. (...) I właśnie w chwili takiej niezgody zderzyłem się z problemem Powstania najokrutniej. Uprzytomniłem sobie, że cena krwi, jaką za nie zapłaciliśmy, była najmniejszą z możliwych. Była najmniejszą ceną łez za Polskę dzisiejszą. W konkretnym układzie politycznym lat czterdziestych, wobec wszystkich nawyków, które wbudowała w nas nasza historia – nieuchronna kata-

strofa polityczna i militarna Powstania Warszawskiego była najmniejszą ceną za nieuchronną rewolucję socjalistyczną w moim kraju". To oczywiście, wymaga dziś przekładu na polski i osadzenia w ówczesnym stylu myślenia ludzi do Gąsiorowskiego podobnych, tych więc, którzy pochwycenie Polski w sferę półokupacji sowieckiej traktowali jako oczywistość, zaś narzucony system jako wypełnienie marzeń o „postępie społecznym". W tym kontekście cytowane słowa oznaczają tyle tylko: dobrze się stało, że w Powstaniu wyginęli przeciwnicy Sowietów, gdyż gdyby to nie nastąpiło, to w czasie instalowania komunizmu w Polsce ci właśnie młodzi ludzie, których śmierć była wedle Gąsiorowskiego „najmniejszą ceną łez" za Polskę komunistyczną (akceptowaną przez autora), byliby ośrodkiem oporu wobec okupantów, a to kosztowałoby pewnie jeszcze więcej. I tak by było, choć w tej sprawie – dodał – pewnym być niczego nie można, zwłaszcza gdy się zna życiorysy niektórych przedstawicieli ruchu oporu (choćby Kazimierza Koźniewskiego czy Romana Bratnego), którzy bez specjalnych oporów porzucili swe niegdysiejsze ideały, by z komunistami współpracować. Czy taki na przykład Trzebiński nie poszedłby drogą Borowskiego: kto wie?

I wreszcie zastanowił się nad własną postawą wobec Powstania: byłem – wspomniał – wychowany przez matkę, która w Powstaniu brała udział i która uważała je za idiotyzm, niemniej przecież właśnie z nią się kłóciłem o owe długofalowe, niewymierne efekty tego zrywu, te właśnie, które stanowiły o opozycyjnej drodze moich rówieśników, ich zgodzie na ryzyko, co w końcu pozwoliło wielu wyrwać się ze stylu myślenia reprezentowanego przez Gąsiorowskiego et consortes, tego więc stylu, który był nam mniej i (UB) bardziej zręcznie wpajany. Ten styl myślenia politycznego nosi kryptonim Realpolitik.

79

Czyta prasę fachową i parfachową. Humanistyczną. Czyta, bo musi. Stara się utrzymać na powierzchni. Śledzi nowe trendy i mody. Jedni derridzą, inni deleuzeują. (Notuje naprędce temat doktoratu: Eco jako wstęp do ecologii). Postmodernizm i ponowoczesność. I nagle natrafia na „postponowoczesność". (Wymyśla szybko: neopostponowoczesność – dwa pokolenia dalej!). Submodernizm! Kontra, rekontra, subkontra. Pas! Pas! Pas!

Leży bez jednej. Zastanawia się dlaczego. Wie już: zabrakło w tym czegoś ludzkiego. To już tylko mechanicznie nakręcająca się spirala terminów i definicji, świat uczniów czarnoksiężnika. Kto jest czarnoksiężnikiem? Nietzsche? Kierkegaard? Może wcześniej: Blake?

Zastanawia się, do jakiej szkoły należy.

Przypomina mu się stary dowcip. Biorą górala do wojska. Imię, nazwisko itd. Wreszcie pytanie: Kawaler? – Niiii... Kolejne pytanie: żonaty? – Niiii... Następne: rozwodnik? – Niii... Jeszcze jedno: wdowiec? – Niiii... Wrzask: no to co do jasnej cholery?! – A tak chodze sobie i dupce...

No właśnie, pomyślał, tak najlepiej. Tylko, dodał, jak do tego porobić przypisy?

80

Z tomu Ryszarda Krynickiego „Magnetyczny punkt" przepisuje utwór zamykający zbiór:

stuk – puk

(przez sen,
30 VI / 1 VII 1992)

nic
ości
nie ma
ale coś
ć
ma

być

Wiersz? Zapis (poetycki)? Coś się – stuk – puk – dobija. Co się dobija? Cość. Tymczasem nicość została rozebrana do ości. Stuk – puk podąża ślepiec prze ciemność, błądzi. Nicość nicestwieje. Coś-ć – coś dla ciebie, coś tobie, coś ci – ma być. Nie ma być nicości. Ma być cość. W bezokoliczniku: być. Ciąg samogłosek: i-o-i-e-a-a-o-a-y. Ciąg spółgłosek: n-ś-c-n-m-l-ś-ć-m-b-ć. Notatka z widzenia sennego. Z objawienia (językowego?). Olśnienia. Na olśnienie wskazują wszystkie „ś" i „ć" oraz „ni": lśnić, olśnić. Rozświetlić noc, noc egzystencji. Coś(ć) wyjaśnić.

81

Wynotowuje z gazety: „Odnalezione w 1910 roku w Niemczech szczątki Coelurosouravusa jaekeli, żyjącego 250 mln lat temu, należą do najstarszego latającego gada. Dopiero teraz odkryto, że jego skrzydła nie były powiązane ze szkieletem, a więc nie odpowiadały kończynom przednim, jak u ptaków, lecz wyrastały ze skóry, tworząc odrębny układ kości. Jest to jedyny znany przypadek takiego rozwiązania budowy skrzydeł, poinformował „Science". Prototyp anioła? Może. Może, pomyślał, gdzieś się taka gadzina – na przykład na Galapagos albo Wyspach Kanaryjskich (ale tych wysp chyba jednak nie było 250 mln lat temu...) – dochowała do czasów historycznych. Ktoś tam kiedyś dotarł jakimś czółnem, tratwą, wrakiem wytarmoszonego przez sztorm korabia, potem wrócił, opowiadał, że widział takie dziwo, co to do niczego podobne nie jest, postać skrzydlatą. Może to gdzieś jako szkielet przetrwało, w lodach jakichś, wykopano to, potem się rozpadło, zgniło, została legenda.

Rozum goniący anioła...

Przechadzał się spokojnie, gdy nagle napadła nań polityka. Polityka objawiła się w komentarzach na temat. Tematem był zbiór szkiców Jerzego Pomianowskiego. Zbiór szkiców Pomianowskiego nosi tytuł „Ruski miesiąc z hakiem". Sam Jerzy Pomianowski nosi tytuł do chwały. Tytułem do chwały Jerzego Pomianowskiego jest jego działalność translatorska. Pomianowski przełożył na język polski m.in. Babla i Sołżenicyna. Ale Pomianowski do tego się nie ogranicza. Jako publicysta, przede wszystkim „Kultury", zajmuje się polityką. Szczególnie upodobał sobie problemy polskiej polityki wschodniej.

Otóż Jerzy Pomianowski uważa, że polska polityka wschodnia jest zbiorem doraźnych odruchów, a nie realizacją planu zmierzającego do umocnienia polskiej suwerenności. Twierdzi zwłaszcza, że wobec Najbliższego Wschodu (termin Pomianowskiego) Polska winna wykazywać inicjatywę, której celem jest wzmacnianie niezależności Ukrainy, Białorusi i Litwy. Wedle Pomianowskiego, niepodległość tych krajów wyznaczać winno nie tylko polską, lecz także rosyjską rację stanu. Pomianowski sądzi również, że dla realizacji tych planów Polacy winni odnaleźć partnera w politycznych elitach Rosji. Polska winna stać się dla tych elit tłumaczem, który im uprzytomni, iż jedynie rezygnacja z imperium jest gwarancją zachowania mocarstwowości Rosji. Takim partnerem dla Pomianowskiego jest w chwili obecnej generał Lebied, prawdopodobny następca prezydenta Jelcyna. W ogólnym zarysie Pomianowski kontynuuje tu myśl polityczną Juliusza Mieroszewskiego. Myśl Mieroszewskiego – a także Jerzego Giedroyca i innych twórców „Kultury" – ma to do siebie, iż wydawała się niegdyś polityczną fantazją, zaś dziś jest dowodem politycznego realizmu, który tym się różni od Realpolitik, że kierowany jest stałą wizją, a nie jedynie aktualnym rozpoznaniem sytuacji.

Można z koncepcją Pomianowskiego polemizować, pomyślał. Można na przykład uważać, iż nie tylko Lebied' może być partnerem Polaków. Należy zapewne politykować z Rosją na różne sposoby. Nie powinno się, myśli, rezygnować z żadnej alternatywy. Trzeba jednak, dodaje, odrzucać lub blokować te rozwiązania, które zagrażają polskiej niepodległości. I tu Pomianowski ma rację: trzeba ustalić w polskiej polityce wschodniej niepodważalne priorytety i starać się zachować swą podmiotowość. A trzeba tak czynić, gdyż najmocniejsi nawet zachodni partnerzy Polski nie uchronią Polaków przed skutkami braku politycznej inicjatywy. I warto o tym wszystkim dyskutować.

Zamiast dyskusji słyszy tymczasem jedynie wyrzekania na to, że Pomianowski „postanowił stać się prorokiem w sprawach rosyjskich" (czyżby znów: „trudno być prorokiem we własnym kraju"?). Że pisze co prawda pięknie, lecz pisanie to nie ma większego sensu. Że polityczna myśl Pomianowskiego to dziecinada i fantastyka. Cóż, można i tak, pomyślał. I dodał zaraz: w polskiej myśli politycznej znów zaczyna się odradzać doraźność i styl Realpolitik reprezentowane niedawno choćby przez takiego profesora Adama Bromke, ten najgorszy spadek po endecji, charakteryzujący się brakiem wyobraźni i przekonaniem, że historia stanęła w miejscu.

Jak to możliwe w społeczeństwie, które tak jest zależne od najdrobniejszych nawet wstrząsów polityki światowej, tego nie sposób zrozumieć. Zaprawdę miał rację poeta, gdy pisał, iż „nowe przysłowie Polak sobie kupi, że i przed szkodą i po szkodzie głupi". Róbta tak dalej! – zakończył.

83

Już dawno zauważył, że Księga istnieje w rozproszeniu, trzeba więc bardzo uważnie czytać, pilnie uważać, nieustannie ćwiczyć swą wrażliwość, otwierać się na każde słowo. I znów wytropił słowa Księgi – tym razem wpisane w esej Krystyny Miłobędzkiej „Wszędzie ty".

„Rodzina słów (wyrazów): razić urazić porazić wrazić wrażenie wyrażenie wrażanie obraza obrażenia obraz. Co je łączy? Razy. Przyjmowanie i zadawanie razów.

Co mnie razi, uraża, poraża i czym ja rażę, urażam, porażam?

Ty wrażające się we mnie i ja wrażające się w ciebie.

Wrażliwość. Nie jest. Dzieje się. Między nami. (...)

Rozpłynąć się, rozwiać w tobie, w świecie, w tekście.

Jest ty. Nie ma ja. To się zdarza. Taki cud wrażliwości: nie ma wrażliwości. Nie znam takiego słowa, nie ma mojej skóry, nie przyjmuję razów, nie oddaję razów. Nie porażam, nie obrażam, nie wywieram wrażenia. Nie mam obrazu ciebie – pierwszy raz cię widzę: ty jesteś właśnie takie. Gdyby się dało wymówić cię bezimiennie, nie nazywając śliwą, niebem, stołem, świnią, człowiekiem.

Porażająco jasne. Bez cienia mnie.

Ta sekunda: urażające i urażane ja znika. Widać każde ty, otwiera się świat.

Zostaje doświadczenie. Nie ma obrazu".

Bez obrazu, bez obrazy, nie doraźnie, na zawsze.

84

Boi się dwóch typów myślenia – tych, które, jak u Platona, nakazują wypędzenie poetów z Republiki i tych, które, jak u admirałów postmodernistycznej ponowoczesności zmierzają do stworzenia Republiki Poetów. W pierwszym wypadku musi się to skończyć jakąś odmianą totalitaryzmu, w drugim – wojną wszystkich ze wszystkimi.

Niech sobie, pomyślał, wezmą to do serca ci wszyscy, którzy dziś w Polsce („W Polsce czyli gdziekolwiek" – dobry pomysł na tytuł) protestując przeciw „zawłaszczeniu kultury przez lewicę" usiłują stworzyć „kulturę prawicową". Jeśli nie zrozumieją, że kultura nie jest ani prawicowa, ani lewicowa, za jakiś czas będą się czuli tak, jak dziś czują się byli socrealiści.

Leszek Szaruga

Marek Adamiec

Przeglądamy... malarstwo włoskie...

Rozniecilismy nasze ognisko
By odgrodzić swoje wieczory
Od ludzi wszystkich jak od chorób
Niech się kołysze i błyska
Niech złote śpiewają iskry
W naszym ognisku...
Andrzej Bursa, „Nasze ognisko"

W zasadzie to by wypadało pochylić się troską nad dokonaniami Zaczynających Pisać I Zapowiadających Się. Wypadałoby, a jakże, ale nie wiedzieć czemu przypomniało mi się to, co Andrzej Bursa miał do powiedzenia na temat małych miasteczek. Niesłuszne to było, i nie parlamentarne, więc powtarzał nie będę, by Zaczynających Pisać I Zapowiadających się nie gorszyć i nie obrażać. Bardzo nie lubię pracy w ogrodzie, krzyż mnie od tego boli i mniewam zawroty głowy. A w dodatku Piszący Urodzeni Po 1960 Roku mają już swe leksykony i wybory poezji, z Urodzonymi Po 1970 i Urodzonymi Po 1980 sprawy nie mają się tak różowo, alić to nie moja wina, podobnie nie moją winą jest to, że Urodzeni Po 1990 Roku dopiero uczą się pisać, to zaś znaczy, że tak naprawdę to do nich przyszłość należy, że oni właśnie najbardziej zasługują na Troskliwe Pochylenie Się, na Życzliwe Omawianie, wkrótce to oni posiędą ziemię. Nawet, ukrywał nie będę, pochylić się chciałem i omówić, ale najpierw coś mi w krzyżu trzasło, potem zazwyczaj życzliwy mi głos wewnętrzny rzucił nieżyczliwie: „może byś tak okazał się oryginalny i pozytywną recenzję z Konwickiego machnął, zabieraj się do roboty". I tak moje zacne intencje po raz kolejny diabli wzięli, i znowu będzie można mi postawić miażdżące zarzuty, że ja nie interesuję się życzliwie dokonaniami Zaczynających Pisać I Zapowiadającyvh Się, niewiele także mam do powiedzenia na temat wiekopomnych dokonań Piszących Urodzonych Po Roku 1960, którzy swymi chyżymi piórami przeorują skostniałą glebę Współczesnej Literatury Polskiej, wnosząc do niej swój cenny wkład. Wkład wkładem, mierzwa mierzwą, jam się tylko przez chwilę zadumał, co też porobiło się z generacją, której niegdyś Jan Błoński poświęcił książkę pod nieco militarystycznym tytułem: „Zmiana warty", ale rychło ta zaduma jakoś mi przeszła.

Nie ma co ukrywać, dość dawno przeszła mi także ochota na napisanie recenzji z książki Tadeusza Konwickiego pt. „Pamflet na samego siebie", a to dlatego, że o czym tuaj pisać, ostatecznie to musiało mieć taki akurat przebieg, po „Czytadle" – zgodnie z rytmem sinusoidalnym nadeszła pora na szlochy nad samym sobą, a jako że chodzi tutaj o jednego z największych pieszczochów współczesnej literatury polskiej, nadeszła pora na pieszczoty. Oczywiście, że byłoby dobrze, gdybym napisał, iż Tadeusz Konwicki skończył się jako pisarz, pozostała mu tyl-

ko umiejętność skuczenia i zawodzenia. W zasadzie coś takiego można napisać po każdej książce Tadeusza Konwickiego, potem okazuje się, że była to jeszcze jedna gra, jeszcze jedna poza, jeszcze jeden figiel ciemnego Litwina czy jak go tam jeszcze inaczej zwać. Ano trudno, tak musi być.

Figle – figlami, znakomity esej Jerzego Stempowskiego pt. „Pan Jowialski jego spadkobiercy" tutaj się przypomina, tymczasem zastanowić się warto nad jedną z sylw, składających się na kolejną książkę Tadeusza Konwickiego. Autor „Wschodów zachodów księżyca" tym razem (może po raz kolejny) powiada tak:

„Kilka razy w życiu umierałem jako autor. Ostatnio stało się to w tym czasie, kiedy wydawałem książki w tak zwanym drugim obiegu, czyli w podziemiu opozycyjnym końca lat siedemdziesiątych i połowy osiemdziesiątych. Szły one w niewielkich nakładach, docierały tylko do grupki warszawskich czytelników, zatem pozostali oswoili się z myślą, że umarłem i przeszedłem cicho do historii.

Na początku stanu wojennego, w atmosferze patriotycznego uniesienia, odprawiano w kościołach nawet msze żałobne za moją duszę.

Ciekaw jestem, czym się skończy ta kolejna, dzisiejsza moja śmierć."

Dość długo odkładałem lekturę tej książki Konwickiego, kolejne książki Konwickiego zawsze czytam (chociaż nie jestem warszawskim czytelnikiem) ze sporym opóźnieniem, chowam je przed sobą samym w najbardziej niedostępnych miejscach, wydobywszy je z przemyślnego schowka najpierw starannie obwąchuję, ważę w ręku, po czym ponownie chowam. Aż wreszcie przychodzi ta chwila, której nie da się uniknąć. Bo prawda jest banalna, straszna: jestem uzależniony od Konwickiego, co więcej: dawno przestałem walczyć z tym akurat uzależnieniem. Ale dość tego, nie ma żadnego powodu, bym jeszcze teraz ja, do tego wszystkiego dodawał swoje własne skuczenie i pojękiwania, nie sądzę, żeby dla mnie samego było to zajmujące.

Tym razem było tak samo. W końcu jednak stało się: przeczytałem „Pamflet na samego siebie". Przeczytałem i zrobiło mi się jakoś głupio, bo już w połowie tomu nie pamiętałem zupełnie, o czym mowa była na początku (z czego wnioski dwa, wzajemnie się wykluczające: albo z moją pamięcią coraz gorzej, albo Konwicki dołączył do grona neopostmodernistów), kończąc zaś zapamiętałem (więc jenak pamięć mi dopisuje) tylko tę uwagę:

„Życzliwi czytelnicy pytają mnie nieraz, kiedy napiszę wielką książkę, epopeję, która by zawierała pełny obraz naszyvh burzliwych czasów, czyli jądra dwudziestego wieku. Ja uśmiecham się, stękam, bąkam wstydliwie i nie mogę się wykskuzować. Bo oni powtarzają banał, retoryczny dezyderat, powiedzonko, którym się częstowało pisarzy sprzed pięćdziesięciu lat.

Tak. Kiedyś, sto lat temu, literatura była zwierciadłem epoki. Z książek dowiadywano się, jak żyje arystokracja francuska albo jak wygląda Nowy Jork, w powieściach znajdowano opis obyczajów chińslich czy relacje podróży po Afryce. Ale dziś? W czasach filmu, telewizji, radia i łatwych wycieczek dookoła świata? Wystarczy otworzyć aparat telewizyjny, żeby w pół godziny dowiedzieć się, jak wygląda świat i co na świecie słychać.

Tak. Jeszcze dziś powieścidła drugorzędne, czytadła produkowane przez straszne baby amerykańskie i angielskie, te opasłe tomy wloką tasiemcowe opisy rzeczy

i spraw dobrze znanych czytelnikom, którzy nawykli do takiego kitu i żołądki ich wymagają jałowego balastu.

Ja widzę swoją współczesność w blasku flesza. Zapisuję ją w raptownym rozjaśnieniu, kiedy ta błyskawica w osobliwej chwili rozżarza pierwsze plany i zaczernia wyolbrzymionymi cieniami nie zidentyfikowane tło.

Powieść zbliża się do poezji. A ja razem z nią".

Jużem chciał plackiem z zachwytu paść, kiedy refleksja mnie naszła taka niewielka: kurcze blade, przecież Jemu znudziło się opowiadanie historii, przecież Jemu znudziło się nawet opowiadanie Jego własnych, zakłamanych historii i do tego dorabia ideologię. Oczywiście, że zakłamaną, jak zwykle, chociaż tym razem jak najbardziej na czasie, bo w tonacji postmodernistycznej utrzymaną; oj, jedno w tym dobre, że feminizmu w tym mało.

Nie mam zamiaru pisać, że Tadeusz Konwicki skończył się jako pisarz, że „Pamflet na samego siebie" jest ewidentnym dowodem tej klęski, ostatecznie tzw. autoplagiaty to jego specjalność. Podobnie jak zawodzenia o końcu świata, upadku obyczajów i o kilku jeszcze innych, pomniejszych końcach. Uważny czytelnik chyba bez większego kłopotu dostrzeże „dalsze ciągi" wcześniejszych tekstów Konwickiego, tutaj rozproszone w sposób kapryśny i cokolwieczek minoderyjny, nie ma zamiaru pozbawić owego uważnego czytelnika zabawy. Zresztą, czy o to chodzi w zabawie w literaturę?

Bo tak naprawdę, to chodzi mi o jedno, o to, co Henryk Krzeczkowski napisał dość dawno, bo w roku 1970 w szkicu pod tytułem „Wakacje w Warszawie":

„Powiedziano mi, że zgłaszanie pretensji do literatury jest w złym tonie. Przypomniano mi surowo, że czytanie jest trudną sztuką, której trzeba się uczyć; że nie należy mówić o tym, czego się nie rozumie; że nie wolno oceniać dzieła sztuki miarą własnych gustów. Nie pozwolono mi dojść do słowa, wytłumaczyć się, prosić o przebaczenie. Wobec tego zagniewałem się i utwierdziłem w swoich błędach. Będę nadal zgłaszał pretensje do książek i pisarzy, będę nadal stosował moje własne kryteria i nie będę się zmuszał do odkrywania mądrości w najgłośniejszym nawet dziele, jeśli za pierwszym czytaniem wyda mi się całkiem niezrozumiałe, a także głupie i nieciekawe. [...]

Czytam [...] książki, które wydają się adresowane do mnie. I tylko do autorów takich książek zgłaszam pretensje. Nie uważam bowiem dzieła literackiego za prawdę objawioną, a tylko za zaproszenie do wymiany myśli, za wciąganie mnie do dyskusji o sprawach ważnych, o których literatura winna traktować. Ma to być dyskusja, z której wyniosę pewien pożytek – głębszą wiedzę o poruszanych sprawach, szersze spojrzenie na problemy, z których autorem rozmawiam, lepsze rozumienie kwestii dotąd nie całkiem dla mnie jasnych. Dyskusja wymaga pewnego wstępnego porozumienia stron. Obie muszą mówić tym samym językiem, muszą wypowiadać swoje odmienne lub zgodne racje w słowach dla obu stron zrozumiałych. Sądzę, że w literaturze tym wspólnym językiem jest przynależność do wspólnej tradycji kulturalnej, gramatyka tego języka, szacunek dla tradycji, zaś jego duchem absolutna uczciwość wypowiedzi. Tylko przy zachowaniu tych prawideł możliwa jest wymiana myśli nawet najbardziej różnych, porozumienie przy najbardziej nawet rozbieżnych poglądach i wnioskach.

[...]

Literaturę kochają przypuszczalnie pisarze, tak jak wszyscy ludzie kochają zawód dobrowolnie obrany, dający im pełne możliwaści wyżycia się osobistego i społecznego. Kiedy jednak słuchamy tego, co pisarze w chwilach szczerości mówią a swoich kolegach żywych i umarłych, bliscy jesteśmy stwierdzonia, że i oni literatury «jako takiej» nie kochają. Kochają swoje pisarstwo i to im (a także i mnie) wystarcza. Bywają nawet zdolni do pewnych poświęceń w imię swego powołania. Nie spotkałem natomiast krytyka, który zdobyłby się na ofiarę dla literatury. Nie musi. Tylu pisarzy i książek czeka na jego gorące uczucia, że ma w czym przebierać i zawsze może sobie znaleść obiekt, który nie będzie mu sprawiał kłopotów.

Nie «kocham» literatury. Jest mi ona potrzebna, niazbędna jak powietrze i woda, jak chleb powszedni i conocny sen odświeżający siły. Jest mi potrzebna dla lepszego zrozumienia świata, dla oswojenia się ze światem i sobą. A skoro jest mi potrzebna, mam prawo stawiać jej wymagania, żądać, by mi służyła, bo w służebności widzę jej wielkość".

Szalenie to pozytywistyczne spojrzenie na literaturę, na jedną z największych świętości ducha i narodu polskiego. A do tego jeszcze powiewy ożywcze postmodernizmu chyba wywiały w ogóle taką stylistykę, taki światopogląd i w ogóle. Ale tak coś mi się widzi, że z tą miłością literatury bywało rozmaicie, że ta miłość i w Polsce formy przybierała razmaite. Także i takie, o jakich pisał Sołżenicyn (autor nieprzyzwoicie grubych książek) chociażby w powieści pt. „Krąg pierwszy":

„...Ale ...ale ...zaczęto drukować całe jego poematy; setki teatrów na prowincji wystawiały jego sztuki w ślad za stołecznymi; dziewczęta przepisywały jego wiersze i uczyły się ich na pamięć; podczas wojny centralne organy chętnie oddawały mu całe kolumny, wypróbował swoje siły jako reporter, nowelista i krytyk; ukazała się w końcu jego powieść i dostał nagrodę stalinawską, potem drugą, trzecią. I cóż? Dziwna rzecz: rozgłos był, ale nieśmiertelności jakoś nie było.

Sam nawet nie zauważył, czym i kiedy obciążył skrzydła, jak osadził na ziemi swojego ptaka nieśmiertelności. Być może wznosił się on w górę tylko w tych wierszach, które powtarzały dziewczęta. Zaś jego sztuki, jego opowiadania i jego powieść umierały w jego przytomności, zanim autor zdążył skończyć trzydzieści siedem lat.

Ale czemu to koniecznie człowiekowi zależeć na nieśmiertelności. Większość kolegów Gałachowa nie uganiała się za żadną nieśmiertelnością uważając, że o wiele wżniejsza jest pozycja w życiu doczesnym. Pies z nią tańcował, z tą całą nieśmiertelnością, czy nie ważniejsza to rzecz móc dzisiaj wpływać na bieg życiowych spraw? No i wpływali. Ich książki służyły masom, wydawane były w zawrotnych nakładach, zakupywane były z bieżących funduszów przez wszystkie biblioteki, dodatkowo jeszcze urządzano specjalne miesiące książki, żeby tylko więce ich upchnąć. To prawda, że o wielu faktach pisać nie można. Ale pocieszali się w ten sposób, że przecież kiedyś warunki się zmienią i że będą mogli wrócić jeszcze raz do tych spraw, oświetlić je z właściwej strony, korygując stare książki i wydając je w nowej wersji. A teraz trzeba było opisywać choćby tę czwartą, ósmą, szesnastą, tę, bierz ją diabli, trzydziestą drugą część prawdy, którą wolno było – choćby o miłości czy o przyrodzie, zawszeć to lepiej, niż nic."

Chyba bardzo trzeba było ukochać literaturę, żeby na takie ustępstwa się go-

dzić, pal licho tę nieśmiertelność, rodem z romantyzmu, ale jakby trochę żal tej prawdy. Żałowali jej wszyscy, sam Tadeusz Konwicki skuczał na kartach „Kalendarza i klepsydry":

„Najmilej byłoby pisać prawdę. Całą prawdę o czasach, o ludziach współczesnych i o sobie. Ale jest to niewykonalne z wielu powodów. Nie umiem pisać do szuflady. Żeby liczyć na potomnych, trzeba dużo dzikiej pychy albo strasznej pokory. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że za dziesięć lat ktoś sięgnie po moją książkę, a tym bardziej, że przyjdzie mu ochota szperać w moim domu, który do tego czasu może spali się ze trzy razy. [...]

Więc o czasach naszych mogę pisać zaledwie ogólnikowo, o ludziach bezimiennie i ostrożnie, a o sobie nie warto, bo łatwo wpaść w pułapkę obrzydliwego, minoderyjnego egotyzmu, w której udusiło się juz wielu tęższych od nas literatów. Najbardziej to mi szkoda tej prawdy o współczesnych. Mógłbym sobie nieźle pofiglować. Ileż warstw bujdy nosimy na sobie niczym cebulowych łusek. Niektórzy wyglądają jak stare karczochy. Prawda to jest instynkt gwałcony codziennie przez nas wszystkich. Prawda to jest ostatni łyk tlenu. Prawda to jest przedśmiertelne rozgrzeszenie".

W zasadzie ktoś może sobie pomyśleć, że czepiłem się Konwickiego. Co gorsza, tutaj ktoś może wysnuć mylny wniosek: ponieważ Konwickiego obsmarowałem, na Pokolenie Piszących, Urodzonych Po Roku 1960 lekceważąco prycham, przeto nic innego, jak obecnie zaprezentuję własną skalę wartości, co więcej, pochylę się i światu delikatną roślinkę objawię albo i czarnego konia. Nic z tego, jam nie Rafał Grupiński, triady heglowskiej nie darzę szczególną estymą, krytyka konstruktywna – wicie, rozumicie – jakoś mnie nie pociąga. Podobnie jak ogrodnictwo. I w ogródku przy domku, i na niwie kultury. Jakoś długo nosiłem w sobie smutek z powodu „Pamfletu na siebie", ale chyba dlatego, że do tej pory nie potrafię się jakoś uporać z tą książką. Ale pal to licho, ostatecznie to tylko mój problem. Natomiast już moim problem nie jest obowiązek kachania literatury, darzenia tej formy aktywności społecznej szczególną estymą. Tak naprawdę to nie daje mi spokoju następujący fragment „Pokus i przestróg" Henryka Krzeczkowskiego, z roku 1974:

„Czymże innym, jeśli nie zdradą powołania, jest postawa polskiego środowiska intelektualnego w powojennym trzydziestoleciu? Odczuwamy ją szczególnie dotkliwie, ponieważ zadaniem tej właśnie warstwy jest wyjaśnienie narodowi jego praw i obowiązków, określanie miejsca wyznaczonego mu w świecie, wreszcie wytyczanie celów historycznych, dla urzeczywistnienia których powołany on został do istnienia. Naród nasz, pozbawiony swych rzeczników, skazany został na milczący bunt przeciw porządkowi narzuconemu mu przez polityków, których autorytetu nie uznaje i uznać nie może, ponieważ nie kierowali się i nie kierują racją wspólnoty. [...]

Najbardziej bodaj znamiennym dla postawy większości intelektualistów aspektem ich działania było systematyczne zacieranie granicy między ugodą a zaprzaństwem, uzasadniane przez nich bezprawnym powoływaniem się na świadomie lub z ignorancji zniekształcane postawy i działania elit umysłowych w erze rozbiorowej. [...] Złowieszczym, lecz pouczającym będzie sporządzony kiedyś w przyszłości przez skrupulatnego historyka spis kompromitujących akcesów, zawstydzających hołdów, złowrogich deklaracji, pod którymi znalazły się nazwiska rozmaitych pre-

tendentów do miejsca w panteonie kultury narodowej; a także hańbiących przywilejów, którymi władze – nieskłonne do szczodrości, bo gardzące potulnymi wykonawcami swych poleceń – skąpo płaciło za brak charakteru. Właśnie charakterów brakło nade wszystko".

Jak ma się kwestia charakteru (przyznaję, to szalenie staromodne pajęcie) do imperatywu powszechnej miłości literatury, owianej aurą nieśmiertelności – a przepraszam, takich pytań nie należy stawiać.

Otóż rzecz w tym, iż nie mam zamiaru bić na alarm z powodu „czarnych dziur" na terenie literatury polskiej, nie mam zamiaru też unosić się na skrzydłach wielkiej metafory nad takimi czy innymi książkami, wydanymi ostatnio, które ponoć sytuują literaturę polską wśród literatur światowych. Pewne jest dla mnie jedno: istotna problematyka uczucia, jakie leciwe damy żywić mogą do zwierząt futerkawych nadal nie doczekała się swojej artystycznej realizacji, która by naruszała zaścianko-we normy moralne. Tematów do tej pory nie podjętych przez literaturę polską wyliczać nie będę, by nie znużyć enumeracją; mam nadzieję, że tę i wiele, wiele innych podejmie śmiało pokole Piszących, Urodzonych Po Roku 1990 (ewentualnie – proszę mi darować względny sceptycyzm – Urodzonych Jeszcze Trochę Później).

O czym będą pisali Piszący, Urodzeni Po 1996 roku? Tum ucha natężył ciekawie, by wsłuchać się w szmer kosmiczny życia prenatalnego, com usłyszał – opowiem za czas jakiś.

A tak naprawdę to mi żal właśnie prawdy, ja nie jestem drobiazgowy, o epitety spierał się nie będę, może to być i „prawda artystyczna". I kilku jeszcze innych pojęć, które jakoś zniknęły z języka rozmów o literaturze i kulturze. Zresztą, pal licho tę kulturę. Żyjemy w czasach tolerancji i powszechnej miłości, wszystko trzeba jednakim darzyć uczuciem. I znowu, jak w roku 1940 pisał Bolesław Miciński do Jerzego Stempowskiego:

„Tu na jednej ławeczce siedzą obok siebie Homer, Platon, Plotyn, Plethon i Platina; wariat Pitoń, którego po piętnastu latach nauczono w Kościanie otwierać puszkę z cukrem; Poe i Noe; lewica i prawica; Lewiatan i Prawiatan; lewatywa i prawatywa; Mickiewicz i Mackiewicz; ciele ze świńską nóżką, Flaubert i Boy [...]. Pitoń ciekawy, że taki głupi, Boy, że taki **mendrzec**, a cielę, że ma świńską nóżkę...

Cóż zatem zostaje? Ano, tylko sięgnąć po album malarstwa włoskiego i zaproponować odczytanie sztuki *quadrocentta* z perspektywy neopostmodernistycznej, albo jakiejkolwiek perspektywy, które niczym Lejzorek Rojtszwaniec mnoży nasze życie intelektualne. Nudne to będzie, bo nudne, ale na pewno odkrywcze, naruszające skostniałe normy moralne i inne... Nie przystoi przecie zakłócać zwyczajów naszego ogniska, przy którym niespiesznie acz konsekwentnie toczy się polskie życie literackie, bez którego nie można sobie wyobrazić ani ducha, ani narodu polskiego. Zawsze zostaje pełna namaszczenia refleksja nad motywem bólu i cierpienia w literaturze polskiej XX wieku. Tejże zaś bez Manueli Gretkowskiej i Olgi Tokarczuk wyobrazić sobie nie sposób – co też i było do okazania.

Marek Adamiec

RECENZJE

Mirosław Dzień

Czesław Miłosz: *piesek* prawie teologiczny. Zamyślenia millenarystyczne.

1. Można oczywiście rzecz całą rozpocząć od bardziej banalnej sprawy, niż doszukiwanie się jakichś znaków czasu, fantomów dopalającego się tysiąclecia. Tym nie mniej, aby podrażnić pozytywistów i podnieść poziom adrenaliny dekonstrukcjonistom, powiem bez ogródek, że Czesława Miłosza „Piesek przydrożny", to bardzo staroświecki, oczywiście w najlepszym tego słowa znaczeniu (jak stare wino, które dojrzało w zapomnianej piwnicy) dyskurs na eschatologiczne tematy.

Od razu postawię pytanie dość rzadko we współczesnej polskiej poezji formułowane: jaka jest rola zagadnień teologicznych w twórczości poetów? Pytanie z pozoru może mało istotne i marginalne, zwłaszcza w czasie kiedy, poddani jesteśmy wszechpotężnej machinie ponowoczesność, odsuwającej nas od realnego, obiektywnie istniejącego świata, a co dopiero zagadnień jakby na siłę i bez większego przekonania wyjętych z katechizmu. Być może właśnie dlatego głos Miłosza w jego ostatnim dziele jest odezwaniem się z innego świata, jest przywołaniem dylematów, które zamknęliśmy w szczelnym kufrze aporii, rzeczy mrocznych i nie dających choćby minimalnej satysfakcji na wyrwanie ich tajemnicy przez żądny sukcesów rozum. Jednak dla mnie taka postawa poety nie jest ani czymś specjalnie zaskakującym, ani tym bardziej bulwersującym. Miłosz od dawna wbrew panującym modom intelektualnym i estetycznym podejmuje tematy eschatologiczne. Jego dzieło wciąż się rozszerza, poniekąd właśnie teraz ujawnia sprawy którymi wewnętrznie oddycha. I nie pozostawałby w błędzie ten, kto patrząc na „Pieska przydrożnego", dopatrywał by się w nim spowiedzi poety, nie tyle ze swoich przewin, ile z dylematów z jakimi przyszło mu iść przez życie. Z pewnością najnowszy tom Miłosza nie jest apologią teologii, nie jest też obroną przed zapomnieniem i pominięciem tematów eschatologicznych. Te ostatnie przecież nie potrzebują obrońcy z tej jakże prozaicznej przyczyny, iż każdy nosi je w sobie, w każdym z nas zakorzenione są one jak mowa, która domaga się wyrazu, ekspresji.

Wielce wymowne i znaczące wydaje się być motto z Lwa Szestowa pomieszczone przez Autora na początku jego ostatniej książki. „Być może prawda jest z natury taka, że uniemożliwia obcowanie ludzi z ludźmi, w każdym razie obcowanie za pośrednictwem słowa. Każdy może ją znać dla siebie, ale po to, żeby wejść w związki z bliźnimi, musi wyrzec się prawdy i przyjąć jakiekolwiek umowne kłamstwo". Warto zauważyć, iż problem nieprzekazywalności prawdy, jest w istocie problemem jej „mistycznego" aspektu. Co bowiem znaczy fakt, że poznana prawda „uniemożliwia obcowanie ludzi z ludźmi"? Zdaje się, że chodzi tutaj o problem komunikacji interpersonalnej i tego wszystkiego, co w tejże komunikacji jest do utracenia. Znać prawdę dla siebie, to tyle co uczestniczyć w jej wyzwalającej mocy – „poznacie prawdę, a ona was wyzwoli". Jeśli tak, to owo wyzwolenie zarezerwowane jest jedynie dla czło-

Michał Kubiak: Portret Czesława Miłosza, brąz 95 cm, Bydgoszcz 1997 r.

wieka, który uczestniczy w aktualnie uobecniającym się misterium prawdy. Stąd każda próba opowiedzenia o tym doświadczeniu, każda próba jego zwerbalizowania nieuchronnie musi prowadzić do zapoznania treści samej prawdy, tym samym okazując się jedynie jej namiastką, nieudolnym surogatem. Z podobnym procesem mamy do czynienia w pismach wielkich mistyków. Ich opisy ponadnaturalnych doświadczeń są kalekie, skazane na interpretacyjną wieloznaczność, co już samo w sobie jest policzkiem wymierzonym w czystość i absolutną jednoznaczność mistycznych przeżyć. Zatem poezja, jak również cała sztuka z istoty swojej jest ułomna. I w granicach własnej niedoskonałości podejmuje próbę obiektywizacji rzeczywistości, podejmuje próbę jej zrozumienia. Ontologiczne nieporozumienia już na zawsze będą nękały każdego, kto poważy się na poznawcze penetrowanie duszy artysty.

„Ja i oni. Na ile można się do nich przedostać? Poeta wie, że jest przez nich brany za kogoś innego, niż jest, i że tak będzie po jego śmierci, a nie sprostuje tego żaden znak z zaświatów".

Nie ten

„Poezja i wszelka sztuka jest skazą i przypomina ludzkim społeczeństwom, że nie jesteśmy zdrowi, choćby trudno nam było do tego się przyznać".

Skaza

„[...] Tylko nieśmiało, wyłania się myśl, że prawda o losie człowieka na ziemi jest inna niż ta, której nas uczono. Wzdragamy się przed jej nazwaniem."

Szukanie

„[...]Gdybym choć był przekonany, że nie istnieje nic prócz wielkiej ilości indywidualnych wzajemnie niekomunikowalnych wrażeń o obrazów! Ale ja szukałem jednej, człowieczo widzianej, wspólnej dla nas wszystkich prawdy o rzeczach (podkr. moje M.D.), i dlatego to, co pokazałeś, jest dla mnie tak ciężką próbą i pokusą".

Oczy

Jednak ważna jest sama czynność poszukiwania prawdy. To ona dodaje sił, ona pozwala przezwyciężyć słabości. Poeta totalny, tylko on naprawdę może ponieść porażkę, bo tylko on wyznaczył sobie cel na miarę ludzkiej natury, na miarę rozumu, który w nim samym domaga się odpowiedzi na najbardziej istotne kwestie egzystencjalne. Tym, co podtrzymywało poetę w jego heroicznym wysiłku była nadzieja – towarzyszka wszystkich marzycieli, nie wyzwolonych z dziecięcych porywów, zapamiętałych w swojej zapalczywości.

„[...] Bo stała i rzeczywista była w nim nadzieja, tak silna, że samo życie go niecierpliwiło. Już, zaraz, za minutę, miał schwytać – właśnie, co? Czarodziejską formułę, w której zawierała się cała prawda o istnieniu (podkr. M.D.). Myl zęby, a ona była tuż, brał prysznic i prawie ją wymawiał, gdyby nie wszedł do autobusu, może by mu się objawiła, i tak cały dzień. Kiedy budził się w środku nocy, czuł, że przedziera się do niej przez cienką zasłonę, ale wtedy, tak wysilony w swoim dążeniu zasypiał [...]".

Tymczasem i na niby

2. Każdy, kto chciałby śledzić Miłosza zainteresowanie tematami eschatologicznymi powinien cofnąć się niemal do początków twórczości noblisty. Już „Trzy zimy" przynoszą interesujące dla naszego zagadnienia inspiracje i przemyślenia. Miłosza od „zawsze" – rozumianego jako artystyczna kreacja – interesowało przeciwstawienie świata natury z jej zmiennością i nietrwałością oraz magiczną siłą z jaką przyciąga zmysły, z rzeczywistością transcendentną właściwą dla Stwórcy. Trafnie pisze o tym Krzysztof Dybciak w swojej glossie na temat „Trzech zim".

„Komuś, kto jak Miłosz otrzymał «wychowanie katolickie», radosna afirmacja realnego bytu wydawała się grozić materialistyczną redukcją praw duchowych, ale radykalne przezwyciężanie tego niebezpieczeństwa prowadziło niemal do manicheizmu. Ten konflikt pomiędzy podziwem dla bytu w jego pełni a pragnie-niem czegoś więcej, pożądaniem transcendencji, czy po prostu mówiąc Boga, wykrystalizował się w połowie lat trzydziestych, i stanowi jeden z centralnych problemów dzieła Miłosza"[1].

Doniosłość tezy Dybciaka widocznie potwierdza się w „Piesku przydrożnym", a także w „Dalszych okolicach", bez wątpienia najważniejszym tomie w dorobku poety podejmującym zagadnienia natury eschatologicznej. Przypomnijmy raz jeszcze: Miłosz urzeczony światem zarazem nie potrafi zaakceptować go jako enumeratywnie pierwszej i jedynej rzeczywistości. Raczej świat jest tylko odsłoną, aspektem, być może częścią i to wcale nie najważniejszą, choć z pewnością najbliższą, bo narzucającą się nam z całą oczywistością

[1] Tekst drukowany przy okazji okolicznościowego wznowienia „Trzech zim" Czesława Miłosza, pod redakcją R. Gorczyńskiej i P. Kłoczowskiego. Londyn 1987, s. 68.

w doznaniach sensorycznych. Napięcie pomiędzy światem – w tym wypadku widzialną częścią „rzeczywistości" – a rzeczywistością, gdzie świat stanowi tylko jeden z jej składników warunkuje twórcze poruszenie, owy zamęt dzięki któremu poeta wyrusza w podróż mającą na celu uzgodnienie, pojednanie wszystkich elementów rzeczywistości.

Wróćmy jednak do „Hymnu o perle", tomu, gdzie wyżej zasygnalizowany problem ujawnia się z całą siłą. Takie wiersze jak „Upadek", „Pokusa", „Sekretarze" to wariacje na temat nieprzenikliwości ludzkiego losu, tajemnicy wobec której przyszło nam ludziom egzystować. To również lament nad niekoniecznością, bolesnym poczuciem zbędności swojego własnego istnienia. We wszystkich tych wierszach Miłosz zawsze jest teologiem. Nie godzi się na brak odpowiedzi. Pozostaje w jawnym konflikcie z oczywistością przemijania, pyta o przypadkowość, która jest przecież najważniejszym wrogiem Opatrzności. Udręczający jest również aspekt etyczny: tak oto nie wiadomo czy nasze uczynki są dobre, czy też złe? Nie znamy konsekwencji naszych moralnych wyborów, a więc działamy poniekąd w ślepym tunelu, gdzie światło ledwie się tli, i nigdy nie możemy z całą stanowczością stwierdzić czy nie było ino li tylko fantomem przewidzenia, produktem imaginacji, nasieniem wyobrażenia. I być może jedyną sensowną odpowiedzią jaką można by w tym miejscu zasugerować jest głód iluminacji, lekarstwo prawdy, takiej prawdy, której nie można by już podważyć. I chyba właśnie tego szuka poeta. Tylko prawda jest w stanie ukoić jego wzburzony, twórczy umysł.

Pod gwiaździstym niebem przechadzałem się
Na skraju góry skąd widać neonowe miasta
Z moim towarzyszem, duchem pustki,
Który biegał naokoło i pouczał,
Że nie jestem konieczny, bo nie ja to inny
Chodziłby tutaj i chciał swój wiek zrozumieć.
Nic nie zmieniłoby się gdybym umarł dawno temu,
Te same gwiazdy i miasta i kraje
Nie moimi oczami byłyby widziane.
Trwałby jak trwa dotychczas ten świat i dzieła jego.

Odstąp ode mnie, w imię Jezu Krysta,
Dość mnie nadręczyłeś – powiedziałem.
Nie mnie osądzać powołanie ludzi.
A swoich zasług i tak znać nie będę.

Pokusa

Sługa ja tylko jestem niewidzialnej rzeczy,
Która jest dyktowana mnie i kilku innym.
Sekretarze, nawzajem nieznani, po ziemi chodzimy,
Niewiele rozumiejąc. Zaczynając w połowie zdania,
Urywając inne przed kropką. A jaka złoży się całość
Nie nam dochodzić, bo nikt z nas jej nie odczyta.

Sekretarze

Śmierć człowieka jest jak upadek państwa potężnego,
Które miało bitne armie, wodzów i proroków,
I porty bogate, i na wszystkich morzach okręty,
A teraz nie przyjdzie nikomu z pomocą, z nikim nie zawrze przymierzy,

Bo miasta jego puste, ludność w rozproszeniu,
Oset porósł jego ziemię kiedyś dającą urodzaj,
Jego powołanie zapomniane, język utracony,
Dialekt wioski gdzieś daleko w niedostępnych górach.

Upadek

3. Martin Heidegger napisał kiedyś, że myśliciel wypowiada bycie, poeta zaś nazywa świętość. Zdanie to przytaczam bynajmniej nie dlatego jakoby Miłoszowi specjalnie bliskie było powinowactwo z filozofią autora „Sein und Zeit"[2], ale oddaje ono jak sądzę możliwy do pomyślenia horyzont w jakim porusza się twórca. Każde nazwanie świętości będzie równoznaczne z epifanijnym charakterem poetyckiego przekazu, tym samym będzie odnosiło wiersz do rzeczywistości transcendentnej względem związków o charakterze czysto syntaktycznym. Nazywanie świętości jest przenoszeniem znaczenia ze sfery, która musi – mocą swej apodyktyczności – posiadać charakter eschatologiczny, to znaczy ostateczny. Tym samym trudna do pomyślenia wydaje się sytuacja w której nazywana „świętość" posiadałaby więcej niż jedno właściwe imię. Myślę, że Miłosz jest poszukiwaczem właśnie takich klarownych, ostatecznych odniesień. Oczywiście w tym kontekście nie może dziwić jego jakże często deklarowana skłonność do obiektywizmu. Tylko obiektywizm jest bowiem w stanie wypowiedzieć, nazwać świętość. Pozostaje on bowiem poza strefą prawdopodobieństwa. Nie mieści się również w dialektyce zmienności. Nie poddaje się relatywizmowi. Cały jest upartym poszukiwaniem prawdy, tej ostatecznej, tej definitywnej. Taki program poetycki może przyprawić o palpitację serca. Trudno bowiem wyobrazić sobie większy maksymalizm, większą perspektywę poznawczą. Z drugiej jednak strony tylko w takiej przestrzeni poeta może poruszać się w miarę swobodnie stawiając pytania i formulując odpowiedzi niemożliwe dla estetycznych minimalistów. Dlatego nie boję się Miłosza nazwać poetą eschatologicznym, tak samo jak eschatologiczną poezją jest poezja Zbigniewa Herberta, choć u tego drugiego przybiera ona nieco inne zabarwienia. Jakby na dowód tego, co wyżej powiedziałem niech będą słowa z ustępu opatrzonego tytułem Teologia, poezja:

> „To, co najgłębsze i najgłębiej we własnym życiu doświadczone, przemijalność ludzi, choroba, śmierć, marność opinii i poglądów nie może być wyrażone w języku teologii, która od wielu stuleci zaokrągla odpowiedzi w gładkie kule, łatwe do toczenia, ale jakby nieprzenikalne. Poezja dwudziestego wieku, w tym co w niej najbardziej istotne, jest zbieraniem danych o rzeczach ostatecznych w kondycji ludzkiej, i wypracowuje po temu swój język, który teologia może wykorzystać albo nie".

[2] Próbę interpretacji twórczości Miłosza w świetle filozofii Martina Heideggera podjął np. K. Zajas – „Miłosz i filozofia", Kraków 1997.

W tym miejscu baczny czytelnik Miłoszowego „Pieska przydrożnego", posłużyć się musi jeszcze jednym fragmentem, tym razem z tekstu Szczególna chwila. Miłosz bowiem wynosi poezję do roli narzędzia, za pomocą którego współczesny człowiek „rozmyślać może o rzeczach ostatecznych". A jeśli tak, jeśli poezja w jakiś sposób przejmuje prerogatywy religii, to powiedzieć należy, iż świadczy to o powrocie poezji do swoich wieszczych, sakralnych korzeni. Poeta w tym wypadku okazałby się nikim innym jak medium w rękach ponadzmysłowej siły. Myślę, że takie rozumienie roli poety jest bliskie Miłoszowi. Niejednokrotnie postrzega on samego siebie jako instrument, narzędzie którym posługuje się ktoś inny.

„Z kontrastu pomiędzy słabościami ciała i dokonanym dziełem bierze się niedowierzanie co do sprawcy. «Jak to? Więc ja to wszystko napisałem? Chyba trzeba wierzyć w udział jakichś nadprzyrodzonych mocy»".

Kontrast

„Jakież życie, jakiż los! Absolutnie niemożliwy do logicznego ułożenia w przyczyny i skutki, z lukami, które mogły wypełnić jedynie cudowne przypadki boskiej interwencji".

Jakiż

4. Chyba już tak musi być, że każdy, kto zdecydował się przyjąć realistyczną postawę wobec świata, a więc postawę bliską świętemu Tomaszowi z Akwinu, musi pozostawać blisko spraw etycznych. Poniekąd musi postrzegać siebie przez powiększające szkło norm moralnych. Tym boleśniejsze jest to zadanie i wyzwanie, albo wręcz przekleństwo od którego nie sposób uciec, jeśli dotyczy ono artysty. Jak bowiem pogodzić piękno z poczuciem winy, z bolesnym przeświadczeniem o tym, że w sposób rzeczywisty, a nie tylko iluzoryczny jest się sprawcą czegoś, czego skutki ujawniają naszą dobroć i świętość, lub przeciwnie są dowodem naszej moralnej małości? Pytanie to oczywiście ma charakter retoryczny, tym nie mniej Miłosz nie stroni od niego, tak samo jak nie stroni od odpowiedzi, zawsze tej samej: to urzeczenie tym światem jest człowieczym przekleństwem, ale stanowi również – o paradoksie! – jedyne do przyjęcia usprawiedliwienie. Być może byłem zły ale powodował mną zachwyt, dziecięce zapamiętanie w igraszkach z tym, co pełne powabu i wdzięku. Realista ma to do siebie, że jest wobec świata i samego siebie szczery aż do bólu, aż do śmieszności. Ale właśnie taka postawa jest jego największym orężem. Myślę, że właśnie w tym kierunku można interpretować takie wiersze jak „W pewnym wieku", „Biografia artysty", „Eheu!" ze zbioru „Na brzegu rzeki". To samo odnaleźć można w „Piesku przydrożnym". Miłosz wyznaje zasadę „oczyszczenia" przez doświadczenie błędu. Tylko ten, kto naprawdę sparzył się, wie co oznacza ogień. Oczywiście z taką postawą można dyskutować, tym nie mniej Autor dopatruje się w niej swoistej ekonomii Opatrzności; próby przez którą należy przejść, aby zasłużyć na laur zwycięstwa. Zresztą Miłosz niejako daje sobie samemu prawo do pomyłek, jako sposób opowiedzenia o kondycji człowieka XX wieku.

„Przy końcu życia myśli poeta: «W jakichże ja nie nurzałem się obsesjach i głupawych pomyśleniach mojej epoki! Wsadzić by mnie do wanny

i szorować dzień i noc, aż cały ten brud ze mnie spłynie. A jednak tylko z powodu tego brudu mogłem być poetą dziewiętnastego wieku, i pewnie Pan Bóg tak chciał, żeby mieć ze mnie korzyść»".

Wymyć

Patrz jasno, nie daj władzy zmorom pamięci.
Odwiedź po latach miasteczko Brie-Comte Robert,
Idź aleją po suchych liściach kasztanów,
Wdychając głęboko powietrze, jak robiłeś wtedy,
Żeby odegnać dygot, który przybierał od środka.
A dużo było rozpaczy. Wyrzeczenie się. Zrozumienie,
Że nie masz odtąd wyboru i że co trzeba, poniesiesz.
I poniosłeś. I stałeś się, kim jesteś:
Niezbyt dobry, ale świadomy swojej niedobroci,
Wstydzący się swoich błędów, ale tylko w miarę.

Brie

Jednak życie jest przede wszystkim przygotowaniem na to najbardziej ważkie ze spotkań, na spotkanie z Bogiem po śmierci. I co ciekawe Miłosz nie wątpi w sensowność ludzkich uczynków, choć ich „następstwa" muszą pozostać poza „szkiełkiem i okiem". Sąd Ostateczny jako „doskonale skomputeryzowany bilans naszego życia" w pełni odkryje przed nami wszelkie możliwe konotacje naszych uczynków. Wtedy to właśnie okaże się za co tak naprawdę byliśmy odpowiedzialni.

„[...] Tak czy owak, znalezienie się przed doskonale skomputeryzowanym bilansem naszego życia (Sąd Ostateczny) musi zdumieć: więc jestem odpowiedzialny za tyle zła wyrządzonego wbrew mojej woli? Więc na drugiej szali jest dobro, którego nie zamierzałem i którego nie byłem świadomy?"

Sąd

5. Kolejnym istotnym zagadnieniem, wciąż obecnym u Miłosza, jest wzajemny stosunek wolności i konieczności, oraz problem cierpienia. W pewnym stopniu koresponduje on z innym, równie ważkim zagadnieniem jakim jest wiara i rozum. Nie przypadkiem bowiem Miłosz jest bacznym czytelnikiem wspomnianego już wyżej Szestowa. A jeśli Szestow, to mamy tutaj do czynienia z fundamentalnym napięciem pomiędzy wiarą i rozumem. Rosyjski myśliciel zderza bowiem dwie tradycje: hebrajski fideizm z greckim racjonalizmem. U Miłosza ontologiczny dylemat wiara czy rozum przybiera postać eschatologicznych pytań, czego widocznym przykładem są wiersze z tomu „Dalsze okolice". W „Albo-Albo" napięcie między wiarą przywiązaną do religijnych rytuałów, a postawą pozytywistyczną odnajduje jakby „trzecią drogę" – wskazanie na moralność, tę codzienną, którą można by po prostu określić mianem przyzwoitości. Miłosz ugina kolana przed Tajemnicą, uznaje jej nienaruszalność jako sfery wobec której powinniśmy powściągnąć nasze racjonalne zapędy. A zatem powrót do dziecięcego zachwytu cyklami przyrody, powrót do świata którego każda chwila jest już swoistym cudem.

[...]
O początku życia niech sobie piszą uczeni.
Może i prawda, ale czy czy dla ludzi?
Dzień następuje po nocy, drzewa na wiosnę kwitną:
Te odkrycia na pewno przynoszą mniej szkody.

Obyśmy nie troszczyli się o nasz los po śmierci,
Ale tutaj na ziemi szukali zbawienia,
Starając się o dobro wedle naszej miary,
Wybaczając śmiertelnym niedoskonałość. Amen.

Albo-Albo

To, co imponuje u Miłosza to jego szczerość. W obliczu zamilknięcia nie tai swoich obaw, nie stara się wybielić za wszelką cenę. Jest szczery, jest sobą jako ktoś, kto wie o sobie więcej niż ci którzy będą spoglądali na niego przez pryzmat jego twórczości, która swoją rozpiętością, a także ciężarem gatunkowym z pewnością zasługuje na miano dzieła Mickiewicza dwudziestego stulecia. Wyczuwa się w „Piesku przydrożnym" coś, co w języku teologicznym nazywamy trwogą. Trwoga pojawia się wszędzie tam, gdzie podmiot odkrywa swoją małość wobec wielkości i moralnej doskonałości Boga. Trwoga otwiera drzwi pokory, pokora zaś to nic innego jak prawda o nas samych. Obok trwogi jest również silne przekonanie o namaszczeniu, o losie powołanego, wybranego na służbę. W tym wszystkim dopatruje się poeta palca Opatrzości, owej siły, która działając przeciwko przypadkowi usensawnia ludzkie wysiłki, nadaje im nowy, jakościowo głębszy sens.

„Osiemdziesiąte piąte urodziny, syt chwiały i zaszczytów. I cały czas jak słuchanie drugim uchem odczytywanego wyroku. Tak miało być, jak we wczesnej młodości przeczułem. Tudzież świadomość niezasłużonego daru. Tu gadają, a ja idę przed tron Sędziego z moją brzydką duszą".

Na odwrót

„Oto dokonane dzieło. Gdyby tylko wiedzieli, za jaką cenę. Czy zgodziliby się? Czy nie odwróciliby się z przerażeniem? Ale nie, ten sprawca, miał kiedyś tylko niejasne przeczucie, że podpisuje cyrograf. Naprawdę nie było chwili, kiedy pióro, umaczane we krwi rozciętego palca, waha się przed podpisem i kiedy jeszcze można powiedzieć: «nie»".

Cyrograf

„Niezbite dowody działania Opatrzności w jego życiu, o których chętnie zapominał, co może i lepiej, bo mógłby stale czuć się wybrany i namaszczony. Kiedyś, w swoich wielkich rozterkach, widział chwilami swój przyszły los jako służbę ludziom? ludowi? narodowi? Błagał o to, ale nie wiedział, jak to ma się dokonać".

Przeznaczenie

6. Cierpienie. Czy jest ono koniecznym, niezbędnym warunkiem do oczyszczenia, do takiej konsystencji naszego własnego istnienia, w której byłoby ono godne przyjąć łaskę Zbawienia? Innymi słowy: czy wolno nam unikać cierpienia? Czy możemy odsuwać jego ciemne macki oplatające nas, zniewalające nasze siły witalne? Jeśli wzorem dla nas ma być Chrystus, to z pewnością cierpienie musimy wpisać w nasze życie tak jak wpisuje się sen i jedzenie. Nie ma bowiem łatwej drogi, a jasność i przeźroczystość naszej moralnej kondycji wymaga ofiary i poświęcenia. To są dylematy w które uwikłany jest wewnętrzny bohater „Pieska przydrożnego", to jest pole, gdzie dokonuje się jego rozliczenie z Tajemnicą egzystencji.

> „[...] Co te dziady miały na myśli śpiewając. «A jak nie wycierpisz?» Czy to znaczy: jak nie wycierpisz do końca tego, co tobie sądzone? A jak tego można uniknąć? Podlizując się na przykład włodarzowi, ekonomowi, żeby wyznaczył nam lżejszą robotę? Czy też zupełnie inne znaczenie? Że kto cierpi, będzie zbawiony, a kto nie cierpi, już przez to będzie potępiony?".
>
> *Pieśń dziadowska*

7. Co ciekawe Miłosz teologiczny nigdy nie przestaje być wrażliwy na rytm natury, wciąż jak małe dziecko zachwyca się zachodami słońca, kielichami kwiatów, poranną bryzą. W twórczości poety takie nastawienie znajduje właściwą sobie harmonię, jest jej mocnym punktem, dowodem na obiektywizm tego, co doczesne i tego, co wieczne, otwarte na najważniejsze egzystencjalne pytania. Bóg i Szatan, Dobro i Zło, Śmierć i Nieśmiertelność, Piekło i Niebo nie są naznaczone tabu, stanowią normalne, to znaczy ważne i niezbędne pole dla poetyckiej dociekliwości. Zatem eschatologia nie jest skrywanym i wstydliwym marginesem w światoodczuciu Miłosza jako poety i Miłosza jako eseisty, ale jest jednym z centralnych motywów jakie wciąż przykuwają baczne oko pisarza. Pod tym względem Autor „Dalszych okolic" należy do zdecydowanej mniejszości, jakby na przekór postawom pozytywistycznym, ślepo wpatrzonym w zdobycze cywilizacji białego człowieka.

Obserwacja bogactwa i różnorodności widzialnego świata prowadzi do wdzięczności. Wcale nie trzeba poprawiać świata, nie potrzeba nowego, lepszego aktu stworzenia. Miłosz nie należy to tych, którzy pochłonięci są pasją kreatywności, ale do tych, którzy jak greccy filozofowie nie wyzbyli się młodzieńczego zachwytu i zdziwienia.

> „[...] Ale właśnie nieskończone bogactwo, złożoność, wielopostaciowość rzeczy ziemskich pochodzi z zawartej w nich sprzeczności. Umysł nie miałby powabu, gdyby nie to wszystko, co przypomina o jego zakotwiczeniu w materii: rzeźnie, szpitale, cmentarze, filmy porno. I na odwrót, fizjologiczne potrzeby przygniatałyby swoją zwierzęcą tępotą, gdyby nie igrający, polatujący nad nimi umysł. [...] Wygląda na to, że Stwórca, którego etyczne motywy ludzie nauczyli się podawać w wątpliwość, kierował się przede wszystkim chęcią, żeby było jak najciekawiej i jak najzabawniej".
>
> *Na miejscu Stwórcy*

Można powiedzieć tak: na starość, kiedy kaganek trwania pośród rzeczy tego świata wypala się, ważne jest tylko to, co istotne, tylko to, w czym można by odnaleźć jakąś formułę przetrwania. Oczywiście to dramatyczne pytanie stawia sobie również Miłosz. Tą formułą w przypadku naszego poety jest mądrość. Tym nie mniej poszukiwanie mądrości jako życiowe zadanie okazałoby się jałowym bez ciągłych upadków, dotkliwych ran jakie muszą być zadane aby wypróbować nas niczym w ogniu i odsiać plewy od ziarna. A więc dialektyka upadku jest potrzebna, jest konieczna do osiągnięcia tej przeźroczystości w świetle której rozpoznać można to, co rzeczywiście cenne. To tylko potwierdzałoby biblijną zasadę wedle której potrzeba abyśmy przeszli przez wiele zwątpień i upadków, by w końcu osiągnąć Zbawienie. Ale w Jeszcze jednej sprzeczności, wierszu ze zbioru „Na brzegu rzeki", pobrzmiewa jeszcze jedna jakże ważka idea. Myślę oczywiście o Opatrzności. To właśnie niej można przypisać prostowanie naszych krętych dróg. Opatrzność bowiem okazuje się „boskim palcem" porządkującym i usensawniającym to, co z pozoru jest tylko sprzecznością, bezpowrotnie straconym czasem, sekwencją błędów, fobii i życiowych pomyłek. Napięcie pomiędzy przypadkowością i Opatrznością, pomiędzy wolnością a koniecznością to przecież nieodłączne dylematy większości intelektualistów. Miłosz zdaje się przyjmować postawę otwartą, pełną afirmacji tego, co przynosi ze sobą życie. Tylko w ten sposób ziarno może wydać plon.

Czy spełniłem, co miałem spełnić tu na ziemi?
Byłem gościem w domu pod obłokami,
Gdzie płyną rzeki i odnawiają się zboża.
Cóż z tego, że wezwany, jeżeli mało przytomny?

Następnym razem wcześnie szukałbym mądrości.
Nie udawałbym, że mogę być taki jak inni.
Z tego bierze się tylko zło i cierpienie.

Wyrzekając się, wybrałbym los w posłuszeństwie.
Poskromiłbym wilcze oczy i żarłoczne gardło.
Mieszkaniec jakiegoś napowietrznego klasztoru,
Z widokiem na jarzące się w dole miasta,
Albo na strumień, kładkę i stare cedry,
Powierzyłbym się tylko jednemu zadaniu.

Które jednak wtedy nie mogłoby być wykonane.

8. Wydaje mi się, że ważnym tropem w próbie odczytania „Pieska przydrożnego", jest powrót do „Ziemi Ulro", oraz pism mistycznych Oskara Miłosza. Czy jednak próba postawienia obok siebie autora „Dalszych okolic" z jego stryjem nie jest zabiegiem cokolwiek karkołomnym? Jak pogodzić realistę i obiektywistę z mistykiem i ezoterykiem? A jednak właśnie tutaj dopatruję się klucza do późnego Miłosza. Uważne czytanie „Ziemi Ulro", doprowadzić musi do wniosku, iż mamy tutaj do czynienia ze sprawami do których powróci poeta dokładnie po dwudziestu latach. W miniaturach opatrzonych tytułem Dyskretny wdzięk nihilizmu, zwłaszcza zaś w Tryumfie obyczaju poeta pisze o swoich religijnych zainteresowaniach:

„«On czytał Swedenborga.» Śmiech. Bo w istocie polska inteligencja nie lubi myśleć o religii. Jeżeli przyznaje się do katolicyzmu, to w celach

nacjonalistycznych i mesjanicznych. Wskutek tego grupom interesującym się literaturą religijną zostaje tylko wąski margines."

Zobaczmy na to, co pisał Miłosz w „Ziemi Ulro": „Mówić o Swedenborgu to znaczy naruszać jedno z polskich tabu, zakazujące literatom poważnie odnosić się do religii. Kara jest przygotowana zawczasu w postaci formuły powtarzanej przez papugi: «w mistycyzm popadł». Oczywiście zawsze wolno było ogłosić się pisarzem katolickim, ale oznaczało to zaszeregowanie do literatury «gorszej», takiej jak literatura myśliwska czy literatura dla młodzieży, a w dodatku politycznie związanej z prawicą"[3]. Podobne wytłumaczenie ze swojej „strategii" pisarskiej poeta przytoczy w „Piesku przydrożnym". Co ciekawe, nawet tak autonomiczny twórca jakim jest Czesław Miłosz bał się popaść w osąd jemu współczesnych, bał się zaszufladkowania w gronie poetów „drugorzędnych". To tylko pokazuje jak przemożny wpływ na nasze zachowania i twórcze poczynania ma aktualnie obowiązująca moda intelektualna i estetyczna. Ktoś, kto nie schyli przed nią swojego karku może jedynie liczyć na przyszłe pokolenia, oraz szyderczy śmiech współczesnych. Być może jedyną drogą dla niepokornego twórcy, pozostać musi droga wycofania się, droga swoistej prostracji wobec wartości jakim pozostaje on wierny, bez nadziei na dostrzeżenie jego twórczych wysiłków przez świat poddany dyktatowi wciąż zmieniających się mód.

„Ten poeta, wychowany w religii rzymskokatolickiej, powinien był każdym swoim słowem potwierdzać prawdę wiary Kościoła. Jednakże gdyby nawet chciał, nie mógłby tego robić, ponieważ poezja jest też strategią. Literatura jego czasów była agnostyczna, niekiedy ateistyczna, i pisząc wiersze dewocyjne nikogo by nie nawrócił, jedynie zyskałby miano poety drugorzędnego".

Powinien był?

9. Moje skromne zamyślenia millenarystyczne na temat Czesława Miłosza „Pieska przydrożnego", zakończyć pragnę jednym z zastanawiających – i nie ukrywam – wręcz proroczym fragmentem książki poety:

„W Polsce są wszelkie dane na odwrócenie: kiedyś była sceptyczna, mocno pozytywistyczna inteligencja i pobożny lud zapełniający kościoły. W niedalekiej nawet przyszłości może być inaczej: chrześcijaństwo, zmagające się z powszechną niewiarą, okaże się za trudne dla ogółu i większość swoich wiernych zachowa jedynie wśród najwyżej wykształconych".

Odwrotnie (Dyskretny wdzięk nihilizmu)

Mirosław Dzień

Czesław Miłosz, „Piesek przydrożny", „Znak", Kraków 1997.

[3] Cz. Miłosz – „Ziemia Ulro", Kraków 1994, s. 142.

Krzysztof Myszkowski

Miłosz czyta Miłosza...

„Miłosz czyta Miłosza. Miłosz czyta Mickiewicza" to tytuł wydanych razem dwóch płyt kompaktowych. Pierwsza z nich została nagrana dnia 29 czerwca 1996 roku w Studio Koncertowym Polskiego Radia w Warszawie w trakcie wieczoru autorskiego, zorganizowanego przez zespół Polskiego Radia BIS z okazji 85. rocznicy urodzin Czesława Miłosza; druga – w sierpniu 1996 roku w krakowskim mieszkaniu poety. Brzmi głos Miłosza, pięknie dźwięczą słowa, krzesząc rytmy: wyraźnie słyszymy wszystkie akcenty, kadencje, końcówki, klauzule i średniówki. I czujemy, że każde słowo jest potrzebne, na swoim miejscu. Nic tu po modnych dziś gadaninach, luźnych strumieniach mowy, chcących na gwałt uchodzić za poezję. Miłosz swoim czytaniem pokazuje i uzmysławia, czym jest w poezji forma, rygor, sens. Słowo staje się głosem, a więc siłą – staje się energią, która stapia się z sensem, uzupełnia go, niekiedy w nieoczekiwany sposób, chociaż ani jedna jota nie zostaje dodana do tego, co zostało napisane, ani nie zostaje odjęta. Miłosz tworzy muzykę słowa. Swoim śpiewnym, wileńskim głosem tworzy magiczną aurę. Ma dar absolutnego słyszenia słowa i na tyle na ile jest to możliwe, przekazuje go słuchaczowi. Wybrane wiersze są dla niego jak partytury, a jego głośne czytanie jest ich mistrzowskim wykonaniem. Miłosz czyta wiersze świetnie. Wiele razy słyszałem, jak Miłosz czyta swoje wiersze: różne wiersze, w różnych miejscach, przed różną publicznością i nie wyobrażam sobie, żeby choćby najlepszy aktor polski mógł je przeczytać lepiej. Nie wiem, co w tym kontekście miałoby znaczyć „lepiej"? Ilekroć sam czytam wiersze Miłosza, słyszę w nich jego głos i to mi bardzo pomaga w ich odczuwaniu i rozumieniu, w docieraniu do ich rytmiki i architektury. Wiem, że Mickiewicz dobierał i układał słowa z myślą o ich brzmieniu. Myślę, że Miłosz często czyni podobnie.

W zasłuchaniu słuchałem także drugiej płyty, na której Miłosz czyta Mickiewicza. I również to przeżycie było epifaniczne. Słyszałem kiedyś przez radio głos marszałka Józefa Piłsudskiego. Był to głos bardzo śpiewny, bardzo wileński, od razu bardzo bliski mojemu sercu. Był bardziej śpiewny i wileński od głosów mojej babci i dziadka, wśród których wychowałem się, w Toruniu. Wtedy gdy po raz pierwszy i jak do tej pory jedyny usłyszałem głos marszałka Piłsudskiego, pomyślałem jak bardzo śpiewny i jak bardzo wileński musiał być głos samego Adama Mickiewicza. Oczywiście nigdy nie usłyszę głosu Mickiewicza. Głos Miłosza znakomicie pasuje mi do wierszy Mickiewicza. Jest jakby z nimi zsynchronizowany duchowo, a niekiedy wręcz stapia się z nimi w jedną dźwiękową, rytmiczną i emocjonalną całość, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem, gdy w różnych wspaniałych aktorskich wykonaniach słuchałem różnych wierszy Mickiewicza. Tu przede wszystkim „Tukaj", ale i „Zima miejska", „Pytasz, za co Bóg trochą sławy mnie ozdobił...", „Dobranoc", „Dzień dobry", „Snuć miłość", czy „Nad wodą wielką i czystą...". Jest tak, jakby Miłosz mówił od siebie, tak jakby czytał swoje wiersze. To jest niezapomniane przeżycie. Głos Miłosza. Tak jak głos marszałka Piłsudskiego, czy jak usłyszany z magnetofonowej taśmy głos Samuela Becketta rozbrzmiewający w akompaniamencie wystukiwanego rytmu. To bar-

dzo wiele daje, coś racjonalnego i jednocześnie coś nieracjonalnego gdy słyszy się, choćby tylko przez krótką chwilę, głos ważnego dla siebie pisarza, albo głos swojego bohatera. Jest to poza racjonalnym wytłumaczeniem. Parafrazując Miłosza, można powiedzieć, że właściwszym hołdem dla ważnego dla siebie pisarza od pisania o nim, jest po prostu słuchanie, albo recytowanie, lub głośne czytanie jego utworów, a najlepiej słuchanie, jak swoje utwory czyta głośno on sam. Na płytach Miłosz nie tylko czyta swoje wiersze, ale także wprowadza w ich lekturę, w zwięzły sposób komentuje, wyjaśnia, niekiedy żartuje. Cały czas czuje się wielkie skupienie, koncentrację poety i kryjące się za nimi emocje, chociaż czyta w sposób naturalny, nie zmieniając tonacji i tonów, nawet wtedy gdy przechodzi od czytania swoich wierszy do czytania wierszy Mickiewicza.

Ważne jest także to, że Miłosz jest autorem wyboru wierszy, które czyta i na pewno nie jest to wybór przypadkowy. Trzydzieści osiem swoich wierszy zaczyna od pamiętnego „Spotkania", napisanego w 1937 roku w Wilnie, a kończy wierszem nowym, wtedy nigdzie nie drukowanym. Na drugiej, mickiewiczowskiej płycie, która składa się z dwunastu wierszy, zaczyna od pierwszego drukowanego wiersza wieszcza, czyli od „Zimy miejskiej", a kończy jednym z ostatnich jego wierszy – „Nad wodą wielką i czystą...". O większości wybranych przez siebie wierszy Mickiewicza Miłosz pisał, albo mówił o nich w publikowanych rozmowach.

Album jest ucztą dla miłośników poezji i wielkie dzięki dla Polskiego Radia BIS za pomysł i wspaniałą realizację.

Krzysztof Myszkowski

„Miłosz czyta Miłosza. Miłosz czyta Mickiewicza", Polskie Radio S.A. Warszawa 1996. Dystrybucja PolyGram Polska.

Jan Wolski
„Wieczność w krótkim trwaniu"

W 1960 roku ukazał się debiutancki tomik wierszy bydgoskiego poety Kazimierza Hoffmana (rocznik 1928). Przed rokiem w Bydgoszczy wydano obszerny, bo liczący prawie 250 stron, jego wybór z lat 1952-1994. Książka ta daje znakomity, bardzo trafny, jak sądzę, przegląd dotychczasowego dorobku tego niezwykłego, choć wciąż za mało znanego poety.

Poeta, taki jakim mogę go sobie wyobrazić na podstawie tego, co i jak napisał, musi być osobą niezwykle skupioną i skoncentrowaną, cichą i łagodną. Taki też jest bohater jego wierszy. Delikatnie porusza się wśród materii świata. Aby cokolwiek o tym świecie powiedzieć, o człowieku w nim i z nim związanym, jego kondycji i losie, sensie wszystkiego, trzeba umieć dostrzegać drobiazgi, znajdować właściwą wagę, że z małych, najmiejszych części składa się obraz całości.

zawsze lubił takie drobiazgi, ceni je umysł, odpoczywa i
trafia w dziesiątkę

(„Odpoczywający La Mettrie")

Albo inaczej jak dosłownie możemy przeczytać w innym wierszu, że:

Trwa praca: szczegół
po szczególe
spala się obraz.

(„Tamayo odpada")

Wypowiedzi są niezwykle oszczędne. A i to może zbyt wiele powiedziane, bowiem często ocierają się, są bliskie milczenia. Cecha ta dominuje. Owo zbliżanie się do ciszy, drobiazgu, szczegółu, można rozumieć w odniesieniu do aktualnej rzeczywistości, ale nie jakiejś krótkotrwałej, doraźnej, lecz odnoszącej się do sytuacji człowieka dwudziestego wieku. Powoli tonie on w chaosie, natłoku, szumie wywołanym nadmiarem informacji, globalizacją doświadczeń. Paradoksalnie: wiedząc więcej, wiemy coraz mniej. Niczego nie przeżywamy, nie poznajemy głęboko i prawdziwie. W takim wymiarze wiersze Hoffmana są wyrazem sprzeciwu wobec współczesnej cywilizacji.

To jednak wydaje mi się być zbyt uproszczoną wykładnią, choć w jakiejś mierze uzasadnioną, która przy tym znacznie zubożyłaby wymiar dzieła tego poety. Stara się on wyrazić esencję; to, co w życiu człowieka najważniejsze, a może tylko opowiedzieć drogę do niej. Pełne bowiem wyrażenie oznaczałoby rozwiązanie Tajemnicy. Tak więc droga byłaby próbą opisywania, manifestowania wciąż od nowa, tego co jest niewyrażalne. Stąd tak wiele w wierszach tych nieokreśloności, strzępów, oszczędności w wypowiadaniu, urywków, drobiazgów. Nad jednoznacznymi formułami dominują aluzje, niedomówienia, pauzy, które znacznie więcej sugerują niż są w stanie, i chcą, oznaczać.

Dodatkowym przy tym i istotnym szczegółem jest zapraszanie czytelnika do współuczestnictwa, do współrozumienia i współodczuwania. Trzeba aby to on uruchomił swą wyobraźnię i wrażliwość, by nie był tylko biernym obserwatorem, lecz wraz z poetą próbował rozumieć i pojmować, przeżywać i czuć.

Wiersze Hoffmana cechuje, mimo pozornej fragmentaryczności, niezwykła precyzja. Są konsekwentne w swej poetyce, co daje również efekt jednolitości świata poetyckiego, a także konstrukcji samego tomu. Owszem, trudno – i to wcale nierzadko – przebić się przez samą tylko powierzchnię wersów, zdań, z wielkim wysiłkiem udaje się je odczytywać. Ale to przecież jakaś zasada organizująca konstytuująca tę poezję. Są w niej odwołania do faktów związanych ze sztuką, konkretnych jej przejawów i postaci obrazów, rzeźb, tekstów w postaci literackich, wydarzeń codzienności, trawestacje dzieł prawdziwych czy fikcyjnych, wreszcie potężny i liczny zasób odwołań do świata natury, zwłaszcza jej roślinnej części.

Tu wchodzimy w kolejny, niezmiernie istotny krąg poezji Hoffmana. Natura jest

u niego rzeczywistością, tematem wciąż obecnym. Świat budowany z jej składników, oprócz wspomnianych już roślin, opiera się w głównej mierze na stworzeniach niewielkich: owadach, ptakach, a więc znowu takich przejawach życia, o których istnieniu najczęściej wiemy doskonale, ale które postrzegamy tylko w jakichś szczególnych chwilach, w mgnieniach sekund. Nigdy, albo rzadko tylko, obserwujemy je w jakimś dłuższym ciągu ich jednostkowych bytów. Tymczasem one również współtworzą nasz wspólny kosmos. A czyż człowiek nie jest takim samym mikrozjawiskiem, w swym mikroświecie, w którym traci czas na zajmowanie się jakimiś mikrosprawami? Smutne? Zapewne, ale przecież smutek jest częścią życia, bo każda jego forma, przejaw, są skazane na klęskę. Dlatego może uszanowanie należy się wszystkim, choćby najmiejszym drobinkom materialnym lub niematerialnym.

szczegół nadaje wielkość wszystkiemu co małe
(„Chory przed obrazem")

Los człowieka jest ze swej natury tragiczny, ale też głęboko ludzkie jest to, czego doświadcza: zachwyt i zwątpienie, przerażenie i ufność. Człowiek przecież jest w stanie, umie dostrzegać i oceniać to, czym jest piękno i co jest dobre. Buduje więc swój duchowy świat, wiedząc zarazem, że jest on zaledwie cieniem prawdziwego istnienia. A wie między innymi dlatego, że ma świadomość przemijania. Przemijalności wszelkich form. Niemniej jednak zdecydowanie opowiada się po stronie życia. Mimo jego krótkotrwałości, przemijalności wszelkich doznań i uczuć. Najelementarniejszym przejawem życia jest ruch, przeciwieństwo stagnacji, bezruchu czyli śmierć. Manifestację takiej postawy zdaje mi się zawierać wiersz: „Do Ronnie Petersona, który zginął na torze w Monza": zostaje ruch // wielość odczuć i doznań ruchu (...) zostaje ruch // wielość odmian lub ujęć ruchu.

Dlatego więc trzeba podejmować wysiłki nazywania, określania tego, co nam się przydarza i tego, co wybieramy sami. Pisanie wiersza, to chwila kiedy powstaje, w której przy pomocy słów na mgnienie świat zostaje zatrzymany jak w nieruchomej fotografii.

nazywając rzecz
utwierdzam byt

przeczytać można w zamykającym wybór wierszu „Na skraju".

Tom „Przenikanie" to zapis ludzkiego losu, wyznaczanie kręgów egzystencji tak, by stworzyć własny świat, prywatną ojczyznę złożoną z tego, co choć maleńkie może i nieznaczne, ma swoje miejsce i wagę. To nauka życia po prostu. Umieć dostrzegać świat w całym jego bogactwie i niezmierzoności szczegółów jest najistotniejsze, bo wtedy doświadczyć można radości istnienia, odnajdywać swoiste piękno, uczyć posługiwania się fantazją, wyobraźnią, pozwolić głębiej przeżywać wciąż od nowa urodę życia.

Zaś sposób postępowania zdają mi się tu wyznaczać dwie przesłanki: jedna zaczerpnięta z buddyzmu Zen, bliska kontemplacji, stylowi maksymalnie zwięzłemu,

tematom zazwyczaj związanym z naturą, przyrodą, wyznającą pewną szczególnego rodzaju jedność podmiotu z przedmiotem, a co wszystko razem poprzez obraz i refleksję pobudza wyobraźnię odbiorcy. Druga przesłanka, niemniej ważna w odczytaniu tej niezwykłej, „osobnej" poezji, zamyka się w sławnym zdaniu LudwikaWittgensteina: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć". Dlaczego więc poeta próbuje poznawać, odczytywać znaki, deszyfrować znaczenia, dlaczego zdarzają mu się zachwyt i smutek, po co budzi myśli, poddaje się olśnieniom? Ano chociażby po to, aby „zobaczyć dźwięk", uchwycić na chwilę „istotę fenomenu", „poznać materię od jej strony najcichszej", a nade wszystko:

To, co zapisze potem (zapisze krótko)
oddaje stan,
jaki niekiedy można odczuć: piszemy o sobie
dla tych, których kochamy
(***„Wspaniała zieleń, ciężka od").

Jan Wolski

Kazimierz Hoffman, „Przenikanie", Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1996.

Jan Wolski
„Język dotyka niekiedy prawdy"

Maciej Niemiec opublikował niewiele wierszy. Ale przecież nie w ilości siła. Wiem o nim niewiele. Tylko to, że uhonorowano go prestiżową nagrodą im. Kościelskich, że mieszka w Paryżu i wydał cztery tomy wierszy, a ostatnio pojawił się w „a5" zbiorek „Ulica wód".

Przyznam, że zmagałem się z tekstami w nim pomieszczonymi, choć na pozór zdaje się to być liryka prostego obrazowania. Wiele jednak potrzeba czasu i duchowego spokoju, by przebić się przez jej stwardniałą, zewnętrzną skorupę. Za jej osłoną bije wielkie serce niezwykle żywotnej a zarazem refleksyjnej, chciałoby się rzec: filozoficznej poezji. Jest ona wsłuchiwaniem się w bicie tętna egzystencji, wyczuwaniem jej oddechu. Wolno przypuszczać, że kształt tego specyficznego badania pulsu, metodę, kierunek jej prowadzenia wyznaczają myśli sformułowane przez Kierkegaarda i jego w pewnym sensie, kontynuatora Szestowa. To, najkrócej mówiąc, droga powrotu „do rzeczy samych", do pierwotnego, źródłowego doświadczenia człowieka. Wiersze Niemca nie są li tylko wydumaną abstrakcją. Charakteryzuje je konkret oparty na osobistym świadectwie podmiotu lirycznego. To zaś, choć uogólnione, ma wyraźny kształt indywidualnego postrzegania poezji, zdaje się wyrażać pojedynczą, prywatną o niej prawdę.

Inny ważny element stanowiska poznawczego poety, jakby druga strona tej samej całości, odróżniająca się od kontemplowania stanów twórczych czy też życiowych (czy-

taj: poetyckich), od codzienności, zwykłych zdarzeń (np. kapiącego deszczu), sztuki, to uporczywe poszukiwanie we wszystkich tych przejawach ludzkiej świadomości doświadczeń, głębszych prawd metafizycznych. Przy czym poszukiwanie to uzupełniane jest o nieodłączny element artystyczny. Próba zrozumienia siebie i świata jest zarazem dążeniem ku prawdom artystycznym. Widać to w sposobie mówienia podmiotu, w budowaniu poetyckiego obrazu.

Dość często jako element konstrukcyjny wykorzystywany bywa paradoks. Kto wie czy to nie on właśnie jest podstawą naszego ludzkiego poznania i bytowania.

oślepnąć, by ujrzeć,
wyrzec się życia, by przeżyć.
„Tak bardzo nieokreślone"

Przy tym jeszcze zabarwia się często lekką niewiarą w możliwość wyjaśnienia wszystkiego, przepowiedzenia. Ale nie to zdaje się być najistotniejsze. Element dominujący stanowi postawa afirmatywna wobec życia. Życia takiego jakim ono jest, jakiego dane jest nam doświadczyć.

(...) w każdą stronę
otwarte nic – życie:
tak bardzo nieokreślone.

Poeta zmaga się z materią słowa. Ma świadomość tego, że nadawanie im jakiegoś kształtu, formowanie w myśli, budowanie obrazu nie jest zadaniem łatwym. Lecz trud ten podejmuje i stara się poszerzać, wzbogacać obszary, do których dostęp ma racjonalność, ale które prawdziwie poznać można tylko przy pomocy uczuć.

Celem takiego postępowania wydaje mi się chęć wszechstronniejszego niż dotychczas i bardziej bezpośredniego opisu rzeczywistości. A zatem racjonalizm? Tak, ale z drugiej strony także jakieś dążenie do pojmowania świata jako zbioru elementów, jednakowo ważnych, niezwykłych, fenomenalnych. Duchowość poety jest nieprzerwanym poszukiwaniem tego, co transcendentne, objawione, oparte na cudzie. Właśnie to zderzenie i stapianie w jedną całość tak odległych zdawałoby się elementów jak duch i ratio, czyni tak fascynującą lekturę wierszy Niemca.

Fakty, ścisłe naukowe dane, a nawet indywidualne i zbiorowe doświadczenia nie są jedynym, nie są ostatecznym kryterium poznania, wiedzy, zrozumienia zasady świata. Z drugiej jednak strony odnajdywanie prawdy, oddzielanie tego co dobre od tego co złe jest możliwe, i jest wręcz konieczne. Jedynym środkiem, narzędziem i drogą jest poznawanie tego, co jest, ogólnego i szczegółowego, co można „zobaczyć". Oczami wyobraźni czy oczami rozumu. Ostatecznie nasz duch, który kontempluje w jakimś sensie konieczność wszechświata i zdarzeń w nim zachodzących, dostarcza najwyższej radości.

Żyć i poznawać, poznawać i żyć. Oba te stany świadomości są dostępne człowiekowi. Poszukiwanie przedwiecznej zasady bytu to nic innego jak umiejętność dostrzeżenia owego „wiecznego koła przemian" („Chcesz istnieć..."). Poznanie wcale nie musi zaciemniać, zasłaniać samego życia. Drobiazgi codzienności to także wszechświat. To wyobraźnia i dusza, i wiedza zarazem. Zasadnicza część programu poetyckiego

Macieja Niemca zdaje mi się tkwić w afirmacji tego, co ulotne, nieznaczne z pozoru. Minimalizowanie potrzeb i możliwości potrzebne jest po to, by móc na nowo odkrywać cud własnego istnienia, niepowtarzalność egzystencji.

być; ale raczej nie
próbować być wszędzie,
być mało, teraz, tylko
tutaj, nie być jeszcze
gdzieś, prawie wszędzie
nie być, by być w tym
jednym zdaniu.
„Być, ale także nie być..."

Jan Wolski

Maciej Niemiec, „Ulica wód:. Wydawnictwo a5, Poznań 1996.

Leszek Szaruga

W zwolnionym tempie

To bodaj już piąty tom wierszy Zbigniewa Machcja. I bez wątpienia najlepszy, najdojrzalszy. Poprzedni, „Trzeci brzeg", był jego zapowiedzią, wszakże dopiero „Legendy praskiego metra" to zbiór o w pełni wykrystalizowanym, własnym sposobie widzenia i przedstawiania świata. Uderza w nim przede wszystkim tok narracji. Niemal każdy wiersz jest opowieścią, relacją o jakimś wydarzeniu. I każda z tych relacji opowiadana jest niespiesznie, potoczyście – tak, jakbyśmy śledzili ukazywane obrazy i wydarzenia okiem pracującej w zwolnionym tempie kamery. Liczy się tutaj przede wszystkim detal, kadr:

Zanim zasłoniłem okno w kuchni
patrzyłem przez chwilę na słoneczną poświatę
w oknach na najwyższym piętrze naprzeciw,
po drugiej stronie ulicy.
(„Gdzieś dalej")

Podobnie w poprzedzającym cytowany utwór wierszu bez tytułu:

W prawej dolnej ćwierci okna:
najpierw bladoróżowy narożnik
kamienicy, a dalej betonowy rynsztok
i wysypka niezapominajek w cieniu.
W tym kadrze raz po raz pojawia się

para obszarpanych gołębi,
które nerwowo dziobią beton.

Zmienia się sposób ujęcia, zmieniają plany, zasada obrazowania pozostaje wciąż ta sama: w przedstawianym obrazie przesuwają się detale codzienności. Do tej codzienności należy też historia:

Jechaliśmy na północ.
A na południu nie ustawały wojny,
rozpadały się państwa...
(„Droga na północ")

Historia dzieje się zarówno przez wielkie wydarzenia (tu: wojna w Serbii w „Kronikach włoskich", ale także „zwycięstwo demokracji" sygnalizowane w „Drodze na północ"), jak działa poprzez detale, drobiazgi, z pozoru nic nie znaczące przesunięcia znaczeń: wszystko w końcu buduje ta wielka całość, którą poezja ukazuje w kadrach zwolnionego filmu. Owo dzianie się, owa dynamika przemian – odczuwalne na każdym kroku, w każdym przedmiocie – nie narusza w niczym stabilności świata:

Przeminie aktualność, teraźniejszość, przyszłość.
Przeminą gorzkie żale, łza wyschnie na wietrze.
Czas będzie znowu niczyj i przestrzeń niczyja.
Potem przeminie wiatr i wszystko, co z nim mija.
Przeminie wielki przemyt poza czasoprzestrzeń.
A gdy do przemycenia nic już nie zostanie,
przeminie na ostatku samo przemijanie.
(„Wariacje")

Gdy uważnie się wczytać w kunsztowne – a kunszt poetyckiego wyrazu w tym tomie Macheja, wypracowany a jednocześnie sprawia jacy wrażenie lekkości, nie narzuca się z taką natarczywością, jak w liryce młodszych autorów, jak choćby Marzanny Kielar czy Wojciecha Wencla – otóż gdy się w owe kunsztowne formuły wczytać, okaże się, że wszystko co istnieje, jest wariacją nicości. Ta wyszukana, niemal barokowa pointa całego tomu – ostatnia jego część stanowią przekłady (można zapewne odszukać tu fascynacje Macheja, jakieś pokrewieństwa i odkrycia, które przenikają, do naszej literatury od lat siedemdziesiątych – to jednak temat na osobny szkic) – jest chyba czymś więcej niż tylko popisem warsztatowej wirtuozerii. Przemijalność przemijania bowiem wyprowadza istnienie w przestrzeń istnienia koniecznego, w obszar świata, w którym już nic nie mija, nie przemija, a w którym nieprzemijalność bytu przezwycięża nicość. To tylko z pozoru formuła paradoksalna. Wydaje się taka w wymiarze doraźności, ten wszakże ulega przemienieniu, unieważnieniu niejako i zaprzeczeniu.

Owo wychylenie poza doraźność przy jednoczesnej dbałości o detal sprawia, że wiersze Macheja staja się zapisem dynamicznego napięcia między świadectwem codzienności i sensem ludzkiego doświadczenia – sensem, który wyrażony być może jedynie w grze paradoksów. Ta poezja zderza więc w sobie logikę kierującą zasadą „widzę i opisuję", sprawdzalna bezpośrednio, z logiką niewyrażalnego, lecz dojmująco odczuwalnego doświadczenia wewnętrznego. Z jednej więc strony mamy do czynienia z dążeniem,

które Miłosz określa jako „nieustanna pogoń za Rzeczywistością Obiektywną", z drugiej zaś ze świadomością nieustannej nieskuteczności wszelkich poznawczych zabiegów zmierzających do pochwycenia owej rzeczywistości w językowe formuły. Wyjściem staje się demonstracja tej niemożności. Najwyraźniej bodaj widoczne jest to w wierszu „Ostatnia Wigilia Joana Miró", w którym czytamy:

Zamyka się pułapka
własnego stylu,
zaciska węzeł
śmierci...

Dramat niespełnienia w żadnej mierze nie podważa akceptacji tego istnienia, jakie zostało dane, zarazem jednak dopiero ta dramatyczna perspektywa pozwala na konstruowanie dystansu wobec życiowych doświadczeń. Dopiero w tej perspektywie możliwe jest zresztą, obserwowanie siebie samego z humorem, jak choćby w „Poemacie marynistycznym", którego bohater, wpisując swe niedole w kontekst wyznania Prospero z „Burzy" Szekspira, w którym materia życia porównywana jest ze snem, budzi się na krótko i nim ponownie zaśnie, obserwuje jakby na zewnątrz jego świata toczące się życie:

Zbudziłem się na plaży pod bratobójczym słońcem.
Świat wokół mnie bez trudu wciąż wiązał koniec z końcem.
Zmrużyłem zaraz oczy, by nie dać się oślepić.
Przemknęło mi przez głowę: „och, lepiej było nie pić..."

I znów mamy do czynienia z utworem o wyszukanej konstrukcji. „Burzę" (w dodatku w „nowym, kontrowersyjnym przekładzie Barańczaka" – ta uwaga pozwala dość precyzyjnie datować czas akcji poematu) czyta żona bohatera. Odwołanie do Prospero i jego sztuk magicznych pociąga za sobą serię dalszych skojarzeń, choćby z poematem Różewicza „Nic w płaszczu Prospera". Zwracam na to uwagę, gdyż dopiero takie odwołujące się do literackich kontekstów odczytanie tego utworu, który opisuje m.in. znikliwość istnienia, ukazuje, w zestawieniu z choćby cytowanymi wyżej „Wariacjami", spójność kreowanej w tomie Macheja wizji świata.

To przestrzeń, w której życiowe doświadczenia mieszają się ze snem czy stanem półsennego oddalenia. Pozwala to na zawieszenie poczucia realności, wzmacniane dodatkowo przez owo „zwolnione tempo" opowieści. Owo odrealnienie rzeczywistości z jednoczesnym wychyleniem się ku Nieznanemu. Tajemnica jednak pozostaje tajemnicą, można jedynie nieskończenie się do niej przybliżać:

Noc była taka,
jakby nie istniał
żaden z poprzednich
słonecznych dni.
Kosmos był wielką,
niezrozumiałą
kropką nad „i".

Z tej właśnie perspektywy ukazywany jest w wierszach Macheja obraz naszej codzienności i naszej historii. To opowieść z owego kosmicznego oddalenia. Nic więc dziwnego, że, jak w „Programie na niedzielę": „Niedługo wszystko/ się wyjaśnia i po migawkach wojny z Bośni// tybetańscy mnisi w okularach od Diora/ dmą w ludzkie piszczele". Życie, jak u Szekspira, jak u Dostojewskiego, okazuje się opowieścią idioty pełną wrzasku i furii. Wyspa sensu, jaką jest wiersz, broni się przed naporem owego jazgotu przemijalności nieustannie dokonując jego przemiany w narrację odbudowującą, poczucie ładu. Choćby na chwilę.

Leszek Szaruga

Zbigniew Machej: „Legendy praskiego metra", Wydawnictwo „Obserwator", Poznań 1996, s. 64

Ewa Piechocka

W promieniu złego oka

Don Ildebrando – postać z reprodukcji sztychu, wiszącego w zwojach kotary okiennej pokoju starego chirurga, Fausto Angelini – żył w XV wieku, należał do trzeciego już pokolenia maranów (hiszpańskich Żydów, nawróconych na wiarę chrześcijańską). Wezwany przed Trybunał Inkwizycji w Toledo, siłą wzroku zabił jej przewodniczącego, uciekł, uchronił rodzinę przed śmiercią, a sam zginął bez śladu. Przez wieki żył jednak, wcielony w wielki inkwizycyjny fresk, obdarzony mocą ożywania, somnambulicznego chodzenia po nocach, wydzielania kłębów dymu. Był osobnikiem wyposażonym w instrument zła, określony mianem iettatore – złe oko, rzucające urok.

Fausto Angelini – potomek Ildebrando odziedziczył złe moce; za jego sprawą działy się rzeczy dziwne i niesamowite, których przyczyny nie potrafił zgłębić. Wiedział, że iettatore jest cechą wrodzoną, której nie można się pozbyć. Herling-Grudziński pisze: „To, co powiem teraz, skłoni wielu czytelników do uśmiechu i wzruszenia ramion. A jednak powiem, bo zanadto współczesność wpoiła nam kult «zdrowego rozumu». Oglądamy kącikami oczu zjawiska niewytłumaczalne, udajemy żeśmy ich w ogóle nie widzieli, czytamy (...) o duchach osób umarłych, uważamy je za urojenia i płody chorej wyobraźni (...), byle tylko nie dać się wepchnąć w obręb innego wymiaru, za próg «rzeczywistości sprawdzalnej i dotykalnej». Przechodzimy przez życie z jednym okiem nadmiernie aż wyostrzonym, z drugim ślepym, zaciągniętym bielmem. Wystarczy, aby wiedzieć? Nie, nie wystarczy".

Kojarzący się z „powieścią gotycką" obszerny tytułowy utwór „Don Ildebrando", jak również pozostałe opowiadania tomu, stanowi próbę poszukiwana źródeł zła i ich sportretowania. Dotykając rzeczy nie sprawdzonych, fascynujących, znajdujących wyraz w legendach, starych kronikach czy opowieściach, Herling-Grudziński unika banału, bo wyczuwa jego granice. Banalna może się wydać historia zakonnicy, uwiedzionej przez spowiednika i zbiegłej z klasztoru (opowiadanie „Suor Strega"). Jej panowanie nad duszami czyśćcowymi starego cmentarza, kontakt ze śmiercią, sycący mroczne siły drzemiące w psychice, mówią o cechach tkwiących w naturach obdarzonych mocą

demonizmu, podróżujących do „kresu nocy". Czyż nie inaczej można spojrzeć na swoiste opętanie małej bohaterki „Ex Voto", z której głowy wyrastały włosy poskręcane jak u Meduzy, jednej z Gorgon?

Zmysłowa miłość, erotyzm, obecne w wielu opowiedzianych historiach, mają siłę niszczącą, dotykają granicy zbrodni. Włoski kompozytor – madrygalista, Carlo Gesualdo, książę Venosy z przełomu XVI i XVII wieku (opowiadanie „Madrygał żałobny"), na którego życiu głębokim cieniem zaciążyło zabójstwo żony i jej kochanka, fascynuje bohaterkę opowiadania; zbrodnia zdaje się karmić i podsycać legendę, która narosła przez wieki wokół madrygalisty, a wielkość jego muzyki usprawiedliwia okrutny czyn. Z upływem czasu sądy o ludzkich czynach ulegają polaryzacji, stają się pożywką dla mitów i legend.

W kręgu pisarskich fascynacji Herlinga – Grudzińskiego znalazła się też drzemiąca w człowieku siła samozniszczenia, „paroksyzm śmierci". Ferragosto – pora przesilenia naszego życia z naszą śmiercią sięga osiemnastego roku przed narodzeniem Chrystusa. Było świętem pogańskim, przypadało na szczyt lata. Otóż, Ferragosto trwa nadal. W opróżnionym z powodu gorączki Rzymie mają miejsce, nie dające się wyjaśnić, samobójstwa. Badania Komisji Psychologów nie są w stanie postawić jasnych konkluzji. „Szczyt lata. Opowieść rzymska" jest opowieścią o samotności. Autor przywołuje Pascala; „niemy wszechświat", obojętny wobec naszego istnienia, skazujący nas na wieczną bezdomność, daje o sobie znać w noc szczytu lata, gdy Bóg zdaje się być nieobecny.

Opowiedziane w tomiku historie dotykają sytuacji granicznych. Pozostają nie dopowiedziane, otwarte, dzięki czemu unikają jednoznaczności ocen i motywacji. Zachowują jądro tajemnicy. Są opowiedziane przez narratora, który czasem, poprzez rozmaite szczegóły i minifabuły, utożsamia się z autorem. Postacie z opowiadań przeżywają więc doświadczenia biografii pisarza. Ich bohaterem jest często poważny, starzejący się mężczyzna, który przywołuje zasłyszane wydarzenia.

Akcje opowieści osadzone są w konkretnej okolicy wyznaczonej mapą topograficzną Włoch. Stanowi ją ulubione południe (często okolice Neapolu), miasteczka poprzecinane cechowymi uliczkami, cmentarze na górskich zboczach, fasady katedr oddają urok romańskiej surowości, kościoły i pociemniałe ołtarze, zamczyska, naznaczone śladami trzęsień ziemi kryją mroczne tajemnice. Rozgrywające się historie są nasycone precyzyjnymi opisami, gorące postaciami (niektóre są jakby wyjęte ze starych portretów i przywrócone życiu), imponują sumą wiedzy o człowieku. Pisarza intryguje zagadnienie śmierci; czasem sięga do „wiedzy tajemnej", nigdy jednak nie próbuje odsłonić swoistej kotary zawieszonej między ziemią a wiecznością.

„Jubileusz, Rok Święty", na tle wspomnianych opowiadań, wyróżnia się reportażowym wręcz ujęciem tematu. Koniec wieku. Rok 2000 ogłasza papież Rokiem Świętym. Rzym wypełniają tłumy. Czy pojednanie różnych religii i ludzi wobec zła świata jest możliwe? Symbolem pojednania jest cierpiący papież, wyraźnie kojarzący się z Janem Pawłem II, którego poświęcenie dla świata zdaje się mijać z celem. Jest papieżem przybitym do krzyża. W promieniu złego oka znalazł się współczesny człowiek, nie czujący bojaźni bożej, obojętny na sądy i wyroki Boga. Odwieczny porządek został zachwiany. W miejsce religii pojawiła się potrzeba bycia w masie, co ma wypełnić pustkę.

Ewa Piechocka

Gustaw Herling – Grudziński, „Don Ildebrando". Opowiadania. Wydawnictwo „Presspublica", Warszawa 1997.

Jarosław Klejnocki

Tylko popiół, a jednak...

Uczyńmy na początku dwa zastrzeżenia. Po pierwsze nie interesują mnie intencje autora. Liczy się produkt jego pomysłu, czyli powieść, którą przez lata czytały, jako obowiązkową lekturę szkolną (dziś już „nieobowiązkową"), kolejne pokolenia zdających maturę młodych ludzi. Rozterki autorskie pozostawimy zatem biografom Jerzego Andrzejewskiego. Z podobnego powodu (ważna jest książka jako „fakt" literatury) nie są istotne ostatnie rewelacje Krzysztofa Kąkolewskiego, który twierdzi, że odnalazł żyjący pierwowzór Maćka Chełmickiego i udowadnia, że „Popiół i diament" powstał na jednoznaczne zamówienie komunistycznej władzy – w celach, jak rozumiem, propagandowych. Jednym słowem, pozostawmy na boku genetyczne rozważania.

Najgłośniejsza, a przynajmniej najbardziej w Polsce znana (wszak dla wielu rodaków lektury szkolne zazwyczaj wyznaczają horyzont wiedzy o literaturze, a nawet, co tyle jest smutne, ile prawdziwe, stanowią wręcz jedyną przygodę lekturową życia) powieść Andrzejewskiego zawsze wydawała mi się dobrze napisaną książką służącą złej sprawie. Nie zmieniła mego przekonania ponowna lektura, którą podjąłem z okazji wznowienia przez „Puls" „Popiołu i diamentu" wraz z pierwotnymi (to jest pochodzącymi z pierwszego wydania książkowego z roku 1948) wersjami tekstu; miejscami dramatycznie odmiennymi od powszechnie znanych. Na marginesie trzeba przypomnieć, że wcześniej jeszcze Andrzejewski drukował swą powieść w odcinkach, w roku 1947 w tygodniku „Odrodzenie", kiedy nosiła mało oryginalny tytuł „Zaraz po wojnie".

Pogląd, iż książka ta złej sprawie służy wypowiadany był wielokrotnie. Pamiętamy choćby jej charakterystykę napisaną przez Czesława Miłosza w „Zniewolonym umyśle" (w rozdziale poświęconym Andrzejewskiemu, który ukryty tam został pod pseudonimem „Alfa"), potem jeszcze pojawiło się, zwłaszcza w emigracyjnej i „drugoobiegowej" publicystyce sporo ciekawych głosów. Kiedy zaczynałem uczyć w liceum w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, zawsze przynosiłem na lekcje dotyczące „Popiołu i diamentu" – oprócz wspomnianego „Zniewolonego umysłu" – książkę Andrzeja Wernera („Polskie, arcypolskie...", „Nowa" 1987) oraz artykuł Sławomira Mrożka z paryskiej „Kultury" („Popiół? Diament?" nr 1/2/1983). Nie od rzeczy było także zacytowanie jednego z haseł opozycyjnego przewodnika encyklopedycznego „Literatura polska po 1939 roku" (PEN, 1989), gdzie czytamy: „jednak pewne teksty powstałe w tych latach (tj. na przełomie lat 40 i 50 – tych) funkcjonują w obiegu szkolnym do dziś, skutecznie zatruwając świadomość młodzieży sfałszowaną, stronniczą wizją przedwojennych, okupacyjnych i powojennych konfliktów politycznych, społecznych, narodowych. Przykładem na miarę symbolu jest szkolna kariera «Popiołu i diamentu»..."

Szło tu nie tylko o „odkłamanie" fałszów powieści (o czym za chwilę), ale też o pewien zabieg dydaktyczny, który zdynamizowałby dyskusję wokół książki. Młodzież bowiem (o czym trochę później), nawet zdając sobie sprawę z ideologicznych powikłań „Popiołu i diamentu" (licealiści w latach 80-tych byli jednak uświadomieni dostatecznie w sprawach politycznych) mówiła o książce Andrzejewskiego raczej z sympatią. Chodziło więc o to, by gwałtownymi tezami sprowokować reakcję. Co prawda sympatia ta wywołana była w dużej mierze filmem Andrzeja Wajdy, a w nim – buntowniczą kreacją Cybulskiego – ale „nakładała" się później na tekst oryginalny, więc nauczyciel miał co do roboty.

Zajmijmy się więc kwestią nieuczciwości „Popiołu i diamentu". Jest to książka skonstruowana tak, by przypominać powieść panoramiczną, czyli względnie obiektywną powieść z rodziny realistycznych. Tak na dobrą sprawę, wiem co mówię, nie ma ona głównego bohatera. Bo nieprawdą jest, że jest nim Szczuka. Szczuka jest za to być może najistotniejszym protagonistą tej historii. Dalej: jeśli dobrze się przyjrzeć – to Maciek Chełmicki jest raczej postacią drugoplanową, dopiero Wajda zmienił proporcje i uczynił zeń najważniejszą postać swego filmu, co potem wpłynęło na recepcję oryginału. Jak pamiętamy – luźna konstrukcja książki, na którą składają się symultanicznie prezentowane, zazębiające się miejscami, przecinające, ale nigdy tożsame wątki fabularne – sprzyja powstaniu wrażenia, że powieść ta stanowi prezentację postaw społecznych i politycznych „Zaraz po wojnie". Iluzję tę, czy też jak chcą inni, kłamstwo tak oto obnaża Mrożek i tak streszcza jego poglądy Werner: „podkreśla więc (Mrożek), że komuniści obejmują tu władzę jak gdyby z obowiązku, chcąc nie chcąc – wyniszczony wojną, wyniszczony przede wszystkim moralnie kraj wprost składa na nich tę ciężką odpowiedzialność. Muszą ją podjąć, bo poza nimi nie ma nikogo, kto by ten ciężar mógł wziąć na siebie. Jest klasa robotnicza, która jak w (...) scenie pogrzebu, w sposób naturalny przyłącza się do tych, którzy o jej prawa walczyli i walczą (...). Reszta to polityczni i społeczni bankruci, postacie operetkowe albo i wprost – degeneraci «wielkiej maści». Nie ma ani takich ludzi, ani takiej koncepcji politycznej, która mogłaby doprowadzić do powstania państwa polskiego bez nawrotu do starych błędów (...). Program socjalistów został tu z góry skompromitowany w osobie Kalickiego, człowieka przegranego, rezygnującego z walki o własny program i ze współpracy z komunistami, dręczonego bezsensowną irracjonalną obsesją antyrosyjską. Antyrosyjską właśnie, powołującą się na Wschód, Azję, cara i zabory, a nie antyradziecką; ani słowa o nowszych doświadczeniach. To PPS; o ludowcach, o PSL – żadnej wzmianki. Nic dziwnego, że w takim pejzażu społecznym polscy komuniści nie potrzebują oparcia z zewnątrz, czasem dyskretnie, gdzieś w dalekim tle pobrzmiewają subtelne tony harmonii czy bałałajki sugerując obecność sprzymierzonych sąsiadów."

Oto więc powieść udaje przed nami, że wyczerpuje rejestr możliwych opcji społecznych i politycznych. Obiecując nam realistyczny i obiektywny obraz świata – de facto pokazuje jedynie jego część. Zwłaszcza dziś, kiedy już tyle wiadomo o naturze politycznego systemu powojennego, o sfałszowanych wyborach, o prześladowaniach AK-owców i zbrodniach UB, wydaje się to nieznośne. I nie ratują „Popiołu i diamentu" poszczególne genialne sceny; jak choćby pijanego poloneza tańczonego przed świtem: wielkiej metafory przyszłości, która miała się ziścić. „Popiół i diament" ma w sobie również, i rację należy przyznać Miłoszowi, który pisze o tym w swych esejach, elementy socrealistycznego myślenia o literaturze (monumentalna kreacja Szczuki; przypisywanie „klasowego" powodu załamaniu się Kosseckiego w obozie itd.). Nie jest więc to książka, która mogłaby stanowić źródło wiedzy o Polsce powojennej, a tak niejednokrotnie była w szkole czytana i dlatego tak wielkie oburzenie towarzyszyło temu procederowi ze strony politycznej opozycji.

Co zmieniają w tym obrazie zapomniane, wcześniejsze partie tekstu dołączone do najnowszego wydania? Tak naprawdę – niewiele. Osłabiają ostrze powieści, nie czynią ją tak wyrazistą, tak ideologicznie obciążoną. A więc Szczuka nie jest takim psychologicznym monolitem, jak w późniejszej wersji (krytyka socrealistyczna kręciła nosem na „pierwszą wersję" Szczuki), podziały polityczne między Polakami są w wersji pierwotnej nieco rozmyte, nie tak jednoznaczne; opór Kalickiego nie sprowadza się jedynie do fobii antyrosyjskiej, ale wynika także ze świadomości, że tradycja PPS-u posłuży

komunistom za parawan... Podgórski nie jest tępym aparatczykiem i zdaje sobie sprawę (mówi o tym głośno w rozmowie z Koseckim), że komunizm nie cieszy się wszechstronnym oparciem i trzeba będzie przymusu, by go wprowadzić – dlatego pewnie major Wrona jest jeszcze bardziej zaciekły niż w późniejszej odmianie tekstu. I największa, główna zmiana; pierwotnie Podgórski nie przekazywał prokuraturze Kosseckiego, którego właśnie ujawnił jako kata z obozu koncentracyjnego (zdawał sobie bowiem sprawę z relatywizmu ocen rzeczywistości obozowej przeprowadzonych „z zewnątrz").

Oczywiście, myślę, że wolałbym czytać „Popiół i diament" w tej pierwszej wersji, choć przecież nie zmienia ona ogólnej wymowy książki. W tej pierwszej wersji powieść Andrzejewskiego wydaje się bowiem jeszcze lepsza literacko. I tak doszliśmy do sygnalizowanego paradoksu. Będąc nieuczciwą, jest ta książka dobrze wykonaną robotą, względnie dobrze skrojoną opowieścią, dającą estetyczne zadowolenie lekturowe. I dlatego młodzież tak sobie ceniła tę powieść; mimo wszystko. Prawda, że konkurencja w lekturach nie była silna („Nad Niemnem"!), prawda, że powieści współczesnych w ogóle niewiele było (i jest nadal!) w spisie lektur obowiązkowych; i prawda wreszcie, że czar roztaczał głównie film z fascynującą rolą Cybulskiego, dającą asumpt do identyfikacji wszystkim buntowników, tym nastoletnim Antygonom, którym zdawało się, że również ich młodość obfituje w tragiczne wybory. A jednak.

Jarosław Klejnocki

Jerzy Andrzejewski, „Popiół i diament", Wydawnictwo „Puls", Warszawa 1996.

Wacław Lewandowski

Niełatwo być księdzem – jeszcze trudniej grzesznikiem

Proza poetów bywa dziwaczna i, co tu kryć, bywa nieudana. Natrętne liryczne „ja" i „ja", i „ja" wielekroć nie pozwoliło na scalenie fabularnego świata, atomizowało ów świat, szarpało na strzępy drąc jak tkaninę, nieodwracalnie. Do tego język poety występującego w roli prozaika! – Jakże często bez potrzeby przesłaniający powieściowe przestrzenie, tak natrętnie nieprzezroczysty, że niezdolny opowiadać, duszący wszelkie „dzianie się" już w jego fazie embrionalnej. Proza poetów ma więc czasem wiele wspólnego z tworami prozaików – grafomanów, którym zdaje się, że „gęstym" językiem pokryją (i ukryją) brak umiejętności opowiadania i własną niemoc, doświadczaną w obliczu zadania kreacji „przedstawionego świata". Wiedząc o tym i pamiętając, że niejednokrotnie dostąpiliśmy bolesnego zawodu, sięgamy jednak po prozę poetów, bo przecie mamy i milsze, szczególne wspomnienia nieoczekiwanych przeżyć, jakich doświadczyliśmy w kontaktach z tymi nielicznymi, wspaniałymi mistrzami poezji, którzy potrafili tak odkrywczo prozę zliryzować, że brzmi ona przez lata tonem swoistym, odrębnym i fascynującym. Kto kiedyś wmyślał się w „Malte" Rilkego, kto rozpoznał subtelności „Doliny Issy", wie o czym mówię, wie też, że warto ryzykować zawód i rozczarowanie, czujnie wertując tomy „sprozaizowanych" liryków.

Jednakowoż po prozatorską książkę poety – Grzegorza Musiała sięgałem, trzeba

to wyznać, z przemożną niechęcią. Nie dlatego, abym nie spodziewał się dobrej prozy po tym właśnie autorze, choć nie przypadły mi do gustu jego uprzednie powieści, „Stan płynny" czy „W ptaszarni", może dlatego, iż tomy poezji Musiała zawsze wydawały mi się na tyle znaczącymi, że jakoś nie zakładałem sprawności tego autora w innym literackim rodzaju. Przyczyną główną była jednak reklama książki, przed jej ukazaniem się przeprowadzona. Otóż przeczytałem „sygnalny" fragment „Al fine", onegdaj ogłoszony w lubelskich „Kresach":

„«Mówię ci, dziesięciolatek z wodogłowiem », usłyszał kiedyś w barze na Polk Street, – przeczytałem wtedy – «sam wielki łeb i odnóża, i te oślinione wargi, mówię ci, jak to się jebie... »"

Nie powinno być tzw. prywatnych odczuć w recenzji. Ale jestem i czytelnikom i autorowi „Al fine" winien to wyznanie. Pomyślałem wtedy – cóż, następny tom „homoseksualnej prozy", którego jedyną racją istnienia jest takie natężenie zobrazowanych dewiacji, aby na ich tle pederastia zdała się nobilitacją, potwierdzeniem uczestnictwa w wysokiej kulturze. Zatem – pseudoliteratura, rodzaj publicystyki, która, przybierając pozór wypowiedzi literackiej, pragnie załatwić parę drobnych interesów tzw. mniejszości seksualnej. – Po co ten parawan literackości – pytałem zirytowany. Teraz – przewidywałem – odezwie się kilku „dyżurnych" krytyków, powiedzą że wspaniałość, że złamanie tabu, że głębia i wielka wartość...

Myliłem się. Najwidoczniej bywa tak, że wyizolowany fragment, osobno publikowany, może dawać mylne wyobrażenie całości. Istotnie, „Al fine" Grzegorza Musiała to proza homoseksualna, jeśli taki „wyróżnik" w ogóle ma sens i cokolwiek wyjaśnia, (a, sądzę – nie wyjaśnia). W każdym razie narrator „Al fine" ostentacyjnie swój homoseksualizm podkreśla, (nie jest narratorem „autocenzurowanym"), i, być może, komuś tam wystarczy ten gest „opowiadacza" do „finalnego" zaszufladkowania książki...

Nie ma pewnie w pisaniu o literaturze chwil bardziej radosnych niż te, gdy można (i trzeba) przyznać się do błędu wstępnej i powierzchownej oceny. „Al fine" Grzegorza Musiała jest jedną z ważniejszych książek chwili bieżącej, w każdym razie -jedną z najważniejszych spośród tych literackich nowości, jakie było mi dane przeczytać. Jest to – a piszę z przekonaniem równie twardym, jak niezłomną była owa pierwsza, błędna ocena – jedyny w naszej współczesnej literaturze moralitet, w pełnym tego słowa znaczeniu. Musiał jest bowiem daleko ponad problemami historycznego czasu, w jakim przyszło mu żyć, chociaż dostrzega je i pilnie, przenikliwie analizuje. Mierzy jednak w sferę Wieczności i z Nią, lub w odniesieniu do Niej dyskurs prowadzi, a jak każe najchlubniejsza z tradycji europejskiej literatury, dyskurs ten w praktyce jest swoistym soliloqium, roztrząsaniem, w które nie wpisano dającego się określić adresata, bo przecie podmiot tej rozprawy – wyznania – spowiedzi, kieruje się zarówno ku wszystkim, jak i ku sobie samemu, ku tajemniczemu a zwielokrotnionemu „ja", które nieprzerwanie ukazuje antystatyczność i niejednorodność swojego oblicza. Norwidowe „źle, źle zawsze i wszędzie" czy Mickiewiczowskie „łzy czyste, rzęsiste" grzmią w tej prozie echem przejmującym, prawdziwym, szczerym i, by tak rzec, mądrze obecnym. I nurtuje pytanie, jak (i czy?) Blaise Pascal dałby radę tej potworności odduchowionego świata, którą przeżywa narrator powieści Musiała, wiedząc, że nie ma w niej miejsca na żaden „zakład", żadną myślową konstrukcję kojącą, ani na spekulację oderwaną od emocji przeżycia. Podmiot „Al fine" szuka Boga z tym natężeniem rozpaczy, jakiego nie uzasadni ani odczucie „marności rzeczy świata tego", ani ów horror metaphysicus, który tak umiejętnie chwyta i paraliżuje ludzi „w połowie drogi żywota".

„Wiedziałem, że wszystko, absolutnie wszystko, co budowałem jako swe zabezpie-

czenie – powiada narrator „Al fine" – to banał, kłamstwo i złudzenie. Chciałem być nagi, a mnie ubrano. Chcę nie wiedzieć, a mnie nauczono. Kołacze coś we mnie, czego znaczenia nie rozumiem i kierunku, jaki obierze nie znam."

„Jak wyszedł z łona matki, tak też nagi odejdzie, jako i przyszedł" – powiada Kohelet o człowieku, kładąc fundament pod topos vanitas, najważniejszą bodaj z kulturowych mądrości, które pozwalają rozpoznawać i określać ludzkie stanowisko w świecie. O tej nagości mówi też Hiob, pamięta o niej Psalmista. Bo nic własnego, od przyodziewku począwszy, nie ma człowiek na tej ziemi, nic z niej nie zabierze w tę drogę tajemną, w którą wyprawi się, chce czy nie chce, umierając. Wie o tym, pamięta, narrator „Al fine". A przecież ubrano go, wyposażono w wiedzę, kęs owocu rajskiej jabłoni, dając złudę rozumienia i groźbę śmiertelnej nicości. Świat, w którym żyć mu przyszło, świat dzisiejszy, nie otwiera jednak żadnych szczelin metafizycznych, nie tworzy przesmyków od vanitas doczesności ku przebóstwieniu prowadzących. Wiara niewzruszona zdaje się więc żywą skamieliną, zabytkiem lepszej a niepowrotnie zagubionej przeszłości. Cywilizacja zmaterializowania, użycia, kresu i wyczerpania to ziszczone piekło rzeczywistości dzisiejszej, w której piękno nie jest odbiciem dobra, lecz często – kłamstwa i „rynkowej wartości". Narrator (i bohater) Musiała musi zatem przejść przez wszystkie kręgi zła współczesności, by odkryć w sobie „to coś, czego znaczenia nie rozumie", własną duchowość, bolesne i nadludzkie kołatanie duszy do drzwi życia prawdziwego, o którego istnieniu rzeczywistość dzisiejsza każe wątpić. Musiał – pisarz uczynił heroiczny wysiłek przywrócenia literaturze współczesnej owego porywu metafizycznego, który tak trudno obudzić w otoczeniu „cywilizacji kresu". Przywrócenie nie odbyło się kosztem uproszczenia obrazu świata oddanego w powieści. Przeciwnie – Musiał analizuje rzeczywistość głęboko i przenikliwie, dzięki czemu z poczuciem oczywistości pokonuje „zachodniacki" kompleks polskiej literatury najnowszej, sztuczne utrzymywanie podziału świata na Zachód (dostatni i nie znający bólu istnienia) i jego wschodnie przeciwieństwo. Tam i tu dostrzega Musiał cechy „wyczerpania" cywilizacji – tam i tu, poza powierzchniowymi różnicami, tę samą beznadziejność nieprzystawalności symbolicznego języka umarłej kultury i przeobrażonych współczesnych społeczeństw. Światło prześwietlające witraż i „taneczny krąg samozagłady", rysujący się na ulicach dzisiejszych metropolii. Przeestetyzowana efebia starożytnych, (pamiętajmy o homoseksualnej kreacji narratora – bohatera), i perwersyjno-kloaczne „rozkosze" w ofercie „gejowskiego" nocnego klubu. Niewzruszalność średniowiecznych katedr i „migawkowa", pusta dynamika cywilizacji fragmentu, antycałości. Wielkie napięcie owych kontrastowych zestawień potrafi pisarz wydobyć dzięki głębokiemu osadzeniu w tradycji kultury śródziemnomorskiego kręgu, tradycji religijnej, filozoficznej i literackiej, co odróżnia Grzegorza Musiała najdobitniej od masy „ludzi nowych", odmieniających przez przypadki hasło „postmodernizm" na kartach swych grafomaniackich wytworów, przepojonych pewnością, że świat zaczął się ledwie chwilę temu, wraz z „techno", „amfą" – czy nieco wcześniej, gdy postmodernistyczny homo faber wyprodukował pierwszego hamburgera.

Grzegorz Musial objawił się w „Al fine" jako, dosłownie, pisarz z Bożej łaski, który potrafi poprzez beznadziejność rozpadu podążać ku budowaniu nadziei i odbudowywaniu duchowości człowieczej. Ukazał się nam również pisarz rzetelny, który z powodzeniem buduje obszerną i wielowątkową całość narracyjną, potrafi swobodnie zmieniać perspektywę opowiadania, zlepiać pozorny chaos spostrzeżeń w przemyślaną kompozycyjnie strukturę jakiejś imponującej powieści – symfonii, która z sukcesem potrafiła zasymilować zasadę wielkich kompozycji orkiestrowych.

„Al fine" to książka drastyczna. Pełna zła współczesności w najbardziej plugawych jego odmianach. Nie sposób czytać jej z przyjemnością, ale nie sposób też odrzucić, potępić. Przez zło, plugastwo, brzydotę potrafi bowiem Musiał prowadzić czytelnika ku temu, co najpiękniejsze i najważniejsze. Jedynie ważne.

Wacław Lewandowski

Grzegorz Musiał, „Al fine", Gdańsk 1997 (Wydawnictwo „Marabut"), Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego".

Marian Szarmach

Listy Tadeusza Zielińskiego do Stefana Srebrnego

Tadeusz Zieliński (1859-1944) jest chyba najwybitniszym polskim filologiem klasycznym. Dziwne były jego losy. Urodził się w Skrzypczyńcach koło Humania na Ukrainie, kończył gimnazjum niemieckie w Petersburgu, w Lipsku studiował filologię klasyczną i tam uzyskał doktorat w roku 1890, po czym pogłębiał dalej swą wiedzę w Monachium, Wiedniu, we Włoszech i Grecji, by objąć w 1885 katedrę filologii klasycznej na uniwersytecie w Petersburgu. W roku 1921 przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, stając się od razu jego dumą. „Już sam wygląd profesora wzbudzał szacunek, nazwisko zainteresowanie. Toteż na wykłady jego uczęszczano tłumniej niż na inne. Ale też były to wykłady odkrywcze...", wspomina po latach ówczesna studentka warszawskiej klasyki, prof. Lidia Winniczuk. Wydawane w okresie międzywojennym stricte filologiczne prace Tadeusza Zielińskiego weszły w wielu zagadnieniach do bibliografii podstawowej, zaś publikacje popularno-naukowe nie tylko przybliżały antyk polskiemu czytelnikowi, ale bardzo często wywoływały burzliwe dyskusje i zacięte polemiki, jak chociażby „Hellenizm a judaizm" (1927), w której starał się wykazać, że Nowy Testament jest bliższy religii greckiej niż Staremu Testamentowi. Wojna przerwała brutalnie tę działalność profesora. Podczas oblężenia Warszawy stracił swe mieszkanie i spaliła się jego biblioteka. Miał wtedy lat osiemdziesiąt. Wówczas, a więc w pierwszych miesiącach wojny, przeniósł się wraz z córką Weroniką do Schondorf pod Monachium, do syna, gdzie po kilku latach zmarł i gdzie został pochowany.

Urodzony w Warszawie Stefan Srebrny (1890-1962) studiował filologię klasyczną w Petersburgu u Tadeusza Zielińskiego w latach 1907-1912. Tamże otrzymał w roku 1906 veniam legenndi, cesarski stopień naukowy odpowiadający habilitacji. Z lat petersburskich datuje się przyjaźń ucznia i mistrza. Po rewolucji przeniósł się najpierw w roku 1918 na Katolicki Uniwersytet Lubelski, a stamtąd w roku 1923 do Wilna do Katedry Filologii Klasycznej USB. W roku1945 trafił do Torunia, gdzie stworzył Katedrę Filologii Klasycznej UMK i gdzie zmarł. Poza publikowanymi po łacinie, niemiecku i polsku pracami naukowymi o literaturze greckiej przetłumaczył zachowane tragedie Ajschylosa, „Króla Edypa" Sofoklesa oraz większość komedii Arystofanesa. Interesował się też polskim życiem teatralnym dając temu wyraz w licznych artykułach.

Opuszczenie Polski przez Tadeusza Zielińskiego spowodowało, że po wojnie zapanowało o nim na wiele lat milczenie. Ja jednak usłyszałem o nim po raz pierwszy

już w połowie lat pięćdziesiątych od jego byłej studentki, a mojej nauczycielki łaciny w kwidzyńskim Gimnazjum, ś.p. Zofii Królakowej, powtarzającej niejednokrotnie jego tezę, że antyk nie jest dla kultury europejskiej normą, ale jej głęboko ukrytą, życiodajną siłą. Studiując potem filologię klasyczną w Toruniu stale stykałem się z tym nazwiskiem, przede wszystkim na zdjęciach prof. Srebrnego. Wszak jego podstawową książką, bez której nie można było się przygotować do prowadzonego przez profesora seminarium poświęconemu tragedii greckiej, była „Tragodumenon libri tres", Cracoviae 1925. Nie przypuszczałem wtedy, że po latach kilka książek Tadeusza Zielińskiego, ofiarowanych przez autora prof. Srebrnemu wraz z serdecznymi dedykacjami, będzie ozdobą mojej biblioteki.

Tadeusz Zieliński i Stefan Srebrny korespondowali ze sobą przez ćwierć wieku (1919-1944). Adresowane do siebie listy prof. Srebrny przekazał prof. Zofii Abramowiczównie, po śmierci której trafiły one do Działu Zbiorów Specjalnych Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu. Opublikowała je ostatnio Grażyna Golik-Szarawarska, autorka pracy o jego wizji teatru[1]. Szkoda, że możemy czytać tylko listy nadawcy, a nie znamy odpowiedzi adresata. Ileż razy podczas tej lektury chciałoby się powiedzieć: audiatur altera pars![2]

Trudno omawiać szczegółowo ten zbiór listów pióra Tadeusza Zielińskiego, przytoczę więc jedynie kilka zawartych w nim wątków.

4 X 1919, Paryż: „potężne stronnictwo socjalistyczne, nie znając wewnętrznych spraw rosyjskich, jest zakochane w bolszewizmie i ma za oszczerców wszystkich, co o nim źle mówią".

22 II 1920, Pompeje: „Widzę, że Pan pracuje ze zwykłą sobie gorliwością nad przekładami moich podręczników, jestem mu za nie bardzo wdzięczny".

25 II 1921, Petersburg: „Czuję, że moja polszczyzna, dzięki barakowi praktyki, się jeszcze bardziej zepsuła. (...) Spodziewam się, że to korrupcja – zjawisko chwilowe".

2 I 1923, Florencja: „Biegam, tłumaczę, reprezentuję, przemawiam po włosku, polsku, łacinie".

29 XI 1925, Warszawa: (po otrzymaniu zalanej przez Newę swej petersburskiej biblioteki, złożonej w piwnicach rosyjskiej Akademii Nauk): „Co do mojej biblioteki (...) są to bowiem już nie książki, tylko trupy książek".

14 X 1928, Warszawa: „Nasz poczciwy Cybularski zamierza wystawić w tym roku ze swoimi uczniami „Ptaki" Arystofanesa. (...) Chodzi teraz o uzyskanie Pańskiego pozwolenia na krzystanie z Pańskiego przekładu. (...) Odpowiedziałem, że nie przewiduję żadnej trudności z Pańskiej strony w tej sprawie, i obiecałem do Pana napisać. (...) Wystawienia te, połączone, jak Panu wiadomo, z dobrą muzyką i takim baletem (...) są naturalnie, jako dyletanckie, dość dalekie od ideału, ale dzięki dobrej woli i zapałowi jego samego, jak i jego młodzieży, robią wcale dobre wrażenie". Stefan Srebrny nie zgodził się jednak na to, żywiąc widocznie niechęć dla teatrów amatorskich. 28 X 1928 Tadeusz Zieliński mu na to odpisał: (...) „Niech Pan Kolega się na mnie nie gniewa, jeżeli mu powiem szczerze, że list Pański zrobił na mnie bardzo przykre wrażenie, i to nie tylko ze względu na Cybularskiego. (...) Salieri u Puszkina, jak Panu wiadomu, był oburzony słysząc, jak kataryniarz gra melodie Mozarta; sam Mozart, odwrotnie, cieszył się z tego. Otóż ja zawsze należałem do ludzi typu mozartowskiego – i przykro mi widzieć Pana, najlepszego mojego przyjaciela, w obozie salierowców".

[1] G. Golik-Szarawarska, „Stefan Srebrny, badacz i krytyk teatru", Katowice 1991.
[2] łac. „aby można było wysłuchać drugiej strony!" Sentencję tę przypisuje się św. Augustynowi.

W 1959 r. Stefan Srebrny wyznał[3]: „Poglądu swego na tę sprawę nie zmieniłem do tej chwili; ale do głębi wzruszyła mnie i wzrusza ludzkie podłoże sądu mojego nauczyciela, czystym dźwiękiem odzywająca się w nim philanthropia".

26 IV 1938, Warszawa: „Dają u nas w Teatrze Polskim «Noc listopadową» Widziałem już ją kilka lat temu, ale teraz żeby wtajemniczyć moją wnuczkę, postanowiłem ją przeczytać – naturalnie w pięknym wydaniu zbiorowym ze wstępem Sinki. Przeczytałem – i wtedy dopiero przekonałem się, że dobrej połowy nie zrozumiałem. Przeczytałem wstęp Sinki: coś niecoś mi on wyjaśnił, ale w ogóle przekonałem się, że i Sinko wiele głównych rzeczy nie rozumie. Powstała nawet w mojej głowie bluźniercza myśl: czy aby sam Wyspiański siebie rozumie? I z tęsknotą pomyślałem o Panu Koledze, pierwszym, od którego usłyszałem natchnione słowa o nim".

9 XII 1938, Warszawa „Przed chwilą odszedłem od mojego radio, przez które przesłuchałem (...) audycję sokratejską, i serdecznie winszuję Panu Koledze tej pięknej i pożytecznej imprezy i specjalnie Pańskiego w niej udziału".

I wreszcie tragiczne listy z okresu wojny.

13 I 1940, Schondorf (list pisany po niemiecku): „Tymczasem tylko tyle, że po utraceniu w wyniku pożaru naszego uniwersytetu i mieszkania całego mienia i możliwości pracy, znaleźliśmy tutaj chwilowe (zeitweilige) schronienie. Na jak długo nie wiemy; przypuszczalnie jeszcze na kilka miesięcy".

Tadeusz Zieliński nie przypuszczał, że przeciągną się one ad mortem. Tam powstał V i VI tom „Religii świata antycznego": „Religia cesartwa rzymskiego" i „Antyczne chrześcijaństwo". Po ich ukończeniu wyznaje:

3 I 1944, Schondorf: „Gdybym miał przynajmniej pewność, że te dwa ostatnie tomy ujrzą świat – byłaby to szansa na zwycięstwo w walce z «flotą zapomnienia»". Był to jego ostatni list do Stefana Srebrnego.

Dobrze, że listy te wreszcie się ukazały i to w trzydziestą piątą rocznicę śmierci Stefana Srebrnego. Są one nie tylko ważnym przyczynkiem do dziejów polskiej filologii klasycznej, ale i pomnikiem pięknej przyjaźni dwóch uczonych, którzy też czasami pisali sobie: amicus Plato, sed magis amica veritas4. Komentarze i przypisy G. Golik-Szarawarskiej są wręcz wzorowe, a zaznaczyć trzeba, że teksty te nie tylko roją się od nazwisk, ale i cytatów oraz aluzji literackich, z których są wręcz utkane. Zarówno jedne, jak i drugie zostały zawsze zlokalizowane i odczytane. Do tych ostatnich dorzuciłbym jeszcze jedną, która uszła uwadze Edytorki. Czyż Tadeusz Zieliński, gdy pisze 19 X 1934 r. z Warszawy: „Przechodząc teraz do «trzech próśb» Pańskich..." nie ma na myśli słów Tezeusza z „Hippolytosa" Eurypidesa5:

„Posejdonie, ojcze, z trojga życzeń,
Któreś mi przyrzekł wypełnić..."?

Marian Szarmach

Tadeusz Zieliński, „Listy do Stefana Srebrnego", opracowała G. Golik-Szarawarska, Warszawa 1997, s. 165 + 2 nlb.

---

3 Stefan Srebrny, „Ze wspomnień ucznia", Meander XIV/1959, s. 403.

4 Iac. „Platon jest przyjacielem, ale prawda jest większą przyjaciółką". Zdanie z anonimowego „Żywota Arystotelesa" z XIII w. nawiązujące do jego uwagi w „Etyce Nikomachejskiej" (1096 a), że obowiązek ocalenia prawdy nakazuje cenić ją wyżej od przyjaciół. Arystoteles był uczniem Platona.

5 v. 886, tłumaczenie J. Łanowski. (Wszystkie przypisy Marian Szarmach)

NOTY

• Nowy „Faust"! To dobrze. Po niewypale teatralnym teraz czas na spokojną, uważną lekturę tego jednego z kilku największych arcydzieł literatury powszechnej, historii słynnego na cały świat „praktykarza i czarnoksiężnika", iście jarmarcznej postaci. Ponad 12.000 wersów spiętych i nastrojonych rymami i rytmami, dźwiękowej sieci, którą boski Goethe wiązał ponad sześćdziesiąt lat, żeby złowić w nią sens ludzkiego życia uwikłanego w zło, w filozofię, w erotykę i w metafizykę.

Oczywiście, jak zawsze, gdy mówi się o arcydziele napisanym w języku obcym, wszystko, lub prawie wszystko co najważniejsze dotyczy przekładu. Ksiądz Tischner napisał w posłowiu, że nowy przekład Jacka St. Burasa jest przystosowany do języka współczesności. Sam tłumacz nie zabiera tu głosu, w którym mógłby wyjaśnić swoje translatorskie racje, jak uczynił to jego wybitny poprzednik Feliks Konopka przed swoją lekcją przekładu. Właściwie jedno co może tłumacz zrobić, to przyznać się do swojej większej, albo mniejszej przegranej. Konopka opowiada historię pewnego amerykańskiego milionera, który zachwycony echem rozbrzmiewającym w zwiedzanym przez niego jakimś włoskim pałacu, zafascynowany niesamowitymi przenikaniami szeptów, kazał wszystko jak najdokładniej wymierzyć i wybudować idealną kopię, wierząc, że to niesamowite echo „przeniesione" z Włoch do Ameryki. I rzeczywiście wybudowano wiernie, co do najdrobniejszych szczegółów pałac kubek w kubek jak ten włoski, ale echa w nim nie było. I jeżeli nie idealnie tak, to bardzo podobnie tak jest z wszelkimi przekładami. Ale jaka jest rada? Dobrze, że mamy nowy przekład, w renomowanej serii pod patronatem Karla Dedeciusa „Pisarze języka niemieckiego", bo prowokuje on nas i nęci do nowej lektury „Fausta", a z tego może być tylko duży pożytek. (K.M.)

Johann Wolfgang Goethe, „Faust" Cześć I, Przełożył Jacek St. Buras, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

• „Tym co kochają Norwida i Chopina" – tak zadedykowana jest książka w pięknym opracowaniu Władysława Stróżewskiego – Cyprian Norwid: „O muzyce". Otwiera ją wnikliwe studium Stróżewskiego, wprowadzające w świat muzycznych utworów i pism Norwida. Drugą część książki wypełniają utwory, fragmenty utworów i listy Norwida o Chopinie, a część trzecią utwory i pisma poświęcone muzykom, muzyce i instrumentom muzycznym. Jest to lektura pasjonująca. Zbiór „pięknych kwiatów". Ciemny i mroczny labirynt promienistej myśli Norwida. Oprowadza nas po nim Stróżewski, ale możemy także chodzić po nim i szukać sami, co jest ważną i inspirującą konfrontacją. W tej wędrówce słowa i pojęcia odzyskują swoje mocne i jasne znaczenia i sensy. Na przykład słowo „pieśń" oznaczające utwór poetycki i utwór muzyczny, a także połączenie tych dwóch znaczeń w jedno w znaczeniu głównym, właściwie podstawowym. Dźwięki i idee. Żar słów i rozsądek treści połączone w muzykalny porządek, który jest czymś nadrzędnym i najgłębszym: harmonią, która spaja wartości intelektualne, emocjonalne i moralne. I tu jesteśmy w sednie estetycznej i twórczej myśli Norwida, która na jotę się nie zdezaktualizowała, a wręcz przeciwnie – w dzisiejszym „postmodernistycznym" zamieszaniu, w całej tej jazgotliwej sieczce jest zbawiennym snopem światła, „magiczną" latarnią morską, która wskazuje drogę wędrowcom.

No i powinowactwo: Norwid i Chopin, ten duchowy, artystyczny i ideowy splot. Takie „niemodne" pojęcia jak piękno, prawda, praca, zmartwychwstanie. Rzeczywistość a Transcendencja. To wszystko „ma mieszkanie" w dziełach tych dwóch wielkich artystów; Norwid uważał, że ideał sztuki, jaki wyznawał, swoje najdoskonalsze wypełnienie znalazł był w muzyce Chopina. Świadectw Chopina o Norwidzie nie ma. Jest tylko ten ich duchowy, artystyczny i ideowy splot, których książka „O muzyce" jest świadectwem. (K.M.)

Cyprian Norwid, „O muzyce". Opr. Władysław Stróżewski, WL, Kraków 1997.

• Wznowione po 184. latach „Uwagi" Ignacego Krasickiego są lekturą ważną i smakowitą. Tych 48. rozprawek w stylu „monitorowym" to rzeczywisty początek eseju w literaturze polskiej, początek wielce znamienity. „Uwagi" zaczynają się pochwałą milczenia, a kończą pochwałą religii. A pomiędzy – cała planeta spraw różnych a ważnych, dotyczących religii, polityki, literatury i historii. „Myśli różne" Księcia Biskupa Warmińskiego z lat 1798/1799, „filozoficzne" pogawędki skrzące się erudycją i prześwietnym stylem. Krasicki kreśli obraz duszy i natury ludzkiej, mistrzowskim piórem przedstawiając błyskotliwe analizy, jakże aktualne. Różne „myśli ulotne", sentencje, przekłady filozofów starożytnych, aforyzmy i inne, „staranne kompozycje" pod wysokim patronatem Michała Montaigne'a, a także takich mistrzów jak Cycero, Horacy, Owidiusz, czy Plutarch. Głosząc pochwałę umiaru, rozwagi i rozsądku, pisze Książę Biskup przeciw rozpaczy, kreśli skalę wartości – dobrych starych wartości, bo jak pisze w „Myślach": „Nie masz nic nowego pod słońcem: powiedziało się więc wszystko i napisało, co się tylko powiedzieć i napisać mogło; zostały tylko sposoby, jak mówić i pisać, a tych sposobów źródło obfite nie każe się obawiać ustawicznego powtarzania." Tak więc Krasicki jako moralista i myśliciel jawi się jako człowiek mocno zakorzeniony tak w pismach wielkich pisarzy i filozofów starożytnych, jak i w „Piśmie Świętym". Nic tu po nudnym moralizowaniu. Ani chwili znudzenia! Prawie w każdym fragmencie, akapicie i zdaniu daje nam Ignacy Krasicki lekcję stylu i formy, badając i opukując słowa, rozpatrując ich odcienie znaczeniowe, brzmienia i treści, co ujawnia w analizach semantycznych, do których ma upodobanie, ale co przede wszystkim ujawnia się w efekcie – w pisarskim efekcie, jaki uzyskuje. Czytając Krasickiego dowiadujemy się, „jakiego starania, jakiej czułości i pracy używać powinien każdy, który dzieło na widok puszcza, a z nim sławy swojej przyszłość pod sąd wieków następnych". (K.M.)

Ignacy Krasicki, „Uwagi", wstęp i opracowanie Zdzisław Libera, „Czytelnik", Warszawa 1997.

• Żarnowiec to stara wieś kaszubska, nadana na początku XIII wieku klasztorowi w Oliwie, który założył tu żeński klasztor cystersek, który pod koniec XVI wieku przejęły benedyktynki. Ktokolwiek był w żarnowieckiej stronie, nie mógł nie podziwiać niespodziewanie wyrastającego w tym miejscu gotyckiego kościoła Najświętszej Marii Panny i przytulonego do niego budynku klasztornego. Przed wojną Żarnowiec był jedną z wakacyjnych, nadmorskich atrakcji, a i teraz ciekawie jest w nim spędzać wakacyjny czas. Zachęca do tego siostra Małgorzata Borkowska, której „Legenda żarnowiecka" jest lekturą niezapomnianą. Ta książka jest dziwną mieszaniną, jakąś

czarodziejską mikturą, która czytelnika oczyszcza i wzmacnia na duchu. Mamy tu kompetentny wykład historii żarnowieckiego klasztoru, a więc i historii samego Żarnowca, z szeroko zarysowanym tłem. Mamy opowieść o siostrach, które los złączył z tym miejscem. Tajemnicą talentu pisarskiego siostry Borkowskiej jest to, że różne ważne historie opowiada w sposób barwny, lekki i humorystyczny, poruszając w nich najważniejsze sprawy. Opisuje wielce skomplikowany świat zakonnego życia jako świat prosty, bo na jednej tylko „centralnej myśli oparty". Świetnie ma to wszystko w sobie poukładane, co do najdrobniejszego szczegółu, skoro zawiłe historie opowiada w sposób jasny i nader przejrzysty. Są takie fragmenty „Legendy", przy których nawet najjaskrawsze fragmenty „Monachomachii" są niewinną, kunsztowną igraszką, jak na przykład protokół z wizytacji biskupa Rozrażewskiego. Są także fragmenty jakby wzięte z „Niecodziennika" ks. Jana Twardowskiego, jak choćby ten o utworzeniu nowej parafii w Krokowej, albo ten o nakazie biskupa Zebrzydowskiego. Aż roi się i błyszczy od różnych satyryczno – ironicznych smaczków, ale jest to zawsze komizm i ironia po coś – służą jako narzędzia do osiągnięcia pożądanego efektu i osiągają go. Tu podziwiam komizm i ironię, oglądam ich szklane i lustrzane dna, a nie żadną pustą i żałosną grę dla gry. Każdy kto przeczyta fragment, zaczynający się od słów: „każda panienka ma być jako anioł" – pojmie, o co mi chodzi. A niebawem natrafi na wstrząsający fragment o siostrze Zofii Winnickiej, ostatniej dziedziczce żarnowieckiej włości. I jeszcze bardziej pojmie, o co mi chodzi. „Co jednak uchodziło aniołowi drewnianemu, nie uchodziło żywemu". Święta racja, siostro Małgorzato.(K.M.)

Małgorzata Borkowska OSB, „Legenda żarnowiecka", Oficyna „Czec", Gdańsk 1997.

Autorzy „Kwartalnika Artystycznego" w numerach 1-3/1997

• Adamiec, Ajvaz, Amichaj, Appel, Borges, M.Borkowska, Chalfi, Chetwynd, Cisło, Czaykowski, Drivas, Dubowik, Dunin, Dzień, Engelking, Gates, Gilboa, Ginsberg, Głowiński, Grynberg, Guri, Gutkowski, Hamkało, Hodrová, Hoffman, Honet, Hoyt, Hrynacz, Jarzębski, Jewell, Jonatan, Jurkowska, Kajak, Kakareko, Kalinowski, Kapuściński, Karasek, Kilbride, Klejnocka, Klejnocki, Kobierski, Kornhauser, Korzeniowski, Kuryluk, Lloyd, Maliszewski, McClintock, Melecki, P.Michałowski, Miłosz, Mitzner, Musiał, Myszkowski, Norway, Nowacki, Piechowicz, Pirie, Procki, Rawikowicz, Reubner, Roguski, J.M.Rymkiewicz, Segers, Seifert, I.B.Singer, Siwczyk, Smalcerz, Sobol-Jurczykowski, Squires, Strumyk, Styczeń, Szarmach, Szaruga, Szuba, Szuber, Tomasik, Trešňák, Virgilio, Wiggin, Wills, Winiarski, Wolski, Zach

• Prezentacje plastyczne: Celewicz, Gira, Hassek, Jakowienka, Pancialiejeu, Sawczenko, Warhol, Zegarliński, Zielenkiewicz

Punkty sprzedaży „*Kwartalnika Artystycznego*”

Białystok	Księgarnia „Kontrakt”, Rynek Kościuszki 17
Bielsko-Biała	Galeria Bielska BWA, ul. 3 Maja 11
Bydgoszcz	Księgarnia „Naukowa”, ul. Jezuicka 6/10
	Księgarnia „Współczesna”, ul. Gdańska 5
	Księgarnia „Powszechna”, ul. Broniewskiego 1
	Biuro Wystaw Artystycznych, ul. Gdańska 20
	Galeria „Kantorek”, ul. Gdańska 3
	Księgarnia „Maria”, ul. Gen. Berlinga 3
Częstochowa	Księgarnia „Klubowa”, ul. Dąbrowskiego 1
Gdańsk	PP Dom Książki – Księgarnia nr 5, ul. Długa 62/63
	Księgarnia „Bestseller”, ul. Cieszyńskiego 36/38
Gdynia	EMPiK S-ka z o.o., ul. Świętojańska 68
Giżycko	Księgarnia „Bestseller”, ul. Armii Krajowej 1a
Gliwice	PUH „Mercurius” – Andrzej Warth, ul. Konstytucji 146
Hamburg	Księgarnia Polska „Arkady”, ul. Alter Steinweg 11
Katowice	KMPiK, ul. Teatralna 8
	KMPiK, ul. Rynek 18
	Księgarnia „Libella”, Plac Sejmu Śląskiego 1
Kraków	Galeria Sztuki Współczesnej „Bunkier Sztuki”, Plac Szczepański 3a
	Księgarnia „Znak”, ul. Sławkowska 1
	Księgarnia „Okapi”, ul. Stradomska 23
	Księgarnia „Skarabeusz” s.c, ul. Bosaków 11
Kalisz	Klub EMPiK S-ka, ul. Aleje Wolności 6
Köln	Polnische Buchhandlung Wawel. Stephanstrasse 11
Lublin	„ART” Galeria ZPAP, ul. Krakowskie Przedmieście 62
	Księgarnia „Awro”, ul. Narutowicza 27
Łódź	Galeria 86, ul. Piotrkowska 86
	Łódzki Dom Kultury, Galeria FF, ul. Traugutta 18
	Księgarnia „Ossolineum”, ul. Piotrkowska 181
	Księgarnia „Niezależna”, ul. Piotrowska 102
Olsztyn	PHD „Książnica Polska”, Plac Wolności 2/3
Opole	Księgarnia „Akademicka”, ul. Matejki 12
Piła	KMPiK, ul. Śródmiejska 1
Płock	Księgarnia „Antykwariat”, ul. Narutowicza 1
Poznań	Księgarnia Cafe Głos, ul. Ratajczaka 39
	Ośrodek Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych PAN, ul. Mielżyńskiego 27/29
	Księgarnia „Kapitałka” Aleksandra Ślęzak, Aleje Niepodległości 4
Rzeszów	Księgarnia Akademicka „Libra”, ul. Rejtana 16b
Sopot	Księgarnia Artystyczna „Galeria”, Plac Powstańców Warszawy 2/4/6
	EMPIK, ul. Bohaterów Monte Cassino 57
Tarnów	Księgarnia „Pan Tadeusz”, ul. Krakowska 47
Toruń	„Index-Books” Księgarnia Promocyjna, Rynek Staromiejski 10
	Księgarnia „A. Bednarek”, ul. Szeroka 46
	KMPiK, ul. Wielkie Garbary 18
Warszawa	Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, ul. Krakowskie Przedmieście 7
	Księgarnia Uniwersytecka „Liber”, ul. Krakowskie Przedmieście 24
	Księgarnia „Reprint”, ul. Krakowskie Przedmieście 11
	Księgarnia „Odeon”, ul. Hoża 19
Włocławek	EMPiK S-ka z o.o., ul. Warszawska 11/13
Wrocław	Księgarnia Wydawnictwa Dolnośląskiego, ul. Świdnicka 28

Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”

Wkrótce ukażą się:

Michał Głowiński

„Czarne sezony”

Krzysztof Myszkowski

„Funebre”

Piotr Matywiecki

„Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa”

Jarosław Klejnocki

„Droga do Delft”

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

PRENUMERATA ROCZNA
krajowa: 25 PLN (4 numery wraz z kosztami wysyłki);
zagraniczna: 30 $ USA (4 numery wraz z kosztami wysyłki).
Cena numeru archiwalnego (wraz z kosztami wysyłki): 4 PLN (8 $ USA)
Wpłaty prosimy kierować na KONTO:
Wojewódzki Ośrodek Kultury PBKS II O/Bydgoszcz
11001034-902 779-2101-111-0 „Kwartalnik Artystyczny”

Nr indeksu 36294
PL ISSN 1232-2105
Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

© Copyright by „KWARTALNIK ARTYSTYCZNY. KUJAWY I POMORZE”, Bydgoszcz 1997

Druk: Merxgraf, Bydgoszcz, tel. 22 65 03
Skład: FUP, Bydgoszcz, tel. 341 18 79

Cena 6 PLN

PLN ISSN 1232-2105